

BELÉN MARTÍNEZ
SÁNCHEZ

Dzień,
w którym
umarłam

PRAWDZIWE ŻYCIE ZACZYNA SIĘ PO ŚMIERCI

Belén Martínez Sánchez

Dzień, w którym umarłam

Tłumaczenie:

Dorota Twardo

Moim Dziadkom i Matce Chrzestnej; obiecałam, że pierwsza będzie dla Ciebie.

Wiesz, że powinienem cię zabić. Jeszcze tego nie zrobiłem... i nie zrobię, choć nawet sobie nie wyobrażasz, jakich mi to może przysporzyć problemów. Pytasz, czy mnie obchodzisz? A jak ci się wydaje?

Laura Gallego Kroniki Idhunu I. Opór

PROLOG

Mówi się, że umrzeć to zapomnieć, a jednak pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałem, kiedy otworzyłem oczy, był moment mojej śmierci.

Gwałtownie usiadłem. Nie znajduję się na ulicy, gdzie potrącił mnie samochód, ale w zimnym łóżku ze sztywnej pościelą, niekojarzącym się z domem rodzinnym... Chyba wręcz przeniosłem się do innego miasta.

Czułem w okolicach piersi piekący, promieniujący aż do skroni ból. Zaniepokojony odchyliłem przesiąkniętą ciepłą jeszcze krwią koszulę. Ciekawe... Na skórze nie dostrzegłem żadnej rany, nawet drobnego zadrapania. Jedynie czarne znaki na lewym obojczyku.

– O, w końcu się obudziłeś.

Zerknąłem w lewo. Obok stała śliczna, wysoka i szczupła, siedemnasto- albo osiemnastoletnia dziewczyna, ubrana w dziwny mundur.

– Witaj w Panteonie. – Uśmiechnęła się. – Nazywam się Henriette.

– Alois – wyszeptałem ochryple. – Alois Petersen.

Znowu to silne pieczenie... Spojrzałem niżej.

Znaki właśnie się poruszyły, układając w... cyfry. Przekrzywiłem głowę, żeby lepiej je widzieć.

2.10.1950.

I naraz zrozumiałem. Drugi października tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku.

Tego dnia umarłem.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zadrażnienie

Diletta

Pierwsza reguła: zachowywać się tak, jakby nie istniały, toteż kiedy wstałam z ciepłego łóżka i zobaczyłam jednego z nich, szybko odwróciłam wzrok, udając, że rozglądam się po sypialni.

Wieczorem – przypuszczalnie zbyt zmęczona – nie zauważyłam, że się pokazał. Za to teraz... Krążył obojętnie z kąta w kąt, pochmurny, myśląc, że pozostaje dla mnie, człowieka, niewidoczny. Ależ się mylił...

Wtem niechcący otarłam się o bezbarwne ramię. Pod wpływem owego pozornego przecież dotyku moją rękę momentalnie przeniknął chłód, rozchodząc się po całej piersi. Zadrżałam i rzuciłam się do wyjścia z pokoju, omijając walające się na podłodze brudne skarpetki.

Zamknąwszy za sobą drzwi, oparłam się o nie plecami, nagle zupełnie rozbudzona.

Od urodzenia byłam bardziej wrażliwa na ich obecność niż inni; wyczuwałam przerażający oddech śmierci przy każdym, najmniejszym nawet kontakcie z niematerialnymi ciałami... Znajomi często nieświadomie wręcz przez nie przechodzili i tylko lekko się wzdrygali. To się nazywa mieć fart. Kiedyś odważyłam się na podobny eksperyment i spędziłam potem kilka dni w łóżku, trzęsąc się z zimna. Oto co przydarza się osobom, które widzą duchy, zjawy, ektoplazmę czy jak się określa te byty...

A ja, niestety, je widziałam.

Poszłam do kuchni i od razu skierowałam się ku dzbankowi ze świeżo zaparzoną kawą, ignorując kręcące się obok kolejne widmo. Napełniłam filiżankę; już sam aromat wystarczył, by nieco poprawić mi nastrój. Pociągnąwszy łyk, rozkaszałam się. Cholera. Parzy. W dodatku zapomniałam o cukrze.

– Nie powinnaś pić czarnej kawy – mruknęła mama, pojawiając się w kuchni. – I może byś coś zjadła, śniadanie...

– ...to najważniejszy posiłek dnia. Pamiętam. – Skrzywiłam się, słodząc napój. – Ale dobrze wiesz, że rano nie jestem w stanie nic przełknąć.

Ostrożnie zanurzyłam łyżeczkę i zamieszałam, delikatnie dmuchając, w wyniku czego na powierzchni ciemnego płynu utworzyły się małe fale. Po chwili umoczyłam usta... No, wreszcie: odpowiednie temperatura i smak.

Uniosłam wzrok. Mama bacznie mi się przyglądała.

– O co chodzi? – spytałam, nie odrywając warg od brzegu filiżanki.

– Wyjmij łyżeczkę, Diletto. Któregoś dnia zrobisz sobie krzywdę. Aha, i staraj się nie odzywać, dopóki nie przełkniesz. Jeszcze się zakrztusisz i pobrudzisz wszystko dookoła.

Ze zdziwieniem zastosowałam się do polecenia. Odkąd w wieku czterech lat zaczęłam dostawać na śniadanie mleko, nie zwykłam pić w inny sposób... Dlaczego obrywa mi się akurat teraz?

– Aleś nagle drażliwa... – stwierdziłam.

– Nigdy nie jest za późno na korektę złych nawyków...

Bez przekonania skinęłam głową i upiłam kolejny łyk, co rusz zerkając na mamę. Wciąż się we mnie wpatrywała.

– O co chodzi? – powtórzyłam ze zniecierpliwieniem, odstawiając pustą filiżankę na blat. – Tylko nie mów, że o nic. I tak nie uwierzę.

Westchnęła i spojrzała na swoje stopy. Nie wygląda najlepiej... Sądząc po cieniach pod oczami, najwyraźniej ostatnio kiepsko

sypiała.

– Wróćę dziś wcześniej – oznajmiła. – Szykuję dla ciebie niespodziankę.

– To znaczy?

– Odwiedzi nas Jerome.

– No proszę, co za wspaniała niespodzianka! – zawołałam drwiąco, krzyżując ramiona.

– Diletto, wyjątkowo mi na tym zależy – szepnęła, usiłując zachować spokój. – I chyba... spodziewałaś się jego wizyty. Ślub w kwietniu, więc zostało mało czasu... – przerwała i wzięła do ust kawałek grzanki. – Wolałabym – dodała po chwili – żebyście tego dnia już dobrze się znali.

– Świetnie! Ale czy mi go przedstawiś, czy nie, zawsze będzie obcy! – krzyknęłam i wybiegłam z kuchni, trzaskając drzwiami.

Szybko ochłonęłam, chociaż... nie potrafiłam zaakceptować maminej decyzji o ponownym zamążpójściu. Niemal zrywając z wieszaków poszczególne części mundurka i ubierając się, zastanawiałam się... po co jej to. Raz spróbowała... i?

Najpierw rozwód, potem – kiedy miałam zaledwie dziewięć lat – śmierć Sergueia, mojego starszego brata, a wreszcie wiadomość, że ojciec ożenił się z kobietą o mózgu zlokalizowanym we wszczepionych w piersi silikonowych implantach...

Wtedy mama postanowiła zapomnieć o istnieniu męskiego gatunku, winnego wszystkim jej problemom.

Ale powzięła to postanowienie, zanim spotkała fantastycznego Jerome'a Notta.

Popatrzyłam na zegarek. Cholera. Siódma trzydzieści. Musiałam się pospieszyć, jeżeli nie chciałam spóźnić się na lekcje pierwszego dnia nowego roku szkolnego.

Ostatniego roku w liceum.

Prędko wsunęłam niewygodne czarne buty, nie dbając

o wygładzenie rajstop. Ominęłam wciąż snującą się po sypialni zjawę i wpadłam do łazienki, żeby umyć zęby i spryskać się odrobiną wody toaletowej. Następnie przeczesalam palcami włosy, narzuciłam lekką kurtkę, z wysiłkiem włożyłam pełen książek plecak i zeszłam po schodach.

– Idę!

Mama wychyliła się, przesyłając w powietrzu całusa.

– Powodzenia!

Pomachałam ręką, odnosząc wrażenie, że kieruję się do rzeźni. Rety, ależ nienawidziłam szkoły... Dużo nudy, zero przyjemności. Ciągłe te same twarze, miesiąc po miesiącu, rok po roku. Ci sami nauczyciele, ci sami, coraz bardziej niedojrzali idioci i te same, coraz bardziej płytkie kretyнки.

Reasumując: by przeżyć dzień, potrzebowałam czegoś więcej niż słowa otuchy.

W dodatku ta fatalna pogoda. Kiedy wyszłam z ciepłego domu, zapięłam kurtkę pod szyję i wcisnęłam dłonie w kieszenie.

Zatrzymałam się przed przejściem dla pieszych, czekając na zielone światło. Obok stanęła kobieta o zmęczonym spojrzeniu. Dźwigała wielki plecak, prawie tak duży jak mój, a jej dłoni uczepiona była najwyżej sześciolatnia dziewczynka. Zauważywszy, że mała z ciekawością mnie obserwuje, uśmiechnęłam się.

Niepotrzebnie.

Zrobiła przestraszona minę i schowała się za matkę, uporczywie szarpiąc ją za rękaw.

– Mama, mama! – pisnęła. – Ale dziwne oczy!

– Zachowuj się grzecznie! I opuść ten palec!

Niechętnie posłuchała matki, a za moment pokazała mi język.

Westchnęłam. Zdążyłam przyzwyczać się do tego, że kolory moich tęczówek – brązowy jednej, a niebieski drugiej – wzbudzają w dzieciach lęk. Heterochromia nie należy w końcu do częstych wad

genetycznych...

Światło wreszcie się zmieniło i energicznym krokiem ruszyłam przed siebie. Wpatrzona w chodnik, przemierzyłam około dwudziestu metrów, gdy nagle ujrzałam sportowe, biało-czerwone, niechlujnie zawiązane buty. Wybitnie znajome buty.

Podniosłam wzrok. Noah Delling.

– Czego szukasz? – zainteresował się w ramach powitania.

– Bo?

– Idziesz z tak nisko pochyloną głową...

Skrzywiłam się, przyspieszając. Bardzo śmieszne.

Noah natychmiast się ze mną zrównał. Jego chód był niezgrabny i nieskoordynowany; ostatnie ślady okresu dorastania, który – jak i ja – wkrótce zostawi za sobą.

– Ej, wszystko gra? – spytał. – Wydajesz się rozłoszczona...

– Nie rozłoszczona, ale... Nie wiem – odparłam. – Nie wiem, co czuję.

Coś dziwnego. I źle mi z tym.

– Poproszę jaśniej... – szepnął z rozbawieniem.

– Mama przyprowadzi dziś do domu swojego... kogokolwiek.

– „Kogokolwiek” oznacza narzeczonego?

– Tak – potwierdziłam zrezygnowana. – Mam wrażenie, że ten facet przysporzy mi mnóstwa problemów.

Nie kontynuowaliśmy rozmowy, każde zatopione we własnych myślach. Lubiłam milczeć z Noahem. Miał wyjątkową zdolność uspokajania emocji, i jego towarzystwo działało na mnie kojąco. Może to zasługa nieschodzącego z twarzy uśmiechu? A może raczej łagodnych, kasztanowych oczu, które – kiedy odbijało się w nich światło – nasuwały skojarzenia z rozpuszczoną czekoladą?

Febe, moja najbliższa przyjaciółka, powtarzała, że czeka nas wspólna przyszłość: pobierzemy się, zamieszkamy we wspólnym domu, znajdziemy porządną pracę, kupimy zwierzątko... I będziemy razem szczęśliwi. Ale... nie podzielałam tej wizji. Zgoda, Noah był

przystojny. Podkochiwała się w nim połowa klasowych koleżanek. Kilka nawet wyznało mu miłość. Zawsze rycerski, odrzucał zaloty na tyle umiejętnie, że żadna z dziewczyn nie uroniła ani jednej łzy, a przecież to miłośniczeki dramatyzowania! Podobny argument stanowczo przemawia na korzyść... odrzucającego. Nie wszyscy chłopcy tak potrafią.

Problem w tym, że traktowałam Noaha po prostu jak opiekuńczego brata... Nie wyobrażałam sobie, że mogłoby łączyć nas coś więcej niż uściski i poklepywanie po ramieniu.

Zresztą na pewno nie uważał mnie za atrakcyjną.

Ham – brat bliźniak Febe i mój kompan z ławki – twierdził, że gdyby nie długie włosy, nie zorientowałby się, że reprezentuję płęć piękną. Bardziej niż makijażem pasjonowałam się kinem, zaś od całonocnych imprez wolałam wieczorne spacerować... W klasie uchodziłam za „tę nudną o niewidzącym spojrzeniu”.

– Hej, szkoła jest tam! – zawołał nagle Noah.

Gwałtownie stanęłam, przytomniejąc. Rzeczywiście, pomyliłam ulicę... Prędko odwróciłam się, żeby skręcić we właściwą, gdy wtem drogę zastąpiła mi jakaś postać. Chciałam uskoczyć, lecz zareagowałam zbyt późno. Usłyszałam krzyk, zobaczyłam unoszące się w geście obrony ręce i z impetem zderzyłam się z owym przechodniem. Zanim oboje grzotnęliśmy na ziemię, chwyciłam go za włosy w rozpaczliwej próbie utrzymania równowagi.

Rozległo się donośne przekleństwo.

Kontakt z ziemią okazał się bezbolesny: runęłam na coś miękkiego. Otworzywszy oczy, ujrzałam błękitne niebo. Leżałam twarzą do góry, z głową na delikatnej tkaninie. W dłoni ścisnęłam wyrwane niechcący kosmyki, tak jasne, że wydawały się posrebrzane. Czyżbym wpadła na staruszkę?

Nagle ktoś zakaszlał mi do ucha. Zaczerwieniłam się ze wstydu. Ofiara mojej nieuwagi, a zarazem współwinowajca wywrotki,

najwyraźniej znajdowała się częściowo pode mną.

Zerwałam się i z ulgą odnotowałam, że to jednak nie staruszek, lecz kolega z klasy. Alois. Alois Petersen. Pojawił się w szkole rok temu, ale właściwie się nie znaliśmy.

Już miałam przeprosić, gdy słowa uwięzły mi w gardle. W co on się ubrał?

Bez wątpienia nie w licealny mundurek: nie włożył ani ciemnozielonego swetra, ani czarnej kurtki, tylko dziwaczną marynarkę bez guzików, której poły krzyżowały się na piersi, i lekką białą koszulę o szerokim kołnierzyku, niechroniącą bynajmniej przed zimnem; do tego spodnie o obniżonej talii i sięgającym niemal łydek kroku, przewiązane na biodrach białą szarfą... Nigdy wcześniej nie widziałam równie osobliwego kroju. Buty nieco przypominały balerinki, chociaż wyglądały na sztywniejsze, o twardszej podeszwie.

Rety.

Co robił w podobnym stroju? Wybierał się na bal przebierańców? Ale... kto przy zdrowych zmysłach zdecydowałby się iść na imprezę o tak wczesnej porze, piętnaście minut przed rozpoczęciem roku szkolnego?

I ta mina... Wydawał się wzburzony, a przecież słynął z nieokazywania emocji. Obserwował mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jakby nie dowierzał, że stoję obok, a to, że przed chwilą go przygniotłam, należało do zjawisk nie tylko niewytłumaczalnych, lecz wręcz niebezpiecznych. Nagle zatrzymał wzrok na moim lewym przedramieniu, zaklął i błyskawicznym ruchem wsunął coś pod plecy. Zdażyłam dostrzec zabarwiony czerwienią blask.

Zerknęłam na rękę i krzyknęłam, odkrywając przecinające skórę krwawiące zadraśnięcie. Cholera, kiedy się skaleczyłam? Może Alois miał przy sobie metalowy przedmiot? Ciekawe, nie poczułam

ukłucia bólu...

Nim zakryłam ranę dłonią, podniósł się, mocno chwycił mnie za ramię i gwałtownie przyciągnął.

– Skąd się tu wzięłaś? – syknął.

– I... Idę do szkoły – wyjąkałam zalękniona, usiłując się cofnąć. Nie widać?

Przyjrzał się z bliska obrażeniu. Zamierzałam wytłumaczyć, że nie trzeba, że nawet nie piecze, ale jednym spojrzeniem sprawił, że postanowiłam milczeć.

Na jego twarzy odmalowała się bezradność. Westchnął z rezygnacją, puścił rękę i się odsunął.

– Nie powinnaś była mnie zobaczyć – stwierdził ze złością. – Szlag by to trafił!

Czemu się tak wściekał? Uznałam, że warto przypomnieć, iż przyczynił się i do upadku, i do małego rozlewu krwi, gdy wtrącił się Noah:

– Jakiś problem?

– Żadnego – odparłam, odwracając się. – Tylko...

Ponownie skierowałam się ku Aloisowi, gotowa skarcić go wzrokiem, ale...

Zniknął.

– Gdzie on się podział?! – wykrzyknęłam.

– Kto? – zdziwił się Noah.

– Przed chwilą... Przed chwilą zderzyłam się z Aloisem Petersenem... – wyszeptałam, rozglądając się. – Stał tu...

Przyjaciel położył mi dłoń na plecach, jakby chciał dodać otuchy.

– Diletto, z nikim się nie zderzyłaś. Potknęłaś się o własne nogi.

– Że co? Wcale nie – burknęłam. – Nie zmyślam! Po co miałabym kłamać?

– Zarejestrowałam całe zdarzenie – wyjaśnił. – Straciłaś równowagę, a potem zaczęłaś coś mamrotać pod nosem.

– Chyba żartujesz.

– Diletta... – zmarszczył czoło – nie strasz mnie.

Zaczerwieniłam się. Oczywiście, że wpadłam na Aloisa... Wciąż trzymałam w palcach jego włosy...

Szybko upuściłam je na chodnik.

– Sama już nie wiem. Jeszcze się nie dobudziłam – mruknęłam. – Tak, to wina rozespania.

Noah roześmiał się, próbując zbagatelizować zajście.

– Z każdym dniem znam cię coraz mniej – oznajmił. – W końcu okaże się, że jesteś medium i widzisz duchy.

Wzdrygnęłam się, słysząc te słowa. Na szczęście nie zauważył mojej miny, skupiony na zadraśnięciu.

– Rety, porządnie się skaleczyłaś! – zawołał, delikatnie unosząc zranioną rękę. O wiele delikatniej niż Alois. – Bardzo boli?

Pokręciłam głową, zbyt oszołomiona, by wyartykułować choć jedną sylabę. Wtem spojrzał na zegarek i krzyknął:

– Cholera! Zostało tylko dziesięć minut! Spóźnimy się!

W tym momencie ktoś przebiegł obok, uderzając mnie w ramię. Zachwiałam się i gdyby nie Noah, znowu bym upadła.

– Hej! – wrzasnął. – Może tak ostrożniej?

Adresat owego upomnienia odwrócił się, mierząc nas nieprzyjaznym wzrokiem. Zadygotałam. Przecież to... Alois Petersen. Kurde. Jakim cudem zdążył się przebrać? Skąd idzie? Niedawno wybierał się w kierunku przeciwnym do szkoły...

– No proszę, oto i twój Alois – zadrwił Noah. – Mówiłem? Nie mogłaś się z nim zderzyć.

Nie mogłam. Właśnie. Idealne określenie.

– To nie mój Alois – warknęłam. – Lećmy. Późno już.

Alois

Cholera. Cholera. Cholera!

Zobaczyła mnie... Zobaczyła! Ale dlaczego? Jako Lilim jestem dla

ludzi niewidoczny.

W dodatku... Zerknąłem na floret. Zraniłem ją. Na klindze ciągle błyszczała krew. Dotknąłem ostrza, barwiąc palce na czerwono.

Tego tylko brakowało... A jeśli dowódcy dowiedzą się o owym incydencie? Na bank zabronią mi uczęszczania do Akademii. Przez tę przeklętą dziewczynę o rudawych włosach stanę się jednym z wielu, marnując niezliczone zdolności.

Chodzi ze mną do klasy. Jak się nazywa? Diana? Deirdre? Nie pamiętam. Kiedy ujrzałem ją pierwszy raz, nie wzbudziła mojego zainteresowania. No dobra, owszem. Z powodu oczu. Ma różnobarwne tęczęwki, brązową i niebieską, jednak nie kryje się za nimi żadna ciekawa historia.

W przeciętności może konkurować z innymi mieszkańcami Ziemi. Tak przynajmniej sądziłem. Do teraz.

Wtem ponownie wyczułem dziwną obecność, znacznie silniej niż przed kilkunastoma minutami...

Musiła znajdować się blisko.

Przymknąłem powieki.

Była za mną.

– Co zrobiłeś?

Odetchnąłem. To tylko Henriette. Też zaciskała dłoń na rękojeści broni. Krzywo zapięty mundur z niestarannie podwiniętymi rękawami sprawiał wrażenie... nieświeżego. Dostrzegłem ślady czegoś podobnego do krwi.

Nieopodal leżało nieruchome ciało. A więc wszystko jasne.

– Również witaj – odparłem z ironią.

– Co zrobiłeś, Alois? – powtórzyła.

Wychwyciłem w jej głosie wściekłość.

– Nic – stwierdziłem po dłuższej chwili milczenia. – Po prostu... właśnie widziała mnie jedna z nich.

– Wydaje ci się, że bierzesz udział w jakiejś grze? – wybuchnęła

Henriette, uderzając pięścią w ścianę pobliskiego budynku. – Wiesz, po co tu przybyłeś. I wiesz, że wśród ludzi masz zachowywać się jak zwykły śmiertelnik.

– Może to jednak ty w coś grasz? – spytałem. – Myślałem, że o ile nie odbywa się akurat praktyk, nie wolno odwiedzać Świata Żywych.

– Aktualnie to nieistotne. Wpadłam się rozejrzeć – mruknęła. – Skupmy się na tobie. Po pierwsze, dałeś się zobaczyć jako Lilim. Po drugie, spóźniłeś się. Musiałam sama zająć się ptaszędem.

– Które w dodatku cię ubrudziło...

– Nie jestem w nastroju do żartów – ostrzegła.

Cicho gwizdząc, przesunąłem wzrokiem po ulicy, a następnie ponownie spojrzałem na Henriette.

– Oj, wybacz – zachichotałem, gdy skrzywiła się w grymasie furii.

– Dobra, dobra. Już się zamykam. Ale... zrozum, w tym miejscu czuję się obco. Trudno mi zachowywać się... Jakiego użyłaś określenia? A, pamiętam. Niczym zwykły śmiertelnik.

– Akurat. Trafiłeś na ziemię ponad dwanaście miesięcy temu i ani razu nie dotarły do nas niepokojące informacje o twojej adaptacji. Wyróżniasz się spośród Lilim z roku. Osoby takie jak ty potrafią bez problemu asymilować się z ludźmi. Wystarczający z ciebie hipokryta, żeby perfekcyjnie odegrać rolę.

– Oj, tylko nie „osoby”. To słowo sugeruje pewien stopień pokrewieństwa z plebsem. Aż ciarki przechodzą. Ale – odwróciłem się plecami – dzięki za komplement. Nie zwątpiłaś chyba w mój potencjał?

– Pytanie, czemu przypisać ów brak ostrożności?

– Wydarzył się mały wypadek. Każda wpadka oznacza dodatkową zabawę.

– Akurat ta wpadka mogłaby kosztować cię dyplom. Ale... nic więcej się nie stało, prawda?

Pomyślałem o ranie zadanej dziewczynie przez broń, która nie

miała prawa jej tknąć.

– Prawda. Nic a nic. A teraz, jeśli pozwolisz...

– Poczcie...!

Ulotniłem się, nim skończyła. Po chwili znalazłem się przed domem: gdy występuję w Świecie Żywych pod postacią Lilim, ważę tyle co powietrze, stąd możliwość przemieszczania się w zawrotnym tempie, a przy okazji sprawnego pozbywania się towarzystwa denerwujących kobiet. Na przykład Henriette.

Prędko przebrałem się w licealny mundurek, przekształciłem floret w Minuttę i bez śniadania popędziłem do szkoły.

Lekcje zaczynają się za dziewięć minut. Zdążę. Lilim jak ja nigdy się nie spóźniają.

Minąłem sprawczynię niedawnej niespodzianki i jej kolegę. Ciągle tkwili na rogu, gdzie doszło do zderzenia.

Rety, ludzie są tacy powolni... Dziewczynę mój widok ewidentnie przeraził. Pewnie zastanawia się, czy przypadkiem nie oszalała. A niech się zastanawia. Niech nawet wysnuje wniosek, że potrzebuje natychmiastowej wizyty u psychiatry. Akurat to następstwo incydentu jest mi najzupełniej obojętne; inne – niekoniecznie.

Niewykluczone, że przede mną spore problemy.

Cholerny plebs...

Potwierdza się opinia, którą wyrobiłem sobie na temat mieszkańców tego świata: nierzadko przyprawiają o mdłości.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kiepski dzień

Diletta

Pierwszy dzień szkoły jak zwykle był nudny. Straszliwie nudny. Nauczyciele omawiali poszczególne przedmioty i program na najbliższy rok. Prawdziwa męczarnia.

Wcale nie potrzebujemy prezentacji i beznadziejnych materiałów przedstawiających to, czego możemy spodziewać się przez najbliższe miesiące. I bez nich wiadomo: chcesz mieć dobre stopnie? Czeka cię ostra harówka.

Ham już narzekał. Nie należał do orłów. Zupełnie nie szło mu w przedmiotach ścisłych, zresztą z językami też sobie nie radził. Usiadł ze mną w pierwszej klasie i od tamtej pory dzieliłam się z nim notatkami i dawałam ściągać na klasówkach. Nie, żadna ze mnie prymuska, ale koledzy ochoczo przypinają ci łatkę kujona, jeśli nigdy nie schodzisz poniżej czwórek.

– A to ciekawe... – oznajmił nagle.

– Co? – zdziwiłam się.

– Lekcja zaczęła się czterdzieści minut temu – wyjaśnił, krzyżując ramiona – i przez cały ten czas Petersen nie spuścił z ciebie wzroku.

Pobladłam i wzdrygnęłam się, zrzucając przy okazji na podłogę kilka długopisów.

– No, to już w ogóle intrygujące – kontynuował beztrosko. – Dziewczyna, zorientowawszy się, że patrzy na nią ktoś taki jak Alois Petersen, powinna raczej zrobić się czerwona, nie kredowobiała. Aha: dalej cię obserwuje.

Sięgnęłam po długopisy, a kiedy się prostowałam, uderzyłam głową w blat, wywołując wesołość siedzącej za nami Febe. Uprzedzając kolejną uwagę jej brata, wycedziłam:

– Nie waż się powiedzieć, że to również wydało ci się intrygujące.

Uśmiechnął się i znacząco przymrużył powieki. Przewidziałam następne pytania.

– Kręcisz z Petersenem? Wdałaś się w gorący romans i nie pisnęłaś ani słówka?

Zamachnęłam się, by mu przyłożyć, ale zdążył się uchylić.

– Wpatruje się?

– Owszem.

– Kurde.

Pilnowałam, żeby przypadkiem nie spojrzeć na nic, co znajduje się w odległości mniejszej niż metr od Aloisa. Cholera jasna, czego może chcieć? Nie wytrzymałam w końcu i zerknęłam na ławkę po prawej. Ham nie żartował. Petersen faktycznie świdrował mnie zielonymi oczami, próbując chyba odgadnąć, czy składałam się z czegoś więcej niż wyłącznie skóry, krwi i kości. Poczułam się nieswojo. Siedząca z nim Pamela, piękność, której zdjęcia dwukrotnie pojawiły się na okładce jednego z czasopism dla młodzieży, przyglądała mu się ze zdumieniem, także nie rozumiejąc owego nagłego zainteresowania moją osobą.

Zanim uciekłam wzrokiem, onieśmielona niepokojącym blaskiem źrenic Aloisa, wyczytałam z jego twarzy frustrację i zaskoczenie. Jakby właśnie odkrył we mnie coś, czego się kompletnie nie spodziewał i co ewidentnie niespecjalnie go bawiło. To coś wiązało się z porannym zajściem?

Zgoda, nie przeprosiłam, lecz przecież nie tylko ja przyczyniłam się do zderzenia. Szedł zbyt szybko i nie patrzył przed siebie.

O ile już wcześniej nie słuchałam nauczyciela, teraz całkiem się rozkojarzyłam. Przestałam nawet przejmować się złośliwymi

komentarzami Hama.

Nie podobało mi się to wszystko. Nie dążyłam do zakolegowania się z Petersenem. Wyglądał co prawda jak anioł, ale zachowaniem przypominał raczej apodyktycznego, zarozumiętego i narcystycznego diabła. Trudno go lubić. Na innych spoglądał z góry, do tego nierzadko postępował okrutnie, wręcz niemoralnie. Opanowany i zarazem wybuchowy, często angażował się w zaciekle bijatyki, z których zawsze wychodził zwycięsko, bez najmniejszego choćby zadrapania. Dał się też poznać jako miłośnik kobiecych nóg. Miał do nich niemal nabożny stosunek.

Obiektywnie rzecz biorąc, zalet fizycznych mu nie brakowało. Orli nos nadawał szczupłej, trójkątnej twarzy o mocno zaznaczonych kościach policzkowych dumny wyraz. Ogromne oczy, zielone w słoneczne dni, a szarawe w pochmurne, otoczone były długimi rzęsami. Emocje skrywał pod typową dla niego nieprzeniknioną miną i jedynie w trakcie bójek albo na widok wyjątkowo ładnej dziewczyny pozwalał sobie na uśmiech, za którym nie przepadałam, gdyż zdawał się odpychający. Bezlitosny i drapieżny.

Ani zbyt wysoki, ani przesadnie umięśniony, mógł pochwalić się niezwykłą szybkością, a dodatkowo wiedział, jak skutecznie unieruchomić przeciwnika lub gdzie uderzyć, by zadać największy ból.

Niekiedy napawał mnie lękiem.

Nie licząc dzisiejszego ranka, rozmawialiśmy zaledwie raz, na początku zeszłego roku szkolnego, gdy dołączył do klasy. Usiadł wtedy niedaleko i korzystając z nieuwagi nauczyciela, nachylił się, zaciekawiony kolorami moich oczu. Kulturalnie i zwięźle powtórzyłam to, co zwykłam mówić w podobnych okolicznościach: że z takimi się urodziłam, podobnie jak starszy brat, o prawej tęczęwce niebieskiej, a lewej brązowej. Alois kiwnął tylko głową

i skupił się na lekcji.

Wtem rozległ się dzwonek i ponownie się wzdrygnęłam, zrzucając długopisy. Bliźnięta roześmiały się, lecz postanowiłam udawać głuchą i w pośpiechu zaczęłam się pakować. Lepiej nie tracić czasu: bałam się, że Alois za moment podejdzie, a tego akurat stanowczo wolałabym uniknąć.

Zerwałam się z ławki jako jedna z pierwszych. Dostrzegłam, że Petersen również schował już książki, ale zdążyłam opuścić klasę przed nim.

Ham i Febe krzyczeli, bym zaczekała, nie zatrzymałam się jednak, poszłam prosto do damskiej łazienki.

Na szczęście okazała się pusta.

Oparłam się o brzeg umywalki i zerknęłam w lustro. Nie odnotowałam niczego zaskakującego. Nie zmieniłam się, nie przeszłam metamorfozy, która uczyniłaby ze mnie piękność. To dalej ja: dziewczyna o rudawych włosach, różnobarwnych oczach i owalnej, prawie okrągłej twarzy. Nie stało się nic, co usprawiedliwiłoby zachowanie Aloisa.

Musi więc chodzić o dzisiejszy incydent.

Westchnęłam i podwinęłam rękaw koszuli, aby obejrzeć zadraśnięcie. Cholera, krwawi. Prędko wsadziłam rękę pod kran. W tym samym momencie w drzwiach pojawiła się Pamela. Ignorując jej naburmuszoną minę, lekko się uśmiechnęłam.

– Cześć.

Bez słowa podeszła i spojrzała na ranę.

– Oho, nie wygląda najlepiej. – Rozpromieniła się.

– To nic takiego – zapewniłam, zakręcając wodę. – Nie przejmuj się.

– Spokojnie, wcale się nie przejmuję.

Nie odezwałam się, nie bardzo wiedząc, jak zinterpretować owo stwierdzenie. Ostrożnie osuszyłam skaleczenie. Rzeczywiście, nie

wygląda najlepiej. Dobrze, że chociaż zatamowałam krew. Już miałam wyjść, kiedy Pamela syknęła:

– Nie zwracaj na niego uwagi.

– Słucham? – zdziwiłam się.

– Nie zwracaj uwagi na Aloisa – powtórzyła ostrzegawczo. – Mówię to dla twojego dobra.

Akurat. Raczej: „Mówię to, bo pragnę go wyłącznie dla siebie”. Naprawdę wierzyła, że spotykam się z Aloisem? Co za pomysł!

– Jasne – szepnęłam, czując się jak tchórz.

Wybiegłam na korytarz, niemal wpadając na ducha. Z piskiem cofnęłam się i przywarłam plecami do drzwi łazienki. Natychmiast tego pożałowałam. Pierwsza reguła: zachowywać się tak, jakby nie istniały. Boże, nie mogę wrzeszczeć na ich widok niczym małe dziecko!

Chciałam czmychnąć, ale skutecznie zastąpił mi drogę. Coś tu nie gra...

Pozornie nie różni się od innych zjaw. Pozornie, bo...

Patrzy na mnie. Świadomie wpatruje się w moją twarz... Zorientował się, że rejestruję jego obecność.

Wstrząsnął mną dreszcz.

Przerażające.

– Witaj.

Dałam krok w prawo, ale duch okazał się szybszy. Znalazłam się w potrzasku.

– Przecież wiem, że nie jestem dla ciebie niewidzialny – oznajmił z wyrzutem.

Zrobiło mi się go trochę szkoda, lecz obiecałam sobie przestrzegać reguły numer dwa: pod żadnym pozorem z nimi nie rozmawiać. Właśnie mijają nas kilku uczniów. Co by pomyśleli, gdybym naraz zaczęła do siebie szeptać? Uznaliby, że zwariowałam.

Ale... w jaki sposób zmierzyć się z tą bezcielesną istotą

o martwych rysach i zbyt żywych oczach? Nie rozumiałam, co się właściwie dzieje, marzyłam tylko, żeby wydostać się ze szkoły... Nagle wydała się miejscem znacznie bardziej upiornym, niż wcześniej sądziłam.

Otworzyłam usta, by jednak coś powiedzieć, a może raczej krzyknąć, kiedy nagle Pamela, opuszczając toaletę, niechcący uderzyła mnie drzwiami, popychając wprost na widmo. Przeleciałam przez nie i z jękiem upadłam na podłogę. Pamela ledwo stłumiła śmiech.

– Ty jeszcze tutaj?

Nie odpowiedziałam. Wiłam się, przestraszona i skostniała z zimna, niezdolna do zapanowania nad drżeniem całego ciała... Poczułam się bliżej świata umarłych niż świata żywych.

Potrzebuję ciepła.

– Diletta?

Zobaczyłam Noaha jak przez gęstą mgłę, a i to dopiero wtedy, gdy kucnął.

Spróbowałam się podnieść, lecz źle oparłam dłonie i znowu runęłam na ziemię.

Wokół zebrał się tłumek uczniów. Zlewające się ze sobą twarze i różnej długości fryzury utworzyły bezkształtny, jasno-ciemny krąg. Wtem dostrzegłam w tej nieostrej masie znajomą osobę o bladej cerze.

Petersen. Alois.

– Zaprowadzić cię do pielęgniarki? – zaniepokoił się Noah. Pokręciłam głową. Do gabinetu lekarskiego łatwo wejść, Alois bez problemu mnie tam znajdzie. Prędzej uwolnię się od niego na wuefie... Dziewczyny nie ćwiczą z chłopakami.

– Pomóż mi wstać. Idę na zajęcia.

– Żartujesz?! – zawołał Noah. – Nie dasz rady przejść dwóch metrów!

Złapałam go za ramię, zmuszając, by się nachylił. Ani sekundy dłużej nie zniosę przeszywającego spojrzenia Aloisa.

– Proszę – wyszeptałam.

Zawahał się, ale wyciągnął rękę. Dźwignęłam się i wciąż dygocząc z zimna, niemal się na nim położyłam, a następnie pokuśtykałam ku przebieralniom.

Potknęłam się już przy trzecim kroku.

– Na pewno nie zaprowadzić cię do pielęgniarki?

– Na pewno – wymamrotałam. – Najważniejsze to... pozbyć się towarzystwa Petersena.

Alois

Postanowiłem opuścić następną lekcję. Darowałem sobie symulowanie złego samopoczucia i wizytę u lekarza, by dostać usprawiedliwienie. Od razu poszedłem na boisko, na którym za trzy minuty powinna się rozpocząć lekcja wuefu Diletty Mair.

Oho, Pamela zdecydowała się mnie śledzić. Myślała, że się nie zorientuję? Przypuszczalnie sądziła, że skrada się po cichu, i aż pęka przez to z dumy. Co za kretynka! Jej szuranie usłyszałbym z odległości kilku kilometrów.

– Brakuje ci hobby, Pamela – stwierdziłem, odwracając się. – Bawisz się w detektywa?

Skryła się za kolumnę w korytarzu. Żałosne. Wciąż widzę jej długie blond włosy.

Zbliżyłem się, szeroko się uśmiechając.

– W nic się nie bawię – warknęła. – Nie szpieguję cię.

– Oczywiście, że nie – zgodziłem się. – Grasz tylko rolę salonowego pieska.

– Nie nazywaj mnie swoim pieskiem, Alois – ostrzegła.

– Nie śmiałybym. Znieważyłbym własnych pupili.

Na twarzy Pameli odmalowała się wściekłość.

– Jesteś...

– ...okrutny, zarozumiały, wyniosły, arogancki, zimny, dumny, bezwzględny, porywczy, bezduszny, nieczuły, powierzchowny, pyszny, egocentryczny? – wtrąciłem, jednym tchem wylewając z siebie ów potok słów. – Wiem. Znam się na wylot. Mógłbym kontynuować, ale musiałbym uciec się do wulgaryzmów, a nie znoszę kłać ust przekleństwami.

Chciała się oddalić, lecz chwyciłem ją za ramię. Wyraźnie się teraz złąła. Cóż... Przepuszczalnie się przestraszyła, że korzystając z okazji, iż wokół nie ma żywej duszy, rzucę się na nią z pięściami. Cieszę się w końcu sławą tego, który lubi się bić. I z którym ciężko wygrać.

Idiotka. Istnieje tysiąc lepszych sposobów dania jej nauczki. Na przykład wyjawienie, skąd tu trafiłem.

Umarłaby ze strachu.

– Zostaw mnie w spokoju – szepnąłem. – Zrozumiałaś?

Skinęła głową, wyrwała rękę i uciekła. Nie czekając, aż zniknie za rogiem korytarza, wbiełem Minuttę w okolice obojczyka i momentalnie stałem się niewidzialny dla ludzkich oczu. Po chwili siedziałem na gałęzi drzewa rosnącego obok boiska.

Zgoda, nie powinienem tego robić na terenie szkoły. Po co ryzykować, że ktoś zobaczy, jak rozpływam się w powietrzu? Lepiej nie wzbudzać zainteresowania. Należy zachowywać się „niczym zwykły śmiertelnik”.

Wystarczy, że zraniłem dziś tę dziewczynę.

Westchnąłem. Lilim nie zwykli popełniać podobnych błędów. Przecież niewiele brakuje im do doskonałości.

A ja, Alois Petersem, cudowne dziecko, bez wątpienia jestem doskonały.

Zerknąłem w dół, zaintrygowany tykaniem stoperów i krzykami nauczyciela, pana Lode'a, starającego się dodać otuchy moim koleżankom z klasy, z wysiłkiem robiącym skłony. Wypatrzyłem

Dilettę Mair.

Co ona taka zdenerwowana? I
naraż zrozumiałem.

Nie tylko widzi zmarłych.

Wyczuwa także ich obecność. A
to niespodzianka...

Diletta

Lekcja wychowania fizycznego okazała się czymś gorszym niż piekło. Wciąż nie odzyskałam formy po bliskim kontakcie z duchem, a dodatkowo pan Lode wpadł na genialny pomysł „energicznego” rozpoczęcia roku szkolnego.

Innymi słowy: przez czterdzieści minut moje mięśnie poddawano torturom w postaci różnych ćwiczeń, a wreszcie „lekki bieg” pozbawił mnie resztki tchu.

– Jeśli sama nie pójdziesz do pielęgniarki, zaciągnę cię siłą – zagroził Noah, odłączając się od grupy zmierzających ku męskiej szatni chłopaków.

– Nic mi nie dolega – skłamałam, usiłując utrzymać równowagę na wirującej pod stopami ziemi. – Muszę się po prostu czegoś napić.

Nie uwierzył, ale dał za wygraną i podążył za kolegami.

Położyłam się na asfalcie i ukryłam głowę w ramionach, z mocnym postanowieniem maksymalnego wykorzystania półgodzinnej przerwy.

Dość już emocji na dziś.

Zamknęłam oczy, gdy wtem coś musnęło mi skórę na karku. Podniosłam wzrok i ujrzałam plastikową butelkę.

– Wody?

– Ojej! – pisnęłam, rozpoznawszy głos Petersena. – Przestraszyłeś mnie!

– Przepraszam. – Uśmiechnął się w charakterystyczny, nieprzyjemny sposób, badawczo mi się przyglądając.

Uzmysłowiłam sobie, że o ile to nasza druga dzisiaj, a trzecia w ogóle wymiana zdań, pierwszy raz towarzyszy jej uśmiech Aloisa.

Po plecach przeszły mi ciarki.

– Zobaczyłem cię na ziemi i uznałem, że warto, byś uzupełniła płyny – wyjaśnił. – Pan Lode nieco przesadził.

Upiłam kilka łyków. Zbyt mało, by zaspokoić pragnienie, jednak nie potrafiłam zaufać temu dziwnemu chłopakowi. Od razu oddałam butelkę, jakbym pozbywała się bomby, która lada moment wybuchnie.

– Dziękuję – wymamrotałam. – To miłe z twojej strony. Bezzwłocznie wstałam, zamierzając opuścić boisko, ale nim zrobiłam pierwszy krok, Alois przeciął mi drogę.

Nerwowo rozejrzałam się w poszukiwaniu potencjalnego źródła pomocy, usilnie przekonując się jednocześnie w myślach, że nie ma powodów do obaw. To przecież kolega z klasy... ni stąd, ni zowąd przejawiający mną nadmierne zainteresowanie.

– Lepiej oddychaj – stwierdził po chwili ciszy. – Zresztą... Może doszłaś do wniosku, że czas umrzeć, wyświadczyć mi przysługę? Pamiętaj tylko, że pani Mair by tego nie pochwaliła. Wpadłaby w rozpacz.

Zaczęłam się cofać, zatrwożona tym bezdusznym komentarzem, lecz Alois błyskawicznie znalazł się tuż obok, niemal dotykając skrzyżowanymi ramionami mojej piersi.

– Chcesz czegoś? – wychrypiałam.

– Jasne, że tak. Inaczej nie stałbym przed tobą, nie pozwalając ci uciec – odparł pogardliwie.

– Nie uciekam – szepnęłam, przesuwając się w prawo.

Uczył dokładnie to samo. Spuściłam wzrok, by nie patrzeć na jego arogancką minę.

– Więc?

– Nie będę owijał w bawełnę – oznajmił. – Ponieważ żadne z nas

bynajmniej nie życzy sobie przebywać w towarzystwie drugiego, proponuję, byśmy zapomnieli o tym, co zdarzyło się rano.

Nigdy dotąd nie słyszałam go wypowiadającego tyle słów naraz... W trakcie lekcji operował raczej pojedynczymi zdaniami zbudowanymi z dwusylabowych wyrazów.

– O tym, co zdarzyło się rano? – upewniłam się.

– Tak, Mair. O tym, co zdarzyło się rano – potwierdził zniecierpliwiony. – Kiedy się na mnie rzuciłaś.

– Wcale się na ciebie nie rzuciłam! – oburzyłam się. – I to ja ucierpiałam – dodałam, odstaniając ranę na przedramieniu.

Przelotnie spojrział na świeże zadraśnięcie. Odniosłam wrażenie, że wolałby uniknąć tego widoku.

– Tak uważasz? – mruknął. – Zainscenizujmy powtórkę. Ale teraz ja na ciebie runę, przygwożdżając do ziemi. Aha, przy okazji wyrwę ci połowę włosów.

– Nie przesadzaj – prychnęłam. – To był wypadek.

– Zawiniony przez osobę ewidentnie mającą poważne problemy ze wzrokiem – odparował. – Wybierz się do okulisty. Dla dobra ludzkich fryzur.

Cofnęłam się, a ponieważ Petersen ani drgnął, dałam kolejny krok w tył.

– Odczep się – burknęłam, a następnie się odwróciłam i od razu z impetem na kogoś wpadłam.

Krzyknęłam, czując ból w zranionym ręku. Odsunęłam się i... zadygotałam.

Alois.

Zerknęłam za siebie zdezorientowana. Sekundę temu stał za moimi plecami... Jak niby udało mu się przemieścić z taką prędkością? Kiedy mnie minął?

Matko. Nikt nie potrafi poruszać się równie szybko. On... po prostu zniknął i pojawił się przede mną.

Serce zaczęło walić mi ze strachu jak oszalałe. Żeby tylko ze strachu... Z przerażenia. Otworzyłam usta, gotowa wydać najstraszliwszy wrzask, do jakiego zdolne były moje struny głosowe, gdy nagle usłyszałam, że ktoś mnie woła.

Wychyliłam się zza Aloisa i odetchnęłam z ulgą. Noah. Kierował się ku nam, wyraźnie zaniepokojony, z Hamem i Febe.

– Coś się dzieje? – spytał ostro.

– Skąd. Zaproponowałam Dilecie wodę – wyjaśnił Alois, wskazując brodą butelkę, którą ścisnął w dłoni tak silnie, jakby chciał ją zmiażdżyć.

– Ale rycerski, prawda, Diletta? – zawołała Febe, wpatrując się w niego z zachwytem.

– T... tak – wyjąkałam.

Posłał mi zuchwałe i zarazem nieco rozbawione spojrzenie, a zanim dołączyłam do przyjaciół, chwycił mnie za koszulkę i zbliżywszy wargi do mojego ucha, szepnął:

– Dbaj o tę ranę.

Febe westchnęła rozanielona, z trudem ukrywając zazdrość.

– No pro-szę, no pro-szę – podśpiewywała, gdy opuszczaliśmy boisko. – Od kiedy tak świetnie dogadujesz się z Aloisem Petersenem? Myślałam, że Pamela dostanie dziś zawału. Nie wiesz, że kręcili ze sobą podczas wakacji?

Nie odezwałam się, uwieszona na ramieniu Noaha i skoncentrowana na głębokich wdechach i wydechach. Czułam się fatalnie: ledwie trzymałam się na nogach, wydawało mi się, że świat dookoła wiruje.

– No i ten cały Petersen chyba świetnie całuje. Wyglądasz, jakbyś miała zemdleć – dodał Ham.

– No co ty! Pocałował cię? – pisnęła Febe z niedowierzaniem, prawie obrażona. – A nic o nim nie wspominałaś! Sądziłam, że go nie lubisz!

Popatrzyłam błagalnie na Noaha. Zareagował natychmiast.

– To nie najlepszy moment na podobne rozmowy – skarcił bliźnięta. – Pomóżcie lepiej zaprowadzić Dilette do pielęgniarki.

Nie musiał powtarzać tego dwa razy. Po chwili obłapiało mnie tyle par rąk, że bałam się, iż za sekundę się uduszę. Uczniowie przystawali, obserwując nas z ciekawością; kogoś nawet rozbawiła moja bladość. Ani chybi wiadomość, że Alois Petersen poświęcił mi na pierwszej lekcji więcej uwagi niż zwykle, rozeszła się lotem błyskawicy.

Wtem korytarz spowiła sina mgła.

Wzdrygnęłam się. Kurde. To wcale nie mgła... ale zjawy. Gęsta, półprzezroczysta masa ponad tuzina duchów.

Boże! Nigdy jeszcze nie widziałam tylu naraz!

Odwróciły się, pokazując mnie sobie palcami. Jęknęłam i zaczęłam tupać, za wszelką cenę usiłując wyrwać się z uścisku przyjaciół.

– Diletta! Co ty wyprawiasz? – krzyknął Ham, kiedy nieumyślnie go uderzyłam.

– Chcę iść do domu! – zawołałam nienaturalnie wysokim głosem.

– Już!

Widma zbliżały się, połykając niematerialnymi ciałami kolejnych nastolatków. Zrobiło się nagle tak zimno, że zaszczękałam zębami.

– A pielęgniarka? – nalegał Noah.

– Nnie trzeba... Lepiej mi – zapewniłam.

– Opuścisz resztę lekcji? – spytał Ham, nieświadomy, że jeden z duchów właśnie położył rękę na jego ramieniu, wyciągając ku mnie drugą dłoń.

Dostałam mdłości.

– Puszczaj! – wrzasnęłam, tłukąc pięściami w pierś przyjaciela. Odsunął się, nie tyle zaskoczony, ile dotknięty tą reakcją. Trudno, nie czas na przeprosiny. Musiałam uciekać.

– Pa!

Pędem ruszyłam w kierunku wyjścia. Po drodze popchnęłam kilku uczniów i wpadłam na jakichś nauczycieli, wytrącając im książki. Usłyszałam, że grozi za to zostanie w szkole po zajęciach, zaś ktoś z młodszej klasy krzyknął pod moim adresem niecenzuralne słowa, lecz nawet nie zwolniłam.

Spojrzałam do tyłu. Wielka masa duchów na szczęście za mną nie podążała, szkoda tylko, że pojawiało się coraz więcej nowych. Były wszędzie. Obok pijącego wodę chłopaka, niedaleko przeglądającego notatki profesora, przy dziewczynie nerwowo chowającej papierosy...

Smętnie mi się przyglądały, pozdrowiały lub wołały. Kluczyłam, ignorując je i modląc się, by żadnego nie dotknąć.

Pchnąwszy ciężkie drzwi i zlekceważywszy woźnego, który nie omieszkał przypomnieć, że lekcje się jeszcze nie skończyły, wybiegłam wreszcie na zewnątrz.

Zatłoczona, hałaśliwa i śmierdząca spalinami ulica nigdy dotąd nie wydawała się miejscem równie bliskim rajowi.

Wciąż gnałam, by jak najszybciej oddalić się od szkoły i nie pozwolić duchom odkryć, dokąd zmierzam. Oby w domu dały mi spokój... Spokój? Akurat... Kogo oszukuję? Zjawy, bezcielesne, z łatwością przenikające mury i betonowe ściany, mogą wdzierać się wszędzie tam, gdzie im się podoba. Niby dlaczego mają nie wejść do domu? Zawsze wchodziły... Do tej pory nie wydawało mi się to upiorne.

W niecałe dziesięć minut dotarłam na miejsce, ledwie dysząc, spocona mimo panującego chłodu, wciąż czujnie rozglądając się w poszukiwaniu kolejnych widm. Kilka snuło się w odległości paru metrów, kilka nieco dalej. Dostrzegłszy mnie, odpłynęły.

Na szczęście. Tysiąc razy bardziej wolałam budzić w nich strach niż ciekawość.

Trzęsącymi się rękoma włożyłam do zamka klucz, ostrożnie otworzyłam drzwi i wsunęłam głowę. Zgodnie z moimi przypuszczeniami mama jeszcze nie wróciła z pracy. Panowała cisza. I było przeraźliwie zimno.

Szybko pozamykałam okna. Zastanawiałam się wręcz nad włączeniem ogrzewania, ale zrezygnowałam z pomysłu, uznając, że początek września to jeszcze zbyt wcześnie.

Poszłam do swojego pokoju. W miarę jak pokonywałam prowadzącą na pierwsze piętro schody, zimno stawało się coraz dotkliwsze.

Z ust wydobyły się nagle małe obłoczki pary.

Zatrzymałam się przed sypialnią. Przez uchylone drzwi ulatniało się mroźne powietrze. Nacisnęłam klamkę i...

Zamarłam.

Boże.

Nie zobaczyłam ani biurka, ani krzesel, ani komputera, ani lustra, ani szafy, ani półek, ani łóżka... Wszystko okrywała gęsta, szaroperłowa chmura, udaremniając rozróżnienie poszczególnych przedmiotów.

Pojęłam, co się dzieje. Cholera! Że też nie domyśliłam się od razu... Wszak nawet ci, którzy nie mają zdolności wyczuwania duchów, wiedzą, że gwałtowny spadek temperatury to znak, że w okolicy krąży zjawia.

Co robić? Potwornie dzwoniło mi w uszach, a podłoga kołysała się pod stopami... Skręcało mnie w żołądku, mdłości zaś utrudniały oddychanie.

Dałam krok do przodu, chwytając się na wszelki wypadek futryny.

Nie ufałam nogom.

– Ej! Wy!

Zgoda, to nie najszczęśliwszy sposób zagajenia rozmowy

z umarłymi, ale duża dawka adrenaliny i kiepska kondycja fizyczna i psychiczna zwyciężyły nad elokwencją.

Zjawy nie sprawiały wrażenia urażonych. Odwróciły się i aż skurczyłam się pod ciężarem spojrzeń dziesiątek par przezroczystych oczu.

Jeden z duchów odłączył się od białawej, zawieszistej masy.

– Witaj. – Skinął głową, podchodząc.

– Cześć – odpowiedziałam słabym głosem. – Skąd... wy tutaj?

– Szukaliśmy cię.

– Ach tak.

Ach tak. Ach tak. Duchy? Szukały mnie? Mnie? Matko... po co? Przez siedemnaście lat nie próbowały nawiązać kontaktu... Dlaczego teraz? Czemu?

– Potrzebujemy twojego wsparcia – wyjaśnił.

– Mojego... wsparcia? – wyjąkałam zdumiona.

Widma przytaknęły.

– Wiemy, że nas widzisz. I że potrafisz przejść na Drugą Stronę. Musisz nam pomóc tam dotrzeć.

– Na... Drugą Stronę? – wymamrotałam. – Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Popatrzyły po sobie. Dzwonienie w uszach stało się głośniejsze, a dodatkowo doszło mnie nieprzyjemne bzyczenie, jakby wokół latał rój gotowych do ataku pszczół.

– Doprawdy nie masz pojęcia? – zapytał oschle inny z duchów. – Jesteś przecież taka jak oni. Spójrz na zranione przedramię.

Przycisnęłam lewą rękę do piersi i zrobiłam krok w tył. Nic nie rozumiałam... a zjawy zaczynały tracić cierpliwość.

– Skaleczyłam się rano – poinformowałam obronnym tonem. – To nic wielkiego.

Widmo, które odezwało się jako pierwsze, nachyliło ku mnie bladą twarz. Skórę zmroziło mi lodowate tchnienie.

– Kłamiesz.

Impulsywnie wypuściłam z płuc powietrze. Obłoczek pary przepłynął przez niematerialne ciało.

– Przysięgam... przysięgam, że nie.

Nie wierzyły mi... Bzyczenie nasiliło się, a dzwonięcie na moment mnie ogłuszyło.

– Dlaczego nie chcesz współpracować? – nalegał duch, z nosem przy moim policzku. – Dziewczyno, śmierć nie jest tak daleko, jak sądzisz. Jeśli pomożesz nam, pomożesz też sobie.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – powtórzyłam szeptem, obejmując się trzęsącymi ramionami. – Odejdźcie... proszę.

Nie wycofały się, wręcz przeciwnie – zbliżały, a ten, który znajdował się tuż obok, musnął mi palcami włosy. O mało nie zemdlałam.

– ODCZEPCIE SIĘ!

Zakryłam twarz dłońmi i padłam na kolana, opierając czoło na podłodze. Byle tylko nie widzieć zjaw, byle ich tylko nie widzieć...

Wtem dzwonięcie w uszach ustało, bzyczenie również. Zaległa kompletna cisza.

Uniosłam się i rozejrzałam, głęboko oddychając. Brakowało mi tlenu.

Duchy zniknęły. Zostawiły mnie. Wszystko na powrót nabrało kształtów.

Wolno się podniosłam i podeszłam do łóżka. Położyłam się, utkwiałam wzrok w suficie, a wreszcie przymknęłam powieki, licząc, że sen przyniesie ukojenie.

Wyjątkowo go teraz potrzebowałam.

ROZDZIAŁ TRZECI

Randka

Diletta

Spałam nieco ponad godzinę. Kiedy otworzyłam oczy, rozejrzałam się dookoła, szukając duchów, ale w pokoju nie znajdowało się nic prócz mebli.

Wiszący nad biurkiem zegar wskazywał pierwszą po południu. Lada chwila zjawi się mama z najdroższym narzeczonym, Jerome'em Nottem.

Zerknęłam w lustro i zobaczyłam bladą, wystraszoną twarz. A gdyby upozorować chorobę? Nie musiałabym się specjalnie wysilać, wystarczyłoby wskoczyć pod kołdrę i jęczeć najgłośniejszym głosem, jak się da.

Westchnęłam. To by było nie fair. Mamie wolno przecież ułożyć sobie życie z mężczyzną, przy którym czuje się szczęśliwa. Skoro zaś wybrała akurat Notta...

Może jednak się do niego przekonam.

Jasne.

Wyszłam z sypialni, trzaskając drzwiami, i powoli zeszłam po schodach. Kretyńskie samooszukiwanie się. Nigdy nie należałam do zwolenników powtórnego... związku mamy. A jeszcze w tym wieku? Przekroczyła już czterdziestkę, chociaż trzeba przyznać, że jej spojrzenie zachowało młodzieńczą siłę...

Tak czy inaczej, nie umiałam pogodzić się z tym, że postanowiła ponownie zostać... żoną.

Swoją drogą... byłam okrutna. I wybitnie egoistyczna. Chciałam

mieć mamę tylko dla siebie, jak przez ostatnie dziewięć lat. Trudno nagle zrezygnować z miłości na wyłączność. Bardzo trudno.

Skierowałam się do kuchni. Musiałam coś przekąsić, z głodu aż burczało mi w brzuchu. Sięgnęłam do lodówki po butelkę czekoladowego jogurtu, mocno nią wstrząsnęłam, odłożyłam zakrętkę na blat i upiłam duży łyk, uciszając żołądek.

W tym momencie rozległ się hałas otwieranych drzwi wejściowych. Nie odrywając butelki od ust, wychyliłam głowę. Mama. Trzymała za rękę mężczyznę ubranego w eleganckie brązowe spodnie i błękitną koszulę.

Jerome Nott.

Naraz zakrztusiłam się, oblewając jogurtem. Dorośli natychmiast odwrócili się w stronę kuchni.

– Diletta! – wykrzyknęła mama, puszczając dłoń Jerome'a i szybko podchodząc. – Wszystko dobrze? Możesz oddychać?

A jak ci się niby wydaje?

Po kilku sekundach doszłam do siebie i baczным spojrzeniem zmierzyłam stojącego niecałe trzy metry dalej mężczyznę. On również czujnie mi się przyglądał, lekko zaniepokojony tym atakiem kaszlu.

Był przystojny... Oceniając po siateczce zmarszczek wokół ciemnych oczu, trochę starszy od mamy. Miał bezsprzecznie miłą twarz, o wysokim czole, prostym, proporcjonalnym nosie i kwadratowej, odrobinę wystającej brodzie. Sprawiał wrażenie sympatycznego, wręcz dobrodusznego. Jedyne, co mi się w nim nie spodobało, to zbyt wąskie usta.

Nieśmiało pozdrowił mnie ręką.

– Co robisz w domu o tej porze? – spytała mama. – Myślałam, że kończysz lekcje dopiero za godzinę...

– Puścili nas wcześniej – skłamałam bez wahania.

Chyba uwierzyła. Widać zabrzmiało to wiarygodnie... Albo zbyt

stresowała się obecnością narzeczonego, by denerwować się czymkolwiek innym.

– Diletto, przedstawiam ci Jerome’a. – Uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Jer, to moja córka, Diletta.

Rany. Jer. Jak słodko.

Zbliżył się i uściśnął mi dłoń, za długo ją przytrzymując. Skrzywiłam się i skinęłam głową.

– Miło cię poznać. Mariel opowiadała, że jesteś ładna, lecz opis stanowczo nie dorównuje rzeczywistości.

Dobrze wychowany i średnio oryginalny. Ale komplement nie starczy, by zdobyć moje zaufanie, ty cholerny uzurpatorze.

– Powinnaś się przebrać – zauważyła mama, znacząco patrząc na zaplamioną koszulę. – My tymczasem nakryjemy do stołu.

– Dobra, już idę.

Z godnością odwróciłam się i poszłam na górę, głośno stawiając kroki.

Może nieco przesadziłam z tym tupaniem.

Zamknawszy drzwi do sypialni, zaczęłam się powoli rozbierać, nie zadając sobie trudu, żeby poskładać brudne ubranie. Po prostu rzucałam wszystko na podłogę. Kiedy zostałam w samej tylko bieliźnie i cienkiej koszulce owiniętej wokół szyi, doszedł mnie brzęk tłuczonego szkła, a potem stłumione przekleństwo.

Znieruchomiałam, dostrzegając za zbitą szybą okna wpatrujące się we mnie zielone oczy. Od razu je rozpoznałam.

– Alois... Petersen?

Na twarzy klasowego kolegi pojawił się anielski uśmiech.

– Och! – krzyknął, udając zakłopotanie. – Co za niespodzianka! Mieszkasz tu?

Uznałam pytanie za zbyt retoryczne, by na nie odpowiadać. Szybko spuściłam koszulkę, rozłoszczona i czerwona ze wstydu, zastanawiając się, od jakiego czasu bezczelnie mi się przygląda.

Rany! Przecież on siedzi na gałęzi!

– Śledziłeś mnie? – pisnęłam z oburzeniem. – Tak czy nie?

Wzruszył ramionami i przejechał dłonią po jasnych włosach.

– To... z przyzwyczajenia.

– Mam rozumieć, że zajmujesz się podglądaniem dziewczyn, kiedy się przebierają?

– Wyłącznie tych, które mogą pochwalić się niebagatelny potencjałem fizycznym. Jakkolwiek przypuszczalnie trudno ci się z tym pogodzić, nie zaliczasz się do tej grupy.

– Co w takim razie robisz na drzewie? – burknęłam, nie czując się bynajmniej urażona.

– Lubię chodzić po konarach.

No nie. Przegina. Jeżeli za sekundę stąd nie zniknie, wrzasknę wystarczająco głośno, by zaalarmować mamę i Jerome'a. Oskarżę Aloisa o molestowanie.

– Wynoś się, bardzo cię proszę – wycedziłam. – To się nazywa włamanie.

– Mylisz się – odparł. – To by się nazywało włamanie, jeślibym znajdował się w twoim pokoju, a jak widzisz, nie wszedłem do środka.

– A nie powinieneś przypadkiem być teraz w szkole?

– A ty?

Głęboko nabrałam powietrza i na wszelki wypadek dałam krok w tył.

– Po co przyszedłeś?

Przestał się uśmiechać i dostrzegłam w jego źrenicach onieśmielający błysk. Zaniepokoiło mnie to spojrzenie.

Jakby mi groził.

– Chcę zerknąć na ranę.

Posłusznie pokazałam mu zaczerwienioną rękę.

– Nie postanowiliśmy puścić całego zdarzenia w niepamięć? –

wymamrotałam, tracąc nagle pewność siebie.

– Owszem... Ale zmieniłem zdanie. – Obejrzał zdraśnięcie, a następnie westchnął z rezygnacją, identycznie jak rano. – Bez problemów się nie obędzie...

– Że co?

– Nic. Nieważne. Przynajmniej chwilowo.

Uniósł się i znieacka wskoczył do pokoju.

– Co ty wyrabiasz? – krzyknęłam. – Nie pozwoliłam ci wejść!

Bez słowa padł na łóżko i zaczął rozglądać się po sypialni z zainteresowaniem sugerującym, że spodziewa się odkryć coś o fundamentalnym wręcz znaczeniu.

– Matko, jaki koszmar – mruknął. – Co to niby jest? Zamach na estetykę?

– Nie prosiłam cię o opinię, Petersen – prychnęłam.

– Wiem, Mair, i niespecjalnie mnie obchodzi, czy poprosisz, czy nie.

Miarka się wreszcie przebrała. Trzęsąc się z gniewu, irytacji i tym podobnych emocji, wskazałam mu okno.

– Wynocha!

– Rety, nie wkurzaj się tak! – Skrzywił się z rozbawieniem. – Wiele dziewczyn wpadłoby w zachwyt, gdybym wylądował u nich w łóżku.

– Z przykrością stwierdzam, że ja nie wpadłam.

– Oj, złamałaś mi serce...

Przymknęłam oczy, usiłując się opanować.

– Petersen...

– No już, znikam. – Zerwał się, a wszedłszy na parapet, odwrócił głowę i powiedział: – Jeszcze jedno. Udawaj, że ich nie widzisz. W przeciwnym wypadku je zdenerwujesz.

– Kogo? – zdziwiłam się.

– Niedługo odejdę – wyjaśnił, ignorując pytanie – i wolałbym

uniknąć konieczności poświęcenia czasu, który mi pozostał, na opiekę nad tobą.

Teraz już kompletnie się zgubiłam.

– O czym ty... – zawołałam, kończąc zdanie przeraźliwym wrzaskiem, gdy rzucił się z okna.

Wychyliłam się zatrwożona, wypatrując nieruchomego ciała, lecz zobaczyłam tylko zgnieciony krzak, jakby coś... lub raczej ktoś na niego upadł.

Po Aloisie nie było nawet śladu.

Niemożliwe...

Cofnęłam się, niczego nie pojmując. Nagły przyptyw adrenaliny spowodował, że ledwo trzymałam się na nogach.

Wtem w pokoju rozległa się chwytliwa muzyczka dzwoniącej komórki. Wzdrygnęłam się i prędko podeszłam do biurka, na którym wibrujący telefon zataczał koła wokół własnej osi. Chwyciwszy aparat, nacisnęłam klawisz z zieloną słuchawką.

Odetchnęłam z ulgą, kiedy rozpoznałam głos Noaha.

– Cześć! Bałem się, że nie odbierzesz...

Roześmiałam się, wyciągając na łożku. Od razu jednak przypomniałam sobie, że niedawno leżał tu Alois, i błyskawicznie się podniosłam.

– No co ty... Dlaczego miałabym nie odebrać?

– Uciekłaś dziś tak niespodziewanie... Sądziłem, że...

– Racja – przerwałam, przytykając dłoń do czoła. Jak zapomnieć o niefortunnym zachowaniu sprzed kilku godzin...? – Przepraszam. Nie chciałam cię zaniepokoić.

Głośno westchnął. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia.

– Ja... znaczy my... nie zamierzaliśmy ci przeszkodzić – wyszeptał wolno.

– Przykro mi, jeśli tak się stało.

– Weź przestań, Noah. Przeszkodzić? Niby kiedy?

– Po wufie, gdy... rozmawiałaś z Aloisem.

Słumiłam jęk złości. Moi przyjaciele najwidoczniej uznali, że romansuję z tym aroganckim kretynem.

– Dostało się nam później od Febe – kontynuował Noah. – Oznajmiła, że jesteśmy niedojrzałymi idiotami, dodatkowo ślepymi i pozbawionymi uczuć. Bo wmieszaliśmy się w spotkanie dwojga zakochanych.

– Rany, ale się przejęła... – mruknęłam ironicznie i nagle z całą siłą dotarł do mnie sens ostatniego słowa, którego użył. – Zakochanych? Serio uważasz, że zależy mi na Aloisie?

– A nie? – spytał Noah po chwili ciszy.

– Jasne, że nie! – zapewniłam, nieświadomie unosząc głos.

Roześmiał się z wyraźną ulgą.

– Nie zrozum mnie źle, Diletta, ale cieszę się – wyznał wreszcie. Odniosłam wrażenie, że mówi szczerze.

– Dobra już, dobra. – Zerknęłam na wpółotwarte drzwi. Mama czeka w salonie ze swoim... narzeczonym. Powinnam się pospieszyć; bez wątpienia zastanawia się, dlaczego tak długo zwlekam. – Coś jeszcze? Muszę kończyć...

Noah odchrząknął. Ciekawe... Zwykle odchrząkuje wtedy, kiedy ma do powiedzenia coś naprawdę ważnego.

– Ja... Moglibyśmy spotkać się dziś w nocy?

Oniemiałam. Spotkać się? Tylko we dwoje? W nocy? To nie wygląda na zwykłą prośbę.

– Oczywiście, czemu nie – odparłam. – Noah... nic złego się nie dzieje? Między nami...

– Skąd! – zawołał, ewidentnie podenerwowany. – Nie, nic się nie martw. W sumie chodzi o głupstwo, lecz... w każdym razie... O jedenastej przed wejściem do szkoły?

– Zgoda. Jesteśmy umówieni.

– Dzięki. Do zobaczenia.

– Pa.

Odłożyłam telefon na łóżko i dłuższą chwilę się w niego wpatrywałam, zupełnie nie wiedząc, jak zinterpretować ostatnią część tej rozmowy. A przecież Noah należał do wąskiego grona osób, które dotąd potrafiłam rozszyfrować bez problemu. Dlaczego zaproponował tak późną godzinę? I równie odosobnione nocą miejsce?

Ponownie spojrzałam w kierunku drzwi. Jeśli zaraz nie pojawię się w salonie, mama się wścieknie... Trudno, bardziej przejmuję się teraz inną sprawą. Zapomniałam nawet o Aloisie Petersenie i o przedpołudniowych zdarzeniach.

Powoli zaczęłam wybierać numer. Ze wzburzenia trzęsły mi się ręce i pomyliłam cyfry, toteż powtórzyłam operację.

– Halo?

– Cześć, Febe. To ja, Diletta.

Wrzasnęła na całe gardło. Musiałam odsunąć komórkę na odległość prawie metra, by dać błonom bębenkowym odpocząć po tym brutalnym ataku.

– Przestań się drzeć! Ogłuchnę przez ciebie!

– Przepraszam, przepraszam... To wina Hama.

Usłyszałam odgłosy przepychanki. Ham chyba starał się wyrwać siostrze aparat, a ta usiłowała do tego nie dopuścić.

– Ochłonęłaś już – szepnęła zaintrygowana – czy dalej wspominasz, jak fantastycznie było całować się z Aloisem?

Z irytacją wzniosłam oczy na sufit.

– Febe, mówię serio, nie całowałam się z Petersenem. Odpuść sobie.

– Kłam-czu-cha. Niby więc co robiliście tacy przytuleni na szkolnym boisku?

– Wcale się nie przytulaliśmy, tylko...

W tym momencie mama zawołała mnie tonem wskazującym, że jej cierpliwość się wyczerpała. Powinnam wreszcie zejść.

Ani chybi za parę minut z furią wparuje do pokoju.

– Nieważne – mruknęłam. – Dzwonię w innej sprawie.

– Dawaj.

– Właśnie rozmawiałam z Noahem i... kiedy wyjaśniłam, że nie spotykam się z Petersenem... Nie przerywaj... Umówił się ze mną... na dwudziestą trzecią pod szkołą. Nie pojmuję, czego może chcieć.

Febe milczała, w przeciwieństwie do Hama, który pytał raz za razem:

– No i? No i?

– Febe?

– Tak?

– Jesteś tam?

– Mniej więcej – odparła, a po kilku kolejnych sekundach ciszy wykrzyknęła: – Kurczę! Jakim cudem masz tyle szczęścia?!

– Szczęścia? – zdziwiłam się.

– Szczęścia, Diletta! Przecież to oczywiste! Poprosi, żebyś została jego dziewczyną!

Zadrżałam, czerwieniąc się.

– Nie...

– A właśnie, że tak! – pisnęła. – Matko! Przeklęta szczęściara! Czym ty się dziś rano spryskałaś? Wabiącym wszystkich przedstawicieli męskiego gatunku eliksirem?

– Febe! Nie gadaj głupot! – burknęłam. – Nie nazwałabym się szczęściarą. Noah mnie zupełnie nie interesuje... Nie w tym sensie.

– Nie?

– Nie.

Westchnęła. Niemal zobaczyłam, jak zmartwiona kręci głową.

– Musisz więc jasno postawić sprawę. Nie wolno robić mu fałszywych nadziei.

Przymknęłam powieki. Cholera, tego tylko brakowało... Przyjaciel postanowił nagle wyznać mi miłość.

Prawdziwa wisienka na torcie.

– Diletta?

– Hm...?

– Nie powinnaś się skarżyć, przeżywasz chyba niesamowicie emocjonujący dzień.

Z rezygnacją położyłam palec na klawiszu z czerwoną słuchawką.

– Określenie „kiepski” jest stanowczo bliższe obiektywnej ocenie.

Alois

Rany, ale wieje.

Na dobre zawitała jesień. Najpierw nadciągnęło zimno, a teraz rozszalały się wichury. Najwyraźniej postawiły sobie za cel pozrywać z drzew żółtawe liście i obnażyć średnio nadające się na kryjówkę obumierające szkielety.

Na szczęście okazowi, na którym usiadłem, pozostało jeszcze wystarczająco dużo sił, by oprzeć się atakom wiatru. Sennie wpatrywałem się w horyzont. Lubilem przebywać w miejscach, do jakich żywi nie umieją dostać się bez użycia różnych absurdalnych konstrukcji czy innego rodzaju pomocy.

Wtem doszedł mnie znajomy głos. Gdy się nachyliłem, dostrzegłem wysokiego, nieco niezdarnego chłopaka. Właśnie oparł się o pień „mojego” drzewa, z komórką przy uchu. Ostrożnie kucnąłem, uważając, by nie narobić hałasu, i odgiąłem jedną z wciąż pokrytych brązowymi liśćmi gałęzi.

Noah Delling, przyjaciel Diletty Mair. Często widywałem ich razem. Plotkowano, że skończą jako para. Pasują do siebie, oboje idealnie przeciętni.

Noah ponadto sprawia wrażenie zbyt czarującego, by uwierzyć w jego szczerłość.

Wytężyłem słuch.

– ...po wuefie, gdy... rozmawiałaś z Aloisem. Dostało się nam później od Febe. Oznajmiła, że jesteśmy niedojrzałymi idiotami,

dodatkowo ślepyimi i pozbawionymi uczuć. Bo wmieszaliśmy się w spotkanie dwojga zakochanych.

Uniosłem brwi. Odgadłem, kogo ma na linii, i zaśmiałem się pod nosem, tak absurdalne wydało mi się przypuszczenie, że kręcę z Diletta Mair. Serio sądzą, że upadłem równie nisko? Przenigdy nie potrafiłbym...

Aż się wzdrygnąłem.

Mair to tylko istota ludzka. Nikt więcej. Znajdowała się kilka szczebli pode mną.

Nie poruszaliśmy się po tym samym torze.

– Nie zrozum mnie źle, Diletta. Ale cieszę się.

Łatwo się domyślić, skąd ta radość. Ani chybi Mair zareagowała podobnie jak ja na insynuacje swoich kretyńskich przyjaciół odnośnie do charakteru łączącej nas znajomości.

– Ja... Moglibyśmy spotkać się dziś w nocy?

O proszę, to znacznie bardziej intrygujące. Czyli plotki się potwierdzą. Diletta Mair i Noah Delling zaczną ze sobą chodzić. Może chłopak obawiał się, że odbiję mu przyjaciółeczkę, a zorientowawszy się, że nie jestem konkurentem, nabrał odwagi, by zdradzić jej, co czuje.

Ależ romantyczne. Zbiera się na wymioty.

– O jedenastej przed wejściem do szkoły?

Zabawne. Ten człowiek ma nierówno pod sufitem. Kto przy zdrowych zmysłach umawia się z dziewczyną w środku nocy pod szkołą?

Idiota.

– Dzięki. Do zobaczenia.

Odsunął się od drzewa, schował komórkę do kieszeni, ostrożnie rozejrzał się i uśmiechnął.

Dziwnym uśmiechem.

Nagle skulił się, a jego grzbiet przeciął promień światła.

Zamarłem.

Zatkał usta pięścią, zapewne tłumiąc okrzyk rozdzierającego go od środka bólu. Cicho, niemal bezgłośnie zajęczał, po czym gwałtownie wygiął się w łuk i tym razem z pleców wydobyły się dwa ogromne świetlne prostokąty, rozpościerając się po obu stronach ciała i otaczając je niby lśniący płaszcz.

Niemożliwe. On nie...

Wyprostował się, stając na czubkach palców. Doskonale widziałem teraz to, w co przekształciły się czworokąty światła.

W skrzydła. Białe skrzydła. To

Anioł.

Zamachał nimi i lekko wzniósł się w powietrze.

Skryłem się między gałęziami, przygotowany na odparcie ewentualnego ataku. Niepotrzebnie. Noah, o ile rzeczywiście tak się nazywa, odleciał, nie zauważwszy mnie. Stopniowo zlewał się z jasnym niebem, aż wreszcie zniknął.

Cholera.

Anioł...

I wybierał się na spotkanie z Mair. Oj,

Diletta, Diletta... ale się zdziwisz.

Zacisnąłem zęby i uderzyłem dłonią w pień.

Obyś umiała szybko biegać. Inaczej mu się nie wymkniesz.

Diletta

Pogoda się pogorszyła.

Smagał mnie silny wiatr, targając włosy, które niczym ciemna zasłona opadały na oczy, i zmieniając spódnicę w wirujący, krępujący nogi kawał materiału.

Szłam z trudem, uchylając się przed fruującymi plastikowymi torebkami i drobnymi elementami okolicznych budów. Po prawie wymarłej ulicy przesuwiał się od czasu do czasu popychany wichrem kontener na śmieci.

Miałam złe przeczucia.

Powinłam była posłuchać mamy i zostać w domu. Noah zrozumiałby, gdybym wyjaśniła, że wolałabym nie umierać przygnieciona przez gałąź. No dobra, takie wytłumaczenie zabrzmiałoby kuriozalnie. Ale mogłam wspomnieć o zakazie wychodzenia w tygodniu. Zresztą mama naprawdę nie chciała mnie puścić. Pomógł Jerome, który z wyszukaną grzeczną poprosił ją, by się jednak zgodziła.

Nie żeby nie doceniała tego wsparcia, w końcu to miłe z jego strony, lecz bynajmniej nie zamierzam nagle zaakceptować Notta. Co to, to nie! Musiał się mocniej postarać.

Denerwowałam się. Nie przygotowałam sobie przemowy. Ale co właściwie powinnam powiedzieć Noahowi? Że jest mi bardzo bliski, choć wyłącznie jako przyjaciel? Żałosne. Gorzej niż żałosne. Nie wypadało uraczyć go taką deklaracją po tylu latach znajomości. Więc... Jak zareagować? Noah miał w tych sprawach więcej doświadczenia, odrzucał już przecież zaloty dziewczyn... Mnie nikt nigdy nie wyznał, że budzę w nim głębsze uczucia. Przepraszam, jeden raz, w podstawówce. Pamiętam, że wołaliśmy na niego Coco-prosię-dłubie-w-nosie. Nasz związek ograniczył się do kilku całusów w policzek. Wkrótce okazało się, że zostałam wymieniona na Brigitte-rajstopki-w-kropki. Owe głupawe przezwiska były czymś zupełnie normalnym, podobnie jak sporadyczne i krótkotrwałe miłości.

Od tamtej pory nie miałam się czym pochwalić. Inna sprawa, że akurat ten temat dotąd nie spędzał mi snu z powiek. Zaś Febe wręcz przeciwnie. Obsesyjnie szukała księcia z bajki i co rusz zawierała nowe znajomości, zazwyczaj powierzchowne, a w konsekwencji raniła i siebie, i chłopaków. Wypłakiwała mi się potem na ramieniu, złorzecząc na męski gatunek. Te jej szlochły okazały się szczepionką chroniącą mnie przed decyzją pójścia

o krok dalej w kontaktach z płcią przeciwną.

Teraz po raz pierwszy w życiu żałowałam, że brak mi praktyki...
Czułabym się pewniej, a tak trzęsłam się jak galareta.

Pojawiłam się pod szkołą piętnaście minut przed czasem. Usiadłam na schodach prowadzących do wejścia i opłotłam kolana rękoma. Wciąż mocno wiało, a nocne powietrze stawało się coraz chłodniejsze.

Zimno.

Rozejrzałam się. Na szczęście nie dostrzegłam w pobliżu żadnego ducha. Dziwne. Odkąd wystraszyłam je przed południem, znikły. Byłam za to oczywiście z całego serca wdzięczna. Perspektywa egzystowania bez ich towarzystwa nasuwała skojarzenia z rajem.

Wtem coś uderzyło mnie w plecy i aż podskoczyłam, błyskawicznie się odwracając. Odetchnęłam z ulgą. To tylko drzwi. Właśnie się uchylily. Zaraz, zaraz.

Jakim cudem?

Na wszelki wypadek nieco się odsunęłam, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność widoczną przez powiększającą się na skutek podmuchów wiatru szparę.

Wygląda to na zaproszenie do wejścia...

Z tyłu rozległ się nagle odgłos kroków i ledwo zdusiłam krzyk, rozpoznając Aloisa. No nie, to chyba żart, w dodatku wyjątkowo mało śmieszny. Zaczęłam się naprawdę niepokoić.

Skuliłam się w tym samym momencie, w którym Petersen spojrzał w moją stronę. Raczej mnie nie zauważył, gdyż przy schodach rosły gęste krzaki, a jednak niespodziewanie zatrzymał się, nie spuszczać wzroku ze szkoły. Przezornie zakradłam się na czworakach do budynku, wycierając spódnicą brudną podłogę, i ostrożnie zamknęłam drzwi.

Zapanowała cisza.

Oddychałam nienaturalnie szybko. Co za paranoja. Chowałam się w pustej szkole, w środku nocy, przed prześladowającym mnie nawiedzonym idiotą. Boże, można sobie wyobrazić lepsze zawiązanie akcji horroru?

Przymrużyłam oczy, policzyłam do dwudziestu, a następnie położyłam dłonie na klamce. Drżąc, nacisnęłam ją i pchnęłam drzwi.

I nic. Nie ustąpiły ani o milimetr.

Cholera.

Natarłam z większą siłą, ignorując ostry ból w okolicach rany. Dlaczego się nie otworzyły? O co chodzi?

Chciałam stąd wyjść! Natychmiast!

– Cholera... Cholera, szlag by to trafił!

Kilkakrotnie kopnęłam w drewniane skrzydło. Oczywiście na niewiele się to zdało. Wreszcie osunęłam się na posadzkę i ukryłam twarz w ramionach.

Bałam się. Bardzo. Szkoła i tak nie zaliczała się do miejsc, w których przyjemnie przebywać, a co dopiero teraz, kiedy tkwiłam w niej sama jak palec, pogrążona w ciemnościach.

Westchnęłam, postanawiając się podnieść. Siedzeniem raczej niczego się nie działo.

Nie miałam pojęcia, gdzie znaleźć włączniki światła, ale nieco dalej, w głównym korytarzu, powinno być odrobinę jaśniej: okna były tam wystarczająco duże, by wpuścić blask księżyca i latarni.

Ruszyłam po omacku, z wyciągniętymi przed siebie rękoma, obawiając się, że za moment na coś wpadnę... Albo na kogoś.

Parę minut zajęło mi przejście przez tę ścianę czerni. Nigdy jeszcze szkolny hol nie wydawał się tak ogromny i tak ponury. Jakbym znajdowała się w studni bez dna... Tyle że zamiast spadać, posuwałam się do przodu.

Lepiej więc użyć określenia „niekończący się tunel”.

Dotarłam do szerokiego korytarza i poczułam się bezpieczniej.

Przynajmniej cokolwiek widziałam. Jeśli pójdę w lewo, a potem skręcę w prawo, trafię do gabinetu dyrektora. Stamtąd zatelefonuję.

Jako wzorowa idiotka komórkę zostawiłam w domu.

Nagle potężnie uderzyły dzwony. Krzyknęłam ze strachu, a po chwili nerwowo zachichotałam, wyzywając się od kretynek. Przecież co godzinę sąsiadujący z liceum kościół raczy miasto potężnym biciem.

Jedenasta.

Wtem zamarłam, dostrzegając w mroku wysoką postać. Matko!

– Cześć, Diletta.

Niemal podskoczyłam z radości, słysząc ten głos. Noah. Ależ mnie przestraszy! Od razu ku niemu podbiegłam, z sercem walącym jak oszalone. Pochyliłam się i oparłam dłonie o kolana, usiłując się uspokoić.

– To ty otworzyłeś drzwi? – zapytałam, prostując się.

– Tak. Zobaczyłem, że ktoś cię śledzi.

Uśmiechnęłam się z wdzięcznością. Co ja bym bez niego zrobiła?

– Alois – wyjaśniłam. – Zachowuje się dosyć osobliwie. Uwierzysz, że podglądał mnie dziś przez okno mojego pokoju?

Noah mocno zmarszczył brwi. Natychmiast zrozumiałam, że strzeliłam gafę.

– Ciekawe... – mruknął.

– Kazałam mu się wynosić – dodałam pospiesznie, by naprawić błąd. – To wariat. W ogóle nie łąpię, co on mówi. Wydaje się, że żyje w innym świecie niż my wszyscy.

– Nawet nie wiesz, jak niedaleka jesteś prawdy...

– Co?

– Nieważne.

Podszedł bliżej. Nie widziałam go zbyt dobrze, lecz miałam pewność, że badawczo mi się przypatruje. I że nigdy wcześniej nie

przypatrywał się w podobny sposób. Wstrzymałam oddech, gwałtownie się czerwieniąc.

Czy on zamierzał... mnie pocałować?!

– Przepraszam!

Zdażyłam odskoczyć w tej samej sekundzie, w której Noah skrócił dzielący nas dystans. Zadygotałam pod wpływem mroźnego prądu powietrza. Zupełnie jakbym otarła się o ducha...

Gdy ponownie zerknęłam na przyjaciela, ujrzałam coś, co kompletnie wytrąciło mnie z równowagi.

Dzierżył w dłoniach długą metalową włócznię rozgałęziającą się na trzy ostrza skierowane dokładnie w miejsce, gdzie przed chwilą się znajdowałam. Trójzęb. Jedno z narzędzi walki, jakimi w starożytności posługiwali się gladiatorzy.

Z pleców zaś wyrastały mu wielkie, błyszczące... skrzydła. Rety, skrzydła.

Nie... To absurd. Znam tego chłopaka od lat, a oto... stoi przede mną z potężną, ostrą bronią i z tym... czymś wystającym z ciała. Ja chyba śnię.

– No...ah?

Ze smutkiem potrząsnął głową.

– Nie ruszaj się. To, co muszę zrobić, nie należy do przyjemności. Chcę szybko skończyć.

Dałam krok w tył, czując, że się duszę.

– Skończyć? – wyjąkałam. – Z... czym?

Zręcznie uniósł trójzęb, jakby zadanie, do którego się szykował, wykonywał wcześniej niezliczoną ilość razy.

– Z tobą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Atak

Diletta

Biegnij. Biegnij. Biegnij!

I biegłam. Dawno już tak nie pędziłam. W ten właśnie sposób zareagowałam, kiedy Noah, mój przyjaciel Noah, oświadczył, że zaraz ze mną skończy.

Czyste szaleństwo.

Torując sobie drogę, przewróciłam kopniakiem zalegające w korytarzu na trzecim piętrze kartony. Trzęsłam się, a dodatkowo po plecach spływały mi strużki lodowatego potu, potęgując wrażenie zimna.

Muszę śnić, to bez wątpienia sen... Gdy tylko zechcę, otworzę oczy i okaże się, że nic się nie zmieniło, że jestem w domu, we własnym łóżku...

Wpadłam między kolejne leżące na podłodze pudła.

Czemu więc się nie budzę?

Dotarłam do schodów prowadzących na niższe poziomy i nie zwalniając ani na ułamek sekundy, rzuciłam się w dół. Źle postawiwszy nogę, poczułam ostry ból w prawej kostce. Na szczęście mocno chwyciłam się poręczy... Inaczej z pewnością bym upadła.

Przystanęłam, by złapać oddech, mierząc równocześnie wzrokiem odległość dzielącą mnie jeszcze od korytarza na pierwszej kondygnacji, zakończonego, Bogu dzięki, tylnym wyjściem.

Uciekając przed Noahem, zdążyłam już obiec całą szkołę, w górę i w dół, wzdłuż i w szerz.

Jedyne, czego pragnęłam, to się stąd wreszcie wydostać. Ponownie ruszyłam przed siebie, odrobinę kulejąc.

Zaryzykowałam, decydując się przeskoczyć cztery ostatnie stopnie. Bezpiecznie wylądowałam i najprędzej jak umiałam, pognałam ku dużym, masywnym drzwiom – mojemu wybawieniu.

Wtem z sufitu spadła jakaś postać, zastępując mi przejście. Noah. Wciąż z trójzębem.

Cofnęłam się.

– Błagam... błagam... – Głos mi się załamał i kontynuowałam niemal wyłącznie siłą woli. – Nie mam pojęcia, co się dzieje, ale błagam... wypuść mnie. Nie wyrządzaj... krzywdy.

W ramach odpowiedzi zakręcił bronią, unosząc ją z zadziwiającą zręcznością. Obserwowałam go niczym zahipnotyzowana, zdławiona strachem.

Boże. Najbliższy przyjaciel za moment mnie zabije. I nawet nie wiem dlaczego.

– Nie ruszaj się. Szybko pójdzie – wyszeptał.

Dygocząc, dałam kolejny krok w tył. To nie może być Noah. To nie może być chłopak, z którym przez lata śmiałam się i dzieliłam tajemnice. To nie może...

Przywodząc na myśl atakującą kobrę, trójzęb raptownie opadł. Zbyt raptownie, bym mogła umknąć. Gdy ostrza znalazły się mniej niż dwadzieścia centymetrów od mojej piersi, gotowe, by przeszyć ją na wylot, zacisnęłam powieki i pochyliłam się, czekając na koniec.

Alois

Wyciągnąłem floret dokładnie wtedy, kiedy ten przeklęty Anioł opuszczał trójzęb. Kawał broni. Zwłaszcza zważywszy na niezdarność właściciela.

Energicznym pchnięciem odparowałem atak i zasłoniłem skuloną

w kłębek Dilette. Nie zorientowała się jeszcze, że się pojawiłem.

Wyprostowałem się z uśmiechem, zuchwale kołysząc szpadą.

Uwielbiałem ów manewr.

– Witam.

Chłopak milczał, zaś Diletta, podniósłszy głowę, pisnęła:

– Petersen?

– We własnej osobie.

W zdumieniu obserwowała mój strój, a gdy dostrzegła floret, gwałtownie pobladła.

– Ty...

– Jestem bohaterem zawsze zjawiającym się w ostatniej chwili, by uratować ofiarę od pewnej śmierci – wyrecytowałem impertynencko i ponownie zwróciłem się do Noaha: – Założę się, że tego akurat się nie spodziewałeś, co, ptaszydło?

– A więc Lilim... – zauważył spokojnie, rozstawiając nieco szerzej nogi. Trójzab musiał być potwornie ciężki, a jednak podtrzymywał go naturalnie, z łatwością sugerującą, że nie wkłada w to najmniejszego wysiłku. – Nieźle. I już, mimo młodego wieku, odbywasz praktyki? Chyba wybitna z ciebie jednostka...

Spojrzał z rozbawieniem na sprawiający wrażenie bardzo delikatnego, niespełna osiemdziesięciogramowy floret.

– Widzę, że potrafisz docenić jakość – zadrwiłem. – Masz plusa. W tym momencie Diletta szarpnęła mnie za mundur.

– O co... o co chodzi, Petersen? – wyjąkała.

– Nie teraz – warknąłem, odpychając ją na tyle brutalnie, że z krzykiem poleciała na ścianę.

– Co za brak ogłady – mruknął Noah, szykując się do uderzenia. – Typowe dla demonów.

Zatrzymałem trójzab cienką klingą. Nawet nie zadrżała przy kontakcie z trzykrotnie potężniejszym narzędziem walki przeciwnika. Poprawiłem uchwyt i runąłem na niego, ale odsunął

się, unikając zranienia.

– Och, mówisz tak, bo nie znasz Generał Tsu-zu – stwierdziłem, ponawiając atak.

Nie dość, niestety, szybko: zdołał go odeprzeć, po czym kopnął mnie w kolano. Upadłem i ledwo uciekłem spod śmiercionośnych zębów.

– Otóż Generał – ciągnąłem – nie obetnie ci głowy, zanim nie pogłaszczę.

– Miłe z jej strony... – burknął, unosząc broń.

Zerwałem się i natarłem. Impulsywnie uskoczył i przewrócił się. Natychmiast się jednak dźwignął i długie ostrze zamiast w jego pierś trafiło w ziemię, a wtedy postawił na nim stopę, wbijając w płytki, które popękały pod wpływem tego nacisku. Puściłem więc rękojeść i zadałem mu pięścią cios w żołądek. Z jękiem grzmotnął na podłogę, trzymając się za brzuch.

Wyrwałem floret i przygotowałem się do ofensywy. To będzie bułka z masłem.

Zaatakowałem, ale wymierzył mi tak silnego kopniaka w kostkę, że straciłem równowagę. Nie zdążyłem się podnieść: złapał mnie, raniąc trójzębem w łydkę.

Usłyszałem krzyk Diletty.

Poczułem, że po skórze cieknie mi coś gęstego i ciepłego. Uklęknąłem, przytykając dłoń do pulsującej rany.

– Cholerne ptaszydło...

Z satysfakcją przyjrzał się zabarwionym na czerwono metalowym zębom, a potem błyskawicznie nachylił się, uderzył mnie ręką i znów zwałił na posadzkę. Kiedy wreszcie wstałem, z trudem oddychając, splunąłem krwią.

– Serio jesteś tu na praktykach? – spytał drwiąco. – Po bliskim uzyskaniu dyplomu Akademii Lilim oczekiwałbym czegoś więcej.

Ostrożnie obtarłem rękawem spływającą z kącika ust szkarłatną

strużkę.

– Żałosne – syknąłem i zniknąłem z jego pola widzenia.

To wystarczyło. Niespokojnie rozejrzał się na boki, lecz nie odgadł, że pojawię się tuż za nim, centymetry od pierzastych kończyn.

– Nie tak prędko, ptaszku – szepnąłem mu do ucha, z zadowoleniem odnotowując, że się wzdrygnął.

– Petersen, nie!

Pisk Diletty zbyt późno wyrwał Noaha z odrętwienia i klinga przeszła jedno ze skrzydeł.

Wrzasnął z bólu. Wnet przygwoździłem go do ściany, opierając dłoń o zakrwawione pióra.

– Szczęście się odwróciło, czyż nie? – zauważyłem.

– Napawaj się do woli niepowodzeniem przegranego, ty śmieciu – wymamrotał z odrazą i splunął mi w twarz.

Kilkakrotnie cisnąłem nim o mur, nie puszczając. Coraz bardziej się kulił, zbyt zmęczony, by się bronić. Odsunąłem się, dopiero gdy zaczął krzyczeć.

– Coś jeszcze, zanim cię zabiję? – spytałem, kierując floret prosto w jego serce.

– To się tak bynajmniej nie skończy – prychnął.

– Jasne – zaśmiałem się. – Wy, Anioły, zawsze atakujecie wyposażone w apteczkę, prawda?

– Może powinienem zachowywać się tak jak ty?

– Oj, nie, bez przesady. Jestem jedyne w swoim rodzaju. Przypatrywał mi się w milczeniu. Westchnąłem i uniosłem szpadę wyżej. Ale nuda. Liczyłem, że chociaż spróbuje się wyrwać, uzasadniając tym samym konieczność zadania mu dodatkowych ciosów... Szkoda. Nie pozostało nic innego jak tylko szybkie pchnięcie.

– No cóż... powodzenia w drodze do nieba, ptaszku – mruknąłem

i opuściłem floret.

– NIE!

W tej sekundzie coś niespodziewanie na mnie runęło. Broń wypadła mi z ręki i z metalicznym brzękiem uderzyła o posadzkę.

Diletta.

– Oszalałaś? – wydarłem się, błyskawicznie do niej podchodząc. Uklęła obok Noaha, nie mniej zaskoczonego tą reakcją niż ja. – Nie zorientowałaś się, że właśnie ratuję ci życie?

Popłakała się, przypuszczalnie ze strachu. Trzęsąc się, patrzyła na mnie błyszczącymi oczami, tak blada, jakby lada moment miała zemdleć.

– Nie zabijaj go – szepnęła niemal bezgłośnie. – Proszę.

Oniemiałem. Oparłem klingę na barku i wpatrywałem się w Dilettę, nie wierząc własnym uszom.

– Petycja odrzucona. Odsuń się.

– Nie – powiedziała, nie spuszczając wzroku.

Pokręciłem głową. Co za absurd. Ta dziewczyna postradała rozum... Jak inaczej wytłumaczyć to, że wstawiała się za swym niedoszłym mordercą?

– Za chwilę przestanę być uprzejmy – ostrzegłem – więc odejdź na bok.

Jeszcze bardziej przysunęła się do Noaha, którego skulone skrzydła utworzyły coś na kształt pierzastej tarczy. Trójząb leżał kilka centymetrów od jego lewej dłoni, lecz wydawało się, że tego nie zauważa, skoncentrowany na zasłaniającej go rozpostartymi ramionami dziewczynie.

– Nie pojmuję, co się... dzieje – wyjąkała Diletta. – I... boję się. Ale... nie rób mu krzywdy.

Tak, bezsprzecznie potrzebowała natychmiastowej wizyty u psychiatry.

– Próbował cię zabić – wycodziłem wolno i wyraźnie. – Za-bić.

Wiesz, co to znaczy? Usiłował z tobą skończyć. Wysłać cię na tamten świat.

Przełknęła ślinę, już nie blada, ale kredowobiała. Opuściła ręce na kolana i nerwowo miętosła w palcach materiał okropnej zielonej spódnicy.

– Możemy zadzwonić na policję – zasugerowała cicho.

Chwilę bacznie się jej przyglądałem i naraz wybuchnąłem takim śmiechem, że aż podskoczyła.

– Doprawdy świetny pomysł – oznajmiłem. – Rozumiem, że postanowiłaś zabawić się kosztem tych pacanów. Chętnie zobaczyłbym ich miny na widok dwóch uzbrojonych uczniów: jednego z floretem, a drugiego z trójzębem i dodatkowo imponującymi, wyrastającymi z pleców skrzydłami.

Spoważniałem i ostrzegawczym ruchem przeciąłem klingą powietrze zaledwie trzydzieści centymetrów od twarzy Diletty. Zadygotała, bez problemu odgadując moje intencje.

– Jesteś mi coś winien – wyszeptała.

– Słucham?

– Jesteś mi coś winien – powtórzyła głośniejszym głosem i odsłoniła ranę. Noah skrzywił się. Kątem oka pilnowałem, czy jego palce nie zbliżają się za bardzo do trójzębu.

– Narozrabiałeś – syknął.

– Nie zamierzam się przed tobą tłumaczyć, ptaszku – odparłem. – A ty, Mair, o ile dobrze pamiętam, pozbawiłaś mnie części włosów. Coś za coś.

– Tego się nie da porównać.

– Nie?

– Nie. Moja rana... to więcej niż zwykłe skaleczenie.

Przygryzłem wargi. Nagle zabrakło mi argumentów. Cholera jasna. Wierzyłem, że okaże się na tyle głupia, by się nie zorientować...

A jednak.

Dłuższą chwilę patrzyłem bez słowa to na Diletę, to na Noaha, a następnie potoczyłem wzrokiem po korytarzu, zastanawiając się, co powinienem uczynić. Nie mogłem puścić ptaszydła wolno, to wróg. Jak wiadomo z historii ludzkości, Anioły i Lilim nigdy specjalnie za sobą nie przepadali. Ponadto podniósł na mnie broń. Rzucił mi wyzwanie i przegrał. Zasługuje na śmierć. Jeżelibyśmy zamienili się teraz rolami, skończyłby ze mną.

Kurde. To nie fair. Noah jest moim trofeum. Nie pozwolę się tej kretynce zaszantażować i dać mu się w ten sposób wymknąć.

– Niestety, nie... – przerwałem, dostrzegając na podłodze jedynie Diletę.

– A Anioł?

Ze zdziwieniem spojrzała do tyłu. Widocznie też nie zarejestrowała momentu zniknięcia przyjaciela, gdyż nie ujrawszy nic prócz ściany, wykrzyknęła:

– O rety... poszedł sobie!

Poczułem piekący ból w zaciśniętej na rękojeści floretu dłoni. Broń chyba również żałowała, że nie było jej dane zanurzyć się we krwi ptaszydła.

– No co ty – prychnąłem z ironią. Co za drażniąca dziewczyna. – Nie zauważyłem.

Z wahaniem wstała i odeszła kilka kroków, nie mając prawdopodobnie pewności, czy aby przebywanie obok mnie po ucieczce Noaha to dobry pomysł.

Na jej miejscu postąpiłbym tak samo.

– Petersen?

Nie odezwałem się.

– Dziękuję.

Skinąłem głową, odwróciłem się plecami i niechętnie schowałem szpadę. W Panteonie dałbym Mair niezłą naukę, ale niestety tu, w Świecie Żywych, należy się kontrolować.

Gdyby nie ów mały szczegół, popamiętałyby...

– Nie dziękuj. Teraz ty mi coś wiesz.

– Że co? – spytała zaskoczona.

Zerknąłem na nią przez ramię z miną sugerującą, że wątpię w jej poczytalność.

– Przeanalizujmy... Rano wyrwałaś mi połowę włosów, a ja zostawiłem ci pamiątkę w postaci zadraśnięcia, z którego starasz się wyciągnąć tyle korzyści. Do tego momentu jesteśmy kwita. Do tego momentu – podkreśliłem. – Po południu złożyłem ci wizytę i ostrzegłem, żebyś zachowywała ostrożność, a potem zjawiłem się tu z własnej, nieprzymuszonej woli i uratowałem cię od śmierci. Wreszcie puściłem twojego obrośniętego piórami przyjaciela.

– Nie puściłeś. Umknął.

– W takiej sytuacji – kontynuowałem, ignorując ten komentarz – wiesz mi dokładnie trzy przysługi.

– Że co?

Uśmiechnąłem się ze znudzeniem.

– Że co, że co, że co... Nie znasz innych słów? – Szybkim ruchem złapałem ją za rękaw. – Idziemy.

– Idziemy? – powtórzyła zdenerwowana, bezskutecznie usiłując uwolnić się z uścisku. – Dokąd?

– Do ciebie.

Diletta

Męczące mnie pytania i wątpliwości zniknęły, kiedy dotarłam do domu. Mama czekała w drzwiach, ze skrzyżowanymi ramionami i tak mocno zmarszczonym czołem, że niemal nie widziałam jej oczu.

Oho. Chyba udało mi się zaliczyć wpadkę stulecia.

Obejrzałam się, upewniając, że Alois nie stoi za mną. Oznajmił wcześniej, że ponownie wejdzie do pokoju po drzewie. Nie miałam pojęcia, jak się na nie wdrapie z krwawiącą nogą, ale po wszystkim,

czego byłam dziś świadkiem, uznałam, że to dla niego łatwizna.

Zatrzymałam się kilka metrów od mamy.

– Orientujesz się, która godzina? – zapytała podejrzenie łagodnym tonem.

– Eee... – Spojrzałam na zegarek. Cholera. Pierwsza trzydzieści. Super.

– Nieco straciłam rachubę czasu, przepraszam.

Błyskawicznie się do mnie zbliżyła. Skuliłam się i wbiłam wzrok w ziemię. Mierzyłyśmy tyle samo, lecz nagle wydało mi się, że się skurczyłam, zaś mama urosła i przewyższała mnie teraz dwu-, a wręcz trzykrotnie.

– Nieco? Nieco?! – wrzasnęła, nie panując nad sobą. – Wiesz, jak się niepokoiłam?!

Rozejrzałam się na boki, obawiając się, że Alois uznał jednak, iż warto zacząć się za krzakiem, i ze złośliwym grymasem podpatruje teraz tę zawstydzającą scenę. Oby nie... Oby nic nie usłyszał.

– Po co tak głośno...? – wymamrotałam. – Powiedziałam przecież, że straciłam rachubę czasu. I już przeprosiłam.

– Nie każ mi ściszać głosu, Diletta! – zawołała, coraz bardziej wściekła. – Nie potrzebuję twojego pozwolenia, by krzyczeć!

Poczułam narastające wzburzenie. Mama nie rozumiała, że jeśli znajduję się przed nią cała i zdrowa, to dlatego, że uratował mnie cud; uzbrojony we floret i o drapieżnym uśmiechu. Nie doceniała tego, że wróciłam, chociaż przed chwilą o mało nie umarłam. Oczywiście, że nie doceniała. W przeciwnym wypadku nie

zachowywałaby się tak, jakbym zjawiała się pijana albo w towarzystwie jakiegoś podejrzanego chłopaka.

No dobra, pomińmy fragment o chłopaku.

Wcisnęłam ręce w kieszenie, czekając na koniec potoku wyrzutów i pouczeń. Trwał ze dwadzieścia długich jak godziny minut. Gdyby nie wyglądająca zza zasłony sąsiadka, potrwałby chyba do rana.

Przestąpiłyśmy próg przy wtórze potężnego trzaśnięcia drzwiami. Jerome Nott na szczęście już poszedł. I tak by się za mną nie wstawił.

Kiedy Mariel Mair dostaje ataku furii, sam diabeł wolałby zejść jej z drogi.

– Masz karę – poinformowała, gdy skierowałam się na górę. – Zero wyjść w najbliższej przyszłości.

– Oryginalne – burknęłam.

Wbiegałam po schodach, ze złością przeskakując po dwa stopnie i donośnie tupiąc.

Nie spóźniłam się ze swojej winy, mamó. Żyję, wiesz? Czego byś więcej chciała? Niełatwo, otarłszy się o śmierć, dotrzeć do domu o umówionej porze. Żaden ze mnie superbohater.

Kopnięciem otworzyłam drzwi sypialni. Uderzyły w ścianę i klamka z hukiem upadła na podłogę, wywołując piętro niżej kolejną falę pretensji.

Westchnęłam i kucnęłam, by podnieść uchwyt, ale... zniknął.

– Specjalnie się nie spieszyłaś...

Wzdrygnęłam się. Alois. Siedział na łóżku, wyciągając zranioną nogę. Na narzucie widniały krople krwi.

Bawił się klamką, przerzucając ją z ręki do ręki.

Zdrętwiałam. Jakim cudem, do cholery, mógł...

Naraz na nowo załały mnie wątpliwości, potęgując stan kompletnego oszołomienia. Kilkakrotnie odchrząknęłam, nim wreszcie udało mi się zadać kluczowe pytanie, streszczające wszystkie nurtujące mnie sprawy:

– Kim jesteś?

Uśmiechnął się lekko i bez słowa odchylił mundur, ukazując wytatuowany na lewym obojczyku numer.

2.10.1950.

– Lilim – wyjaśnił wyniośle, delektując się tym określeniem,

którego znaczenia nie pojmowałam. – Odpowiedzialnym za to, byś po śmierci nie trafiła do nieba. Albo tam, co wy nazywacie niebem. Aniołki, na przykład twój przyjaciel Noah, tak właśnie na nas mówią: Lilim. Czyli demony. Ale Lilim lepiej brzmi. Bardziej wyszukanie.

Nie dałam rady się odezwać.

– Aha, ów numer... – dodał Alois – to data. Tego dnia umarłem. Pewnie się domyśliłaś, że różnimy się od siebie. Ty żyjesz. Ja nie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Lilim

Alois

Musiła usiąść na stojącym przy biurku krześle, inaczej by się przewróciła. Zrobiła się niewyobrażalnie blada; nigdy wcześniej nie widziałem takiego koloru. Nawet martwi w trumnach wyglądają lepiej.

– To irracjonalne... – mamrotała, zszokowana. – Niemożliwe...
Niemożliwe, że dzieje się naprawdę...

– Oszczędźmy sobie tej sceny, zgoda? – poprosiłem zgryźliwie. – Naturalnie, że się dzieje. Ale jeśli potrzebujesz niezbitego dowodu, proszę bardzo. Okno znajduje się na sporej wysokości. Jak wyskoczysz, a jutro obudzisz się w szpitalu, zrozumiesz, że dzisiejsze wydarzenia są na wskroś rzeczywiste.

Niespecjalnie pomogłem. Mocno chwyciła podłokietniki i zacisnęła zęby, maksymalnie napinając mięśnie szczęki i błędząc rozbieganym wzrokiem po całym pokoju. Mało brakowało, żeby zasłała i z wymiotowała.

Nie ma tu gdzieś przypadkiem miski?

– Nic... nie... pojmuję – wyszeptała prawie bez tchu. – Nic. Wzruszyłem ramionami i z roztargnieniem przesunąłem palcem po wstrętnej jasnozielonej narzucie w kwiatki przykrywającej łożko.

– Normalne. Musiałabyś być zdrowo stuknięta, żeby natychmiast we wszystko uwierzyć. Twój obecny, bliski omdlenia stan to pozytywny objaw.

Przypatrywała mi się bez słowa. Dostrzegłem, że dostała gęsiej

skórki.

– Potrafisz widzieć duchy, dlatego zobaczyłaś mnie dziś rano, kiedy szedłem zająć się jednym z ptaszydeł – ciągnąłem, nie usiłując ukryć pobrzmiewającej w głosie odrazy. – My, Lilim, oprócz zabijania Aniołów, które tak podobają się staruszkom, dbamy też, by każdy, kto umarł... no, powiedzmy niesprawiedliwie, zbyt młodo, dotarł do Panteonu. – Nie doczekawszy się żadnej reakcji, zapytałem: – Załapałaś czy ci to rozrysować?

Usłyszałem, jak przełyka ślinę.

– Nie zainstalowano tu ukrytej kamery?

– Jeśli chcesz poszukać... – Spojrzałem na nią obojętnie i z irytacją przeniosłem wzrok na sufit, gdy niespokojnie poruszyła się na krześle. – Dobra. Mów. Dociekaj. Cokolwiek.

– Nie wiem, od czego zacząć – wyznała.

– Matko! – zawołałem, opadając na materac. – Co za nudy.

– Kiedy... ja...

Doszedł mnie jakiś dziwny dźwięk. Czyżby stłumiła szloch? Zakryłem twarz rękoma. Proszę, niech tylko nie wybucha płaczem.

– Co to... są te... Lilum?

– Lilim – syknąłem i uniosłem się na łokciach. – Chyba już ci tłumaczyłem, kim jesteśmy. Skoro jednak domagasz się bardziej wyczerpującego wyjaśnienia... No więc Anioły nazwały nas tak niejako... na cześć pierwszej żony Adama.

– Ewy?

– Pierwszej, nie drugiej – rzuciłem niecierpliwie. – Ewa to ta powszechnie znana, Lilith zaś ta niepokorna. Nie zamierzam zabawiać cię zagadnieniami biblijnymi, za długo by to trwało – zaznaczyłem pospiesznie, kiedy otworzyła buzię, najwyraźniej od razu się zgubiwszy. – Na dzieci Lilith mówiono Lilim. A były po

prostu demonami. Według Aniołów reprezentujemy zło,

przewrotność, wynaturzenie i nie wiadomo co jeszcze, zatem uznały, że owo imię do nas pasuje. Nie mieliśmy nic przeciwko. Ponieważ brzmi tak melodyjnie, przyjęliśmy je i czujemy się z niego dumni. – Zerknąłem na okno. – Zdaniem ptaszydeł ludzie zjawiają się na świecie, aby wypełnić swoją misję, swoje przeznaczenie, zaś gdy umierają... zwyczajnie umierają, i już. Idą do nieba, zmieniają się w... nic. Nie, przepraszam, źle ci to przedstawiam. Nie do końca w nic, raczej w coś... abstrakcyjnego, nawet ja dobrze tego nie rozumiem. Jakby dusze zmarłych stapiały się z resztą materii, rozpadając się, stając się elementem wszechświata. Tak czy inaczej, dokonując żywota, tracimy ciało, a więc najsilniej określającą nas część. My, Lilim, staramy się temu zapobiegać. Odprowadzamy zmarłych do Panteonu, oczywiście pod warunkiem, że odeszli młodo lub w wystarczającym stopniu pragną dalej żyć. Wysyłanie do Panteonu starców nie ma sensu. – Skrzywiłem się z niesmakiem. Sama myśl o tym budziła we mnie wstręt. – Tam dostajesz kolejną szansę. Rozpoczynasz od zera, otwierasz nowy rozdział. Z dwiema różnicami: każdy rodzi się w takim wieku, w jakim umarł, i starzeje dużo wolniej niż w normalnym świecie.

– Są... sądziłam, że... no... – zacięła się i musiała maksymalnie skoncentrować, by kontynuować – że Anioły, istoty niebiańskie, są dobre i...

– Ojej, nie wierz w tę zbyt często powtarzaną bzdurę – przerwałem. – Tu nie chodzi o dobrych i złych. Wszystko zależy od grupy, do której zdecydujesz się dołączyć. A raczej od grupy, która cię wybierze.

Jeszcze mocniej ścisnęła podłokietniki.

– Która grupa mnie wybrała?

Spojrzałem wymownie na jej lewe przedramię.

– A jak ci się wydaje?

– Ale... dlaczego?

– Dlaczego to się zdarzyło? – Uśmiechnąłem się drwiąco. – Kwestia przeznaczenia. Zastanów się jednak: widzisz duchy, czyli możesz pochwalić się niezwykle rzadką umiejętnością. Szkoda by było ją zmarnować. Gdy nadejdzie twój czas, w Panteonie potraktują cię jak gwiazdę. Posiadaczy wyjątkowego daru w tym świecie wynagradza się w tamtym.

– A ty czym się szczyciłeś? – spytała nieco pewniejszym głosem, chociaż wciąż lekko drżała.

– Cóż, niczym aż tak niesamowitym... – przyznałem niechętnie. – Współczynnikiem inteligencji znacznie powyżej średniej. I szybkością. Nikt nie potrafił mnie dogonić.

Kiwnęła głową i w zamyśleniu przejechała opuszkami palców po skórze wokół rany. Nie sprawiała już wrażenia przerażonej. W jej oczach pojawił się nowy blask, niemający nic wspólnego ze strachem czy niepokojem. Zaintrygowanie? Tak, właśnie to. Zrezygnowała z szukania rozsądnego wytłumaczenia tego, czego właśnie doświadczała. Rejestrowała przecież obecność zjaw, których towarzystwa nie życzyliśmy sobie w Panteonie... Skoro one istniały, niby dlaczego nie przyjąć, że istniejemy również my?

– Czemu... Noah mnie zaatakował? Nagle... zorientował się, że jestem jedną z was czy...

– To przez zadraśnięcie – odparłem. – A wcześniej zobaczył, jak przewracasz się po zderzeniu z czymś... niedostrzegalnym. Wystarczyło, że wymieniłaś moje imię, i wszystko stało się jasne.

– Nie, mylisz się – stwierdziła zdecydowanie. – Noah oznajmił, że to niemożliwe, iż na ciebie wpadłam. I zdziwił się, gdy pokazałam mu skaleczenie.

– To ty się mylisz. Uważasz, że Anioły nie uciekają się do kłamstw?

– Ale dlaczego dziś? Od dwunastu miesięcy w trójkę uczymy się w tej samej szkole... W zeszłym roku Noah chodził nawet z naszą

klasą na chemię... I dotąd...

– Proste – wtrąciłem. – Nigdy nie widziałem go pod postacią Anioła, a on mnie jako Lilim. Kiedy przybieramy... ludzką formę, nie umiemy rozpoznać, czy obok przebywa ktoś z wrogiego obozu. Co do ciebie... też proste. W trakcie lekcji do sali często przenikały duchy. Nie reagowałaś, nie przyglądałaś się im... Nie dawałaś swoim zachowaniem żadnych powodów do podejrzeń.

Spuściła wzrok. Przekonałem ją.

– A ta kraina... Panteon... – wymamrotała. – Jak tam jest?

– Podobnie i zarazem inaczej niż w Świecie Żywych – wyjaśniłem.

– Lilim tacy jak ja mieszkają w Mauzoleum, miejscu trzykrotnie większym od tego miasta. Do Grobu natomiast trafiają zmarli niewyróżniający się niczym wyjątkowym. Zajmują się Literaturą, Medycyną albo wykonują inne, typowe również dla ludzi zawody.

– Panteon, Mauzoleum, Grób... straszne – wyszeptała, wzdrygając się.

– Czy ja wiem... W końcu rozmawiamy o życiu po śmierci, nie?

Westchnąłem i podniosłem się, poczuwszy jednak przeszywający ból w nodze, na której ten przeklęty Anioł zostawił ślad trójzębu, natychmiast ponownie opadłem na łóżko. Wskazując palcem łydkę, z pretensją zwróciłem się do Diletty:

– Zanim zadasz kolejne pytanie, przynieś coś do opatrzenia rany.

– Przecież... jesteś martwy.

– No i?

Wyraźnie się zawstydziała.

– Myślałam, że... że...

– Tak się zwykle mówi, prawda? Boli, więc żyjesz. Jeszcze jedna bzdura. Skombinujesz coś? Poproszę.

Gwałtownie zerwała się, jakby siedziała na sprężynce, i momentalnie zniknęła za drzwiami.

Drugi raz rozejrzałem się po pokoju. Ta dziewczyna ma fatalny

gust. Wszędzie porozkładała maskotki, kilka nawet zrzuciłem na podłogę, by móc wyciągnąć na materacu kontuzjowaną kończynę. Wystłżone, ciemnobrązowe regały nijak nie pasowały do błyszczących, zielonych zasłon z wyhaftowanymi niebieskimi chmurkami. Biurko także wyglądało osobliwie. Zdawało się śmiesznie małe, biorąc pod uwagę ilość zalegających na nim książek i papierów, spod których wystawał laptop. W rogu, przecząc zasadom równowagi, stała ramka ze zdjęciem. Z zainteresowaniem przyjrzałem się fotografii. Przedstawiała najwyżej trzynastoletniego chłopca o oczach różnego koloru.

Pewnie jej brat.

Po chwili Diletta wróciła, niosąc bandaż, wodę utlenioną, nożyczki, plastry i spirytus salicylowy. Pobladłem na widok ostatniej buteleczki.

– Po co ci to? – spytałem słabym głosem.

– Jak to po co? Żeby odkazić ranę – odparła. – Ej, co robisz? Właśnie nakrywałem się leżącą u wezglowia poduszką, na tyle dużą, by skryć pod nią prawie całe nogi. Posłałem Dilectcie wrogie spojrzenie, ostrzegając, żeby się nie zbliżała.

– Nie dam się polać tym diabelskim płynem – burknąłem.

– Słucham? – zdziwiła się. – Nawet nie drgnąłeś, kiedy Noah wbił ci trójzęb, a nie zniesiesz chwili pieczenia?

– Chybione porównanie. Tamto było celowo.

– To znaczy?

– Pozwoliłem, by mnie zranił.

Oniemiała.

– Żartujesz sobie...

– Inaczej zabrakłoby elementu zabawy – zauważyłem obojętnie, powoli odkładając poduszkę na bok. – Miał dobrą broń, ale kiepsko walczył.

– Serio? Nie nabijasz się?

Popatrzyłem na nią z wyższością.

– Jestem geniuszem. Mogłem go powalić jednym pchnięciem.

Zadygotała, wypuszczając wszystko z rąk. Zawartość buteleczek rozprysnęła się, a w pokoju rozległ się potężny łoskot, głośnym echem odbijając się od ścian. Diletta stała jak sparaliżowana, ciągle z rozłożonymi dłońmi i wzrokiem utkwionym w rozrzucone na podłodze rzeczy.

Niezdarna idiotka...

Szykowałem się, by sformułować pod jej adresem kilka wyjątkowo wulgarnych przekleństw, gdy wtem na schodach zadudniły szybkie kroki.

– Moja mama! – zawołała z przestraszeniem.

Drzwi natychmiast otworzyły się i do sypialni wparowała kobieta w średnim wieku, ubrana w nieco przechodzoną piżamę, z oczami zaczerwienionymi ze zmęczenia albo gniewu.

– Można wiedzieć, co ty wyprawiasz?! – krzyknęła. – Minęła druga nad ranem! Dlaczego jeszcze nie śpisz? Po co ci te opatrunki?

Diletta, trzęsąc się, bez słowa wpatrywała się to w nią, to we mnie. Wydawała się kompletnie dezorientowana.

– Nie odwracaj się, kiedy do ciebie mówię!

Znieruchomiła, a następnie ponownie zerknęła w moim kierunku, ewidentnie nie pojmując, czemu matka nie docieka, co, do cholery, robi w domu o tej porze nieznany chłopak.

Przecież pozostaję niewidoczny dla ludzi, kretynko.

– Co to jest? – spytała nagle pani Mair, dostrzegłszy na narzucie krople krwi.

Zaniepokojona, pochyliła się nad łóżkiem, by przyjrzeć się czerwonym plamkom. Gdy niemal dotknęła nosem mojej dłoni, z rozbawieniem zakreśliłem palcem parę kółek. Oczywiście kompletnie nie zdała sobie z tego sprawy, Diletta zaś ostrzegawczo skrzywiła się wobec owego braku szacunku.

– Skąd ta krew?

Zawahawszy się, dziewczyna podciągnęła lewy rękaw i pokazała zadraśnięcie.

– Diletta! – wykrzyknęła pani Mair, podtrzymując jej nadgarstek.

– Kiedy się skaleczyłaś?

– Rano, jak szłam do szkoły. Ale nie martw się, nie boli.

Kobieta westchnęła, podniosła bandaż i zaczęła delikatnie zawijać go wokół rany.

Obserwowałem tę scenę, myśląc jednak o czymś zupełnie innym... co zdarzyło się wiele lat temu i daleko stąd. Spuściłem głowę. No proszę, obcowanie dłuższy czas z żywymi spowodowało, że stałem się sentymentalny. Pierwszy raz od bardzo dawna wspomnienie mamy wróciło do mnie z taką siłą.

Pani Mair skończyła zakładać opatrunek i pocałowała córkę. Potem pozbierała rzeczy i z pełnymi rękoma ruszyła ku wyjściu. Nim zamknęła drzwi, oznajmiła:

– To nie znaczy, że ominie cię kara.

Diletta tylko lekko się uśmiechnęła.

Odkaszlnąłem, by ściągnąć na siebie uwagę.

– Wzruszające... – zadrwiłem. Od razu spoważniała. – Masz chusteczkę, żebym obtarł łzy?

– Dlaczego cię nie widziała? – rzuciła wyzywającym tonem, jakby szukając zemsty za przekłucie bańki szczęścia, w której przed sekundą się znajdowała.

– Bo żyje. Zapomniałaś, że żywi nie widzą umarłych?

– Nie rozumiem. A co z nauczycielami i kolegami ze szkoły?

Wreszcie w miarę inteligentne pytanie.

– Spójrz. – Błyskawicznym ruchem wyjąłem broń z pochwy i przysunąłem ostrze tak blisko jej twarzy, że pobladła. – Jeśli narzędzie walki wygląda normalnie, występuję jako ten, kim w rzeczywistości jestem. Lilim. Innymi słowy – zmarły. Ale...

Cicho pisnęła, kiedy oparłem floret na podłodze i dopóty naciskałem, dopóki nie skurczył się do rozmiarów pozwalających na zamknięcie go w dłoni. Klinga upodobniła się do grubej igły.

– Broń w takiej formie nazywa się Minutta.

– Nieźle – wyszeptała Diletta, zafascynowana. – I teraz...

– Tak, może mnie zobaczyć każda żywa istota – potwierdziłem, obracając w palcach miniaturową szpadę. – By zniknąć, muszę wbić Minuttę w datę mojej śmierci.

– Wbić?

– To nic niebezpiecznego. Przyjrzyj się.

Odchyliłem mundur i dotknąłem klingą tatuażu na obojczyku, kładąc palec na rękojeści. Skóra napięła się pod wpływem kontaktu z zimnym metalem.

Diletta stłumiła krzyk.

W tym momencie drzwi się otworzyły i znowu ujrzeliśmy panią Mair, która zdębiała na widok córki obok chłopaka z gołą pierśią i skierowanym w serce małym ostrzem.

Diletta

Obudziłam się z potwornym bólem głowy.

Niewiele spałam. Trudno było zasnąć po tym, jak mama drugi raz wtargnęła do sypialni i natknęła się na Aloisa... Wrzaskami zaalarmowała chyba całą okolicę. Sądziła, że przyłapała nas na odprawianiu satanistyczno-lubieżnego rytuału.

Albo czegoś jeszcze gorszego.

Lilim...

Usiadłam na łóżku i podkuliłam nogi. Było mi słabo. I nie ogarniałam tego wszystkiego... Wspomnienia wypadków z najdziwniejszego dnia, jaki przeżyłam, wciąż do mnie powracały, niczym pulsujące w mózgu światła, potęgując wrażenie zagubienia.

I z pewnością owe zdarzenia mi się nie przyśniły, chociaż tak wskazywałaby logika i zdrowy rozsądek. Nawet podświadomie nie

potrafiłabym wymyślić historii o demonach, które postanawiają, że... w przyszłości do nich dołączę.

Dotąd wolałam Anioły...

Z trudem się podniosłam i zeszłam do kuchni.

Zaczęło się właśnie tutaj, kiedy mama podzieliła się ze mną wspaniałą informacją. Gdyby nie napomknęła o Jeromie, gdyby nie opóźniła mojego wyjścia do szkoły, nie zderzyłabym się z Aloisem. Ale... nie żałuję tego, co się stało. W sumie dobrze wiedzieć, że po śmierci czeka mnie... drugie życie. Bez wątpienia mnóstwo osób gotowych byłoby zapłacić za podobną nowinę gigantyczne pieniądze.

Nagle poczułam zimny prąd powietrza i odwróciłam się, aby zamknąć okno. Rany. Duch. Jeden z krążącej wczoraj po domu grupy.

Przyglądał mi się z wyrzutem.

„Udawaj, że ich nie widzisz – poradził Alois. – W przeciwnym wypadku je zdenerwujesz”.

Wreszcie zrozumiałam, co chciał przez to powiedzieć.

Udawać, że ich nie widzę... Jasne, akurat tę regułę znam od zawsze. Problem leży w praktyce.

Zwłaszcza jeśli się tak uporczywie wpatrują.

Wolno podeszłam do stojącego na kuchence dzbanka ze świeżo zaparzoną kawą, uważając, by nie zdradzić się żadnym grymasem.

Do uchwytu doklejona była karteczka.

Diletto,

umówiłam się na śniadanie z Jerome'em. Niewykluczone, że nie wrócę na obiad, mam dziś dużo pracy. W lodówce znajdziesz jedzenie, podgrzej sobie, kiedy zgłodniejesz.

Jak przyjdę, porozmawiamy o tym, co wydarzyło się w nocy. Mama

Świetnie. Przede mną niezła awantura.

Napełniłam kubek, a dosypując cukier, ukradkiem popatrzyłam na zjawę. Zbliżyła się na nieprzyjemnie niewielką odległość.

– Wszyscy wiemy, że możesz nam pomóc – oznajmiła znienacka.

Zesztywniałam, upuszczając naczynie. Kawa rozlała się po podłodze i płynęła cienkimi strużkami w stronę ducha.

Wyciągnął ramię. Cofnęłam się, czując, jak krawędź blatu wbija mi się w plecy.

– Pomóż nam.

Pokręciłam głową. Niech się wreszcie odczepią...

– Potrzebujemy cię. Wstaw się za nami u Lilim. Przekonaj demony, żeby przyjęły nas do swojego świata. Tak jak ciebie.

Mocniej przywarłam do blatu i ból w dolnej części kręgosłupa się nasilił. Napięte mięśnie aż drżały.

– Nie chcemy wpaść w ręce Aniołów.

– Zostaw mnie w spokoju! – pisnęłam.

Wyleciałam z kuchni, o mało się o niego nie ocierając. Pędem pokonałam schody i kiedy tylko znalazłam się w sypialni, rzuciłam się do szafy i zaczęłam szybko ubierać. Zajęło mi to mniej niż trzy minuty. Zrezygnowałam z umycia zębów, spryskania się wodą toaletową czy przeczesania włosów. Chwyciłam plecak i zbiegłam na dół, przeskakując po dwa stopnie, a następnie wyskoczyłam na dwór, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Czyli postąpiłam dokładnie wbrew ostrzeżeniu Aloisa.

W drodze do szkoły nie spotkałam Noaha. Zważywszy na prześladowającego mnie w ostatnich godzinach pecha, uznałam to za dobrą wróżbę.

Gdy weszłam do klasy, mimowolnie zerknęłam na ławkę Petersena. Jego miejsce było puste. Obok, na blacie, siedziała Pamela, opierając nogi o krzesło. Skrzywiła się, napotkawszy mój wzrok.

Błyskawicznie odwróciłam spojrzenie i podeszłam do Hama

i Febe, typowych rannych ptaszków, wyraźnie teraz podekscytowanych.

– No i? – zapytali jednocześnie.

Westchnęłam.

– Wy również witajcie.

Febe złapała się pod boki i nachyliła, bacznie mi się przyglądając.

– Nie każ się błagać – mruknęła. – Co się stało w nocy?

– Nie uwierzylibyście, gdybym powiedziała – wyszeptałam, ubawiona własnym dowcipem.

– Masz taką minę, że... Przecież to oczywiste! – zakrzyknęła nagle. – Noah wyznał ci miłość!

– Kretyn... – wtrącił Ham z dezaprobatą.

– Ej, nic z tych rzeczy – podkreśliłam urażonym tonem. – Chciał po prostu pogadać. Kropka.

Febe wzniosła oczy na sufit.

– Jasne... – prychnęła. – Nie kłam. Całowaliście się?

Teraz ja popatrzyłam w górę.

– Skąd pomysł, że na prawo i lewo rozdaję chłopakom całusy?

– Skoro często przebywasz z nimi na osobności... – wyjaśniła uszczypliwie. – Ale jeżeli twierdzisz, że Noahowi chodziło o zwykłą rozmowę... Zdradzisz temat? I naprawdę nie mógł poczekać do dzisiaj?

Cholera. Jeszcze nigdy nie musiałam równie szybko wymyślić kłamstwa.

– Niepokoi się.

– Niepokoi? – zdziwił się Ham. – Nic nie zauważyłem. Wciąż uśmiecha się od ucha do ucha.

– No bo... w tym roku... prawie nie mamy wspólnych lekcji... – wyjąkałam – i obawia się, że się od siebie oddalimy.

Febe, z grymasem znudzenia na twarzy, luźno opuściła ręce wzdłuż ciała.

– Co za banal – burknęła, nieświadoma ulgi, z jaką przyjąłam te słowa. – Liczyłam, że zostaniecie parą...

– Dlaczego tak się uparłaś, by mi kogoś znaleźć? – spytałam z rozbawieniem.

Spojrzała na mnie jak na nienormalną.

– Sama nie szukasz, więc należy ci pomóc, nie sądzisz?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, gdyż akurat weszła nauczycielka. Gwar natychmiast ucichł i wszyscy zajęliśmy miejsca.

Kilka chwil później drzwi się otworzyły i do sali wkroczył zdyszany i spocony Alois Petersen, ubrany w krzywo zapięty, rozdarty na łokciu i pognieciony mundurek. Spał w nim?

Odgadłszy, skąd idzie i co właśnie zrobił, z trwogą pomyślałam o Noahu. To, że go rano nie spotkałam, wydało się naraz mocno podejrzane.

– Petersen, czemu zawdzięczamy ten zaszczyt? – zadrwiła nauczycielka. – Lekcja rozpoczęła się dziesięć minut temu.

Wzdrygnęłam się, gdy na mnie zerknął.

– Przepraszam, wydarzył się mały... wypadek. To się więcej nie powtórzy.

– A dobrze się czujesz? – Znacząco popatrzyła na żałośnie wyglądający strój. – Jeśli chcesz...

– Proszę się nie przejmować. Nic mi nie jest, dziękuję – odparł, a następnie podszedł do swojego krzesła i z westchnieniem na nie opadł.

Pamela momentalnie odrobinę się odsunęła.

Ciekawe.

Wtem Ham dźgnął mnie łokciem pod żebra tak energicznie, że zobaczyłam gwiazdy.

– Teraz ty się w niego wpatrujesz – szepnął.

– Wcale nie – skłamałam, czerwieniąc się.

Idiotka. No i co, że się wpatruję? Ham też by się wpatrywał,

gdyby dowiedział się tego co ja.

– Jeszcze trochę i uwierzę, że ta moja lubiąca dramatyzować siostra ma rację.

– Przymknij się – kopnęłam go pod ławką – albo zapomnij o pożyczaniu zeszytów.

– Szantażystka.

– Prawda? – uśmiechnęłam się.

Wzruszył ramionami i zaczął rozglądać się po sali, doskonale obojętny na to, co rysowała na tablicy nauczycielka. Całki. Kosmos.

Niechętnie zabrałam się do przepisywania kolejnych wzorów. Nic nie rozumiałam. Genialnie. Drugi dzień szkoły, a już się zgubiłam.

Rok zapowiadał się koszmarnie.

Nagle przyszło mi do głowy coś zupełnie niezwiązanego z tematem lekcji. Jakim cudem Alois zaliczał wszystkie przedmioty ze świetnymi ocenami, skoro dodatkowo musiał szukać Aniołów, żeby... żeby... No właśnie?

Przyjrzałam mu się z lekkim podziwem. Nazwał się geniuszem, ale sądziłam, że to zwyczajnie jedna z wielu przechwałek. Chyba jednak nie tylko... Geniusz? Czy ja wiem... Bezsprzecznie był nieprzeciętnie zdolny.

W tej sekundzie spojrzał na mnie ze zniecierpliwieniem, przypuszczalnie zmęczony oględzinami, którym go dziś poddawałam.

Prędko przeniosłam wzrok na drzwi, ponownie wyzywając się od idiotek, i nagle za szybką mignęła mi postać Noaha. Nie dostrzegłam ani broni, ani skrzydeł... Przystanął i chwilę obserwował mnie, zadziwiająco poważny, a wreszcie przywołał gestem ręki.

Zerknęłam lękliwie na nauczycielkę, a potem na Aloisa. Zmrużył oczy, jakby pytając: „Coś się tak uwzięła?”.

Nabrałam powietrza i gwałtownie się podniosłam, przewracając krzesło. Natychmiast stałam się obiektem zainteresowania całej klasy.

– Proszę pani... czy mogę wyjść? – wydukałam, czerwona ze wstydu.

– W jakim celu, Mair?

Zdawała się nieco urażona owym niespodziewanym przerywnikiem.

– Muszę iść do toalety.

Zgoda, w pewnym wieku to średnie usprawiedliwienie prośby o pozwolenie na opuszczenie sali w połowie lekcji. Zastanawiałam się, czy nie dodać, że cierpię na silne rozluźnienie zwieraczy, lecz uznałam takie wyjaśnienie za zbyt poniżające.

Ktoś zachichotał. Przygryzłam wargi, nie czując się specjalnie komfortowo, zwłaszcza że na twarzy nauczycielki odmalowała się konsternacja.

– Naprawdę nie wytrzymasz, Mair?

Tym razem zachichotało więcej osób. Mocno spłötłam dłonie.

– To... żołądek – jęknęłam i skuliłam się, jakbym ledwo znosiła męczarnie. – Umieram z bólu!

Ewidentnie wprawiłam ją w zdumienie. Zawsze zachowywałam się raczej rozsądnie, a kiedy rzeczywiście coś mi dolegało, po prostu dyskretnie podchodziłam i cichutko wyjaśniałam, co się dzieje. Niektórzy wyraźnie się teraz zaniepokoiili, uznając niewątpliwie, że podobnie teatralne gesty oznaczają ostre zapalenie wyrostka robaczkowego. Alois tylko pokręcił głową.

– W porządku, Mair. Wyjdź – oznajmiła z rezygnacją. – Radzę, byś poszła do pielęgniarki.

– Dziękuję!

Lawirując między ławkami i krzesłami, podbiegłam do drzwi, gorączkowo je otworzyłam i wypadłam z klasy, trzaskając na do

widzenia.

Noah czekał obok sali.

– Cześć – powiedział, słabo się uśmiechając.

Jeszcze kilka sekund nie puszczałam klamki, nie do końca przekonana, czy przebywanie z nim sam na sam po nocnych zdarzeniach to dobry pomysł.

– Czego chcesz? – warknęłam, opierając się o ścianę.

– Przeszedłem... przeprosić – wyszeptał.

Gdy szykował się, by mnie zabić, emanował pewnością siebie i mocą. Teraz, trupio blady, wyglądał jak zwykły chłopak po długiej i ciężkiej chorobie.

Zrobiło mi się go szkoda.

– Przeprosić? – powtórzyłam zgryźliwie. – Sądysz, że zaakceptuję przeprosiny mordercy?

– Nie jestem mordercą – podkreślił, podejmując żalosny wysiłek, by owa deklaracja zabrzmiała jak wyrzut. – Wykonywałem tylko swoją pracę.

– Aż tak ważną, by zignorować to, że polega na zabiciu najlepszej przyjaciółki? Zabiciu, Noah, zabiciu. Boże... Absurd. Nie powinnam z tobą rozmawiać. Już nie.

Wtem wyczytałam z kasztanowych oczu, które tak bardzo lubiłam, smutek i bezradność.

Zrozumiałam, że nie dano mu wyboru. Dostał rozkaz i musiał go wypełnić.

No i co z tego?!

– I jakie masz plany? – burknęłam. – Spróbujesz ponownie, kiedy nadarzy się okazja?

– Nie spróbuję. Choćby nadarzyła się okazja.

– Bo?

– Wyrwali mi skrzydła.

Zaniemówiłam. Dlatego wydaje się wycieńczony...

Wyrwali... Przeniknął mnie dreszcz, mimo że nie w pełni pojmowałam, co znaczą te słowa.

– Jak to ci je...

– ...wyrwali? – wtrącił gorzko. – Zwyczajnie. Stałem się upadłym Aniołem.

Zaschło mi w gardle. Ledwie parę godzin temu te skrzydła jawiły się niczym coś najzupełniej rzeczywistego... Niczym dodatkowa kończyzna, posłuszna płynącym z mózgu sygnałom.

Przecież to jakby... stracił rękę.

– Ale... czemu? – wyszeptałam. – Kto?

– Restrykcyjnie przestrzegamy reguł. W nocy, gdy Alois się zdekongentrował, mogłem z tobą skończyć. Zamiast tego uciekłem, zostawiając cię przy życiu. Ciebie, przyszłą Lilim. To się wiąże z surową karą. Archaniołowie właśnie ją wymierzili.

Rety. Aniołowie, Archaniołowie, Lilim, demony, śmierć, kara... Te pojęcia zaczynały brzmieć niepokojąco znajomo.

– I co teraz?

– Teraz? – Zerknął na widoczne przez okno błękitne niebo, po którym płynęło kilka chmur. – Nie należę już do anielskiej wspólnoty. Do ludzkiej też nie. Dalej będę rejestrował obecność Lilim, nie stanowiąc dla nich żadnego zagrożenia... Trzeba pogodzić się z koniecznością prowadzenia normalnego życia.

– Dużo... Za dużo wrażeń. Znamy się od lat, przedstawiłeś mnie swoim rodzicom... Oni też...

– Skąd, niczego się nawet nie domyślają – mruknął, wzruszając ramionami. – Są zwykłymi ludźmi wychowującymi adoptowane dziecko. Wszystkim zajęły się Anioły wyższego szczebla.

– Matko... – wymamrotałam. – Trudno w to uwierzyć.

– Równie trudno uwierzyć w twoją zdolność dostrzegania duchów – stwierdził. – Dopóki nie zderzyłaś się z tym przeklętym Lilim...

– Już wtedy chciałeś użyć trójzębu?

Nie odpowiedział.

– Powinam iść – oznajmiłam, odwracając się plecami. – Na pewno zastanawiają się, dlaczego tak długo zwlekam.

Złapał mnie za nadgarstek, zmuszając, bym popatrzyła mu w twarz. Zachwiałam się, ogarnięta nagłym strachem, i instynktownie uniosłam rękę w geście obrony.

Rękaw mundurka opadł, odsłaniając ranę.

– Uważaj na niego, dobrze?

Bez problemu odgadłam, o kim mówi.

– To demon – dodał. – Istota bliska nieśmiertelności, a ci, którzy z nią igrają, nie kończą niestety najlepiej.

Gdy tylko mnie puścił, zniknęłam za drzwiami klasy i od razu przyciągnęłam zaciekawione spojrzenia. Minęła chwila, nim poruszyłam się i podeszłam do ławki. Usiadłam, nie odrywając wzroku od Aloisa Petersena. Jako jedyny gorliwie pochylał się nad zeszytem.

2.10.1950.

Jest już zgrzybiałym starcem, a tymczasem... nie wygląda na więcej niż osiemnaście lat.

Nieśmiertelność...

Wzdrygnęłam się i bezwiednie przycisnęłam do siebie zranioną rękę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

2.10.2003

Alois

– Alois! – zawołała Henriette. – Powinieneś zerknąć na ten dokument. To ważne.

– Nie mam czasu. Pracuję. Wiesz, co to znaczy? Robię coś, czego ty nigdy jeszcze nie robiłaś – burknąłem, nie odrywając wzroku od zeszytu, nad którym się pochylałem. – Połóż go na biurku i przymknij się.

– Za późno! – wykrzyknęła i nagle dostałem w czoło kulką z papieru.

Najwyraźniej zachwycona swoim pomysłem, zasłoniła usta dłonią i wybuchnęła śmiechem.

Momentami jej nienawidzę. Z całego serca. Umarła ponad dwieście lat temu, ale często zachowuje się jak nadpobudliwa nastolatka.

Ktokolwiek wydał specjalne pozwolenie uprawniające ją do przebywania w Świecie Żywych, zaciągnął u mnie dług. Odnosiłem wrażenie, że cel owej wizyty ogranicza się do grania mi na nerwach; odkąd się wprowadziła, zapomniałem, co to spokój.

Uosabiała najgorszy z koszmarów.

– Oszalałaś? – wrzasnąłem, rozprostowawszy pogniecioną kartkę i zobaczywszy narysowanego na niej bohoma. – To finalne sprawozdanie z praktyk! Prawie je skończyłem!

– Dlaczego się tak wściekasz? – spytała z udawanym zdziwieniem. – Naszkicowałam szczura, bo uznałam, że będziesz

mógł się z nim zidentyfikować.

– Henriette – syknąłem, przymykając oczy.

– Słucham?

– Naprawdę nie masz nic lepszego do roboty?

– Nie! – odparła. – Po otrzymaniu dyplomu przekonasz się, że załatwiwszy kilka ptaszków, można chwilę odpocząć. Ale przed tobą wciąż tyle pracy... – zadrwiła, omiatając wzrokiem zarzucone papierami biurko. – Studiowanie to chyba gehenna, nawet dla wybitnych umysłów.

Lekko się skrzywiłem, wychwytyjąc w jej głosie nutę zazdrości.

– Gehenną nazwałbym raczej konieczność znoszenia twojego towarzystwa.

– Przecież w głębi duszy mnie podziwiasz.

– Rety, wynoś się wreszcie!

– Z przykrością muszę zignorować twe żądanie. Tak się składa, że ja również tu mieszkam, a ta kanapa jest zbyt wygodna, bym zdecydowała się wstać. Chociaż... jakbyś błagał na kolanach...

Westchnąłem i starając się nie zwracać na nią uwagi, wyjąłem z leżącej na stole koperty kolejny formularz: kwestionariusz, w którym proszono o podanie preferencji co do wyboru Oddziału. Spojrzałem na listę i uśmiechnąłem się, kiedy przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Najdroższa Henriette, co byś powiedziała, gdybym zaznaczył możliwość wstąpienia do Oddziału Numer Trzy jako pierwszą? – zapytałem niewinnym tonem.

Pobladła. Nie jest aż taką idiotką, by sobie nie uzmysławiać, że moje pojawienie się w Oddziale dowodzonym przez starego Generała Browna zmieniłoby jej życie w piekło.

Zajmuje w jednostce wysokie stanowisko Generała Dywizji. Trzecie po Brownie.

– Zapiszmy... – kontynuowałem, wypełniając dokument. – Ja, Alois

Petersen, studiujący na ostatnim roku Akademii, wnioskuje o przyjęcie do Oddziału Numer Trzy, na czele które... Ej! – krzyknąłem, gdy zabrała mi kartkę. – Co ty wyprawiasz?

– A tu narysowałambyś świnię. Zaraz po szczurze to zwierzę najwierniej odzwierciedlające twoją osobowość.

– Oddawaj!

Usiłowałem odzyskać formularz, ale zbyt wysoko podniosła rękę.

– Nie męcz się – mruknęła. – Lata miną, nim osiągniesz odpowiedni wzrost.

– Żebyś zdechła...

– To już za mną, mój drogi – zachichotała i pobiegła na drugi koniec pokoju, wywracając po drodze kilka mebli.

– Co za kretyńka – wyszeptałem i wyjąwszy z kieszeni Minuttę, przytknąłem klingę do ukrytego pod koszulą tatuażu.

– Jejku, trzęsę się ze strachu! Alois się zdenerwował i tylko patrzeć, jak zacznie wierzgać!

Zręcznym ruchem rzuciłem w nią floretem, lecz schowała się za jednym z krzesel i ostrze trafiło w drewniane oparcie.

– Niedojrzały z ciebie nastolatek z mlekiem pod nosem, Alois! Cierpisz na deficyt celności i niedobór masy mięśniowej!

Zakląłem. Nie ma prawa ze mnie szydzić. Niebawem uzyskam dyplom Akademii i kto wie, może zostanę jej przełożonym.

Będzie mi wtedy lizać buty...

Podszedłem do krzesła, wyrwałem floret i zamachnąłem się na nogi Henriette. Uskoczyła, unikając ciosu, ale straciła równowagę, runęła na mnie i oboje upadliśmy na ziemię.

– Odsuń się! – wrzasnąłem. – Cholera by cię wzięła!

Śmiejąc się, usiadła mi okrakiem na brzuchu, przyciskając całym ciałem do podłogi i prawie gruchocząc kości.

W tej sekundzie usłyszałem skrzypnięcie otwieranych drzwi.

Znieruchomiałem, kiedy nagle spoza parawanu, służącego za

ściankę między pokojem a wejściem, wysunęła się czyjaś dłoń.

– Cześć, to ja... – dłoń przesunęła przepierzenie, za którym ukazała się dziewczyna ubrana w szkolny mundurek – Diletta.

Przyszłam... Ojej!

Zdębiała, dostrzegając nasze ciała splecione na posadzce w dwuznaczej, delikatnie mówiąc, pozycji. Wyglądała przekomicznie. Zakryła usta ręką, zrobiła się buraczkowa i chwiejnym krokiem cofnęła się, obserwując nas rozszerzonymi oczami.

– Przepraszam, nie chciałam przeszkodzić! – zapewniła gorączkowo. – Nie sądziłam, że... – przerwała nagle, jakby zabrakło jej słów, i zanim zdążyliśmy zareagować, wybiegła z pomieszczenia.

– Ups – zdołała wyartykułować Henriette.

– Szlag... – prychnąłem.

Zepchnąłem ją z siebie, zerwałem się, poprawiłem ubranie i wypadłem na korytarz. Dogoniłem Dilettę na schodach.

– Ej! Stój!

Odwróciła się, ze spuszczonego wzrokiem i wciąż zaczerwienionymi policzkami. Zdawała się autentycznie zawstydzona tym, co zobaczyła. Podszedłem do niej i chwyciłem za kurtkę.

– Kto ci dał mój adres? – warknąłem.

Uwolniła się z uścisku, wyraźnie przestraszona, i przywarła plecami do barierki.

– Zapytałam... w sekretariacie.

– Po co?

– Opuściłeś dziś lekcje i... pomyślałam, że... – zawahała się, nieśmiało na mnie zerkając – ...że może jakiś Anioł...

– No proszę cię! – zawołałem z irytacją. – Nie mów, że uznałeś, iż ucierpiałem w starciu z ptaszydłami. To tak absurdalne, że robi mi się niedobrze.

Na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie. Chyba nie spodziewała się podobnej reakcji. Mocniej się zaczerwieniła, tym razem jednak nie tylko na skutek zmieszania. Ów komentarz ewidentnie ją zabolął. Ale czego oczekiwała? Że się wzruszę i podziękuję? To nie w moim stylu.

Zwłaszcza wobec kogoś równie pospolitego.

Cholera, jak bardzo trzeba być ograniczonym, żeby wpaść na tak nedorzeczny pomysł?

– Idiota – wycedziła. – Brakuje ci nawet podstaw dobrego wychowania.

– Co ty nie powiesz. Nikt mi tego nie zarzucił... w ciągu ostatnich dwóch minut.

– Chciałam sprawdzić, czy żyjesz! – pisnęła, jakby podejrzewała, że dotąd nie pojąłem celu tej wizyty.

– No cóż, rozczaruję cię. Nie żyję. Od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego roku. W moim grobie znajdziesz zaledwie proch i kości.

Zakłęta pod nosem, zeszła kilka stopni i ponownie się odwróciła.

– Mam nadzieję, że po śmierci się na ciebie nie natknę – burknęła.

Teatralnym gestem złapałem się za serce, niby do głębi zraniony tymi słowami.

– Nie! Diletta Mair mnie nienawidzi. Boże, nie zniosę tego! – zakrzyknąłem zrozpaczonym głosem. – Popęłniłbym samobójstwo, gdyby nie to, że już umarłem.

Zacisnęła pięści.

– Cała ludzkość byłaby ci wdzięczna.

– Mair, Mair... Opowiadając takie straszne rzeczy, trafisz do piekła wraz ze swoim braciszkiem.

Zachwiała się niczym spoliczkowana. Jej cera przybrała niezdrowy, zielonożółtawy kolor, a oczy zwilgotniały.

Wzmianką o bracie zadałem cios poniżej pasa.

– Idź... idź do diabła – wyszeptała.

– Nie wysyłaj mnie tak blisko, skoro wolę przebywać z dala od ciebie.

Runęła schodami w dół, przeskakując po dwa stopnie i drżącymi rękoma przytrzymując się barierki.

– Aha, jeszcze jedno! – zawołałem. – Nie musisz wpadać z kolejną wizytą. Dziś się stąd zmywam. Najprawdopodobniej na zawsze.

Przystanęła i chwilę przyglądała mi się zaskoczona.

– Tylko nie płacz, dziewczyno! – zaśmiałem się. – Jeśli masz za mną tęsknić, rzuć się z balkonu.

Zaskoczenie od razu zmieniło się we wściekłość.

– Wyplączę się w poduszkę. Do zobaczenia. Kiedyś – powiedziała zimno i wyszła, trzaskając drzwiami.

Kilka sekund bez ruchu wpatrywałem się w miejsce, w którym przed momentem się znajdowała.

– Jesteś najbardziej chamską osobą, jaką w życiu spotkałam – stwierdziła Henriette, obserwująca mnie ze szczytu schodów.

– Okrutną – poprawiłem. – To właściwsze słowo.

Pokręciła głową.

– Co to za dziewczyna? Dziwne, że nas widziała...

– Koleżanka z klasy. Pamiętasz? Wspomniałem ci o niej, gdy spotkaliśmy się miesiąc temu. Właśnie ona zarejestrowała wtedy moją obecność.

– Chodzisz z nią?

Wybuchnąłem śmiechem.

– Zakładasz, że aż tak się stoczyłem?

– Wydaje się miła. No i przyszła cię odwiedzić.

– Wyłącznie by przekonać się, czy żyję.

– To żart?

Wzruszyłem ramionami. Lepiej nie wyjawiać, że Diletta zna

naturę Lilim. Po co wywoływać awanturę tuż przed wręczeniem dyplomów?

Zegar wybił akurat trzecią po południu.

– Kiedy się stąd ewakuujemy? – spytałem.

– Ja już. Nie chciałabym doświadczyć kolejnego ataku molestowania seksualnego.

– Molestowania seksualnego? – powtórzyłem. – To ty na mnie napadłaś i zawstydziłaś przy okazji tę głupią cnotkę. Aha – dodałem

– daj mi więcej czasu, pozbieram rzeczy.

– Taki geniusz jak ty z pewnością nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Przekształciła broń w Minuttę i małym ostrzem przecięła sobie skórę na dłoni. Lekko skrzywiła się z bólu, patrząc na spływające po palcach strużki krwi.

– Będiesz za tym wszystkim tęsknić?

Uniosłem brwi.

– Oszalałaś?

Westchnęła, sugerując, że uznaje mój przypadek za nieuleczalny. Zakrwawionymi opuszkami namalowała na posadzce faliste linie, przypominające kręcone, czerwone włosy. Po chwili krew zbulgotała i strzeliła płomieniami czarnego ognia, które sięgnęły aż do kolan Henriette.

Tylko w taki sposób Lilim mogą przenieść się z jednego świata do drugiego. Ów prosty rysunek przedstawia fryzurę matki demonów, Lilith, i stanowi zarazem początek tunelu prowadzącego do Panteonu, krainy zmarłych.

– Przepróż ją, zanim odejdziesz – wyszeptała. Płomienie wzbijały się wyżej i wyżej. – Nie pozwól, by myślała o tobie jako o tym, kim w rzeczywistości jesteś.

– Nie gadaj głupot. Dla obojga będzie lepiej, jeśli się już więcej nie spotkamy.

Nie doczekałem się żadnej reakcji. Ogień nagle zgasł. Na

podłodze wciąż widniał krwisty malunek, ale Henriette zniknęła.

Powłócząc nogami, skierowałem się do pokoju.

– Do zobaczenia... nigdy, Diletta – powiedziałem cicho.

Diletta

Debil. Debil. Debil. Debil.

Nie przychodziło mi do głowy inne określenie... No dobra, owszem, lecz wolałabym nie miotać na prawo i lewo najprzeróżniejszych obelg. Debil wystarczy.

Pieprzony debil!

O, właśnie. Nic dodać, nic ująć.

Wtem obok, w niebezpiecznie małej odległości, przemknął skuter. Uskoczyłam, ratując się przed wpadnięciem pod koła.

– Pieprzona debilka! Uważaj, jak łazisz!

Ze złością kopnęłam w krawężnik. Bajka. Co za wspaniały świat. I jakie cudowne życie. Cholera jasna, tak mną trzęsie, że z chęcią bym komuś przyłożyła.

Snułam się po mieście, odkąd wyszłam od Aloisa. Nie wróciłam nawet do domu na obiad. Zupełnie straciłam apetyt. Zresztą mama i tak się nie zorientuje. Ostatnio prawie codziennie jada z ukochanym Jerome'em. Niemal zapomniała o istnieniu córki.

Miałam fatalny humor. Nie tylko z powodu wizyty u Petersena. Ani razu dotąd nie czułam się równie... pusta? Czy raczej opuszczona? Okazało się, że przeżywam związek mamy mocniej, niż potrafiłam przyznać... Po ulotnieniu się ojca i śmierci brata została mi wyłącznie ona... I dotychczas zawsze mogłam na nią liczyć. A na dokładkę... historia z Noahem. Nie, nie udawaliśmy, że się nie znamy. Kiedy umawiałam się z Hamem i Febe, zwykle do nas dołączał. Na przerwach też się przysiadał. Ale właściwie nie rozmawialiśmy. Nie umiałam spędzić z nim sam na sam ani sekundy. Gdy przypadkowo się na siebie natykaliśmy, rozpaczliwie szukałam wymówki, żeby uciec.

Nie odprowadzał mnie już po zajęciach. Ja zaś unikałam go, idąc do szkoły.

Ham i Febe domyślali się, że coś między nami zaszło, ale o nic nie pytali. Uszanowali to obopólne milczenie.

Jak nie oni.

W krótkim okresie utraciłam oparcie w dwóch bliskich osobach... Nie bez pomocy tego kretyna Aloisa, który oto oznajmia, że się zmywa.

Nie wiedzieć czemu, potęgowało to wrażenie osamotnienia. Co za pieprzony debil!

Uf... nieco mi ulżyło.

Zatrzymałam się przed kinem. Piąta dziesiąta. O tej godzinie i w środku tygodnia, nie powinno być tłumu. Sprawdziłam, ile mam pieniędzy. Wystarczy i na bilet, i na prażoną kukurydzę.

Nagle ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie odrobiłam lekcji na jutro... Muszę skończyć ćwiczenia z chemii i wypracowanie na niemiecki, a także przygotować się – od zera – do odpytywania z biologii.

Nie wyrobię się, jeśli...

Westchnęłam z rezygnacją i przekroczyłam próg obklejonego filmowymi plakatami budynku.

– Poproszę jeden bilet do sali szóstej.

– Jeden? – upewnił się siedzący przy kasie chłopak, ewidentnie zaskoczony.

Jeden, idioto.

– Tak chyba powiedziałam – wymamrotałam, bezskutecznie próbując się uśmiechnąć.

Przecież doskonale zdaję sobie sprawę, że mało kto wybiera się do kina w pojedynkę. Chodzi się z przyjacielem, rodziną, znajomymi... Jasne. Ale po co to ostentacyjne zdziwienie?

Następny pieprzony debil.

Zrezygnowałam z kupna popcornu, chociaż żołądek zaczął dopominać się o swoje. Nie zniósłabym kolejnego kpiącego spojrzenia i znaczącej miny.

Do seansu brakowało dziesięciu minut, lecz postanowiłam od razu pójść do sali. Niestety, przypuszczenia co do liczby osób nie potwierdziły się. Było pełno ludzi. Najwidoczniej trafiłam na jakiś nowy film, bo niby skąd, do cholery, tyle szepczących z ożywieniem albo ciskających w siebie kukurydzą gruppek przyjaciół i całujących się par?

Stałam w wejściu, zastanawiając się, czy się nie wycofać. Nie, już za późno... Zdążyłam wzbudzić zainteresowanie kilku chłopaków.

Wbiłam ręce w kieszenie i nie odrywając wzroku od podłogi, podeszłam do rzędu, w którym znajdowało się moje miejsce. Opadłam na fotel z twarzą płonąca pod wpływem trudnych do zdefiniowania emocji. Tuż za mną siedziała paczka młodszych o rok lub dwa, drących się i wygłupiających nastolatków. Swą obecnością najwyraźniej zdopingowałam ich do jeszcze większej aktywności, gdyż na kolanach wylądowało mi ziarno kukurydzy, zostawiając na spódnicy tłustą plamę, a potem ktoś tak mocno kopnął w oparcie, że aż się zachwiałam.

Bez wątpienia niecierpliwie czekali na reakcję... Przypuszczalnie mieli nadzieję, że się odwrócę, wydzierając niczym opętana. Ograniczyłam się jednak do pochylenia i splecenia dłoni, prosząc w duchu, aby pochłonęła mnie ziemia. Interpretując to milczenie jako przyzwolenie, chłopcy kontynuowali zabawę.

Do oczu napłynęły mi łzy. Dlaczego na to pozwalałam? Czemu nie wstanę i nie obrzucę ich stekiem wyzwisk?

Bo jestem tchórzem. Właśnie dlatego. Inaczej szczerze porozmawiałabym z mamą na temat jej nowego małżeństwa. Zerwałabym znajomość z Noahem i odgryzłabym się Petersenowi, kiedy wspomniał o moim bracie.

I dlatego też tkwiłam sama w kinie, czując się tak niekomfortowo, jak to tylko możliwe, i modląc się o zgaszenie świateł.

Żałosne.

W końcu nie wytrzymałam. Podniosłam się, ze spuszczoną głową opuściłam salę i pędem przemierzyłam hol. Zatrzymałam się dopiero na ulicy. Głęboko odetchnęłam i oparłszy dłonie o uda, policzyłam do dziesięciu, a następnie się wyprostowałam.

Błąd.

W odległości paru centymetrów majaczyła twarz zjawy. Z wrzaskiem się odsunęłam i energicznym krokiem ruszyłam przed siebie.

Cholera. Znowu się zdradziłam. Ale jak tu zachować spokój? Wcześniej nie podchodziły tak blisko. I nie wpatrywały się tak intensywnie.

Skręciłam za róg i natychmiast natknęłam się na jeszcze jedno widmo. Tym razem stłumiłam krzyk. Obróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni i przyspieszyłam.

Przebiegłam przez ulicę, wymijając próbujące zastąpić mi drogę kolejne duchy, obojętne wobec przenikających przez nie innych przechodniów, i weszłam w boczną alejkę, ale napotkawszy białawy mur, utworzony z niematerialnych kończyn oraz przeszywających bez litości oczu, momentalnie się cofnęłam.

Boże... co się dzieje? Umówiły się, żeby mnie śledzić? Rzuciłam się do daremnej ucieczki. Pojawiały się wszędzie. Przy koszu na śmieci, naprzeciwko wystawy sklepowej, obok zaparkowanego samochodu, na latarni, dachu, słupie elektrycznym... Cały świat skrył się pod mlecznym, widzialnym wyłącznie przeze mnie płaszczem, stopniowo tłumiącym wszelkie przejawy życia.

Potworne. Wręcz nie do zniesienia.

Gnałam najprędzej, jak potrafiłam, z coraz większym trudem łapiąc oddech. Ludzie z ciekawością się za mną oglądali.

Zaczęło robić mi się słabo...

– Ej, Diletta!

Zwolniłam, rozpoznając głos Hama. Stał po drugiej stronie ulicy, z Febe, w otoczeniu chmury widm. Oboje dźwigali siatki z zakupami.

Nie spuszczać z nich wzroku, weszłam na ledwo dostrzegalne spod gęstej, półprzezroczystej masy przejście dla pieszych. Powinnam była najpierw rozejrzeć się na boki.

Ale się nie rozejrzałam.

Znieruchomiałam, usłyszawszy potworny pisk. Okrzyk przerażenia uwiązt mi w gardle, gdy zobaczyłam pędzący w moim kierunku terenowy samochód.

Wtedy zrozumiałam, co to strach. Nie chodzi o zdenerwowanie, przez które pocą nam się dłonie, kiedy czekamy na wyniki najpewniej oblanej klasówki, ani o lęk towarzyszący przebudzeniu z nocnego koszmaru. Nie mam też na myśli obawy o utratę najlepszego przyjaciela, przepelniającej nas po burzliwej kłótni.

Mówię o strachu przed śmiercią.

Starłam się poruszyć, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Ciało poddało się, chociaż rozum przekonywał, że nie jest za późno, że zdążę odskoczyć, ratując życie. Nie dałam rady. Ciężko oddychałam, a oślepiona naraz blaskiem świateł, skuliłam się. I wtem potworna siła spowodowała, że straciłam kontakt z ziemią, wzlatując w powietrze. Nie czułam bólu, a jedynie przejmujące pulsowanie. Upadłam na plecy, z impetem uderzając karkiem i głową o asfalt. Rozległ się trzask, chyba łamanej kości, lecz i tym razem nic nie zabolalo...

Nie wiem, ile czasu leżałam na ziemi. Nagle zadygotałam z zimna i uniosłam powieki. Czy nikt nie zamierza mi pomóc? Właśnie potrącił mnie samochód!

Ostrożnie usiadłam, rejestrując dookoła dziwne wibrowania. Cała

się trzęsłam. To niewątpliwie reakcja organizmu na twarde lądowanie... Jeszcze trochę i wpadnę w hipotermię. Ale... czemu nie pęka mi głowa? Na ulicy widać przecież krew...

Zatrważająco dużo krwi.

Podniosłam rękę i przejechałam palcami po skórze w miejscu, gdzie prawdopodobnie znajduje się rana. Nie wyczułam jednak nic niepokojącego.

Matko...

Byłe nie ulec panice... Po prostu uderzyłam się łzej, niż sądziłam. Co prawda wokół jest czerwono, ale to o niczym nie świadczy; nawet malutkie zadrapania na głowie zwykle obficie krwawią. Lepiej zająć się Hamem i Febe. I tym idiotą za kierownicą, który nie wyhamował przed pasami.

Gdy tylko wstałam, doznałam niezwykłego wrażenia. Jakby wiatr stanowił integralną część ciała... Nie mając odwagi spojrzeć w dół, dotknęłam dłonią piersi.

Przeszła przez nią na wylot.

Zabrakło mi powietrza i wrzasnęłam tak głośno, że o mało nie zerwałam sobie strun głosowych, a następnie wybuchnęłam bezsilnym płaczem. Ta sytuacja przypominała senny koszmar...

Problem w tym, że jak na sen zdawała się zbyt realna.

Puściłam się biegiem, marząc, by oddalić się od tej przeklętej ulicy, schronić w domu i w łóżku czekać na mamę.

A niech sobie przyprowadza Jerome'a.

Wtem doszedł mnie rozdzierający krzyk Febe. Zatrzymałam się i odwróciłam.

Dopiero teraz zauważyłam tłumek gapiów otaczających półkolem miejsce wypadku i z poruszeniem wymieniających ciche komentarze. Podeszłam do nich i przycisnęłam się do środka.

Ujrzałam szlochającą na ziemi Febe, potwornie bladego, wpatzonego w nią Hama i nieznanego mężczyznę z przerażeniem

obserwującego rodzeństwo.

– Diletta! – zawyła Febe, połykając łzy.

– Jestem. Tutaj. Co się dzieje? – spytałam, robiąc krok do przodu.

– Fe...

Zdrętwiałam.

Możemy przygotować się na mnóstwo rzeczy, ale raczej nie na widok przyjaciółki rozpaczającej nad naszym martwym ciałem. Dostrzegłam swoje odbicie w matowych, szeroko otwartych oczach. Moich oczach. Miałam zakrwawioną twarz i ogromną ranę na skroni.

Boże... Co to wszystko znaczy?

Uklęłam, nie dając rady dłużej utrzymać się na nogach. Naraz pojęłam.

Nie żyję.

– Diletta! Powiedz coś! Proszę! – jęczała Febe.

Ham spróbował się odezwać, lecz zamiast tego wydał ochrypły, niezrozumiały dźwięk. Nie orientują się, że znajduję się tak blisko... Znowu się rozplakałam i drżącymi ramionami objęłam przyjaciółkę, przenikając przez nią niby... wiatr.

– Febe... jestem... tu – wyszeptałam.

Nikt mnie nie usłyszał.

– Przepraszam, ja... – wyjąkał nagle stojący obok mężczyzna.

– Zamknij się! – wrzasnęła Febe. – Zabiłeś ją! Zabiłeś! Ty dupku!

– To był wypadek!

– Doniosę na ciebie na policję! Zgnijesz w więzieniu! Morderca! Zerwała się i rzuciła na niego z pięściami.

Ham w ostatniej chwili zdołał ją złapać. I on szlochał.

Boże. To zły sen... Nie byłam martwa. Ta dziewczyna o oczach bez wyrazu... to nie ja. To na pewno nie ja. Co jednak zastanawiające... nie rejestrowałam bicia własnego serca, a przecież niewątpliwie waliło jak oszalałe...

– Karetka już jedzie, ale lepiej przykryjmy ciało – zasugerował ktoś z gapiów.

Z grozą patrzyłam, jak zakrywają mnie płaszczem... Wtem z tyłu rozległ się inny głos:

– A nie mówiliśmy?

Odwróciwszy głowę, spostrzegłam kołyszące się widmo. „Dziewczyno, śmierć nie jest tak daleko, jak sądzisz. Jeśli pomożesz nam, pomożesz też sobie”. Powtarzałam w myślach te słowa, obserwując zbliżającą się, osaczającą mnie chmurę duchów.

Właśnie dlatego Alois radził je ignorować... To wszystko ich wina. Gdybym nie usiłowała przed nimi umknąć, docierałabym już do domu, cała i zdrowa, zamiast leżeć na ulicy z pękniętą czaszką.

– Odczepcie się wreszcie – wycedziłam. – Cel osiągnięty, prawda? Wynoście się więc!

– Nie – usłyszałam. – Stałaś jedną z nas. Nie przeszłaś na drugą stronę. By nie paść ofiarą Aniołów, musisz się trzymać z nami.

– Że... co?

– Nie dołączyłaś do Lilim. Woliałaś pozostać w Świecie Żywych. Jesteś z nami – podkreśliła zjawa.

– Niczego nie wołałam! – pisnęłam, cofając się.

– Świadomie... nie.

W tym momencie powietrze zafalowało i zapanowała kompletna cisza. Niespokojnie rozejrzałam się dookoła. Zrobiło się tak potwornie gorąco, że zaczęłam mieć problemy z oddychaniem.

– Dlaczego... – przerwałam, gdy coś ze świstem przeleciało w niewielkiej odległości od mojego nosa.

Gwałtownie odskoczyłam i upadłam na asfalt. Podniósł się wrzask i z trwogą zobaczyłam, że z piersi ducha wystaje rękojeść sztyletu. Zjawa, jęcząc, skręcała się w konwulsjach, aż wreszcie zniknęła bez śladu.

Cisza...

– Anioły!

Błyskawicznie wstałam. Na własnej skórze zdążyłam się już wszak przekonać, co oznacza ich obecność. Nie widziałam skrzydeł, ale nie wątpiłam, że są tuż obok. Jakiś szósty zmysł, z którego istnienia nie zdawałam sobie wcześniej sprawy, ostrzegał przed niebezpieczeństwem, nakazując maksymalną czujność.

Należy uciekać. Uciekać! Natychmiast!

Powietrze ponownie zadrgało. Zerknąwszy w prawo, ujrzałam białe pióra i imponującą postać ubranej w zwyczajny strój kobiety. Zatrzepotała skrzydłami, dużo większymi niż Noaha, prawie uderzając mnie w twarz.

Przełknęłam ślinę. Anioł.

Nie mam szans. Kobieta, z grymasem bynajmniej niekojarzącym się z obrazami Rafaela czy freskami Michała Anioła, wyjęła z płaszcza dwa sztylety. Uniosła rękę, lecz nim zaatakowała, oślepił mnie posrebrzany blask. Pióra naraz zmieniły się w wirujące na wietrze białe nitki.

Przede mną pojawił się Lilim. Rozpoznałam go po oryginalnym mundurze: Alois nosił podobny. Uśmiechał się, kołysząc floretem.

– Cześć, mała – przywitał się. – A gdybyśmy się stąd wynieśli? Mocno chwycił moją dłoń i przyciągnął mnie do piersi.

Przytuliłam się, dalej nie do końca pojmując, co się właściwie dzieje. Jeszcze raz spojrzałam na Hama i Febe. Objęci, wciąż wpatrywali się w... zwłoki. Zacisnęłam powieki. Rozległ się nieprzyjemny szmer, a po chwili ogłuszające bzyczenie. Kiedy otworzyłam oczy, okazało się, że znajduję się w pomieszczeniu pełnym pustych łóżek. Odsunęłam się od Lilim, bacznie mu się przyglądając. Był starszy niż ja, o włosach niemal tak jasnych jak Aloisa i nawet bardziej odpychającym uśmiechu.

Nagle, poczuwszy silne pieczenie, skierowałam wzrok na zranione przed miesiącem przedramię.

2.10.2003.

Taki tatuaż widniał na zaczerwienionej i lekko spuchniętej skórze wokół blizny. Wiedziałam, co to za numer. Data mojej śmierci.

– Witaj w Panteonie, naszym swoistym niebie – powiedział Lilim. – Nazywam się Enns Petersen i jestem Generałem Oddziału Numer Cztery.

Dziwne. Mówi się, że umrzeć to zapomnieć, a jednak w tej sekundzie pomyślałam o wypadku, w wyniku którego zginęłam.

I zemdlałam.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po życiu

Alois

Co za nuda.

Nie potrafię uśmiechać się z wdzięcznością. Właściwie w ogóle nie potrafię się uśmiechać. Owszem, umiem unosić lekko kąciki ust albo się krzywić, ale te grymasy nie wyrażają żadnych głębszych emocji. Dlatego teraz, siedząc w towarzystwie Generałów i Stratega i prezentując wszem wobec swoje uzębienie wraz z niemałą częścią dziąseł, czułem się jak idiota.

Generał Mei Tsu-zu, Azjatka o twarzy w kształcie serca i długich, czarnych włosach, wymownie na mnie popatrzyła, jakby to, że nie jestem zdolny do szczerego uśmiechu, napełniało ją współczuciem. Stojący obok niej dumny Dimitri Valya przyglądał mi się zaś z irytacją. Wiedziałem, że uznaje mój awans na stanowisko Generała Broni tuż po ukończeniu Akademii, w której spędziłem raptem dwa lata, za przedwczesny.

Jeszcze mocniej się skrzywiłem. Ach, te niedogodności urodzenia się geniuszem...

– Nie jesz?

Wzdrygnąłem się i zwróciłem w stronę Stratega Zaccarii Lawrence'a, najwyższego przełożonego Panteonu. Był kimś: wielką osobistością, najlepszym z możliwych dowódców. Wybrano go jednomyślnie dwadzieścia lat temu. Gdybym brał udział w tamtym głosowaniu, też nie miałbym cienia wątpliwości, jaką podjąć decyzję.

– Jem, oczywiście, że jem. Przepraszam – wymamrotałem i bez

entuzjazmu nadziałem na widelec kawałek mięsa z prawie nietkniętego talerza.

Zaccaria zmarszczył czoło, podnosząc do ust kieliszek napełniony najwyborniejszym winem naszego świata.

– Nie musisz jeść, jeśli brak ci apetytu. I z pewnością nie musisz przeproszać – oznajmił z poważną miną, lecz w jego oczach dostrzegłem tak charakterystyczną dla niego dobroduszość.

Zaśmiałem się z przymusem i wbiłem wzrok w stół.

Mimo postawnej sylwetki Zaccaria Lawrence nie przyciągał uwagi. Chodził nieco przygarbiony, jakby dźwigał na barkach niewidzialny ciężar, i nie zwykł wkładać przysługujących mu z tytułu pełnionej funkcji bogato zdobionych strojów. Wolał tradycyjny mundur. Zawieszony u pasa duży medalion ze złota i srebra stanowił jedyny element odróżniający ubranie Stratega od garderoby Generałów i ich zastępców. Zawsze opanowany i uprzejmy, krył w sobie wewnętrzną siłę, której nikt nie był w stanie dorównać.

W Panteonie o Zaccarii krążą legendy. Zdaniem wielu to najwybitniejszy Lilim wszech czasów. Ponoć kiedyś, w trakcie wyjątkowo krwawego ataku ptaszydeł, zakończonego śmiercią wszystkich jego towarzyszy, wygrał z armią ponad sześćdziesięciu Archaniołów. A miał wtedy zaledwie dziewiętnaście lat.

Mógł uciec, ale nie chciał pozostawić ciała Lilim ze swojego Oddziału. Został więc i walczył.

Niektórzy przekonują, że wstawił się wtedy za nim sam Bóg, doceniwszy to poświęcenie. Kto wie...

– Przy okazji... Gdzie się podział twój brat? – zapytał Zah Brown, Generał Trzeciego Oddziału, mężczyzna o ciemnej, niemal hebanowej skórze, czarnych oczach i grubych wargach.

To właśnie Oddział Numer Trzy wybrał mnie na Generała Broni. Nie spodziewałem się takiej decyzji, oczekując raczej awansu

Henriette. A jednak... Rozzłoszczona na „albinosowatego gnojka” za sprzątnięcie jej sprzed nosa owego drugiego po Generale stanowiska, przypatrywała mi się z przeciwległego rogu sali z wyraźną antypatią.

– Nie mam pojęcia. Myślałem, że pojawi się na uroczystości.

– Jak nic zabawia się z Charlottą! – zawołał tubalnym głosem Horacio Kaspar, olbrzym z twarzą niezmiennie wykrzywioną w drapieżnym grymasie i dowódca Oddziału Numer Pięć. – Tylko pozazdrościć!

– Nie widzisz, że tu stoję? – warknęła Charlotta, Generał Pierwszego Oddziału. – Przymknij się lepiej, ty glisto. Nie prowokuj mnie do obcięcia ci tego długiego jęzora.

– Nie unosź się, kobieto – mruknął Horacio, puszczając do niej oko. – Swoją drogą, śmieszne, że nazywasz glistą osobę przewyższającą cię o cztery głowy.

– Spokój! – rozkazał Ángelo Vendetta, kierujący Oddziałem Numer Siedem.

Wysoki i szczupły, o długich kręconych włosach, był obiektem westchnień większości zamieszkujących Mauzoleum przedstawicielek płci pięknej. Słynął z podejmowania się roli rozjemcy w nierzadko wybuchających pomiędzy Generałami poszczególnych Oddziałów kłótniach.

Zerknąłem na okno. Do cholery, co się dzieje z Ennsem? Jako przełożony Czwartego Oddziału powinien uczestniczyć w tej przekłetej kolacji... Poza tym to mój brat. Obrażę się, jeśli nie przyjdzie. Więcej. Okropnie się wścieknę.

Nieodpowiedzialny dupek.

W tym momencie wszedł do sali. Jak zawsze uśmiechał się w typowy dla siebie, nieprzyjemny sposób. Chętnie bym go teraz udusił...

– Co za bezczelność... – szepnął Dimitri Valya, a następnie

zapanowała cisza.

Kącki ust Ennsa nawet nie drgnęły. Poczułem się nieswojo. Mało kto potrafi uśmiechać się bez względu na okoliczności...

Owa nietypowa umiejętność czasem przejmowała mnie lękiem.

– Wybaczcie... Musiałem odbyć krótką wizytę.

Wymieniliśmy podejrzliwe, nieco zaskoczone spojrzenia. Strateg odchrząknął.

– Chyba niezwykle ważną, skoro spóźniłeś się na ceremonię – zauważył łagodnie.

Nikogo nie zwiódł ten ton. Wiedzieliśmy, że Zaccaria Lawrence zażądał od Ennsa wiarygodnych wyjaśnień.

Dla jego własnego dobra.

Brat lekko przekrzywił głowę. Często wykonywałem identyczny ruch... Nie wydawał się ani odrobinę zmieszany.

– Bezsprzecznie spowodowało ją coś... niezmiernie interesującego.

Wystarczyło, by zaintrygować wszystkich obecnych... Tego typu zagrywki wychodzą mu bezbłędnie. Już jako smarkacz był w nich mistrzem.

– Słuchamy więc.

Jeszcze chwilę milczał, prawdopodobnie chcąc potrzymać nas w niepewności. Westchnąłem. Ale z ciebie pajac, Enns...

Wreszcie się odezwał:

– Coś... a raczej ktoś nakłonił mnie do przeniesienia się do Świata Żywych. Zostałem wezwany.

Znowu po sobie popatrzyliśmy, ze znacznie większym zaskoczeniem niż poprzednio.

– Jakiś Lilim? – spytał Generał Kaspar.

– Skąd. Ludzka istota, która właśnie umarła. Przyprowadziłem ją, uprzedzając mordercze zamiary pięknej Anielicy.

– Niemożliwe, by zwykły duch przywołał przebywającego

w Panteonie Lilim – wtrącił Dimitri Valya. – Nawet jeżeli zgodnie z przeznaczeniem ma do nas dołączyć.

– Co ciekawe – kontynuował Enns, ignorując tę uwagę – wezwała mnie zupełnie nieświadomie.

Nieźle... Jeśli ta osoba rzeczywiście dała radę ściągnąć jednego z Lilim, jest kimś niezwykłym.

Wtem przyszła mi do głowy pewna myśl, wywołując szybkie bicie serca.

– Chodzi o młodą dziewczynę?

– Tak. Szesnasto- albo siedemnastolatkę – odparł Enns. – Wydaje się dosyć wątła. Od razu zemdląca. Kiedy ją zostawiałem, wciąż nie odzyskała przytomności.

Przełknąłem ślinę.

– Gdzie ma wytatuowaną datę śmierci?

– Na lewym przedramieniu.

Nie potrzebowałem dalszych wyjaśnień. Zerwałem się, uderzając oparciem krzesła o ścianę, i wybiegłem z sali żegnany okrzykami:

– Ej! Petersen!

– Gdzie, do cholery, lecisz?

Przyspieszyłem, modląc się, by wywracające moje życie do góry nogami przypuszczenie okazało się mylne.

Pokonanie drogi do Budynku Przyjęć zajęło mi ponad dziesięć minut. Dobrze znałem to miejsce. Raz w miesiącu odbywamy tu dwunastogodzinne dyżury, czekając na nowych zmarłych. Należy zająć się nimi w pierwszych godzinach po śmierci i delikatnie, biorąc poprawkę na udręczony niedawnymi wydarzeniami umysł, wytłumaczyć, gdzie trafili.

Wpadłem do środka, niemal wyważając drzwi. W recepcji siedziała najwyżej dwudziestoletnia Lilim. Chciała mnie zatrzymać, ale gdy dotknąłem wiszącej na piersi Minutty, zrezygnowała z tego pomysłu.

Wszedłem po schodach i skierowałem się prosto do Sali Powitań, w której nowo przybyli odpoczywają tuż po dotarciu do Panteonu. Przekroczyłem próg wielkiego pomieszczenia pełnego łóżek i rozejrzałem się, lecz nikogo nie dostrzegłem. Zaraz, zaraz... Nikogo? A jednak... Pod ścianą, skulona, szlochała dziewczyna o rudawych włosach.

Rety. To ona.

Podszedłem bliżej.

– Diletta.

Uniosła głowę i jej źrenice gwałtownie się rozszerzyły.

– Ty...

Nim zdążyłem zareagować, rzuciła się na mnie, z całej siły objęła mnie w biodrach i wtuliła twarz w brzuch. Łkała, trzęsąc się, niczym małe dziecko przebudzone z okropnego koszmaru.

Wzdrygnąłem się i nie bardzo wiedząc, jak się zachować, poklepałem ją po ramieniu.

– Ej...

Odrobinę się odchyliła, ukazując czerwony nos i policzki oraz spuchnięte powieki.

– Nie... nie lubię, kiedy ktoś mnie dotyka – wymamrotałem.

Przez dobrą chwilę nie rozumiała, co dokładnie mam na myśli. Wreszcie powoli rozluźniła uścisk i odsunęła się. Otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć, ale zamiast tego ponownie wybuchnęła głośnym płaczem.

Patrzyłem na nią w milczeniu z jednoczesnym zażenowaniem, oszołomieniem, niechęcią, współczuciem...

Stanowczo nie przepadam za takimi rozdzierającymi scenami.

– Słuchaj... Uspokoisz się? Wyglądasz gorzej niż źle – oznajmiłem tonem sugerującym, że zwracam się do nosicielki zakaźnej choroby.

– Uważasz, że mmartwię się... swoim... wyglądem? Przecież... umarłam... – wyjąkała, pociągając nosem. Nagle przycisnęła do

siebie lewą rękę. – I to... przez ciebie! Nie... zginęłabym, gdyby... nie ta rana!

Na nowo zaniosała się szlochem, skrywając twarz w dłoniach.

– Ej! Nie jestem wszystkiemu winny! – zaprotestowałem, siadając obok. – Ostrzegłem cię, żebyś nie rozmawiała z duchami. Wspomniałem, że to ryzykowne.

Poderwała głowę. Jej policzki nabrały naraz purpurowego odcienia, niewiele mającego już wspólnego z niekontrolowanym łkaniem. Nachyliła się, raczej uderzając w podłogę, niż opierając na niej rękę, i pisnęła:

– Bałam się i nie wiedziałam, co robić! Nie przypominam cię... a to, co się działo, wydawało mi się... niedorzeczne!

– Niedorzeczne? I mówi to osoba, która widziała duchy?

– Ale się z nimi nie komunikowałam! – wrzasnęła. – Przynajmniej aż do dnia... kiedy ktoś ozdobił mi przedramię!

Przygryzłem wargi, nagle zmieszany.

– Sądziłaś, że się nie domyśliłam? – krzyczała. – Gdybyśmy się wtedy nie zderzyli, gdybyś mnie nie zadrasnął... żyłabym, prawda? Widma nie zorientowałyby się, że rejestruję ich obecność!

– Zdarzył się wypadek – burknąłem, uciekając wzrokiem. – Nie chciałem tego... Jak według ciebie powinienem był postąpić?

– Wystarczyło uprzedzić, co się może wydarzyć! – zawołała. – Wyjawić, że umrę! Bym chociaż...

– Byś chociaż co? – przerwałem. – Pożegnała się z bliskimi? Uczyniła przed śmiercią to, o czym marzyłaś?

– A co? Że też zachowałeś się tak... tak... Do cholery, dlaczego nic nie powiedziałaś?

Zamachnęła się, by mnie spoliczkować. Mocno chwyciłem ją za nadgarstek i warknąłem:

– Dosyć. Niczego już nie zmienisz. Pojawiłaś się tutaj i to jedyne, co się liczy, i jedyne, na czym należy się skupić. Te „gdyby”

i „dlaczego” pozbawione są aktualnie znaczenia.

Milczała, nie zdoławszy chyba wydobyć z siebie głosu. W końcu zaczęła oddychać nieco spokojniej, a z oczu, z których wyczytałem dziesiątki, wręcz setki pytań, przestały cieknąć łzy.

– A... teraz? – szepnęła wreszcie, uwalniając rękę z uścisku.

Westchnąłem.

– Teraz musisz przyzwyczać się do nowego świata. Czy ci się to podoba, czy nie.

– Świata demonów, tak? Świata na wpół zmarłych...

– Demonów czy Lilim... ale stuprocentowo zmarłych – poprawiłem, cierpko się uśmiechając. – Fakt, że zostałeś wybrana, powinien napawać cię dumą. Dostałaś szansę na drugie... życie, jakkolwiek dziwacznie by to brzmiało.

– Kiedy ja nie chcę takiego życia!

– Mair, nie dołączasz do Lilim, bo tego chcesz... tylko dlatego, że nie masz innej możliwości! Rety... wiem, że chociaż nieźle się kryjesz, kawał z ciebie egoistki. Przecież w głębi duszy cieszysz się, że tu przybyłaś! Mimo że nie zobaczysz już bliskich... Czysty instynkt przetrwania, nic więcej.

Z wściekłością przymrużyła powieki. Mina typowa raczej dla mnie...

– Bywasz odpychający – wycedziła.

Wzruszyłem ramionami.

– Żadna tajemnica.

Pochyliła głowę i ostrożnie, niby dotykając czegoś wyjątkowo kruchego, podwinęła rękaw. Odsłoniwszy wytatuowane na skórze numery, badawczo przyjrzała się nieusuwalnemu śladowi ostatniego dnia w Świecie Żywych. Nie odwróciłem wzroku, chociaż pokazywanie daty śmierci oznacza dla Lilim coś równie intymnego jak wyznanie komuś swoich uczuć. Ale ani ona nie zdawała sobie z tego sprawy, ani ja nie byłem na tyle dyskretny, by uszanować ów

moment prywatności.

2.10.2003. Drugi października... Ciekawe. Co za zbieg okoliczności. Także zmarłem drugiego października. Ponad pięćdziesiąt lat temu.

Nieświadoma malującego się na mojej twarzy zaskoczenia, delikatnie przesunęła palcami po tatuażu. Skojarzyła mi się z pacjentem po amputacji, z rozpaczą przyglądającym się kikutowi.

– Dlaczego... ja?

W zamyśleniu spojrzałem na sufit.

– Cóż, proste. Posiadałaś rzadki dar widzenia duchów...

Dodatkowo jeszcze zapunktowałaś, wzywając jednego z nas w trakcie ataku Aniołów. Właśnie dlatego nie wysłano cię do Grobu, gdzie mogłabyś wieść w miarę normalne życie, co bym zresztą gorąco poparł. Niestety – skrzywiłem się z niezadowoleniem – trafiłaś do Mauzoleum. Innymi słowy – tutaj. Do miejsca, w którym i ja mieszkam... Skądinąd to niesamowite, że udało ci się przywołać mojego młodszego brata.

– Nic z tych rzeczy – zapewniła pospiesznie. – Po tym, jak wpadłam pod samochód, zjawily się Anioły. Bałam się. Bardzo. I nagle ujrzałam tamtego... mężczyznę. Nie przywołałam go!

– Enns może i jest psychicznie nie zrównoważony, lecz bez wątpienia nie kłamie.

Chwilę oglądała sobie dłonie, jakby spodziewała się odkryć w nich coś osobliwego.

– Młodszy... brat? – zapytała. – Wydawał się od ciebie co najmniej pięć lat starszy.

Rety. Ależ nie znoszę w kółko wyjaśniać tego samego.

– Czas płynie tu dużo wolniej niż na ziemi. Kiedy umarłem, miałem jedenaście lat, a Enns dziewięć. Znalazł się w Panteonie przed swoimi dwudziestymi urodzinami. O ile po tamtej stronie minęło prawie jedenaście lat, dla Lilim minęły zaledwie dwa, i gdy

ponownie się spotkaliśmy, okazało się, że wyprzedził mnie o siedem wiosen... Załapałaś czy potrzebujesz wykresu?

– Chcesz powiedzieć, że... że skoro przebywam z wami od kilku godzin...

– ...w Świecie Żywych upłynęła doba – dokończyłem. – Tak, pani Mair na bank została już powiadomiona o wypadku.

Złapała się za głowę, załamana tą informacją. Znowu pociekły jej łzy.

– Potrafisz wrócić! – krzyknęła. – Zabierz mnie... chociaż na moment!

– O czym ty mówisz? – zdziwiłem się.

– Nie żyjesz... ale przecież inni cię widzieli... Pomóż mi dostać się do domu... Uspokoilibym mamę... Proszę.

– Oszalałaś?! – zawołałem zirytowany. – Nie wolno ci tego zrobić! Ludzie pod żadnym pozorem nie mogą dowiedzieć się o naszym istnieniu!

– Dlaczego? Co złego w tym, że jej przekażę, iż w pewnym sensie... wciąż żyję? Że nie powinna rozpaczać...

– To zabronione, do cholery!

– Mama straciła już dwie bliskie osoby! – pisnęła. – Mój brat umarł, ojciec nas opuścił... A jeśli... jeśli nie zniesie kolejnego ciosu?

– Możliwe, że i na nią przyszedł czas...

Mocno splotła dłonie, powstrzymując się przypuszczalnie przed jeszcze jedną próbą spoliczkowania mnie.

– Nienawidzę cię.

– Nie pierwszy raz to słyszę – zakomunikowałem obojętnym tonem. – Aha... zaraz zaczniesz się dusić, więc radzę, byś jednak nabrała powietrza i spróbowała się opanować.

– Jak się mam opanować? Niedawno umarłam!

– Ja zaś muszę wracać na uroczystość wręczenia dyplomu i awansu, którą zresztą zdążyłaś zepsuć swoim przybyciem –

burknąłem.

– Twój egocentryzm ociera się o patologię, wiesz?

– To już też słyszałem – oznajmiłem, obserwując ją z nieskrywaną niechęcią. – No i? Dasz mi wreszcie wytłumaczyć, na czym to wszystko będzie od dziś polegać?

– Dam – szepnęła.

– Dobra... Żeby się jakoś odnieść do znanej ci rzeczywistości... powiedzmy, że my... obywatele Mauzoleum, tworzymy... armię Panteonu, podzieloną na siedem Oddziałów, każdy wyspecjalizowany w innym typie broni i innym rodzaju walki. Zanim

wstąpisz do Oddziału, przechodzisz wieloletnie szkolenie w Akademii. No, chyba że okażesz się takim geniuszem jak ja. W co wątpię – podkreśliłem, mierząc ją krytycznym spojrzeniem. – Co znowu?

Gwałtownie pobladła.

– Więc... jestem kimś na kształt... żołnierza?

– Brzmi nieprawdopodobnie, co? – zaśmiałem się drwiąco. – Chociaż w twoim przypadku lepiej użyć słowa „kuriozalnie”.

– Ale... – wymamrotała po chwili ciszy – ...to absurd!

– Właśnie stwierdziłem mniej więcej to samo, Mair. I uspokój się w końcu, nie zamierzam zbierać cię z podłogi, gdy zemdlejesz.

– Nie zemdleję, idioto.

– Świetnie! – Wzniosłem ramiona, niczym w reakcji na wspaniałą nowinę, a następnie wstałem. Nie podałem jej ręki. – Możemy zatem iść.

– Co? To już cała cudowna prezentacja Świata Zmarłych?

– Ograniczyłem się do streszczenia. Z czasem dowiesz się reszty.

– A dokąd się teraz udamy?

– Matko... – pokręciłem głową – jakby cię tu jeszcze nazwać? Dokąd niby mamy się udać, jeśli nie do budynku, w którym zamieszkaasz?

Odwróciłem się i ruszyłem ku drzwiom. Z tyłu rozległ się stłumiony okrzyk, a potem niepewne kroki. Przyspieszyłem, by zmusić Diletę do biegu.

Dziewczyna z recepcji tym razem nie dała łatwo za wygraną.

– Proszę pana, trzeba poczekać do porannych badań... – poinformowała, usiłując zastąpić mi drogę. – Wszyscy nowi powinni spędzić w Budynku Przyjęć noc, aż...

– To zbędne – przerwałem, zerkając na Diletę. Kredowobiała i w zakrwawionym ubraniu, ledwo za mną nadążała. – Odprowadzę ją do Żeńskiej Rezydencji.

– Ale...

– Chyba dość jasno się wyraziłem – wycedziłem ostrzegawczo, z satysfakcją odnotowując, że w oczach recepcjonistki pojawił się strach.

Odsunęła się i uniżenie skłoniła.

– Tak, Generale Broni. Przepraszam.

Wymownie się skrzywiłem i nie dbając o jakąkolwiek formę pożegnania, wyszedłem.

– Generale Broni? – zdumiała się Diletta, doganiając mnie.

– Uf. Cieszę się, że przynajmniej nie cierpisz na niedosłuch.

– Czyli jesteś tu kimś ważnym? – spytała bez śladu podziwu w głosie.

Nie odpowiedziałem, tylko znacząco na nią popatrzyłem. Westchnęła i skupiła się na rozglądaniu po okolicy.

Księżyc i gwiazdy skryły się za ciężkimi chmurami, więc trudno było cokolwiek dostrzec. Oświetlenie ulic Panteonu należy do raczej skromnych. Nie potrzebujemy lepszego: możemy swobodnie poruszać się po całym terenie, w dzień czy w nocy, nie obawiając się niebezpieczeństwa.

– Alois...

– Petersen – poprawiłem. – Zwracając się do mnie po imieniu,

sugerujesz, że dobrze się znamy, a to oznacza bliskość, której sobie nie życzę.

– Też wcześniej mówiłeś mi po imieniu!

– Wcale nie, Mair – skłamałem.

– Nie mój problem, że w tak młodym wieku masz zaniki pamięci. Bez słowa skręciłem na wiodące w dół kamienne schody i przez chwilę walczyłem z pokusą, by podstawić Dilecie nogę i uciec, zostawiając ją samą. Nie poleciałaby daleko, to raptem kilka stopni... Najwyżej by się odrobinę podrapała, nic więcej. Poza tym znajdujemy się tuż obok Żeńskiej Rezydencji, więc trafiłaby bez problemu.

– Alois...

– Co znowu? – burknąłem, przystając.

Tego akurat nie przewidziała i z impetem na mnie wpadła. Mimo ciemności przysięgłbym, że zaczerwieniła się po uszy.

– Aj, przepraszam! Nie chciałam!

Próbowała się cofnąć, ale potknęła się o własne stopy i przewróciła.

A ja razem z nią.

Pieprzona debilka!

Sturlaliśmy się i kiedy ta cholerna niezdara zorientowała się, w jakiej wylądowaliśmy pozycji, zrobiła się jeszcze bardziej czerwona. Usłyszałem głośnie bicie serca.

Leżała na plecach, oparta o najniższe stopnie, z lekko rozszerzonymi nogami i jedną ręką wyprostowaną wzdłuż ciała, a drugą wyciągniętą ponad głową. Opuszkami palców muskała mi policzek. Siedziałem na niej okrakiem, podpierając się dłońmi o schodek, tak nachylony, że niemal dotykałem tułowiem jej piersi. Nasze przyspieszone oddechy mieszały się ze sobą i choć usilnie starałem się wydać obojętnym, nie potrafiłem ukryć oszołomienia. Przełknąłem ślinę i nieco się uniosłem, odsuwając usta od jej warg.

Wpatrywała się we mnie w napięciu, oczekując zapewne sarkastycznego komentarza.

– W przyszłości... potykaj się... ostrożniej – wydusiłem, przeglądając się w szeroko otwartych, różnokolorowych oczach i z niepojętej przyczyny nie dając rady się podnieść.

Wtem zamrugła i wreszcie odzyskałem panowanie nad mięśniami. Zerwałem się, skrępowany, nie mogąc uwierzyć w to, co przed sekundą poczułem.

– Dotarliśmy do Rezydencji – oznajmiłem zdławionym głosem. – W recepcji się tobą zajmą i przydzielą pokój. Cześć.

Energicznym krokiem ruszyłem z powrotem. Po chwili zatrzymało mnie wołanie:

– Alois! To wszystko? Nic więcej mi nie powiesz?

Powoli się obróciłem. Stała na wyraźnie trzęsących się nogach, przytrzymując się barierki.

– Również umarłem drugiego października. I dobrze mi tu idzie. Może w twoim przypadku będzie podobnie.

Skręciłem za róg, oddalając się od Żeńskiej Rezydencji, Diletty i jej drżących łydek.

Pieprzona debilka.

Świadomość, że dołączyła do wspólnoty Mauzoleum bynajmniej nie napawa mnie radością.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Broń

Diletta

Po przebudzeniu czułam się nieco lepiej niż wczoraj, a przynajmniej z większym spokojem zmierzyłam się ze świadomością, że umarłam, na zawsze opuściłam swój świat. W końcu nic na to nie poradzę. Nie mam dokąd uciec ani do kogo zwrócić się o pomoc. Jedyne, co mi pozostało, to wypłakać się, a potem zaakceptować tę sytuację, przyzwyczaić się i... żyć. O ile można zastosować ten czasownik do określenia drugiej szansy otrzymanej od nieba Lilim. A raczej od piekła demonów.

Ale przede mną jeszcze długa droga. Na razie wyobraźnia nawet we śnie podsuwa mi męczące obrazy i nie umiem przestać myśleć o szlochającej, pogrążonej w rozpacz mamie. niesprawiedliwe, że życie aż tak ją doświadcza. Straciła męża, syna, a teraz córkę. Czy znajdzie dość siły, by się podnieść? W żadnym wypadku nie chciałabym jej tu niebawem spotkać.

A Ham i Febe? Pamiętam wyraz przerażenia na ich twarzach i rozszerzone strachem źrenice... Pozbierali się już? Nie sądzę... Też bym się załamała, gdyby któreś zginęło na moich oczach. Chociaż Noah bez wątpienia zrobi wszystko, żeby ich pocieszyć. Na przykład powie, że prawdopodobnie trafiłam prosto do nieba i jestem szczęśliwa. No cóż, jako małe dzieci inaczej wyobrażamy sobie niebo. I nie czuję się szczęśliwa. Nikogo tu nie znam... z wyjątkiem jednej osoby. Aloisa. A akurat na jego wsparcie nie powinnam chyba liczyć.

Westchnęłam. Noah, miałeś rację... To cholerne skaleczenie zbliżyło mnie do Petersena. Do nieśmiertelności. Ostrzegałeś, żebym uważała, bo igranie z nią wiąże się z ryzykiem. I proszę. Oto w jaki sposób skończyłam.

Spuściłam głowę. Alois sugerował, by nie roztrząsać przeszłości, ale... czy warto stosować się do rad kogoś takiego jak on?

Nie warto.

Na czym więc się oprzeć?

Przeciągnęłam się i wstałam, rozglądając się po pokoju przydzielonym mi nocą w Żeńskiej Rezydencji. Wyczerpana płaczem i strachem zasnęłam dosłownie sekundę po zakopaniu się w wilgotnej pościeli.

Pokój niczym specjalnym się nie wyróżniał: kwadratowe, surowe pomieszczenie o jasnożółtych ścianach, z szafą, biurkiem, dwoma krzesłami i wysłużonym, twardym łóżkiem. Bardziej bezosobowe niż hotelowa sypialnia.

Stałam naprzeciwko dużego lustra. Wyglądałam strasznie: tłuste włosy, ślady łez na twarzy... Stanowczo potrzebuję kąpieli. Szkoda tylko, że nie mam ubrania na zmianę... Zaraz, zaraz... Nie mam? Otworzywszy szafę, odkryłam ciemne spodnie, dziwaczną koszulę o szerokich rękawach i grubą, ciemnozieloną kamizelkę. Obok leżały ręczniki.

Nachyliłam się, gdy dostrzegłam karteczkę.

To moje rzeczy. Doprowadź się do porządku. Weź prysznic, na pewno brzydko pachniesz i dalej jesteś ubrudzona krwią. Przyjdź później coś zjeść. Poleciałem, aby jeszcze dziś dostarczono ci odpowiedni strój.

Alois

Uśmiechnęłam się. Od razu odgadłam, że to on. Kto inny potrafiłby napisać równie suchy i nieprzyjemny liścik? Widocznie spałam niezwykle głębokim snem, skoro go nie słyszałam.

Rety.

Czyli kręcił się po sypialni bez mojej wiedzy?

Średnio zabawne...

Ponownie się rozejrzałam. Cudownie. Nie ma łazienki, co oznacza, że muszę znaleźć ją gdzieś w tym ogromnym budynku. Tego mi akurat trzeba...

Zabrałam ręczniki, czyste ubranie i starając się zbytnio nie hałasować, wyszłam. Przekręciłam klucz. Na wszelki wypadek.

I co dalej? Znajdowałam się w długim korytarzu, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy identycznych, ciemnobrązowych drzwi o pozłacanych zamkach. Ruszyłam przed siebie, ale po chwili zatrzymałam się. Lepiej spytać kogoś o drogę, zamiast się zgubić.

Delikatnie zapukałam do najbliższego pokoju, a nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, nacisnęłam klamkę, nie spodziewając się jednak, że drzwi natychmiast ustąpią.

– Przepra... – znieruchomiałam, ujrawszy szukającą czegoś w szafie około siedemnastoletnią dziewczynę w samej tylko bieliźnie

– ...szam.

Odwróciła się, zaskoczona, i roześmiała, spostrzegając, że się zmieszałam.

– Spokojnie, spokojnie. – Machnęła ręką, bagatelizując zdarzenie.

– Nic się nie stało. Chłopcy mieszkają w innym budynku, toteż nie zamykam się na klucz.

Niepewnie kiwnęłam głową. Ja bym nie była zachwycona, gdyby jakaś nieznajoma wtargnęła do pokoju i zobaczyła mnie w staniku i majtkach.

– ...prysznic, tak?

– Słucham? – Na sekundę zupełnie się wyłączyłam.

– Szukasz prysznicza?

Wydawała się miła. Nieco przy kości, o dużych, ciemnych oczach okolonych długimi, grubymi rzęsami, przykuwała uwagę

niesamowicie kręconymi, czarnymi, śmiesznie układającymi się na ramionach włosami, a także dwoma dołeczkami na policzkach.

– Tak – odparłam. – Przybyłam wczoraj i...

– Ach, więc to ty! – zawołała. Uznać ten okrzyk za dobrą monetę czy wręcz przeciwnie? – Ta nowa przyprowadzona przez Generała Petersena!

– Generała... Petersena? – powtórzyłam. A, jasne. Chodzi o młodszego brata Aloisa. Trudno zapomnieć ten nieprzyjemny uśmiech. – No proszę... Informacje roznoszą się błyskawicznie.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, ewidentnie czymś zafascynowana.

– Tak naprawdę... to była tajemnica – szepnęła, przybierając zagadkową minę. – Ale Generał Kaspar ma długi język. Straszny z niego plotkarz.

– Aha.

Zabrakło mi odwagi, by dopytać, kóż to ten Generał Kaspar. Chwilę milczałyśmy, aż wreszcie postanowiłam przypomnieć powód mojego najścia:

– Pysznic.

– Racja... Przepraszam, jestem dosyć roztrzępana – zachichotała.

– Idziesz do końca korytarza, skręcasz i już. Nie zgub się w łazience! Do małych nie należy...

Nie wiedziałam, czy to żart, czy docinek, lecz na wszelki wypadek lekko się uśmiechnęłam. Wolę nikogo do siebie zbyt szybko nie zrażać.

– A potem? – zaciekawiała się dziewczyna, gdy skierowałam się do drzwi.

– Co zamierzasz? Wybierasz się po broń?

– Broń?

– No tak. Skoro trafiłaś do Mauzoleum, w przyszłości wstąpisz do Oddziału – odparła takim tonem, jakby stwierdzała coś najnormalniejszego pod słońcem. – Potrzebujesz broni.

Oczywiście, ale ze mnie idiotka. Przecież Alois napomknął o dołączeniu do... armii, poprzedzonym szkoleniem w Akademii. Muszę więc mieć narzędzie do ćwiczeń. Jednym słowem broń. Matko... Istne szaleństwo. Miną tygodnie, nim się z tym wszystkim oswoję. A raczej miesiące. Albo lata.

Na samą myśl o wzięciu w ręce czegoś ostrego robiło mi się słabo.

– Pewnie... – Zarumieniłam się.

Określenie „idiotka” trzeba uznać za zbyt łagodne.

– Warto, żeby towarzyszył ci ktoś doświadczony, z większym stażem w Mauzoleum – poradziła. – Znasz kogoś?

Owszem. Osobą wybitnie nienadającą się do wyświadczenia przysług.

– Aloisa Petersena.

Dziewczyna z krzykiem złapała się za głowę. Skojarzyła mi się z histeryczną fanką bliską wybuchnięcia płaczem na widok ukochanego wokalisty.

– Serio znasz Aloisa Petersena?

– Był kolegą z klasy. W Świecie Żywych – wyjaśniłam. – Siedział w ławce obok.

– Co za szczęście... – wyszeptała.

– Tak sądzisz? – Użyłabym raczej antonimu. – Ale... gdzie go znaleźć?

Nie mam pojęcia, jak poruszać się po Panteonie.

– Oj, nie martw się! – Klasnęła w dłonie. – Zaprowadzę cię.

– Poważnie?

– Jasne! Wróć, kiedy się ogarniesz. Czekam!

Z prawdziwą ulgą przyjąłam pozyskanie przewodniczki. Już niemal wychodziłam, gdy powiedziała:

– A przy okazji, nazywam się Loretta. Miło mi.

Mauzoleum dzieli się na siedem części o podobnej powierzchni przynależnych do poszczególnych Oddziałów. Oprócz tego są

jeszcze: teren Akademii, Rezydencje Męska i Żeńska, sklepy i Pałac Centralny, czyli tak zwane ziemie niczyje.

– Niby nic się nie stanie, jeśli ktoś zapaści się w rejon innego Oddziału niż jego własny – tłumaczyła Loretta – ale spięć nie brakuje.

– Spięć? Dlaczego?

– Czy ja wiem... To chyba efekt rywalizacji. Co tu ukrywać, większość Generałów tylko szuka pretekstu do awantury. Tyle lat spędzonych w otoczeniu uzbrojonych żołnierzy nie pozostaje bez wpływu na zachowanie.

– Nieźle...

– Dam ci przykład. Generał Kaspar z Oddziału Piątego co chwilę podpada Generał Pierwszego Oddziału. Podrywa ją, a ponieważ Charlotta sobie tego nie życzy, nie raz już się starli. Z drugiej strony, Kaspar uwielbia naigrywać się z Oddziału Szóstego, specjalizującego się w ataku z dystansu za pomocą broni miotających. Twierdzi, że taka forma walki to tchórzostwo. Aha, powinnam też wspomnieć o Dimitrim Valyi. Co za wywyższający się arogant... Gdyby nie był tak cholernie przystojny...

Roześmiałam się, wychwytyjąc w jej głosie rozmarzenie. Natychmiast mi zawtórowała.

– Nie podejrzewałam, że zmarłe również się nimi interesują – wyznałam.

– Kim?

– Facetami.

Znowu zaczęłyśmy się śmiać.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają – westchnęła. – Zawsze trafi się ktoś, przez kogo kompletnie tracimy rozum... Sporządziłyśmy nawet listę. Pierwsze miejsce zajmuje Angelo Vendetta, Generał Oddziału Siódmego. Drugie Dimitri Valya, a trzecie twój Alois Petersen.

– Alois?

– Nie mów, że nie wydaje ci się przystojny. I tak nie uwierzę.

Jakbym słyszała Febe.

Febe.

Febe. Ham. Mama... mama. Mama. Mama.

Przygryzłam wargę, bezskutecznie usiłując się uśmiechnąć. Cudem powstrzymałam łzy i głęboko nabrałam powietrza.

– Owszem, jest przystojny... – wymamrotałam. – Ale i straszny z niego bufon.

– I w tym sęk. Uroda i znośny charakter często nie idą w parze. – Wtem zatrzymała się. – Dotarliśmy.

Podniósłszy głowę, oniemiałam. Stałyśmy przed bramą prowadzącą do ufortyfikowanego miasta w orientalnym stylu. Za potężnym, niezbyt wysokim murem dostrzegłam niekończący się szereg dwupiętrowych budynków z ciemnego drewna, o małych oknach i spadzistych, zielonych, wygiętych dachach. Nigdy wcześniej nie obcowałam z równie oryginalną architekturą: delikatną i zarazem niezwykle złożoną, prostą, a równocześnie zapierającą dech. Wszystko wyglądało tak majestatycznie, że aż onieśmiało. Zza przesuwanych, otwartych na oścież drzwi wejściowych, skonstruowanych z dziesiątek czarnych prętów, dochodziły rozmowy, szczęk broni oraz pojedyncze śmiechy, które zdały mi się na wskroś nierzeczywiste.

Tuż obok wisały czerwone lampiony. Na każdym z nich wyrysowano czarnym tuszem cyfrę trzy.

Bezwiednie skuliłam się, gdy przekraczałyśmy bramę. Od razu minęłyśmy dwóch starszych Lilim, przypatrujących się nam – a dokładniej mnie – z ciekawością; w niedopasowanym ubraniu Aloisa prezentowałam się dosyć osobliwie. Spodnie były zbyt wysokie w talii, a kamizelka sięgała prawie do połowy uda. Rękawy koszuli podwinęłam byle jak, aby tylko nie zakrywały dłoni.

– Ależ to ogromne – mruknęłam, rozglądając się. – W życiu go nie

znajdziemy.

– A jednak... Mamy szczęście. Patrz.

Podążyłam wzrokiem za palcem Loretty. Faktycznie. Przed jednym z budynków Alois, w mundurze Generała Broni, rozmawiał ze sporo wyższym od niego mężczyzną. Sądząc po zafrasowanych minach, roztrząsają jakiś problem... Ruszyłam ku nim bez chwili wahania. Widok znajomej osoby, nawet tak odpychającej jak Petersen, spowodował, że zapomniałam o towarzyszącym mi do tej pory strachu i skrępowaniu.

– Ej, Alois!

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha, ignorując jego osłupiałe spojrzenie i grymas wzburzenia mężczyzny. Kiedy podeszłam, żaden się nie odezwał i naraz zapanowała kłopotliwa cisza.

Niepewnie zerknęłam na bliską histerii Lorette.

Powiedziałam coś niewłaściwego?

Gdy przyjrzałam się rozmówcy Aloisa, zadygotałam, tak zimne okazały się świdrujące mnie szare oczy. Nie miał czterdziestu lat, a na jego podłużnej twarzy o delikatnych rysach malowała się megalomania, wynikająca bądź z mądrości, bądź z arogancji. Skłaniałabym się raczej ku drugiemu wyjaśnieniu. Ubrany był podobnie jak Petersen. Ich stroje różniły się wyłącznie kolorem rozpinanej tuniki noszonej przez Lilim wysokich stopniem: ramiona Aloisa okrywał żółtawy materiał, a mężczyzny – krwiście czerwony.

– Domyślam się, że to właśnie ty przybyłaś ostatnio do Mauzoleum – prychnął pogardliwie. – Jak się nazywasz?

– Diletta.

– Pełne imię.

– Diletta Clementina Mair – wyrecytowałam, momentalnie się rumieniąc.

Alois z irytacją pokręcił głową, zaś mężczyzna się skrzywił.

Poczułam, że mi słabo.

– W przyszłości, Diletto Clementino Mair, pamiętaj o stosownym tytule, jakiego należy używać, zwracając się do przełożonych – wycedził. – Dla twego własnego dobra.

Przełknęłam ślinę, dostrzegając kątem oka, że Loretta pochyła się niżej i niżej, niczym przyciskana do ziemi niewidzialną ręką.

– Tak, proszę pana – wyszeptałam, spuszcżając wzrok, zawstydzona do granic możliwości.

Czerwona tunika zafalowała, omiatając mi stopy. Na wszelki wypadek odrobinę się cofnęłam, wciąż wpatrzona w ziemię. Gdy kroki ucichły, ktoś popukał mnie w ramię i wyprostowałam się, ciężko oddychając.

– Poszedł – poinformowała Loretta.

– Poszedł, poszedł... – powtórzył Alois tak słodkim głosem, że pobladła. – Nie dziwne, że poszedł! – wybuchnął, wyciągając w moją stronę palec. – Przestraszyłaś go swoim brakiem ogłady!

– Brakiem ogłady? – zawołałam. – Nie ja zachowałam się jak prostak, ale on! Skąd owa arogancja?

– To Generał, Diletta – warknął – a Generałom wolno zachowywać się tak, jak im się podoba.

– Generał?

– Właśnie tak. Generał. – Z rezygnacją przejechał dłonią po włosach i westchnął. – Nieważne. Dowiem się, po coś się tu pojawiła?

– Chciałam cię prosić, żebyś wybrał się ze mną po broń – wyjaśniłam. Żądanie gwiazdki z nieba nie wprawiłoby go chyba w większe zdumienie. – Będę jej potrzebować w Akademii.

– Jasne. Będziesz jej potrzebować. Ale... – nie wytrzymał i wrzasnął: – ... kto ci podsunął ten pomysł?!

Loretta nagle ponownie się skuliła i uznałam, że lepiej przemilczeć prawdę.

– Nikt – skłamałam. – Tak tylko pomyślałam.

– Co za kretynizm! Nigdzie się z tobą nie wybiorę!

– Dlaczego? – spytałam urażona.

– Bo przede mną, do cholery, mnóstwo rzeczy do zrobienia! – krzyczał Alois, wznosząc ręce. – Boże, nie dość, że ślepa, to jeszcze ciemna. Nie zorientowałaś się, że piastuję stanowisko Generała Broni, co wiąże się z obowiązkami, jakich nawet nie potrafisz sobie wyobrazić?

– Zdefiniowałabym cię raczej jako idiotę skoncentrowanego wyłącznie na własnym „ja” – odparowałam, ignorując stłumiony jęk Loretty.

Wymownie przymrużył powieki.

– Masz świadomość, że za to, co przed sekundą powiedziałaś, mogłabyś znaleźć się w więzieniu?

Skrzywiłam się i podeszłam do niego, niby przypadkiem odsłaniając bliznę na przedramieniu.

– A ty masz świadomość, że jeśli wyjawiałabym jednemu z tych niesamowicie ważnych Generałów, kto mnie zranił i w związku z tym przez kogo przedwcześnie tu przybyłam, mógłbyś stracić tytuł, który napawa cię taką dumą?

Nie wiedziałam, czy istnieje podobne ryzyko, lecz gdy Alois zbladł i zacisnął zęby, pogratulowałam sobie w głębi duszy zagrania. Błyskawicznie opuścił mi rękaw i spojrzał w kierunku Loretty, upewniając się, że nie usłyszała tej groźby.

– Kawał z ciebie wyrachowanej i cynicznej wiedźmy.

Uśmiechnęłam się.

– Trafiłam na świetnego nauczyciela.

Alois

Pieprzona debilka...

Że też się odważyła na ten szantaż! Cholera, jeszcze trochę i ją uduszę.

Pieprzona debilka.

Idealne określenie. Każdego zwiedzie udawaną pospolitością i normalnością, ale nie mnie. Bo Diletta Cleme-coś-tam Mair nie należy do pospolitych. Może i z tą miłą twarzą o nie dość charakterystycznych rysach, nieco zaniedbanymi, nastroszonymi włosami i niewątpliwie wyrazistymi, pseudoniewinnymi oczami nie wyróżnia się z tłumu. To jednak pozory.

Pod ową niezbyt jasną i niedostatecznie delikatną skórą kryje się ktoś zupełnie inny. Przewrotna, obłudna, złośliwa i potwornie denerwująca manipulatorka.

Że też wcześniej nie zdałem sobie z tego sprawy... Lekceważyłem Mair, nie umiając odkryć jej prawdziwej natury, a przecież uważam się za znakomitego obserwatora. Dopiero kiedy się zderzyliśmy, pojąłem, że tej dziewczynie daleko do ludzkiej zwyczajności... Wygrała ze mną. Wygrała, bo okazało się, że dostrzega więcej niż ja; więcej niż tylko to, co przeciętne i typowe...

Pieprzona debilka. Właśnie dlatego budzi we mnie taką niechęć. Mówi się, że im ktoś bardziej do ciebie podobny, tym trudniej go znieść.

Swoją drogą, ciekawe, co wychwycą te różnobarwne oczy w Świecie Zmarłych. Wszak teraz wszyscy jesteśmy duchami...

Uśmiechnąłem się pod nosem. Właściwie... dobrze, że biorę udział w owej wycieczce, ani chybi dostarczy mi sporych wrażeń. Wielu Lilim uznaje dzień otrzymania narzędzia walki za najważniejszy w nowym życiu, a nawet jeżeli Mair nie podzieli tej opinii, z pewnością szybko go nie zapomni.

– Zbliżamy się! – zawołałem.

Maszerujące przede mną dziewczyny przystanąły i się odwróciły. Ta pulchna, którą widywałem w zeszłym roku na korytarzach Akademii, patrzyła w ziemię. Diletta, z wymalowaną na twarzy satysfakcją z niedawnego triumfu, wręcz przeciwnie.

– Od tego miejsca pójdziemy we dwójkę – oznajmiłem.

Pulchna nisko pochyliła głowę w geście posłuszeństwa, mile łechzcząc moje ego. Niestety, stan samozadowolenia trwał krótko: Diletta pospiesznie chwyciła ją za łokieć, nie pozwalając się oddalić.

– Dlaczego Loretta nie może mi towarzyszyć? Oho.

Panteon zapełnia się włoskimi imionami...

– Bo skoro poprosiłaś mnie o wsparcie, powinienem iść obok, a nie trzy metry z tyłu – odparłem chłodno. – Poza tym musimy porozmawiać. Na osobności.

Zdziwiła się, lecz milczała, zaś Loretta wydała się naraz niezwykle podekscytowana.

– Przyjmij to ze spokojem... – poradziła Dilecie, puszczając oko.

Idiotka. Podejrzewa, że zamierzam wyznać Mair miłość?

– Zaczekam u siebie – dodała, a następnie spojrzała na mnie i skłoniła się. – Generale Broni, Diletto...

I puściła się biegiem w kierunku odwrotnym do Żeńskiej Rezydencji. Cholera. Należało uciec się do innego fortelu, żeby się jej pozbyć. Niebawem po całym Mauzoleum rozniesie się plotka, że na zabój zakochałem się w Dilecie Cleme-coś-tam Mair. Bajka.

Nastąpiła chwila krępującej ciszy.

– Dobra, o czym chciałeś porozmawiać? – spytała w końcu Diletta, gdy ruszyliśmy w dalszą drogę.

– O tym, że twoim rodzicom chyba odbiło, skoro na drugie dali ci takie cudaczne imię.

– I dlatego odprawiłaś Lorette? – wykrzyknęła. – Żeby pożartować z mojego imienia?

– Przyznasz, że jest specyficzne. Podjęli tę decyzję po kilku głębszych?

– Odezwał się – prychnęła. – Alois. Prawie jak Aloísa.

– Żeńskie to Eloísa, kretynko. Wiesz chociaż, co znaczą te imiona? Clementina brzmi jak owoc...

– Nie wiem. Nie wierzę w tego rodzaju bzdury – burknęła.

– A Alois?

– Oświeć mnie.

– To „słynny wojownik”.

Uniosła ręce z udawaną ekscytacją.

– I co teraz powinnam zrobić? Rozplakać się ze wzruszenia? Czy może wziąć od ciebie autograf?

Zignorowałem te pytania. Jest dziś wyjątkowo irytująca. Po chwili, ni stąd, ni zowąd, roześmiałem się.

– O co chodzi? – mruknęła podejrzliwie.

– O nic.

– Akurat. Nikt nie śmieje się bez powodu.

– Ja tak. No już, nie patrz takim wzrokiem. Pomyślałem o naszej pierwszej w miarę długiej rozmowie.

– Aha... Ze trzy tygodnie temu, prawda?

– Byłaś wtedy zatrwożona – przypomniałem. – Nie wyartykułowałaś chyba żadnego składnego zdania. A dziś otwarcie mi grozisz, a nawet podnosisz na mnie głos. W krótkim okresie niebywale się ze mną spoufaliłaś, nie sądzisz?

Pobladła, zaniepokojona tymi słowami.

– Śmiało sobie poczynasz – ciągnąłem. – Podważasz mój autorytet, zwracając się do mnie po imieniu w obecności Generała i podległych mi Lilim...

– Też mówisz mi po imieniu! – wtrąciła.

– Sprawdź, czy ktokolwiek w Mauzoleum jest na ty z przełożonym w randze Generała lub Generała Broni – poradziłem sucho. – Bez wątpienia trafisz na mnóstwo podobnych osób. Aha, i jeszcze się ze mnie nabijasz... Ale... podoba mi się to.

– Słucham? – Stanowczo nie takiej deklaracji się spodziewała. – Podoba ci się?

– Odgryzłaś się i postawiłaś na swoim. Wybroniłaś się. Rany, czekałem na ten moment! Zastanawiałem się, kiedy się wreszcie

zbuntujesz. – Spostrzegłszy, że się uśmiechnęła, dodałem: – Co nie znaczy, że od teraz będę cię traktował inaczej.

Natychmiast spoważniała.

– Przecież powiedziałeś, że...

Zatrzymałem się i odsunąłem, by na mnie nie wpadła. Posłałem jej zimne spojrzenie.

– Dotarliśmy.

Diletta

Z zainteresowaniem rozejrzałam się dookoła. Zbyt skoncentrowałam się na dyskusji z Aloisem, by śledzić drogę.

Znajdowaliśmy się przed niskim, rozpadającym się budynkiem, w każdej chwili grożącym zawaleniem. Ściany popękały, a w kilku z brudnych okien widniały tylko resztki szyb. Zbudowany z czarnego łupka dach także wyglądał, jakby miał runąć przy najmniejszym podmuchu wiatru. Nad prostymi drewnianymi drzwiami ze skorodowanym zamkiem wisiała tabliczka z napisem:

Magazyn broni. Jakość gwarantowana.

Jasne. Jakość gwarantowana.

– To chyba żart – szepnęłam. – W życiu tu nie wejdem.

– Fakt, nie sprawia najlepszego wrażenia – przyznał Alois ze zniecierpliwieniem. – Ale wyłącznie tu dostaniesz broń. Więc ruszaj

– rozkazał, otworzył drzwi i zniecacka wepchnął mnie do środka. Straciwszy

równowagę, oparłam się o ścianę, żeby nie upaść. Od razu utwierdziłam się w przekonaniu, że coś tu nie gra. Niemożliwe, że jestem w...

Lesie? To pierwsze określenie, jakie przyszło mi do głowy wobec tylu krzewów i drzew o potężnych pniach i sięgających często aż do ziemi konarach. Osłupiała, przytknęłam dłoń do czoła. Rety. Przekroczyłam próg... sklepu, a nie amazońskiej dżungli. A jednak... Jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne, otacza mnie gęsta, ciemna roślinność. Podłogę zamiast kafelków pokrywa zaś delikatna

trawa.

Matko. Oszalałam?

Powoli podniosłam rękę i dotknęłam jednego z liści. Nie, to nie plastik... Przesunęłam palcami po blaszce i cienkim ogonku, aż natrafiłam na chropowatą gałąź.

Autentyczny, mokry od rosy liść.

Nieco się odsunęłam. Pojęcia nie mam, co robi miniaturowy las na parterze zrujnowanego budynku, lecz nie zamierzam zostać w nim dłużej, by się o tym przekonać.

Kierowałam się do wyjścia, gdy wtem usłyszałam cichy syk. Zatrzymałam się i zmrużyłam oczy, bezskutecznie starając się dostrzec cokolwiek w leśnej gęstwinie, a następnie cofnęłam się, lekko przestraszona, i natychmiast potknęłam się o jakąś przeszkodę.

– A dokąd to? Ciągle byś uciekała...

Alois.

– Wcale nie – bąknęłam. – Po prostu to miejsce... jest troszkę przerażające.

– Tak uważasz? W sumie... Stary strasznie je zaniedbuje. – Westchnął, przytknął złożone w trąbkę dłonie do ust i krzyknął: – Ej, staruszkule! Pokażesz się wreszcie? Klient czeka!

Uciszyłam go uderzeniem łokcia. Jak można zwracać się do biednego sprzedawcy per „staruszkule”? Serio brakuje mu nawet podstaw dobrego wychowania?

Coś nagle poruszyło się pomiędzy liśćmi. Kiedy przysunęłam się bliżej Aloisa, poczułam, że zadrżał. Wymieniliśmy spojrzenia. Próbowaliśmy odezwać się, lecz nie zdołaliśmy wydusić ani słowa. Dziwne.

– Tchórz z ciebie... – wyszeptał nienaturalnie ochryplym głosem. Złapał mnie za ramiona, chcąc zapewne odepchnąć, ale w tym samym momencie odskoczył, jakbym parzyła. – Stary! – zawołał,

usiłując ukryć zmieszanie. – Jeśli zaraz tu nie przyjdiesz, przebiję cię floretem!

Nim zdążyłam ponownie dać wyraz oburzeniu wobec tego przejawu nieuprzejmości, zamarłam, spostrzegłszy nagle na barkach i szyi Aloisa coś, co wcześniej najwyraźniej umknęło mojej uwadze. Węża. Długiego węża o pokrytej białymi łuskami skórze, z ciekawością wpatrującego się we mnie złotawymi ślepiami.

Boże.

– Nie krzycz – wycharczał ktoś znieznacka. – To jego broń. Odwróciłam się i stanęłam twarzą w twarz ze starcem, którego wzywał Alois. Nie zrobiłam kroku w tył wyłącznie przez wzgląd na tkwiącego za plecami ohydneho gada.

Mężczyzna był tak wiekowy, że oczy niemal ginęły w gęstej siateczce zmarszczek. Na głowie nie miał ani jednego włosa, wszystkie stracił przypuszczalnie dziesiątki lat temu. Mierzyliśmy mniej więcej tyle samo, lecz coś w jego postaci onieśmiało. Cudacznie ubrany, przypominał czarowników i czarnoksiężników z filmów fantasy. Przydałaby mu się jeszcze spiczasta czapka i drewniana czy metalowa laska...

– Dopiero teraz zobaczyłaś węża? – spytał Alois, wrywając mnie z odrętwienia. Delikatnie głaskał zwierzę po zimnym grzbiecie. – Leży mi na ramionach, odkąd tu weszliśmy.

– Nie... nie wiedziałam, że lubisz takie stworzenia – wymamrotałam, z trudem łapiąc oddech.

Starzec znacząco spojrzał na Aloisa.

– Kiedy zjawiała się w Panteonie?

– Wczoraj.

– No tak. To tłumaczyłoby, dlaczego nic nie pojmuję. – Pogładził się po łysej czaszce. – Całe szczęście. Już się bałem, że przyjmują do Mauzoleum zmarłych niespełna rozumu – wyjaśnił, czym wywołał wesołość Petersena.

– Wypraszam sobie! – pisnęłam urażona.

– Chodź tu, panienko – poleciał, ewidentnie nie zamierzając przeprosić za swoje słowa. – Muszę ci obejrzeć dłonie.

– Co? – burknęłam nieufnie.

– Nie każ się błagać – szepnął Alois, lekko mnie popychając.

– Ale...

Za późno. Mężczyzna podszedł i mocno chwycił mnie za nadgarstki. Tak mocno, że skrzywiłam się z bólu. Miał szorstką i wysuszoną niczym papier skórę. Skupiony przejechał kciukami po wnętrzu moich dłoni i niespodziewanie uśmiechnął się, ukazując bezzębne dziąsła.

– No proszę... Linia śmierci – mruknął. – Widziałaś duchy, prawda?

– Kto... panu powiedział? – wyjąkałam.

– Twoje ręce. To sztuka często niedoceniania w Świecie Żywych, wyjątkowo jednak pomocna w momencie wyboru narzędzia walki, a szczególnie wyeliminowania tych, które by się dla ciebie nie nadawały.

– Czyli... dla każdego istnieje odpowiedni... oręż?

– Oczywiście – odparł, wciąż badając mi dłonie. – Niewykluczone, że gdyby tu obecny Petersen, zastępca Generała, dostał inną broń niż floret, nie osiągnąłby tego, czym dziś może się pochwalić.

– Niesamowite...

– To nie koniec... Byłaś oburęczna, zgadza się?

Kiwnęłam głową, coraz bardziej zdumiona. Skąd on to wszystko wie? Aż tyle potrafi wyczytać z rąk?

Wtem poczułam, że coś owija się wokół moich kostek. Kiedy zerknęłam w dół, krzyk uwiązł mi w gardle.

Wąż. Cholerny wąż Aloisa. Znieruchomiałam, sparaliżowana strachem. Staruszek, bynajmniej niewzruszony, kontynuował badanie.

– Nie bój się, nic ci nie zrobi. Chce po prostu poznać osobę, której uratował życie – oznajmił Alois. – Najwyraźniej cię polubił.

Przełknęłam ślinę, nie odrywając wzroku od gada. Zaczepiwszy się ogonem o łydki, zaczął pełznąć w górę.

– Uratował... życie? – wydusiłam.

– Jeszcze się nie zorientowałaś? Przecież to floret.

– Co?

– Aż tak trudno to załapać? – uśmiechnął się z wyższością.

Dzięki temu uśmiechowi spokojnie mógłby kandydować do miana aroganta wszech czasów...

– W każdej z broni zamknięta jest dusza zwierzęcia najsilniej identyfikowanego z osobowością przyszłego właściciela – ciągnął. – Ale zwierzę występuje pod własną postacią wyłącznie w tym miejscu. Poza nim przybiera formę Minutty albo tradycyjnego narzędzia walki. Na przykład floretu. Teraz pojmujesz, dlaczego moja broń to wąż?

– Bo też zwykle poruszasz się z głową blisko ziemi.

– He, he. Cóż za zjadliwe poczucie humoru.

Gad, który wspiął się już na wysokość bioder, najwyraźniej rozumiał naszą rozmowę, gdyż odchylił trójkątny łeb i ostrzegawczo wysunął rozdwojony język. Mocniej się wokół mnie owinął, toteż na wszelki wypadek postanowiłam zamilknąć.

Zatem wąż... Jasne, cały Alois. W islamie węże symbolizują kuszenie, zło, demony... Na lekcjach historii opowiadali nam również, że stoją na straży mądrości, siły czy energii. Aztekowie właśnie węża czcili jako najważniejszego boga, Quetza... Zapomniałam imienia. Co gorsza jednak, zapomniałam także o najistotniejszej właściwości tych gadów: wiele z nich należy do jadowitych. Jedno ugryzienie... i koniec. Spojrzałam na lewe przedramię.

Ukąszenie węża.

– Gotowe! – wykrzyknął nagle starzec, odsuwając się.

Z ulgą opuściłam ręce wzdłuż ciała. Ależ spocily mi się dłonie...

– Wiem już, czego szukamy – wychrypiał. – Chodźcie. Momentalnie zniknął pomiędzy drzewami. Popatrzyłam na

Aloisa, a następnie z westchnieniem podążyłam za mężczyzną, co zważywszy na gada, nie tylko krępującego mi nogi, ale wręcz utrudniającego oddychanie, powinno zostać uznane za nie lada wyczyn.

– Słuchaj, a nie mógłbyś powiedzieć swojej... broni, żeby się ode mnie odczepiła?

– Kiedy jest tobą oczarowana.

– Ja nią nie bardzo – prychnęłam i wąż, z pyskiem przy mojej szyi, zmrużył ślepią, jakby granie mi na nerwach sprawiało mu niekłamaną przyjemność.

Wtem rozległ się potworny ryk. Zachwiałam się, wpadłam na Aloisa i przewróciłam. Wąż drgnął, zaniepokojony niespodziewaną zmianą pozycji, zaś na twarzy staruszka odmalowało się zadowolenie.

– Co to... za zwierzę? – wymamrotałam.

Usiłowałam iść dalej na czworakach, lecz nogawką spodni zahaczyłam o korzeń drzewa. Bezskutecznie szarpnęłam raz i drugi. Zaparłam się, szykując do kolejnej próby, gdy na dłoń spadło mi coś lepkiego.

Zaintrygowana zerknęłam w górę i o mało nie umarłam z przerażenia, dostrzegłszy tuż nad sobą wielkie, okrągłe i ciemne oczy, a pod nimi czarne wąsy i wilgotny, ruchliwy nos. Ciemnooliwkowa, błyszcząca i miękka sierść wydzielala duszące ciepło. Zabrakło mi tlenu. Boże. Mój umysł pracował na zwolnionych obrotach, i dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że oto widzę... panterę. Gigantyczną panterę.

– Ratunku! – wrzasnęłam. – Zabije... zabije mnie!

– Nie gadaj głupot – mruknął Alois z rozbawieniem. – Wreszcie masz broń.

– Że co?

– Przyjrzyj się.

Dygocząc, ponownie skierowałam wzrok na olbrzyma o potężnym grzbiecie, łapach przywodzących na myśl kolumny i równie napiętych jak moje mięśniach. Nagle pantera pochyliła łeb, otwierając jednocześnie pysk.

– Nie! – krzyknęłam i zakryłam twarz rękoma.

Dlaczego nic nie robią? Dlaczego nie wzywają pomocy? Jestem osaczona. Ten potwór rozerwie mnie na kawałki, żywcem obedrze ze skóry, urwie głowę, za... Nagle poczułam, że ktoś zdejmuje mi z ramion ciężar i gdy rozsunęłam palce, zobaczyłam, że pantera trzyma w zębach bladego węża Aloisa. Delikatnie położyła gada na ziemi, a ten, cicho sycząc, podpełznął ku właścicielowi.

Lekko się uniosłam, bacznie ją obserwując. Też mi się przypatrywała, w zadziwiająco ludzki sposób, niby oczekując pieszczoty czy innego gestu, którym dałabym do zrozumienia, że ją akceptuję. Naprawdę przypominam panterę? Spodziewałabym się czegoś... mniejszego. Kota, rysia... Nieśmiało pogłaskałam drapieżnika po łbie. Natychmiast zaczął mruścić.

Nadzwyczajne.

– Zaraz się rozplącę – stwierdził Alois. – Cóż za wzruszająca scena. – Ze śmiechem odskoczył, unikając wymierzonego w jego kostkę ciosu. – Idziemy? Mam ważniejsze sprawy na głowie niż patrzeć, jak tulisz kociaka.

Zwierzę wymownie warknęło.

– To nie żaden kociak! – oburzyłam się.

Ruszyliśmy przez las ku wyjściu: Alois, starzec, ja i... depcząca mi po piętach pantera.

Kiedy tylko opuściliśmy... magazyn, wzdrygnęłam się na skutek

gwałtownego podmuchu wiatru. Odwróciłam się i z zaskoczeniem odnotowałam, że wielki kot zniknął. Jakby rozplynął się w powietrzu w momencie dotknięcia łapą kamiennej podłogi Mauzoleum. Na ziemi leżała jedynie długa i błyszcząca broń z imponującą rękojeścią z czarnej skóry, wysadzaną kilkoma perłami.

– Szpada? – spytał Alois, ze wzrokiem utkwionym w posrebrzane ostrze.

– Szabla – poprawił staruszek. Schylił się i zacisnął dłoń na rękojeści. – A dokładniej bułat. Kuli je Persowie, a potem Hindusi. Wspaniała broń. Powinnaś być z niej dumna.

Przytaknęłam oszołomiona, a mężczyzna kontynuował:

– Całkowita długość to ponad metr. Klinga, szeroka na trzy i pół centymetra, ma dziewięćdziesiąt dwa centymetry długości i cztery milimetry grubości. – Zakołysał bułatem, przyglądając mu się z podziwem. – Waży tysiąc pięćset gramów. Dostyc mało jak na tak śmiercionośną broń.

Drżącymi rękoma wzięłam szablę i pewnym ruchem wyciągnęłam ją przed siebie. Odniosłam wrażenie, że oto weszłam w posiadanie czegoś, co czekało na mnie od lat. Nie wiedziałam, czy dam radę użyć tego narzędzia walki, gdy zajdzie taka potrzeba, ani czy kiedykolwiek nauczę się nim prawidłowo posługiwać. Ważne, że jest doskonałe, zachwycające. Prawdziwe dzieło sztuki.

Naraz poczułam się silna. Dzięki bułatowi przewyciężę wynikające z przebywania z dala od mamy i przyjaciół strach, zwątpienie, samotność i smutek.

Ależ wspaniałe doświadczenie.

– Diletta... – szepnął Alois.

Spojrzałam na niego z podekscytowaną miną

– Co za koszmar. Nie potrafisz nawet poprawnie trzymać broni.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Komplikacje

Alois

– Generale, oto raporty z ostatniego tygodnia.

Zah Brown, zagłębiając się w wielkim skórzanym fotelu, kiwnął głową, rzucając mi nieuważne spojrzenie znad analizowanych właśnie dokumentów.

– Nieźle ci idzie, Alois – pochwalił z lekkim uśmiechem.

– Dziękuję.

Uśmiechnąwszy się szerzej, ukrył twarz za stertą zalegających na biurku papierów.

– Skończyłeś na dziś?

– Jeśli nie ma pan więcej życzeń, Generale... – odparłem, przesadnie się kłaniając.

– Jeszcze trochę, a garb ci wyrośnie – syknął mi nagle ktoś do ucha.

Zacisnąłem zęby i zerknąłem w bok, dobrze wiedząc, że napotkam błękitne oczy Henriette.

– A tobie zostaną zmarszczki, jeżeli się będziesz tak krzywić.

Wystarczyło, by ją rozwścieczyć. Próbowała chwycić mnie za szyję, ale wywinąłem się i już podstawiałem jej nogę, kiedy rozległ się głos Generała:

– Jakiś problem?

Natychmiast od siebie odskoczyliśmy.

– Skąd! – wykrzyknęliśmy, obserwując się z nieskrywaną niechęcią.

Po chwili Henriette podeszła do biurka, położyła na nim kilka grubych teczek i pochyliwszy się, zaczęła szeptem rozmawiać z Brownem.

Westchnąłem i wyszedłem z gabinetu, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Henriette... Odkąd wróciłem do Panteonu i awansowałem, zmieniła się. Fakt, nigdy nie łączyła nas typowo przyjacielska relacja, ale osiągnęliśmy przynajmniej pewien stopień wzajemnego zrozumienia. Znosiłem jej napady złego humoru, a ona czasem gryzła się w język, gdy robiłem użytek ze swojej bezprzykładnej pychy. Niestety, ta niepisana umowa została niedawno zerwana.

Henriette wszelkimi sposobami walczyła o stanowisko Generała Broni, lecz Zah Brown nie docenił tych starań. Wybrano, jak powiedziała, siedemnastoletniego smarkacza, który spędził w Akademii ledwie dwa lata.

W ten sposób stanąłem na drodze jej aspiracji.

Potarłem czoło. Kto by się spodziewał, że będę przejmował się podobnymi sprawami?

Ha. Nikt.

– Na serio tak sądzisz? Kurczę, i to Alois Petersen?

Nadstawiłem uszu. Rozpoznałem głos Elizabeth, dwudziestotrzyletniej Generał Dywizji Oddziału Pierwszego, jednej z najbardziej pożądanых Lilim w całym Mauzoleum. Wszystkie dziewczyny zazdroszczą jej długich, jasnych włosów... Szła w towarzystwie dwóch około dwudziestoletnich chłopaków: Darda, wściekle rudego, wysokiego i dobrze zbudowanego Generała Broni w Drugim Oddziale, oraz Chanlera, niskiego, szczupłego i bladego Generała Dywizji, również z Oddziału Numer Dwa.

– Ani dnia nie potrafi przetrwać bez widoku tej dziewczyny... Jak ona się nazywa?

– Diletta Mair.

– Właśnie.

O mało nie zalała mnie krew. Przetrawiałem te uwagi w zwolnionym tempie, niby ofiara wypadku. Ja? Nie potrafię przetrwać dnia bez widoku Diletty? Cholera, co za idiota wymyślił bzdurę takiego kalibru?

– Ciężko uwierzyć, nie? – mruknął Dardo.

– Może pod warstwą lodu kryje się czuły dzieciak, który do życia potrzebuje miłości... – stwierdziła Elizabeth rozmarzonym tonem.

No nie, tego już stanowczo za wiele. Dogoniłem ich i popukałem Darda w ramię. Odwrócił głowę, momentalnie zmieniając się na twarzy.

– Nie wiedziałem, że takie z was pape – syknąłem.

– Prze... przepraszamy – wyjąkała Elizabeth, czerwieniąc się. – Tylko...

– Tylko komentowaliśmy plotki – uzupełnił Chanler.

Plotki. Pewnie zaczęło się od przyjaciółeczki Diletty o włoskim imieniu.

Nastąpiła chwila ciszy. Uporczywie się w nich wpatrywałem, nie poprawiając im bynajmniej samopoczucia.

– Chyba powinniśmy już iść – oznajmił wreszcie Dardo.

– Też tak myślę – warknąłem, nonszalancko skrzyżowawszy ramiona.

Elizabeth uniosła rękę i wyszeptała:

– Do zobaczenia, Petersen.

Nie odezwałem się. Oparłem się o ścianę i patrzyłem, jak się oddalają, trzymając teraz wyraźnie bliżej siebie. Doszedł mnie jeszcze głos rudego:

– Szlag by go trafił... – dostał cios łokciem i dokończył znacznie dyskretniej – ...taki szczeniak, a tak onieśmiela...

Uśmiechnąłem się z satysfakcją. Jasne, że onieśmielałem. Właśnie dlatego Elizabeth zwróciła się do mnie po nazwisku. Nie wolno nam

mówić po imieniu do Generałów i Stratega, ale w kontaktach pomiędzy kolegami zajmującymi podobne stanowiska, a nawet w prywatnych rozmowach z podwładnymi, ów zakaz nie obowiązuje i w powszechnym posługiwaniu się imionami nie ma nic nadzwyczajnego.

Nieopodal rozległy się szybkie kroki. Ktoś biegł w moją stronę... Czekałem, nie poruszywszy się ani o centymetr.

Po kilku sekundach zza rogu wyłonił się młody, najwyżej piętnastoletni Lilim. Poślizgnął się naraz i upadł, a dostrzegłszy mnie, zerwał się i podszedł. Dyszał, z czoła spływał mu pot, a na policzki wystąpiły wypieki.

– Ge... Generale Broni... – wydusił, z trudem łapiąc oddech. – Mu... musi pan ze mną pójść. Natychmiast.

Zmarszczyłem brwi i wyprostowałem się.

– Co się dzieje?

– To... skomplikowane, proszę pana – wymamrotał. – Nie mogę tego zdradzić... tutaj.

Skrzywiłem się. Co za strata czasu.

– Skończyłem na dzisiaj pracę. O ile nie wyjawisz, o co chodzi, i nie uznam, że to ważne, zajmij się raczej szukaniem sobie ko...

– Błagam!

Uklęknął, chwycił mnie za tunikę i zaczął nerwowo szarpać. Wydawał się zdesperowany.

– Zgoda. – Gwałtownym pociągnięciem uwolniłem ubranie. – Dlaczego potrzebujesz mojej pomocy?

Wstał i bez słowa puścił się pędem. Wołałem go, ale się nie obejrzał, i nie pozostało mi nic innego, jak za nim podążyć. Przemierzyliśmy prawie cały teren Oddziału Trzeciego, co rusz pokonując kolejne schody i oddalając się od głównego budynku. Minąłem po drodze paru wysokich rangą Lilim, którzy pozdrowili mnie lekkim skinieniem głowy, lecz nawet nie zdążyłem

zareagować.

– Ej, ty! Dokąd, do cholery, tak gnasz? Nie odpowiedział. Ani nie zwolnił.

Zatrzymaliśmy się pod jednym z baraków położonych blisko granicy z Oddziałem Piątym. Wokół nie było żywej duszy. Mocno to wszystko podejrzane... Dotknąłem zawieszanej na szyi Minutty, w każdej chwili gotowy do zrobienia z niej użytku.

– Proszę. – Chłopak uchylił skrzypiące drzwi baraku i drżącą ręką zaprosił mnie do środka, leciutko tylko oświetlonego ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Odniosłem wrażenie, że nad wejściem przybito niewidzialną tabliczkę z napisem *Niebezpieczeństwo*.

Na wszelki wypadek zmieniłem Minuttę we floret i pewnym ruchem wyciągnąłem broń przed siebie.

– Jeśli to pułapka, obiecuję, że nie wyjdiesz stąd żywy – ostrzegłem Lilim, przechodząc przez próg.

Przełknął ślinę i pospieszył za mną.

Wtem usłyszałem męski głos:

– Dobra robota. Trzymaj.

Obok mojej twarzy przeleciał przezroczysty przedmiot i chłopak z krzykiem skoczył, żeby go złapać. Strzykawka. Nerwowo potrząsnął nią, jakby sprawdzając zawartość, a następnie wbił igłę w skórę. Rzucił pusty pojemniczek na podłogę i wybiegł, trzaskając drzwiami.

– Ej! Zaczekaj! – wrzasnąłem.

– Nie miej mu tego za złe, Petersen. Ratował życie.

Odwróciłem się, unosząc floret.

– Kim jesteś?

Z ciemności wyłoniła się wysoka postać. Natychmiast rozpoznałem krótką, rudą czuprynę, czekoladowe oczy i szeroki, nieco teraz smutnawy uśmiech.

Noah. Vel ptaszek.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów.

– Nieźle wyglądasz. Awansowali cię, nie? – mruknął. – Szkoda, że się nie zorientowali, kto zawinił w sprawie przedwczesnej śmierci Diletty.

– Ty zaś wyglądasz strasznie – odparowałem. – Co się stało? Podpadłeś szefom?

Jego uśmiech odrobinę osłabł.

– Wyrwali mi skrzydła.

– Aj, musiało boleć – zauważyłem, opuszczając broń.

– Dosyc.

Westchnąłem i na powrót przekształciłem floret w Minuttę. W takich okolicznościach walka z Noahem byłaby głupotą i tchórzostwem.

– Jak się tu znalazłeś? Jesteś jednym z niewielu... nie, jesteś pierwszym eks-Aniołem, któremu się to udało.

– Łatwizna – stwierdził, wruszając ramionami. – W momencie gdy tracisz atrybuty Anioła, przełożeni pozwalają ci wyrazić ostatnie życzenie. Poprosiłem, żeby umożliwili mi wizytę w Panteonie... Co do reszty, nie ma się czym chwalić. Natrafiłem na tego młodego Lilim i wstrzyknąłem mu anielską krew. Dobrze wiesz, że to dla was trucizna, śmierć następuje w ciągu dwunastu godzin. Zagroziłem, że jeśli cię nie przyprowdzi, nie dostanie antidotum. Czyli umrze.

Uśmiechnąłem się pod nosem. Teraz rozumiem przerażenie i desperację chłopaka...

– Nie pojmuję, dlaczego cieszysz się sławą kogoś dobrotliwego. Tak naprawdę kawał z ciebie okrutnika.

Nie odezwał się, ale wyraźnie się nachmurzył.

– Skoro już to sobie wyjaśniliśmy – kontynuowałem – zdradzisz, po co przyszedłeś?

– Nie odgadujesz?

– Słuchaj, mam lepsze rzeczy do roboty niż dyskusowanie z nieszczęśliwym eks-Aniołem – burknąłem zniecierpliwiony – więc wyduś wreszcie, co trzeba, zamiast mnie dodatkowo drażnić. Wystarczy, że widząc cię tak blisko, nie mogę użyć floretu.

Na jego twarzy odmalowało się zdumienie.

– A co myślałeś? – zadrwiłem. – Zostały mi jakieś ślady rycerskości. Nie zabiję przecież ptaszka, który wypadł z gniazda.

Gorzko się zaśmiał i oznajmił:

– Muszę cię ostrzec. Wkrótce zaatakują was Anioły.

Zdrętwiałem.

– Skąd wiesz?

– Wyjawili mi to... moi zwierzchnicy, tuż zanim odkryłem, że Diletta rejestruje obecność duchów. I diabłów – odparł, krzywiąc się.

– Aha. I chcesz, żebym uwierzył, że są takimi idiotami, by pozwolić ci zjawić się w Panteonie z taką wiadomością?

– Na wszelki wypadek zapisałem ją na karteczce, kiedy tylko zobaczyłem ranę Diletty. Przeczynałem, że coś niebawem się zdarzy... – wyznał. – Wraz z wyrwaniem skrzydeł wymazano mi z pamięci to wspomnienie. Któregoś dnia po prostu znalazłem karteczkę ukrytą w bieliźnie, w najwyższej szufladzie komody.

– Wielkie dzięki za szczegóły – prychnąłem. – To pewne?

Nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Stuprocentowo.

Nie wytrzymałem i zacząłem chodzić tam i z powrotem po małym pomieszczeniu, przytykając koniec Minutty do warg. Nagle przystanąłem i spytałem podejrzliwie:

– Dlaczego tak ryzykujesz? Czemu postanowiłeś mi o tym powiedzieć?

Spuścił głowę, nerwowo splatając dłonie.

– Jestem coś winny Diletcie. Przypuszczam... że po wypadku

zamieszkała tutaj. Ktoś podobny do niej, posiadający dar widzenia zjaw, to chyba dla was łakomy kąsek?

– Znasz odpowiedź.

– Znam – wyszeptał. – Oczywiście, że znam. Powinieneś ją stąd zabrać.

– Zabrać ją stąd? Oszalałeś?! – krzyknąłem, patrząc na niego jak na wariata. Zacisnąłem pięści, czując, że płoną mi policzki. – Diletta jest teraz częścią Mauzoleum!

Noah wymownie zmrużył oczy.

– Diletta – mruknął. – Używasz jej imienia.

– I?

– Stała ci się bliska – stwierdził po kilku sekundach ciszy.

– O czym ty, do cholery, gadasz?! – wrzasnąłem. Aż się trząsnąłem z wściekłości. – Bliska? Diletta? Czy razem ze skrzydłami usunęli ci też mózg albo to, co zwykle mają ptaszydła?

– Reagujesz niedojrzale, bo wiesz, że to prawda.

Chwyciłem go za sweter i brutalnie do siebie przyciągnąłem.

– Co za bzdura! – warknąłem.

– Jasne. Postaraj się po prostu przenieść Dilettę w bezpieczne miejsce. – Uśmiechnął się i palcem popukał mnie w czoło. – W przeciwnym wypadku zadbam, by twoi przełożeni dowiedzieli się, dlaczego dołączyła do Panteonu w tak młodym wieku.

– Cholerny... – syknąłem, rozdmuchując rudą grzywkę.

– Do następnego, Alois.

W rękach zostało mi tylko powietrze. Tłumiąc jęk irytacji, uderzyłem pięścią w ścianę, a potem oparłem się o nią plecami. Zniknął. Odszedł do Świata Żywych. Innymi słowy – udało mu się uciec... jak poprzednio. Wbiłem dłonie w kieszenie. Co za obłąd. Jeszcze miesiąc temu, wyobrażając sobie przyszłość, widziałem się na wysokim stanowisku, otoczonego szacunkiem i z satysfakcją, a co najważniejsze spokojem, wykonującego obowiązki. Przenigdy bym

nie wpadł na to, że skończę w Oddziale, w którym najbliższa współpracowniczka mnie nienawidzi, nękany absurdalnymi plotkami na temat jakiegoś szczeniackiego zauroczenia, odpowiedzialny za dziewczynę o różnokolorowych tęczęwkach i napastowany przez upadłego Anioła.

Głęboko westchnąłem i wyprostowałem się.

Do góry nogami... Wywracasz moje życie do góry nogami, Diletta.

Szlag by to wszystko trafił!

Kopnięciem otworzyłem drzwi i wyszedłem na zewnątrz.

Opanuj się... To do ciebie niepodobne, nie należysz do tych, którzy łatwo się unoszą. Policz do dziesięciu i niczym się nie przejmuj. Ptaszydłem też nie. Nazywasz się Alois Petersen. Jesteś wyjątkowy. Niewzruszony. Zimny.

– Alois?

– Ojej! – krzyknąłem, spoglądając do tyłu.

Odetchnąłem, dostrzegając Generał Mei Tsu-zu.

– Przepraszam, nie chciałam cię przestraszyć.

Poczerwieniałem ze wstydu. Pięknie. Sądzi, że mnie przestraszyła. Ona. Niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu. Idiotka.

– Proszę się nie martwić – powiedziałem, kłaniając się. – Co robi pani tak daleko od swojego Oddziału, jeśli wolno spytać?

Uśmiechnęła się delikatnie, niemal przepraszająco, i popatrzyła na wygięte dachy budynków Oddziału Trzeciego. Akurat skrywało się za nimi słońce.

– Tak przypominają mi ojczyznę... – szepnęła z nostalgią. – Urodziłam się w Chinach, w mieście Suzhou.

– Aha...

– Minęło już tyle lat, ale... wciąż wspominam – dodała. – I często zjawiam się tu, żeby nigdy... nie zapomnieć, kim jestem. W ten

sposób łatwiej mi pojąć, dokąd zmierzam. „Kim jestem...”

Geniuszem.

No właśnie. To ja. Za takiego zawsze mnie uważano. Za geniusza.

„Postaraj się po prostu przenieść Dilettę w bezpieczne miejsce”.

– Generale... – zwróciłem się do Mei Tsu-zu ze zdecydowaną miną. – Moglibyśmy porozmawiać o pewnej... prywatnej sprawie? – Kiwnęła głową, wyraźnie zaskoczona. – Chodzi... o tę przyprowadzoną przez mojego brata dziewczynę.

Diletta

Przejrzałam się w lustrze i zacisnęłam w dłoni wiszącą na piersi niczym medalion Minuttę. Dziwnie się czuję w mundurze Lilim. Te szerokie spodnie o niskim kroku... Czasem, kiedy szybko idę, zaplątuję się w nogawki. Odnoszę wrażenie, że dwadzieścia cztery godziny na dobę paraduję w przebraniu.

Zerknęłam na Loretę. Siedziała na łóżku i ze skupieniem malowała paznokcie u rąk.

– Wiesz, że wszyscy o tobie mówią? – zapytała znienacka.

– O mnie?

– I o zażyłości łączącej cię z Generałem Broni Petersenem. Podeszłam do niej i nie puszczając Minutty, padłam na materac, niechcący zrzucając na podłogę poduszkę.

– Gadają głupoty – burknęłam. – Już ze sto razy ci powtarzałam, że za sobą nie przepadamy.

– Kto się czubi, ten się lubi! – zawołała. – Zresztą nie narzekaj. Petersen budzi powszechny respekt i pamiętaj, że chociaż to najmłodszy z dowódców, zajmuje trzecie miejsce w rankingu najbardziej pożądanym mężczyzną Mauzoleum.

Wzniosłam oczy na sufit. Z każdym dniem coraz silniej upewniam się, że Loretta to wierna kopia Febe: uwielbiająca dramatyzować

plotkara, gaduła i ekstrawertyczka, święcie w dodatku przekonana, że romansuje z Aloisem. Tyle tylko, że zginęła we Florencji w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku w wypadku autobusowym i ukończyła pierwszy rok nauki w Akademii Lilim. Aha, i umie posługiwać się okazałą, śmiercionośną dmuchawką. Nie podejrzewam, by Febe w swoim świecie korzystała z tego rodzaju broni.

– Owszem, ma autorytet i jest... przystojny... – bąknęłam. Loretta skrzywiła się, dając do zrozumienia, że jej zdaniem go nie doceniam... – ale to ciągle Alois.

– Czyli?

Obracałam w palcach Minuttę tak zamyślona, że umknęło mojej uwadze to, iż owo pytanie nie zostało zadane przez Lorette.

– Zarozumiały arogant z ego wyższym niż Himalaje.

W tym momencie usłyszałam za plecami śmiech i znieruchomiałam.

O nie...

– Nawet ja nie potrafiłbym się lepiej scharakteryzować.

Loretta pobladła, wpatrując się rozszerzonymi oczami w Aloisa Petersena, a ja wolno odwróciłam się, pragnąc zapaść pod ziemię. Stał tuż za mną, oparty o framugę okna, przez które miał czelność się zakraść.

Do cholery, dlaczego musiał wybrać akurat tę drogę, skoro drzwi są otwarte?

Nie odrywając ode mnie wzroku, poprosił miękko:

– Loretto, zostawiłabyś nas samych?

– Oczywiście, Generale Broni – wyszeptała, pochylając głowę. Zerwała się, energicznym krokiem przeszła przez pokój, a zanim wyszła, uniosła do góry oba kciuki, dodając mi otuchy.

– Alois, nie chcia...

– Rozmawiałem po południu z Generał Oddziału Szóstego, Mei

Tsu-zu – przerwał, ignorując tę próbę przeprosin. – Zna jednego z szefów Departamentu do Zadań Specjalnych. Przypuszczalnie znajdą ci tam stanowisko, jeśli im zasugerujemy, że się przydasz.

– O czym ty mówisz? Departament do Zadań Specjalnych? Myślałam, że od nowego roku wstąpię do Akademii.

Z niedowierzaniem spostrzegłam, że się zmieszał. On? Niesamowite. Dotąd wydawał mi się wcieleniem pewności siebie.

– Wiem... że tak ustaliliśmy – potwierdził, unikając mojego spojrzenia. – Ale uważam, że możesz dać Panteonowi coś więcej. W Świecie Żywych widziałaś zmarłych. Niewykluczone, że i tu posiadasz jakiś jeszcze nieodkryty dar, a Departamentowi do Zadań Specjalnych bardzo pomogłoby niestandardowe wsparcie. Poza tym to niedaleko stąd, za ledwie...

– Sekunda – wtrąciłam się. – Ten departament, do którego zamierzasz mnie wysłać, nie leży w obrębie Mauzoleum?

Spuścił głowę.

– Nie. Ale...

– Aha, wszystko już jasne – wycedziłam. – Tak strasznie cię denerwuję, że musisz to zrobić?

– To?

– Tak, to. Pozbyć się mnie.

Zamurowało go. Przez moment stał jak sparaliżowany i nagle podszedł, silnie chwycił moją rękę i potrząsnął.

– Pozbyć się? – wyszeptał. – Co za poronione przypuszczenie.

– Poronione? – krzyknęłam, wrywając się. – Skąd więc te starania o wyszukanie mi zajęcia poza Mauzoleum?

– Naprawdę dużo by cię kosztowała zmiana adresu? – zapytał cicho. – Nie sądziłem, że aż tak przywiązałaś się do Loretty...

Skrzywiłam się i wybuchnęłam śmiechem.

– Nie chodzi o Loretkę, idioto – powiedziałam po chwili, poważniejąc – ale o ciebie.

Oceniając po zaskoczeniu, jakie odmalowało się na jego twarzy, akurat tej deklaracji spodziewał się najmniej. Zamarł, pełen napięcia, i tak mocno zacisnął pięści, że aż zbieleły mu kostki. Zdawał się nie tyle oszołomiony, ile przerażony.

Poczułam nieprzyjemny skurcz w żołądku.

– Zrozum – kontynuowałam stłumionym głosem – jesteś jedyną osobą, która przypomina mi to... co przeżyłam.

Chyba się nieco uspokoił, a przynajmniej zaczął równiej oddychać.

– Czasem, kiedy cię obserwuję, stają mi przed oczami koledzy, szkoła, okropnie nudne lekcje... – Słabo się uśmiechnęłam, nie umiając jednak zapanować nad zbierającymi się pod powiekami łzami. – A gdy się dziwisz, myślę o tamtej nocy, kiedy mama przyłapała nas w moim pokoju i uznała, że odprawiamy satanistyczny rytuał... – Za późno. Za późno, by powstrzymać płacz. Alois zmarszczył czoło, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. – Dlatego nie chcę stąd odejść, nie chcę przestać cię widywać. Bo wtedy... dużo trudniej będzie mi przywołać wspomnienia ze... Świata Żywych.

Westchnął i powoli odwiązał podtrzymującą spodnie białą szarfę.

– Masz, obetrzyj się – poradził, gdy kolejny raz pociągnęłam nosem. – To nie chusteczka, ale się nada.

Wymamrotałam ledwo słyszalne słowa podziękowania i wytarłam łzy. Kiedy oddawałam mu szarfę, z obrzydzeniem spojrzął na mokre plamy i stwierdził:

– Jeszcze ją sobie zostaw. Na wypadek gdybyś znowu postanowiła się rozplakać.

Tym razem uśmiechnęłam się szerzej.

– Dzięki.

Chwilę wpatrywał się we mnie w milczeniu, aż nagle ruszył ku drzwiom.

– Poczekaj! – pisnęłam.

Zatrzymał się.

– Czemu zaproponowałeś, żebym opuściła Mauzoleum? – wyszeptałam.

– Tylko nie próbuj mnie przekonać, że doszedłeś do wniosku, iż w tym przeklętym departamencie będzie mi lepiej.

– Dostałem informację, że wkrótce nastąpi atak Aniołów – oznajmił poważnym tonem, rzucając się na łóżko.

Oczywiście bez pozwolenia.

Wzdrygnęłam się. Anioły. Noah. Kobieta, która omal nie skończyła ze mną tuż po wypadku... Moi obecni wrogowie.

Usiadłam obok Aloisa, usiłując opanować drżenie.

– Kto ci przekazał tę wiadomość?

– Nieważne – burknął. – Pytanie, jak się wtedy zachowasz.

– Czyli... przede mną... walka?

– Zgłupiałaś? Przebywasz tu od kilku dni, brakuje ci doświadczenia. Sądzisz, że Strateg pozwoli, byś uczestniczyła w bitwie? Kretynizm.

– No więc o co chodzi? – wykrzyknęłam z urazą.

– A o to, że chociaż nie weźmiesz udziału w potyczce, zawsze istnieje ryzyko natknięcia się na jakiegoś Anioła. I albo go zabijesz, albo on zabije ciebie.

Pobladłam.

– Aha... I nie wiesz, czy dam radę...

– Bingo! W tym cały problem.

Ścisnęłam Minuttę. Fakt. Nigdy, nawet niechcący, nie skrzywdziłam niczego większego niż robak. Wyobraziłam sobie taką konfrontację i przeszły mnie ciarki. Pewnie, że nie dam rady, mimo że przecież mówimy o nieprzyjacielu.

Anioły zbyt przypominają ludzi. I... Lilim.

– Widzisz? – mruknął Alois, obserwując, jak trzęsą mi się ręce. – Większość nowo przybyłych reaguje identycznie.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Też tak miałaś?

– Żartujesz? – uśmiechnął się z wyższością. – Jasne, że nie. Przygryzłam wargę, nie będąc zdolną do riposty w podobnym stylu. Alois zrozumiał ten milczący wyrzut i odrobinę się odsunął, a atmosfera w jednej sekundzie zrobiła się napięta.

– Nie martw się – powiedział nagle. – W trakcie ataku ci niedoświadczeni prowadzeni są podziemnymi przejściami z Mauzoleum do Grobu. Natrafienie na ptaszydło należałoby raczej rozpatrywać w kategoriach wyjątkowego pecha... Lecz na wszelki wypadek powinnaś nauczyć się posługiwać tym pięknym bułatem. – Zerknął na Minuttę. – Pojutrze zaczniesz trenować z Henriette. Dzień spędzę na przekonaniu jej do tego pomysłu.

– Ale...

– Żadnych ale. Musisz podporządkować się poleceniom swego przełożonego.

– Rozkaz, Generale Broni.

Roześmiał się, wychwyciwszy w moim głosie sarkazm. Wtem zdałam sobie sprawę, że pierwszy raz słyszę go śmiejącego się serdecznie, szczerze, zaraźliwie, bez cienia złośliwości czy ironii. Błyskawicznie mu zawtórowałam. Chichotaliśmy głośniej i głośniej, aż w końcu zabrakło nam powietrza i uspokoiliśmy się, wyczerpani, trzymając się za obolałe brzuchy.

– No dobra, lepiej już pójde – stwierdził wreszcie Alois. Szybko oddychał i miał zaczerwienione policzki. – Kaspar chce, żebym zjadł z nim kolację. Idiota, zamierza mnie upić, a potem zaciągnąć do lokali „dla starszych chłopców” w Grobie.

– Brzmi ciekawie.

– Oj, nawet bardzo – przytaknął, wstając. – Trzeba będzie go później przywlec z powrotem, a dodatkowo podpierać głowę, kiedy zbierze mu się na wymioty.

Znowu się zaśmialiśmy, znacznie jednak słabiej i ciszej niż poprzednio. Niemal z przymusem.

Coś się zmieniło. Jakby temperatura w pokoju raptownie wzrosła. Gdy Alois skierował się do wyjścia, niewiele myśląc, zerwałam się i ruszyłam za nim.

– Dziękuję.

– Za trening z Henriette? – spytał, zatrzymując się. – Nie dziękuj. Po pierwszych minutach najdzie cię ochota, by mnie zabić, zapewniam.

Zrobiłam kolejny krok w jego stronę, czując się nagle zupełnie bezbronna. Co za dziwaczne wrażenie.

– Nie... Nie za to.

Dopiero teraz odwrócił się, zaciekawiony.

– Próbowaleś... zabrać mnie stąd w obawie o moje bezpieczeństwo. Dlatego ci dziękuję – wyszeptałam jednym tchem i natychmiast zapragnęłam stać się niewidzialną.

Resztką odwagi spojrzałam mu prosto w oczy, z twarzą płonąącą ze wstydu.

Wyglądał na wzburzonego. Gorączkowo pokręcił głową, podszedł do drzwi i gwałtownie je otworzył, a wtedy do pokoju wpadła Loretta, przewracając się na podłogę.

Westchnęłam, kiedy przepaszająco się uśmiechnęła. Ależ wścibska... Najwyraźniej podsłuchiwała całą rozmowę.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Morderstwo

Diletta

Co za okropny sen. Z całą pewnością najbardziej męczący ze wszystkich, jakie kiedykolwiek miałam. Słyszałam wołający mnie uporczywie głos i towarzyszące mu donośne, bezładne, nerwowe walenie. Nie umiałam rozpoznać, kto tak histerycznie domaga się kontaktu ze mną, ale najwyraźniej chodziło o coś wyjątkowo ważnego.

Niespokojnie przewróciłam się na bok i wtem zaliczyłam twarde lądowanie na posadzce. Momentalnie się obudziłam, nie wiedząc, gdzie się znajduję ani co się dzieje.

Łomotanie nie ustało, a drzwi, trzeszcząc przy każdym uderzeniu, ledwo już trzymały się na zawiasach. Można by pomyśleć, że na korytarzu stoi rozjuszona bestia, jednak wykrzykujący moje imię głos należał do kobiety.

Zerwałam się i pospiesznie przeczesując rozczochrane włosy oraz poprawiając piżamę, podeszłam do wyjścia. Ubiegając kolejny, przypuszczalnie rozstrzygający atak, nacisnęłam klamkę. Od razu uskokczyłam, przestraszona, unikając w ten sposób ciosu zadanego przez młodą, jasnowłosą Lilim. Chwilę przyglądałyśmy się sobie w milczeniu. Widziałam ją wcześniej, u Aloisa. Tamtego dnia, kiedy opuścił Świat Żywych. Leżała... z nim wtedy na podłodze.

– Tak? – zapytałam grzecznie.

– Żebyśmy się dobrze zrozumiwały – odpowiedziała w ramach powitania. –

Będę cię trenować, ponieważ zlecił mi to ten gnojek,

mój przełożony, i muszę wykonać rozkaz. Jestem beznadziejnym nauczycielem, a dodatkowo mam fatalny humor, bo za dużo wczoraj wypiałam, spałam źle i niewiele i cholernie boli mnie głowa.

Przez kilka sekund nie potrafiłam wydusić ani słowa. Zerknęłam na okno. Nie zaczęło jeszcze świtać, a o szybę rozbijają się krople deszczu...

– Trenować? Przecież... pada. – To jedyne, co udało mi się w końcu wyartykułować.

Kobieta ze zniecierpliwieniem złapała się pod boki.

– Ach, no tak. Zapomniałam, że walczy się wyłącznie wtedy, gdy świeci słońce – zadrwiła. – Nasze drogie Anioły na sto procent nie zaatakują w deszczowy dzień. Są bardzo dobrze wychowane.

Zarumieniłam się ze wstydu.

– Daję ci dziesięć minut na wyszykowanie się – dodała, odwracając się. – Śniadanie zjesz po drodze.

Zanim trzasnęła za sobą drzwiami, łaskawie się przedstawiła. Henriette. Imię równie twarde jak jego właścicielka.

Zakręciłam się w miejscu, kompletnie zaskoczona. Dopiero teraz zauważyłam, że nienaturalnie szybko oddycham... Przytknęłam dłonie do piersi, usiłując się uspokoić.

Alois się nie mylił. Z przyjemnością bym go zamordowała. Tylko on mógł wpaść na pomysł, żeby wyznaczyć mi instruktora, który zabija wzrokiem i zachowuje się gorzej niż sam Szatan.

To nieludzkie. Bez cienia wątpliwości.

Po pierwsze dlatego, że nieustanne ataki mojej wymagającej nauczycielki były nie do odparcia, zwłaszcza dla kogoś, kto jak ja, do dzisiejszego poranka nie trzymał w ręku broni. Po drugie, umierałam ze zmęczenia, a ponadto skostniałam z zimna i przemokłam do suchej nitki; przestało lać ledwie minuty temu. Po trzecie wreszcie, na tej położonej w obrębie Oddziału Trzeciego łące, doskonale widocznej dla wszystkich zmierzających do pracy

Lilim, skupienie się na walce okazało się nierealne. Czułam na plecach rozbawione spojrzenia i czerwieniłam się przy każdym upadku.

O tyle dobrze, że jeszcze nie pojawił się Alois.

– Wstawaj! – wrzasnęła Henriette dziesiąty już chyba raz.

Z trudem się podniosłam, głośno sapiąc. Wbiłam bułat w ziemię i oparłam się na nim niczym na lasce, by złapać dech.

– Dosyć to frustrujące – oznajmiła z niesmakiem.

– Raczej dla mnie – burknęłam. – Gdybyś tak pokazała, jak atakować...

– Atakować? – zaśmiała się. – A po co? Zaprezentowałam ci kilka podstawowych pozycji umożliwiających zablokowanie ruchu niezbyt wprawnego przeciwnika, lecz nie jesteś w stanie ustać trzech kolejnych ciosów.

– Brak mi siły – mruknęłam.

– Tu nie chodzi o siłę, ale o fatalną równowagę. – Uderzyła mnie rękojeścią broni po kostkach, zmuszając do rozstawienia nóg. – Ugnij je mocniej. Dokładnie. I spróbuj tak wytrwać.

– Co? – Ze zgrozą popatrzyłam w dół. – Nie dam rady!

Henriette błyskawicznie wysunęła szpadę i na mnie runęła. Gorączkowo starałam się przypomnieć sobie postawę odpowiednią do sparowania tego natarcia. Przesunęły mi się przed oczami sceny z filmów o średniowiecznych rycerzach: jeden z furią rzuca się na drugiego, unosząc ponad głową ciężki miecz, gotowy do ostatecznego rozstrzygnięcia... Moim zdaniem szanse obrony równają się w takiej sytuacji zeru, ale Henriette nie zgodziła się z tą opinią. Wytłumaczyła, że tak naprawdę to nieskomplikowany, nieprzemyślany i nieskuteczny ruch. I łatwo go zatrzymać. Wystarczy ułożyć broń w pozycji horyzontalnej, opierając klingę płaską częścią na dłoni, która nie ściska rękojeści, i przyjąć cios na ostrze, głęboko uginając nogi. Następnie należy rozpocząć obrót

o trzysta sześćdziesiąt stopni, skrętem nadgarstka podbić broń przeciwnika, szybko wyprostować ramię i zakończyć manewr skutecznym trafieniem.

Brzmi banalnie. Ale w praktyce... to koszmar.

Mimo bólu wytrzymałam uderzenie, lecz zarazem nieco się cofnęłam i spóźniłam obrót. Zanim podniosłam stopę, nogawka moich spodni została przygwożdżona szpadą do błotnistego podłoża i grzmotnęłam na ziemię.

Usłyszawszy chichot, ponownie zarumieniłam się ze wstydu oraz złości. Kiedy Henriette pochyliła się, by wyciągnąć broń, uwalniając mi nogę, zanurzyłam but w błocie i kopnęłam jej breją w twarz. Tego się nie spodziewała. Krzyknęła i przymrużyła powieki, a wtedy zerwałam się i przystawiłam ostrze bułatu do jej szyi.

– No proszę – wyszeptała, otwierając oczy i zerkając na klingę. – Zabiłabyś mnie.

Momentalnie odrzuciłam szablę, jak gdyby parzyła.

– Przepraszam – wymamrotałam. – Nie powinnam była...

Nieoczekiwanie szeroko się uśmiechnęła.

– A właśnie że tak! – zawołała, obcierając czoło i policzki. – Ponieważ sparowanie prostego ataku sprawia ci jeszcze trudność, szukasz własnych metod obrony. Bardzo w stylu Aloisa.

– Że co? – zdziwiłam się.

Popatrzyła na mnie inaczej niż dotychczas: z większym spokojem i znacznie przyjaźniej. Jakby dostrzegła w mojej osobie kogoś więcej niż niezdatną do walki, ubłoconą i przemoczoną niezdarę, która nie może utrzymać równowagi ani piętnastu sekund; jakby uznając, że jestem jedną... z nich, Lilim.

– Sytuacja Petersena w pewnym sensie przypomina twoją – wyjaśniła, spoglądając w niebo. – Niedawno dołączył do właściwie obcego sobie świata. Inni Generałowie Broni są od niego minimum pięć lat starsi, mocniejsi fizycznie... Znają teren, na którym toczy się

gra, i dzięki dużemu doświadczeniu umieją reagować na pojawiające się problemy. Dla Aloisa to wszystko nowość. Denerwuje się. Czuje się zagubiony. Jak ty.

– Alois? – roześmiałam się z powątpiewaniem. – Zagubiony?

– Możesz kpić, ale wiem, co mówię – westchnęła. – Uwierz, niebezpiecznie jest być geniuszem.

Nie odezwałam się i dłuższą chwilę stałyśmy w milczeniu.

– Dobra. Przez twój atak niespodziankę muszę wziąć prysznic, zanim pokażę się w koszarach i wysłucham absurdalnych rozkazów mojego ukochanego przełożonego – mruknęła wreszcie. – Zabieraj buty i uciekaj. Starczy na dzisiaj.

Z ulgą pokiwałam głową. Marzę o odpoczynku.

– Nie ciesz się. Jutro przyjdę po ciebie o tej samej porze – ostrzegła.

– Jasne...

– Na razie, Diletta. I ćwicz. Nie zawsze będziesz mogła wspomóc się błotem.

Obudziło mnie głośnie walenie.

Przeciągnęłam się, ziewając. Prawie minęła północ. Póływa ze zmęczenia po lekcji z córką Szatana vel Henriette, z ogromnym trudem wygrzebałam się z ciepłej pościeli i poczłapałam do drzwi. Ich uchylenie podziało jak zimny prysznic: natychmiast oprzytomniałam, z niedowierzaniem obserwując niezapowiedzianego gościa.

– Alois?

Wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko. Najwyraźniej w Świecie Zmarłych też lubi wylegiwać się na należących do dziewczyn pościeliach...

– Co tu robisz? Orientujesz się, która godzina?

– Pewnie, że tak. Mam oczy, Mair – odparł. – Serio chciałaś już się kłaść?

Co się dzieje? Czyżby wyczerpał cię poranny trening,

amatorko?

– Nigdy wcześniej nawet nie dotknęłam broni, więc czego oczekiwałaś? – burknęłam. – Założę się, że pierwszego dnia wcale nie szło ci wiele lepiej.

Uśmiechnął się tak niepokojąco, że odstąpiłam krok w tył. Cokolwiek sobie w tej chwili myśli, malujące się na jego twarzy cyniczne rozbawienie nakazuje zachować czujność.

– Moglibyśmy sprawdzić...

– Jak? – wyjąkałam, od razu tego żałując.

Nie odpowiedział. Przekształcił Minuttę we floret, ewidentnie napawając się widokiem mojej przerażonej miny.

– Alois, odłóż tę broń! – zawołałam błagalnie, kiedy podszedł. Skojarzył mi się z wygłodniałym drapieżnikiem. – To kiepski moment...

– Mylisz się – syknął. – Wręcz idealny.

Zamachnął się, lecz zdążyłam uskoczyć i ostrze utkwilo w nodze krzesła. Pospiesznie wbiłam Minuttę w tatuaż na przedramieniu.

– Co ty wyrabiasz?! – krzyknęłam. – Alois! Oszalałeś?!

Stanął tuż przy mnie, uporczywie się wpatrując. Owo spojrzenie wydawało się zbyt perwersyjne, przygniatające, za bardzo intensywne...

Jednym ruchem wytrącił mi bułat.

– I to jak...

Cofnęłam się, a natrafiwszy na ramę łóżka, straciłam równowagę. Upadłam na materac. Doskonale wyczułam ciepło Aloisa, leżącego na nim przed kilkoma zaledwie minutami. Chciałam się podnieść, ale usiadł na mnie okrakiem i choć nie unieruchomił, zdecydowanie ograniczył pole manewru: ponawiając próbę wstania, musiałabym go w tym momencie zrzucić albo też wyslizgnąć się, niechybnie ocierając o jego pierś.

– I co teraz? – szepnął. – Co zamierzasz?

Wsunął mi rękę pod plecy i delikatnie uniósł, muskając oddechem policzki.

– Alois...

Za sekundę zemdleję.

Milczał, lecz jakkolwiek dziwnie by to zabrzmiało, wiedziałam, że wszelkie słowa są zbędne. Ogarnięta paraliżującym podnieceniem patrzyłam, jak nachyla się... I nagle mocno, niemal brutalnie mnie pocałował.

Otworzyłam oczy i gwałtownie usiadłam.

Dochodziła czwarta rano. Znajdowałam się w swoim pokoju, lekko oświetlonym słabym światłem księżycy, zawinięta w kołdrę, spocona i zalękniona.

A więc to tylko sen... Zerknęłam na śpiącą obok Lorette. Poprzedniego wieczoru rozmawiałyśmy do późna i postanowiła zostać na noc.

Z westchnieniem opadłam na poduszkę, odgarniając z czoła mokre od potu kosmyki włosów.

– Alois... Co to było? – wymamrotałam.

Dobre pytanie...

Zacisnęłam powieki, nakazując sobie wymazanie z pamięci tej idiotycznej fantazji. W końcu to rojenia podświadomości, nic nie znaczą...

Cholera. Oczywiście, że znaczą.

Pieprzony Petersen.

Wymazać z pamięci. Łatwo powiedzieć. Staralam się skupić na czymkolwiek innym, ale kiedy na nowo zaczęłam pogrążyć się we śnie, znów ujrzałam twarz Aloisa i poczułam na wargach dotyk jego ust. Wstrzymałam oddech i... zupełnie otrzeźwiałam, z sercem bijącym jak oszałałe.

Szlag by to trafił. Co się ze mną dzieje?

Pieprzony debil.

Ostrożnie wstałam, uważając, żeby nie obudzić Loretty, i rozejrzałam się za czymś do okrycia. Dostrzegłam wiszącą na krześle kamizelkę, którą Alois pożyczył mi, gdy zjawiłam się w Mauzoleum. Jest na tyle gruba, by ochronić przed chłodem. I należy do niego.

Zignorowawszy dreszcz wywołany narzuceniem jej na ramiona, wyszłam na korytarz. Muszę się przejść i uporządkować myśli...

Choć przecież nie ma tu nic do porządkowania.

Opuściłam Rezydencję i ruszyłam przed siebie, chowając dłonie w kieszeniach. Gwiazdzista noc okazała się stosunkowo ciepła, a panującą dookoła ciszę mąciły tylko moje kroki. W oknach nie paliło się żadne światło, wszyscy śpią... Z jednym wyjątkiem.

No właśnie... Co ja najlepszego robię? Włócząc się w ciemnościach niby lunaticzka, zachowuję się nedorzecznie. Wręcz żałośnie. Dlaczego mimo wyniosłości i arogancji, z jakimi Alois się do mnie odnosi, przyśniła mi się akurat ta scena? Jeżeli tak wygląda reakcja podświadomości, powinnam się martwić. Bo... skąd niemoc wobec jego bliskości? Skąd uległość wobec jego zamiarów i przyspieszone bicie serca? I dlaczego, do cholery, odwzajemniłam pocałunek? Pocałowałam go! Boże. Boże!

Spokojnie, wszak snom brakuje logiki, po prostu odzwierciedlają to, czego...

Czego pragniemy.

Matko. Niemożliwe.

Wtem doszedł mnie hałas. Zatrzymałam się, wolno odwracając w stronę kamiennego muru otaczającego teren Rezydencji. Ktoś przy nim siedział.

Zdrętwiałam ze strachu, ale gdy wyteżyłam wzrok i rozróżniłam czerwoną generalską tunikę, odetchnęłam z ulgą i skierowałam się ku ogrodzeniu.

Rozpoznałam Zaha Browna, przełożonego Aloisa. Lekko

pomarszczona twarz i ciemne, opadające na ramiona włosy nie pozostawiały wątpliwości. Widywałam go, mijając zabudowania Oddziału Trzeciego. Opierał się teraz plecami i głową o zimne kamienie. Na skrzyżowanych nogach leżała długa włócznia.

– Dobry wieczór.

Nie odezwał się. Niepewnie dałam krok w tył. Coś tu nie gra. Jego pierś w ogóle się nie wznosi, jakby nie oddychał...

Znowu ogarnął mnie strach. Obejrzałam się, zaalarmowana szelestem trawy, lecz po chwili uznałam, że się przesłyszałam. Rany, przesadzam, a Generał Brown zwyczajnie zasnął... Tak czy inaczej, widok tej nieruchomej postaci w połączeniu z ostrzeżeniem przed atakiem Aniołów i wyczuwalnym od kilku dni w Panteonie gorączkowym ożywieniem spowodował, że z wielkim trudem pohamowałam chęć ucieczki.

Zakaszlałam, licząc, że wreszcie uniesie powieki. Ale nie. Ani drgnął.

Przełknęłam ślinę. Chyba warto kogoś powiadomić... Chociaż nie, zważywszy na porę, to średni pomysł. Loretta obrazi się, jeśli obudzę ją z powodu jakiegoś głupstwa... Zah Brown głęboko śpi, nic więcej.

Podeszłam bliżej muru. Cholera, mokro mi w butach... Ani chybi od rosy. Spojrzawszy w dół, gwałtownie pobladłam.

To nie rosa, lecz krew.

– Proszę pana! – krzyknęłam. – Proszę pana! Nic panu nie jest? Nie powinnam była go tknąć. Należało się obrócić i oddalić tą samą drogą, którą przyszłam. Nie przygotowałam się na to, co zaraz miało nastąpić...

Gdy delikatnie potrząsnęłam Generałem, pochylił się, a jego głowa, niby źle umocowany klocek, odpadła od szyi i jak szmaciana piłka poturlała się do moich stóp.

Odeskoczyłam.

A potem zaczęłam wrzeszczeć.

Alois

Ciężko dysząc, dobiegłem do muru oddzielającego Żeńską Rezydencję od reszty Mauzoleum. Nie starczyło mi czasu, żeby porządnie się ubrać. Spodnie munduru włożyłem tył na przód i nie przebrałem się z szarej, za dużej koszulki, w której zwykle śpię. W dłoni dzierżyłem floret.

Jeden z dowódców niższego szczebla właśnie zawiadomił mnie o śmierci Zaha Browna. Diletta znalazła ciało. Zamordowano go, a dokładniej ścięto.

Jak to możliwe? Brown był znakomitym żołnierzem, posługiwał się włócznią z niesamowitą precyzją... Ponadto cieszył się w Mauzoleum szacunkiem. Komu zależało na tej śmierci? I dlaczego?

Zacisnąłem pięści.

Jako jego zastępca właśnie stałem się Generałem Oddziału Trzeciego. Najmłodszym Generałem w historii Panteonu.

Raptem usłyszałem szmer i przystanąłem, wysuwając przed siebie szpadę. Ostrze zatrzymało się na czyimś policzku... a po sekundzie na bladej twarzy Zoryi Senkiego, Generała Broni z Oddziału mojego brata, pojawiła się czerwona szrama.

Westchnąłem i opuściłem floret, nie zamierzając przeprosić. Po co się zakradał? To przejaw nierozwagi, zwłaszcza po tym, co zaszło.

Zorya dotknął skaleczenia i beznamiętnie przyjrzał się zabarwionym krwią palcom.

Było w nim coś, co wzbudzało nieufność. Może to te czarne jak heban włosy, nienaturalnie gładkie i delikatne, a może raczej intensywnie niebieskie, niepokojąco błyszczące oczy. Lub też blizny, krzyżujące się pod kątem prostym na twarzy, albo wąskie wargi, które nadawały jej zimny wyraz. Bądź wysoki wzrost czy wiecznie

pochylona głowa...

W przeciwieństwie do Ennsa, uśmiechającego się bez względu na sytuację, Zorya w ogóle nie umiał unosić kącików ust.

– Generale Bro... Przypuszczam, że od teraz trzeba się do pana zwracać per Generale Petersenie.

Nie wychwyciłem w jego tonie drwiny, lecz wolałem nie chować floretu.

– Odejście kogoś takiego jak Zah Brown oznacza dla Oddziału Trzeciego ogromną stratę – zauważyłem łagodnie, ale i ostrzegawczo.

– Nie wątpię – przytaknął, pogardliwie się krzywiąc. – Skądinąd to dziwne zdarzenie, nieprawdaż?

Wzruszyłem ramionami. Próbuje mnie sprowokować, ale nie dam się wciągnąć w tę grę.

Wiedziałem, co sugeruje.

– Wracaj do swojego Oddziału, Zorya – poradziłem cicho. – Zbyttno się od niego oddaliłeś.

– Rozkaz, Generale.

Skłonił się, nie odrywając ode mnie wzroku. Obserwowałem go, dopóki nie zniknął za załomem muru.

– Petersen!

Rozpoznałem głos Zaccarii Lawrence'a. Stał kilka metrów dalej, jak zawsze przygarbiony, w zapiętym na ostatni guzik mundurze. Sprawiał wrażenie zmęczonego. I podrażnionego. Czym prędzej do niego podszedłem.

– Jak wygląda sytuacja?

– Fatalnie – mruknął, ręką dając znak, bym za nim podążył. – Ta tragedia wywołała poruszenie wśród Generałów. Mówią o zdradzie.

Zebrani nieopodal zwierzchnicy sześciu Oddziałów w milczeniu czekali, aż się do nich zbliżymy. Mimo słabego oświetlenia dostrzegłem, że Dimitri Valya szepce coś na ucho Charlotcie

Brennt. Silnie przygryzłem wargę. Wyobrażam sobie, jakiego rodzaju to komentarz...

– Nie znaleziono śladów?

– Żadnego – powiedział Strateg. – Co, z drugiej strony, jest ważną wskazówką. Zabójca Generała Zaha Browna niewątpliwie należy do wysokich rangą dowódców. Niewielu w Mauzoleum potrafiłoby popełnić zbrodnię, nie zostawiając dowodów.

Poczułem naraz w ustach metaliczny smak krwi i obtarłem się wierzchem dłoni, ignorując nerwowy skurcz w lewej nodze. Główny podejrzany to oczywiście ja. Słynę z próżności i ambicji, by być najlepszym. A dzięki śmierci Browna przechodzę do historii, okazując się nie tylko geniuszem, ale wręcz kimś nadprzyrodzonym. Kimś, za kogo zawsze przecież pragnąłem uchodzić.

Jednak nie na skutek splotu podobnych okoliczności.

– Przesłuchano Diletę? – zapytałem.

– Tak, Dimitri się tym zajął – odparł Zaccaria Lawrence.

– Nie najszcześniejszy wybór... – burknąłem. – Dlaczego nie wstrzymaliście się do mojego przyścia?

– Musieliśmy działać szybko.

Wspaniale. Znam metody Valyi. Scharakteryzowałbym je jako dość... niekonwencjonalne, co może szczególnie boleśnie odbić się na świadku, który właśnie przeżył potężny wstrząs.

Jak Diletta.

– Chcę z nią porozmawiać – oznajmiłem.

– Nie rzucisz nawet okiem na ciało swojego dowódcy? – zdziwił się Enns.

– Później. Wiem, czego się spodziewać.

– Bezczelny... – syknęła Charlotta.

Uniosłem floret, lecz Strateg złapał mnie za rękę, nakazując spokój.

– Idź do niej. Jest u siebie. Z Loretą Batisti – poinformował. – Nie

zabaw długo. Potrzebujemy cię.

Kiwnąłem głową i ruszyłem w kierunku Żeńskiej Rezydencji. Mijając Dimitriego Valyę, zawadziłem go barkiem. Zachwiał się, ledwo ratując przed upadkiem, i z wściekłością dotknął Minutty, przypiętej do munduru na kształt broszki, ale nie zwolniłem, pewnym krokiem zmierzając do olbrzymiego, znajdującego się na wprost budynku.

W środku dało się wyczuć wzburzenie. Lilim w różnym wieku krążyły przestraszone po korytarzach, szeptem wymieniając uwagi. Większość miała na sobie piżamy, tylko nieliczne włożyły mundury. Na mój widok kłaniały się i znikwały w pokojach.

Pokonałem sporo schodów, nim dotarłem na piętro Diletty. Pod drzwiami jej sypialni ujrzałem grupkę uciszających się nawzajem, podsłuchujących nastolatek. Podeszedłem, znacząco kaszląc, witany stłumionymi okrzykami i najróżniejszymi próbami usprawiedliwienia się. Gdy gniewnym gestem przegoniłem dziewczyny, błyskawicznie się rozpierzchły.

Nie zapukałem. Po prostu nacisnąłem klamkę i wszedłem. Ktoś wrzasnął i nagle zobaczyłem tuż przed sobą ostrze szpady Henriette.

– O co chodzi? – zapytałem lodowato.

– Alois? – Zasłoniła usta i upuściła broń.

Zza jej ramienia wychyliła się zmieszana Loretta.

– Nie sądziłem, że spotkam też ciebie – warknąłem pod adresem Henriette. – Skąd się tu wzięłaś?

Z prawej strony dobiegł słaby, załamujący się głos:

– Poprosiłam, żeby przyszła.

Natychmiast się odwróciłem. Diletta siedziała na krześle przy biurku, ściskając parujący kubek. Podbiegłem i uderzyłem ją po rękach, wytrącając naczynie, które rozbiło się na drobne kawałki, a jego gorąca zawartość rozlała się po podłodze.

– Alois, co ty wyrabiasz?! – zawołała Henriette.

– Poparzyła się.

Z przestachem popatrzyły na siebie z Loretą, zauważywszy zaczerwienione dłonie Diletty. Nie poskarżyła się wcześniej, chociaż wysoka temperatura kubka właściwie wykluczała możliwość bezbolesnego trzymania go.

– Przynieście zimną wodę. Prędko! – rozkazałem. – A ty, Loretta, poszukaj bandaży i jakiejś maści. No już, ruszaj się!

Pędem opuściły sypialnię i zaraz rozległy się gniewne napomnienia świadczące o tym, że ciekawskie mieszkanki Żeńskiej Rezydencji znowu zebrały się pod drzwiami.

Westchnąłem i zerknąłem na Diletę. Przyglądała mi się pustym, kompletnie pozbawionym wyrazu wzrokiem. Najwyraźniej była w stanie szoku.

– Co ci zrobił ten przekłety Valya? – spytałem, potrząsając nią za ramiona. Zwiesiła głowę. – Ej... Ej!

Dolna warga zaczęła jej drżeć i tak mocno splotła dłonie, że zatrzeszczały stawy. Ale się nie odezwała.

– Uczynił coś okropnego, prawda? – wyszeptałem, ledwie nad sobą panując. – Kawał drania...

Walnąłem pięścią w stół, a wówczas wzdrygnęła się, budząc z odrętwienia.

– Ja... nic nie widziałam. Usłyszałam hałas i spostrzegłam... tego mężczyznę... przy murze – wyjąkała. – Zbli... zbliżyłam się... i dotknęłam go, żeby sprawdzić, czy... dobrze się czuje. I... wtedy...

– zaszlochała – ...jego głowa...

Głęboko nabrałem powietrza, zakłopotany, nie mając pojęcia, jak ją uspokoić.

– Powtórz... łam to kilka razy Generałowi... Valyi – kontynuowała, wbijając paznokcie w skórę aż do krwi. Nerwowo machała nogami, co rusz kopiąc w krzesło. – Ale... uparł się, by

wyciągnąć... dodatkowe informacje.

– Nie powinnaś była zgodzić się na tę rozmowę – burknąłem. – Nawet Horacio Kaspar wykazałby w trakcie przesłuchania więcej taktu. Do jasnej cholery, dlaczego nie poczekałaś, aż się zjawię?

Złość, smutek, a potem rozżalenie. Właśnie w takiej kolejności odmalowały się na jej twarzy emocje i wtem zrobiło mi się gorąco. Podniosła błyszczące od łez oczy.

– Bo wiem, że w gruncie rzeczy nic cię nie obchodzi. Ani trochę.

Zakląłem pod nosem. Położyłem dłonie na jej barkach, odnosząc wrażenie, że coś wrywa mi wnętrzności. Niby nie boli, ale przepelnia pustką i poczuciem straty... czegoś ważnego. Nigdy wcześniej nie zalała mnie fala tak ogromnych wyrzutów sumienia.

– Posłuchaj, ja...

Z roztargnieniem pokiwała głową. Znowu pograżyła się we własnych myślach i chyba przestała zwracać uwagę na moje słowa. Przejechałem rękoma po jej ramionach i mocno złapałem za dłonie. Wyszarpnęła się ze zduszonym okrzykiem. Pojawszy swój błąd, odsunąłem się zawstydzony, bezgłośnie wyzywając od bezużytecznych idiotów i niezdar.

– Prze... przepraszam – wymamrotałem, zwilżając językiem suche usta. – Nie bardzo... umiem zachowywać się w takich sytuacjach.

Nieco się ożywiła, niemal niedostrzegalnie unosząc kąciki ust.

– Nie tłumacz się – powiedziała. – Zdażyłam się już zorientować.

Uśmiechnąłem się z przymusem i spytałem:

– Gdzie się podziały tamte dwie?

Diletta zerknęła na drzwi. W mig zrozumiałem tę niemą wskazówkę. Energicznym krokiem przemierzyłem pomieszczenie i nacisnąłem klamkę. Zgodnie z przypuszczeniami Henriette i Loretta wpadły do pokoju, straciwszy równowagę.

– Któręś dnia każę was aresztować za to wścibstwo –

wycedziłem. – A teraz wynocha, sam się nią zajmę.

Wymieniły znaczące spojrzenia i dopiero gdy chwyciłem floret, serio potraktowały ów rozkaz. Cicho przeprosiły i wyszły.

Schylłem się po stojącą na podłodze miskę i bandaże.

– Założę ci opatrunek i pójdiesz do łóżka – oznajmiłem. – Po kilku godzinach snu... poczujesz się lepiej.

– Nic mi nie jest – zapewniła Diletta. – To zwyczajnie... szok.

Ze sceptyczną miną postawiłem jej miskę na kolanach i zmusiłem do zanurzenia dłoni w chłodnej wodzie. Odetchnęła i przymknęła powieki, wyraźnie odprężona.

– Wymiotowałaś? – zainteresowałem się.

– Co?

– Jak zwymiotujesz, od razu ci się poprawi – wyjaśniłem, sięgając po bandaż. – Pozbędziesz się tego przepelniającego cię wstrętu.

Potrząsnęła głową i niespodziewanie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Brzmiało to dosyć niepokojąco, a jednak mnie ucieszyło. W końcu nieważne jak; ważne, że się śmieje.

– Co cię tak rozbawiło?

Popatrzyła mi w twarz. Płakała, nie przestając chichotać, a kiedy zacząłem ją opatrywać, dotknęła mojej ręki i w tym samym momencie wstrząsnął mną tak silny dreszcz, że ledwo utrzymałem się na nogach. Próbowałem zabrać dłoń, lecz... nawet się nie poruszyłem. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa.

– Rzeczywiście jesteś węzem... – szepnęła, obcierając spływające po policzkach łzy. – Prawdziwym węzem.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytałem zaskoczony.

– Właśnie to odkryłam – ciągnęła. – Mało kto lubi węże. Są sprytne, beznamiętne, szybkie, tajemnicze, jadowite... Ale mają swoiste piękno. Tylko nie każdy potrafi je dostrzec.

Spuściłem wzrok, zmieszany i potwornie skrępowany. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziałem, jak zareagować na proste przecież

stwierdzenie.

– Ty... potrafisz? – wydusiłem ochryplym głosem.

Spojrzała nagle na nasze stykające się ręce i w jednej chwili jej źrenice nienaturalnie się rozszerzyły. Chyba również poczuła ten dziwny, obezwładniający prąd... Nie zdołała się odezwać, co przyjąłem z ulgą.

– Prześpij się teraz – poradziłem cicho, zawiązawszy bandaż. – Zostanę z tobą.

Zaczerwieniła się od szyi aż po koniuszki uszu, a ja momentalnie odzyskałem przynajmniej część pewności siebie.

– Dlaczego się rumienisz?

– Wcale się nie rumienię! – pisnęła, wstając z krzesła i bezskutecznie starając się zapanować nad widocznymi na twarzy emocjami. Moja bliskość specjalnie jej w tym nie pomagała. – Ale... nie rozumiem, co dokładnie znaczy... no... że... ze mną zostaniesz.

– Nie w twoim łóżku, chociaż przypuszczam, że byś nie protestowała – odparłem z rozbawieniem. – Zostanę, bo gdybym teraz wyszedł, dorwałbym tego cholernego Valyę i przerobiłbym go na miazgę.

Uśmiechnęła się, wreszcie blednąc. Bardzo ostrożnie minęła mnie, przeszła przez pokój i położyła się, szczelnie okrywając kołdrą. Wyobraziłem sobie, nad czym się zastanawia, i pożałowałem, że wspomniałem o Dimitrim.

– Przeżyłaś traumę, lecz przestań się już torturować. To nie twoja wina. Miałaś pecha, znajdując ciało. I tyle.

Uklepała poduszkę.

– Po... śmierci Generała Browna... awansujesz? – spytała cicho i jakby ze smutkiem.

– Tak.

– Powinnam ci więc pogratulować.

Zmarszczyłem czoło z udawaną urazą.

– A nie pogratulujesz?

– Gratulacje... – wymamrotała bezbarwnym głosem. – Ale...

– Ale co?

– To chyba niezbyt dobra wiadomość. – Uciekła wzrokiem, prawdopodobnie obawiając się, że ubodła mnie tym komentarzem. – Będą cię podejrzewać.

Usiadłem na krześle, które wcześniej zajmowała. Zanim się odezwałem, wolno rozejrzałem się po sypialni.

– Sądysz, że jestem winny?

– Oczywiście, że nie.

– Więc nie myśl o tym – mruknąłem, usiłując przybrać obojętną minę. – Śpij. Aha, pamiętaj: gdy się obudzisz, zwymiotuj.

– Postaram się... – wyszeptała, a widząc, że wyciągam nogi i zamykam oczy, wykrzyknęła: – Czekaj, zamierzasz tam spać?

– Wpakowanie ci się do łóżka należałoby uznać za raczej średni pomysł – stwierdziłem, ponownie wywołując rumieniec na jej twarzy. – Po co dostarczać kolejnego powodu do plotek? I tak krąży już ich wystarczająco dużo.

– Nie mówię, żebyś... wpakował się... do łóżka! – zaprotestowała, zanosząc się kaszlem. – Mam koce. Jeśli je rozścielisz na podłodze zamiast...

– Wzruszające, że tak przejmujesz się moim samopoczuciem – zadrwiłem. – Ale powtarzam ostatni raz: zaśnij wreszcie, do cholery, albo wstrzyknę ci laudanum.

Zaśmiała się i dając za wygraną, przekręciła się na bok, odwracając do mnie plecami.

– Alois...

– Czego?

– Ja potrafię.

Mocno zacisnęła leżącą na lewym ramieniu dłoń. Powietrze wokół zrobiło się nagle zbyt ciężkie, by można nim oddychać.

– Potrafię je dostrzec.

Skinąłem głową, nie będąc w stanie wypowiedzieć ani słowa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Oblężenie

Alois

Nie lubię tej tradycji.

W obecnej chwili wręcz jej nienawidzę.

Kiedy umiera Generał, pogrzeb należy zorganizować możliwie najszybciej, najpóźniej dzień po jego śmierci. Ciało palone jest na oczach dowódców Panteonu, a tuż potem mianowany zostaje następca zmarłego.

Czyli ja.

Zwłoki Zaha Browna spoczywały właśnie w płomieniach, redukując się powoli do bezkształtnych, szarawych szczątków. Do prochu, dymu i towarzyszącego im skręcającego wnętrzości smrodu.

Nie czułem się teraz na siłach, by zaakceptować nowe stanowisko. Jeszcze trochę, a przeproszę, zwrócę się z prośbą o pozwolenie na wymknięcie się chociaż na pięć minut z tego kwadratowego pomieszczenia, by zaczerpnąć nieco powietrza. I wziąć się w garść.

Wiedziałem jednak, że bez względu na to, jak wielką niechęć budzi we mnie owo przedstawienie, muszę zachowywać się jak gdyby nigdy nic.

Inaczej przegram.

Sześcioro Generałów bacznie mi się przypatrywało, analizując każdy milimetr mojej skóry, sprawdzając, czy się aby nie trzęsę albo czy się nie spociłem... Jeśli liczyli na jakąkolwiek oznakę słabości,

srogo się rozczarowali. Nadludzkim wysiłkiem przybrałem beznamiętną minę. Owszem, na skroniach błyszczało mi kilka kropel potu, lecz mogły być one przecież konsekwencją panującej za sprawą palącego się ognia straszliwej duchoty. Trzymałem się prosto i nie zaciskałem pięści. Nie biegałem wzrokiem po sali, nie mrugałem nerwowo ani nie kołysałem się, jak mam w zwyczaju, kiedy się czymś stresuję. Przypominałem lodowy posąg. I nikt – oczywiście przy założeniu, że nie potrafi czytać w myślach – nie udowodniłby, że sytuacja wygląda w istocie zupełnie inaczej.

Gdy wreszcie zgasły ostatnie płomienie, bezlitośnie ukazując, jak niewiele zostało się z tego potężnego mężczyzny, pochylił się na znak szacunku. Przełknąłem ślinę, przerażony tym, co za moment nastąpi.

– Chyba już czas, chłopcze – oznajmił poważnie Zaccaria Lawrence, wymownie na mnie patrząc.

Jakimś cudem pohamowałem pragnienie ucieczki. Podeszedłem do niego i skłoniłem się.

– Jestem gotowy.

Kłamca. Wstrętny kłamca. Wcale nie jestem gotowy.

Na twarzy Stratega odmalowało się pełne życzliwości zrozumienie. Nie poprawiło mi to bynajmniej samopoczucia. Uklęknąłem i przytknąłem czoło do posadzki, niemal wbijając paznokcie w zimny kamień i z trudem kontrolując oddech.

W pomieszczeniu zapadła przygniatająca cisza.

Kątem oka obserwowałem, jak Zaccaria Lawrence przyciska Minuttę do znajdującej się na brzuchu daty śmierci i malutka szabla w jednej sekundzie powiększa się, zmieniając w ponadpółtorametrowy saif o bogato zdobionej najprawdopodobniej szlachetnymi kamieniami rękojeści. Wzdrygnąłem się. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem.

Błyskawicznie odwróciłem wzrok, by ukryć strach.

Kiedy Strateg przemówił, poczułem się tak, jakbym miał zaraz umrzeć.

– Ja, Strateg Zaccaria Lawrence, mianuję ciebie, Aloisie Petersen, Generałem Oddziału Trzeciego.

Nabrałem powietrza. Wyrecytowałem swoją kwestię pewnym, choć o oktawę niższym niż zazwyczaj głosem:

– Ja, Alois Petersen, przyjmuję stanowisko Generała Oddziału Trzeciego.

Zaccaria uśmiechnął się i spojrzał na otaczającą nas w milczeniu grupę dowódców.

– Wiesz, że każdy z Generałów nosi pseudonim – powiedział. – Jaki wybierasz dla siebie?

Cholera, kretyn ze mnie. Wszystko zadziało się zbyt szybko i zapomniałem o... Chwila. Diletta... Rozpromieniłem się i odparłem:

– Alois Petersen, Generał Wąż.

Dało się słyszeć szepty, a nawet chichoty. Spodziewałem się takiej reakcji i pozostałem wobec niej obojętnym. Niech myślą, co chcą. Z mojej perspektywy ów przydomek nie jest komiczny, wręcz przeciwnie. Posiada specjalne znaczenie, czytelne wyłącznie dla mnie. I może dla Diletty.

Zresztą niektórzy z Generałów obrali dużo dziwniejsze imiona. Wystarczy wspomnieć Dimitriego Valyę. Nie dość, że arogant i narcyz, to jeszcze tak pretensjonalny, że zbiera się na wymioty. Nazwał się Generałem Czarnych Róż. Boże, to dopiero koszmarne brzmi. Enns też zdecydował się na idiotyczny pseudonim: Generał Wiecznego Uśmiechu. Fakt, pasuje do niego idealnie, lecz jednocześnie kojarzy się z tytułem romansidła. Inni okazali się mniej wyrafinowani. Choćby Horacio Kaspar, czyli Generał Łamiący Kości.

Wtem zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Momentalnie wróciłem do rzeczywistości. Więc to już.

Oparłem ręce na udach. Długie rękawy na szczęście nie pozwoliły zebranym dostrzec, że drżą mi dłonie. Strateg tymczasem podniósł saif, ze świstem przecinając powietrze.

Przygryzłem wargi i czekałem.

Ostrze broni opadło w taki sposób, jakby miało przeciąć mi plecy na pół, ale chociaż ich nie dotknęło, mundur rozdarł się, odsłaniając głęboką, podłużną, bryzgającą krwią ranę. Zaccaria błyskawicznie podniósł miecz. Zalała mnie fala potwornego bólu i wygiąłem się, ledwie tłumiąc krzyk.

– Wytrzymaj – szepnął Strateg. – Już prawie koniec.

Oby... Długo nie zniosę tych męczarni.

I wtedy to poczułem. Coś zaczęło poruszać się w moim ciele, wywołując nowy atak bólu. Jęknąłem i mocno zacisnąłem pięści. Kontury wszystkiego dookoła naraz rozmyły się i widok przesłoniły mi mgliste plamy. Nie mogę stracić przytomności... Cała ceremonia okazałaby się bezcelowa, nie udowodniłbym, że jestem godny funkcji Generała.

Rozległ się trzask, i kolejny, aż zadana przez Zaccarię rana otworzyła się szerzej. Uderzyłem czołem o podłogę. Byle zachować jasność umysłu, byle nie zemdleć... Jeszcze tylko jedno pchnięcie, jeszcze tylko...

Zawyłem, kiedy to, co torturowało mnie od środka, wreszcie wydostało się na zewnątrz, rozkładając się po obu stronach pleców i muskając mi twarz.

Dopiero teraz zorientowałem się, że zamknąłem oczy. Uniosłem powieki i z wysiłkiem uśmiechnąłem się, spostrzegając wirujące przed nosem ciemne pióro.

– Gratulacje, Generale.

Głos Stratega dobiegał do mnie z bardzo daleka, a jednak bez problemu wychwyciłem w nim nutę sympatii.

Wolno wstałem, blady i spocony, i przez ramię zerknąłem do tyłu

na trzepoczące, czarne jak noc, wciąż ubrudzone krwią skrzydła, w których odbijało się ciepłe światło pomieszczenia.

Tak, jestem Generałem. Jednym z najwyższych dowódców w hierarchii Lilim. Autentycznym demonem, jak stwierdziłby Noah, samym Lucyferem.

Usłyszawszy szmer, zwróciłem głowę ku pozostałym Generałom. Także rozpostarli skrzydła, dużo większe niż moje... Wyglądali niczym otoczeni mroczną aurą. Gdy wymieniliśmy spojrzenia, po kolei skłonili się w pas.

W odpowiedzi również się pochyliłem, chociaż nie tak głęboko, i zobaczyłem, że Horacio Kaspar puszcza do mnie oko, a Dimitri Valya z niezadowoleniem się krzywi.

Wtedy doszedł nas sygnał alarmu.

Przez chwilę staliśmy bez ruchu, chcąc się upewnić, że ów przenikliwy, pulsujący dźwięk to naprawdę zawiadomienie o niebezpieczeństwie.

Anioły.

Noah nie kłamał. Właśnie zaatakowały Panteon.

Diletta

Obudziłam się na skutek natarczywego, monotonnego dzwonienia. Słońce wisało wysoko na niebie. Najwyraźniej minęło już południe.

Kiepsko się czułam. Potwornie bolała mnie głowa, a w gardle piekło, jakbym połknęła szkło. Kiedy postawiłam bosc stopy na podłodze, zrobiło mi się słabo i aż zgięłam się wpół pod wpływem silnej fali mdłości.

Co się ze mną dzieje? Nie dość, że widzę podwójnie, to dodatkowo w ustach mam dziwny niesmak. Chropowaty język ewidentnie rozpoznawał wyłącznie to, co kwaśne i cierpkie.

Nagle przypomniałam sobie wypadki sprzed paru godzin. Zastygłe ciało Zaha Browna, turlająca się do moich stóp głowa...

Podbiegłam do okna, oparłam się o parapet i zwymiotowałam. Po kilku minutach uporczywych torsji wreszcie opróżniłam żołądek.

Od razu mi ulżyło.

– Rzeczywiście, Alois – szepnęłam, obracając się w stronę krzesła, które wcześniej zajmował.

Tak jak się spodziewałam, było puste. Pewnie wyszedł, kiedy się rozwidniło, świadom czekających go nowych obowiązków. Albo zniknął, gdy tylko zasnęłam... Kto wie.

Z powrotem rzuciłam się na łóżko. Radził, bym o tym nie myślała, ale... Nie potrafię wykrzesać z siebie entuzjazmu na myśl o tym, że dołączył do wąskiego grona głównodowodzących Mauzoleum. Może to i geniusz. Może i ma wrodzony talent do posługiwania się bronią i niesamowity intelekt... Lecz choć urodził się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku, nie skończył przecież jeszcze siedemnastu lat. Jest w moim wieku. A wyzwania, z jakimi musi od dziś się mierzyć, niewątpliwie do łatwych nie należą.

Henriette słusznie zauważyła, że ponadprzeciętność bywa niebezpieczna.

Co więcej... Ten awans utrudni nasz codzienny kontakt. Zwykle powiedzenie „cześć” będzie wymagało wybrania się na teren Oddziału Trzeciego.

Cholera. Nad czym ja się zastanawiam? Od kiedy to tak ważne, by mówić „cześć” Aloisowi Petersenowi? Boże, przez te głupoty, których przed chwilą mu nagadałam, i rozdrażnienie wywołane przypuszczeniem, że zacznę go rzadziej spotykać, czuję się jak nieuleczalna idiotka.

– Pieprzony debil – burknęłam w sufit, dając upust złości.

W tej sekundzie drzwi otworzyły się i do pokoju wparował młody, uśmiechnięty mężczyzna. Nie krył rozbawienia, widząc mnie w pozycji horyzontalnej i w pogniecionej piżamie.

Dopiero po chwili skojarzyłam, skąd go znam. Przybyłam z nim

do Panteonu. To Generał Petersen, młodszy brat Aloisa.

– Dzień dobry, panno Mair. Dobrze spałaś? – zainteresował się, nie przestając się uśmiechać. Gdy nieśmiało przytaknęłam, oznajmił:

– Cieszę się. A teraz pora się stąd ewakuować. Dokładnie cztery minuty temu odwiedziły nas Anioły. Mam się tobą zaopiekować.

Że co?

Anioły?

Wciąż pamiętam tamtą kobietę ze skrzydłami i sposób, w jaki rozprawiła się z jednym z krążących wokół duchów... Ugodzona sztyletem zjawa dosłownie rozplynęła się w powietrzu.

Wzdrygnęłam się i zakryłam usta dłonią.

– Chcesz tu zostać?

– Nie! – zawołałam, zrywając się. – Jasne, że nie!

– Świetnie – szepnął i wyciągnął rękę.

Chwyciłam ją, nieufna, i pozwoliłam się objąć, czując na policzku muśnięcie miękkiej jak aksamit tuniki.

Gdy Generał skierował się do okna, ze zgrozą zdałam sobie sprawę, że szykuje się do wspięcia na parapet.

– Co... pan...

– Wyjdziemy tędy, kochanie – zakomunikował.

Spojrzałam na drzwi. Dochodziły zza nich tupot i wrzaski zamieszkujących Rezydencję dziewczyn. Rozróżniłam głos Loretty.

– A... one?

– Zajmą się nimi inni dowódcy. Ty dostałaś specjalną ochronę – wyjaśnił.

– Ja?

– Mój brat poprosił o drobną przysługę – poinformował zimno. – Wyświadczam ją z niekłamaną przyjemnością.

Staął w otwartym oknie, a następnie kucnął i lekko mnie podniósł, wskazując ruchem brody, bym złapała się jego pleców. Krzyknęłam, kiedy wychylił się na zewnątrz.

– Trzymaj się mocno, mała – poradził. – Wysoko tu.

Z trwogą zamachałam nogami. Przecież nie wyskoczy, to pewna śmierć! Nikt normalny nie zdecydowałby się na taki krok.

Zanim jednak zdążyłam zaprotestować, uzmysłowiłam sobie, że wiszę w powietrzu, ale... nie spadam. Czyżby przestała działać siła ciężkości? Wtem coś mi zafurkotało przy twarzy, łaskocząc w rękę... Uniosłam zaciśnięte wcześniej bezwiednie powieki i pisnęłam, odkrywając, że na plecach Generała pojawiły się czarne skrzydła.

– Wspaniałe, prawda? – zauważył z dumą, odwracając głowę. – Mają je wszyscy Generałowie.

– Więc... Alois również?

– Naturalnie – odparł takim tonem, jakby stwierdzał coś oczywistego. – Mniejsze, stosownie do jego wieku. Urosną.

– Nie wiedziałam, że Lilim potrafią latać... – wymamrotałam, domyślając się, że właśnie robię z siebie kretynkę.

Puścił do mnie oko i energicznie zatrzepotał, przez co wznieśliśmy się wyżej.

– Jesteśmy pełni niespodzianek, co?

Przygryzłam wargę. Bezsprzecznie.

– Oho... – mruknął. – Na dole borykają się chyba z problemami. Zdusiłam okrzyk strachu i gorączkowo zaczęłam wypatrywać pod nami białych piór, lecz dostrzegłam jedynie mundury setek biegających tam i z powrotem Lilim. Przypomniało mi to zdarzenie sprzed lat. Nie umiałam jeszcze wtedy nawet dobrze chodzić... Mój brat wylał na mrowisko szklanę wody i mali lokatorzy od razu tłumnie wylegli, usiłując ratować życie. Tak samo wyglądali teraz mieszkańcy Mauzoleum. Jak spanikowane mrówki. Owo wrażenie *déjà vu* było tym bardziej przykre, że doskonale pamiętałam, iż owady w końcu się potopiły.

Zadygotałam. Tylko nie to... Proszę... Proszę...

– Co się dzieje? Zimno ci? – zapytał Generał. Gdy zaprzeczyłam

ruchem głowy, westchnął: – Oj, nie mów, że się boisz.

W milczeniu patrzyłam na przylepiony do jego ust uśmiech, zastanawiając się, jak to możliwe, że w podobnej sytuacji zachowuje taki spokój. W ogóle nie przejmuję się panującym w Mauzoleum chaosem.

– Mała, przecież ci powiedziałem, że mam cię chronić. Piastuję stanowisko Generała. Znam się na tym.

– Nie boję się... o siebie – wyjąkałam, czerwieniąc się – lecz o nich. O tych na dole.

Z niedowierzaniem uniósł brwi i naraz wybuchnął głośnym śmiechem.

Jak niby powinnam zinterpretować tę reakcję?

– Urocze – szepnął. – Naprawdę urocze, mała.

Zabrzmiało to nieco przerażająco. Od biedy zrozumiałem, że obojętnie podchodzi do ataku hordy Aniołów na Panteon, jednak to, że bawi go mój lęk o innych Lilim, ociera się o patologię.

Pytanie, czy brat Aloisa nie jest przypadkiem stuknięty.

– Ej, chyba nie sądzisz, że po raz pierwszy udaje im się sforsować nasze granice? – burknął uszczypliwie. – Bynajmniej. I zawsze jakoś dawaliśmy sobie radę.

W tym momencie wstrząsnęła nami potężna eksplozja, wywołując turbulencję, w wyniku której opadliśmy kilka metrów. Wybuch niemal rozerwał mi błony bębenkowe, a towarzyszące mu płomienie na moment oślepiły. Pisnęłam i silniej przywarłam do pleców Generała.

– Atakują nas! – wrzasnęłam.

Ustabilizowawszy lot, chwilę przyglądał się czemuś na ziemi; stanowczo zbyt długą chwilę. Przytknęłam dłoń do czoła, próbując nad sobą zapanować. Jeśli zaraz nie poczuję pod stopami gruntu, wpadnę w histerię.

– To Oddział Generał Brennt. Artyleria – wyjaśnił. – Czyli nasi.

Nie interesuje mnie, czy to nasi, czy nie. Dzwoni mi w uszach, a przed oczami tańczą mroczki.

Chcę wylądować. Już.

– Lepiej złap się mocniej – poradził nagle. – Czas użyć broni.

– Co? – Podniosłam wzrok i pobladłam, dostrzegając w oddali kierujące się ku nam postacie. Po kolorze skrzydeł zorientowałam się, że to akurat z całą pewnością nie nasi. – Anioły!

– A dokładniej Archanioły – poprawił. – Powinnaś przygotować szablę. Słyszałem, że jest fantastyczna.

– Kiedy wciąż nie umiem się nią posługiwać! – zawołałam.

– Niewykluczone, że podejdą od tyłu.

Nastąpiła kolejna eksplozja i ponownie straciliśmy parę metrów wysokości. Anioły coraz bardziej zmniejszały dystans, przez co efekty działań artylerii stawały się dokuczliwsze. Tak potwornie się trzęsłam, że problem sprawiało mi nawet oddychanie.

Wtem rozległo się dziwne bzyczenie. Generał sięgnął do kieszeni munduru i wyjął mały aparat kojarzący się z delikatnym telefonem komórkowym o nieregularnym kształcie. Gdy wolno zamocowywał go na uchu, znowu spojrzałam na Anioły. Boże, zabiją nas, zanim učinimy cokolwiek, by temu zapobiec.

Gwałtownym pociągnięciem zerwałam Minuttę ze srebrnego łańcuszka, który wyslizgnął mi się z palców i poleciał w dół. Przytknęłam ostrze do przedramienia, a mikroskopijna szabla natychmiast zmieniła się w bułat. Z wysiłkiem oparłam go na ramieniu, dokładając jednocześnie starań, by nie spaść z pleców unoszącego mnie ponad sześćdziesiąt metrów nad Mauzoleum Generała.

Dobiegł mnie nagle jego głos i wytężyłam słuch.

– Jasne. Przynęty. – To ostatnie słowo wyraźnie go rozśmieszyło. – Ale Charlotta, moja droga, jest tu ze mną pewna dziewczyna. Mogłaby odnieść obrażenia.

Przynęty? Zerknęłam w stronę ziemi, a następnie na Anioły i zrozumiałam. Cholera. Cholera!

– Co? Czy żartuję? Nie, kochana, nie – kontynuował najspokojniej w świecie Enns Petersen. Mam już dość tej bierności... – Więc? Aha, niech idzie do diabła. – Wzdrygnęłam się, prawie wypuszczając broń. – Tak, oczywiście. Zgoda, zostaniemy tutaj. Przekaż Generał Tsu-zu, żeby się pospieszyła. Siedzą nam na ogonie.

Schował aparacik do kieszeni i obejrzał się.

– Wydajesz się zatrwożona, mała – zauważył, spostrzegłszy, że drzę, rozplaszczona, resztkami sił ściskając w dłoni bułat. – Jakbyś ujrzała ducha – dodał i zachichotał, rozbawiony własnym dowcipem.

Półżywa ze strachu obserwowałam, jak Anioły zbliżają się na odległość metrów, dzierżąc w niebiańskich rękach sztylety, włócznie, trójzęby, miecze...

– Zginiemy – wyszeptałam.

– Tak sądzisz? – mruknął drwiąco Generał. – Przed nami wciąż jeszcze kilka sekund...

– Naprawdę nie zamierza pan nic zrobić? – pisnęłam.

– Nie muszę – odparł. – Nawet nas nie tkną.

– Skąd pan wie?

Skrzywił się naraz w szyderczym grymasie, sugerującym, że to pytanie podsunęło mu pomysł jakiegoś makabrycznego żartu.

– Zwyczajnie... wiem.

Pokręciłam głową, nie panując nad łzami. Anioły zmieniły się w ogromną, bezkształtną, nacierającą bez litości masę. Matko... Przymknęłam powieki, bezskutecznie usiłując przypomnieć sobie najważniejsze chwile mojego życia. Szare komórki odmówiły mi współpracy. Układ oddechowy zresztą też. Kompletnie zrezygnowana otworzyłam oczy, by przekonać się, że broń Generała niezmiennie zaczepiona jest na nadgarstku pod postacią Minutty. Z odsłoniętymi w nieprzyjemnym uśmiechu zębami przywodził na

myśl szaleńca. Ta mina przerażała tak bardzo jak mordercze zamiary skrzydlatych istot.

O ile nie bardziej.

On ma nierówno pod sufitem.

Dowodzący grupą Anioł o kasztanowych, kręconych włosach i niebieskich oczach był w moim wieku albo niewiele starszy. Uderzyła mnie dysharmonia pomiędzy malującą się na jego twarzy wściekłością a delikatnymi rysami. Trzymał w dłoni długą pikę, celując prosto w serce Generała, gotowy, by przebić je na wylot. I nagle, kiedy ostrze znalazło się kilkadziesiąt centymetrów od piersi Ennsa Petersena, na atakujących spadł deszcz strzał, gwałtownie przerywając ich lot.

Ten najbliżej nas został trafiony w brzuch i lewe ramię. Skrzywił się z bólu i z głośnym jękiem wypuścił pikę.

Nie zobaczyłam, co się z nim potem stało, gdyż kolejna porcja strzał, niby drewniano-metalowa, czerwona od krwi ściana, na krótko odgrodziła mnie od tych dramatycznych wydarzeń.

Próbowałam krzyknąć, lecz z mojego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

– A nie mówiłem? – szepnął Generał Petersen. – Wyszliśmy z tego bez szwanku.

Spojrzałam na niego, zbyt jednak oszołomiona, by się odezwać. Widziałam go jak przez mgłę.

Jeszcze trochę i zemdleję...

– Mo... możemy już zejść na ziemię? – wymamrotałam wreszcie. – Proszę...

– Jasne, mała – odparł, odrywając wzrok od gąszczu bezlitośnie trzebiących szeregi wroga pocisków.

Wylądowaliśmy obok ponad stuosobowej grupy Lilim wyposażonych w broń miotającą różnego typu: głównie łuki, ale również oszczepy, kusze, proce, dmuchawki i potężne atlitle.

Żołnierze czekali na rozkazy małej skośnookiej kobiety, która – opierając o bark srebrną kuszę – wpatrywała się w wiszącą nad nami chmurę z białych piór, bezustannie nękaną atakami Lilim z jej Oddziału. Sądząc po czerwonej tunice, była Generałem.

– Mei Tsu-zu i Oddział Szósty – wyjaśnił Petersen, stawiając mnie i zmuszając do przejścia paru kroków. Nogi ważyły mi chyba tonę. – Odpowiedzialna, wraz z Generałem Brennt z Oddziału Pierwszego, za powitanie naszych kochanych ptaszków, kiedy udaje im się zakraść do Mauzoleum.

– I... to je zatrzyma? – spytałam, zadzierając głowę.

Ścisnęła moje ramię tak mocno, że poczułam ból.

– Nie bądź naiwna.

Nagle na nos spadła mi kropla. Deszcz? Obtarłszy twarz rękawem piżamy, wrzasnęłam i chwyciłam się Generała Petersena; inaczej bym się przewróciła. To nie zwykły deszcz.

Na materiale pojawiły się krwiste plamy.

O ziemię, w odległości zaledwie dwóch metrów od nas, roztrzaskało się po chwili ciało Anioła. A potem kolejne. I następne. Jedno za drugim uderzały o trawę, tworząc potworną mozaikę nieruchomych, skąpanych we krwi figur.

– Ej! Enns! Co tu, do cholery, robisz z tą gówniarą?

Generał natychmiast się odwrócił, a ponieważ w dalszym ciągu trzymał rękę na moim ramieniu, siłą rzeczy odwróciłam się razem z nim i napotkałam nieprzyjazny wzrok szczupłej kobiety średniego wzrostu o bujnych, czarnych, krótkich włosach i ciemnych oczach, ubranej w mundur Generała i grubą, pełną wypalonych dziur kamizelkę.

– O, witaj, Charlotto. Miło cię widzieć. Jak zawsze – pozdrowił ją, kłaniając się. – Nieźle sobie radzicie.

– Przestań się wygłupiać – prychnęła. – Powinieneś oczekiwać ze swoim Oddziałem rozkazów Stratega, a nie zajmować się jakąś

smarkulą.

Wolno przejechał dłonią po włosach. Dookoła nieprzerwanie przybywało ciał Aniołów, powietrze przecinały strzały, a niebem wstrząsały potężne eksplozje.

– Kontroluję sytuację – oznajmił spokojnie. – Zastępuje mnie mój Generał Broni, Zorya, i bez wątpienia właściwie wywiązuje się z obowiązków. A co do dziewczyny – jeszcze silniej ścisnął mi ramię

– to specjalna misja.

Zadygotałam pod zimnym spojrzeniem Generał Brennt, zapominając nawet o bólu.

– Zabierz ją stąd – warknęła. – Tylko przeszkadza. Enns

Petersen głęboko się pochylił.

– Żaden problem – zapewnił z nieznikającym z twarzy krzywym uśmiechem, a następnie szepnął mi do ucha: – Oddalimy się do bezpiecznego miejsca, zgoda? Należy cię chronić przed złymi.

Złymi?

Wbiłam wzrok w zabarwioną na czerwono ziemię. Najchętniej zaczęłabym wydierać się na całe gardło.

„Tu nie chodzi o dobrych i złych. Wszystko zależy od grupy, do której zdecydujesz się dołączyć”.

Dopiero teraz uprzytomniłam sobie, ile racji miał Alois, wypowiadając przed kilkoma tygodniami te słowa.

Zerknęłam na jego brata i do oczu napłynęły mi łzy. „A raczej od grupy, która cię wybierze”.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Anioły i demony

Alois

Zadarłem głowę i odskoczyłem, widząc spadającego w deszczu krwi i ciał Anioła.

Najmłodszy Lilim z Oddziału Trzeciego, w większości dwa lata ode mnie starsi, popatrzyli po sobie z wyraźnym zdenerwowaniem, a jakaś dziewczyna, w tym samym mniej więcej wieku co ja, ubrana w mundur szeregowego żołnierza, ukryła twarz w dłoniach i zaczęła szlochać.

– Spokój – rozkazałem. Szloch momentalnie ucichł. – To nasi wrogowie, jasne? Nie chcę żadnych oznak współczucia.

Znacząco zerknąłem na dziewczynę, która usilnie starała się teraz zapanować nad łzami. Nie wiedzieć czemu przypominała mi Dilette, mimo że jedyne, co miały podobne, to białka oczu. Zdusiłem chęć dodania jej otuchy i ani na chwilę nie tracąc rezonu, wyjaśniłem:

– Jeśli wy z nimi nie skończycie, oni skończą z wami. Nie będę was oszukiwał. Sytuacja jest trudna, gdyż choć atak z powietrza został odparty...

– W tej sekundzie na ziemię spadło kolejne skrzydlate ciało, rozbijając się o pobliskie kamienie. Rozległ się trzask kości i trawa błyskawicznie zabarwiła się na czerwono. – ... niewykluczone, że udało im się przedostać innymi kanałami.

Nagle zabrzączał komunikator. Szybko wyciągnąłem go spod generalskiej tuniki i przyłożyłem do ucha.

– Tu Generał Petersen – przedstawiłem się.

– Informacja dla dowódców Oddziałów: Drugiego, Trzeciego i Czwartego.

Od razu rozpoznałem głos Chanlera, Generała Dywizji, współodpowiedzialnego za rozsiewanie plotek o mnie i o Dilecie...

– Grupa Księżstw i Archaniołów sforsowała mury Oddziału Siódmego – ogłosił Chanler. – Generał Vendetta wzywa pomocy.

– Zrozumiałem. Wysłałem posiłki. – Wyłączyłem komunikator i spojrzałem na podwładnych, w napięciu oczekujących dyspozycji. Niektórzy już wyjęli broń z pochew. – W porządku. Potrzebuję dwóch Generałów Brygady i trzech Pułkowników. Należy stawić się przy bramie łączącej Mauzoleum z Grobem, tuż obok Oddziału Generała Vendetty. Mają problemy.

– Rozkaz!

Mężczyzna i kobieta, oboje około trzydziestoletni, natychmiast wystąpili przed szereg i skłonili się w wyrazie posłuszeństwa. Za nimi wysunęły się jeszcze trzy Lilim. Cała piątka dała znak swoim ludziom, by przygotowali się do wymarszu. W sumie z sześćdziesiąt osób. Oby wystarczyło.

Obserwowałem, jak się oddalają, i błagałem w duchu, by wszyscy wrócili żywi, chociaż wiedziałem, że to niemożliwe. Ani Księżstwa, ani Archaniołowie nie są łatwymi przeciwnikami, tym bardziej dla Lilim niższych szczebli. Powiodłem wzrokiem po reszcie podległych mi żołnierzy. Jakaś setka... Co, do cholery, powinienem zrobić z tak dużą armią? Szlochająca wcześniej dziewczyna wpatrywała się we mnie szeroko otwartymi oczami. Bała się chyba, że następne polecenie obejmie także i ją.

– Dobrze – odchrząknąłem – a teraz... Czworo Generałów Brygady i pięcioro Generałów Dywizji... obstawcie cztery główne bramy Mauzoleum: na północy, wschodzie, południu i zachodzie. Czekać tam na wytyczne. Nuda wam raczej nie grozi.

Wymienieni skinęli głowami i bezzwłocznie przystąpili do

formowania jednostek.

– Napotkanych wrogów – kontynuowałem – trzeba siłą doprowadzić do Pałacu Centralnego, siedziby Stratega. Stacjonuje tam większa część Oddziału Generała Ennsa Petersena. Zajmą się nimi. Nie muszę dodawać, że każdy próbujący ucieczki Anioł ma zostać zabity.

– Tak jest, Generale.

Zerknąłem na Henriette. Właśnie ruszała, ale zdążyłem chwycić ją za ramię i zatrzymać. Podążająca za nią grupa, w której znajdowała się ta płacząca dziewczyna, też stanęła.

– A ty gdzie się wybierasz? – spytałem poważnym tonem.

– Wydawało mi się, że zarządziłeś, by Generałowie Dywizji pilnowali bram Mauzoleum – odparła zimno, ignorując panujący w Panteonie zakaz zwracania się na ty do Generałów.

– Otóż to. Generałom Dywizji. Nie wspomniałem o Generał Broni.

Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem, osłupiała, jakby nie pojmując tego, co usłyszała. Wyglądała przekomicznie. Lilim za jej plecami zaczęli między sobą szeptać, równie zaskoczeni jak ich przełożona.

– Co znowu? – mruknąłem rozbawiony. – Sądziłem, że spodoba ci się ten pomysł.

– Ja... – spuściła wzrok, a potem słabo się uśmiechnęła. – To znaczy... Bardzo dziękuję, Generale. Jakie są pana dyspozycje?

Zanim odpowiedziałem, nieopodal nas, w odległości kilku metrów od ciągnącego się wokół drewnianego ogrodzenia, roztrzaskało się kolejne ciało. Przełknąłem ślinę. Tym razem to nie Anioł.

– Daniel! – wrzasnęła kojarząca mi się z Diletta Lilim, podbiegając do leżącego bez życia chłopaka.

Gdy nim potrząsnęła, zakółsał się niczym szmaciana lalka.

– Ej, ty! – zawołałem. – Chodź tu! To niebezpieczne!

Za późno. Mignęły białe skrzydła, a po chwili zza ogrodzenia

wychyliła się postać nieznanego mężczyzny. Dostrzegłszy klęczącą przy zmarłym nastolatkę, podniósł uzbrojone w sztylety ręce i zamachnął się. Błyskawicznie doskoczyłem do dziewczyny, wysuwając floret. Metalowe ostrza noży odbiły się od klingi i utkwili

w murze.

– Oho, wpadł z wizytą ktoś ważny – stwierdziłem, kiedy za owym śmieciem, który przed chwilą prawie zabił jedną z moich, pojawił się inny, starszy i o ponadnaturalnie lśniącej skórze. – Wszyscy na baczność!

Drewniana bariera naraz zatrzęsała się i runęła na ziemię z taką siłą, że ta zadrżała. Na moment przesłoniła nas chmura kurzu.

Skorzystałem z okazji, żeby odciągnąć dziewczynę od zwłok i dołączyć do osłaniających tyły Lilim.

– Cholera – zakląłem, gdy pył wreszcie opadł.

Ujrzeliśmy co najmniej piętnastu Archaniołów dowodzonych przez Władzę, Anioła wyższego szczebla. Niewątpliwie twardego przeciwnika.

Średnio napawający optymizmem widok...

Władza wbił w trawę olbrzymi miecz i oparł się na nim całym ciężarem. Ukradkiem przyjrzałem się potężnemu ostrzu: byle muśnięcie wystarczy, by ściąć mi głowę...

– Witaj, chłopcze – powiedział łagodnie. – Jak się nazywasz?

– Może najpierw sam się przedstaw – burknąłem.

– Oj, wybacz mi brak manier. Legion. – Skłonił się z udawanym szacunkiem. – Obawiam się, że nie noszę nazwiska. Mam nadzieję, że zadowolisz się imieniem.

– Owszem. – Uśmiechnąłem się lodowato. – Alois Petersen, Generał Oddziału Trzeciego.

Przymknąłem oczy i lekko się pochyliłem, czując na zranionych rano plecach pieczenie. Z zaciśniętymi zębami wytrzymałem ból, a tymczasem moje czarne skrzydła, malutkie w porównaniu ze

skrzydłami Anioła, powoli rozpościerały się, otaczając mnie ciemnymi piórami.

Wyprostowałem się i dumnie uniosłem brodę.

Jestem gotowy. Na wszystko.

Diletta

– Przepraszam, Generale Petersen, gdzie...

– Mała, po co tak formalnie... Mów mi Enns.

– Eee... nie wiem, czy to by było właściwe – wyjąkałam zmieszana. –

Wolałabym zwracać się do pana podobnie jak do tej pory.

Wzruszył ramionami.

– No dobrze...

Wzięłam tak głęboki oddech, że coś aż zakłuło mnie w piersi i szybko wypuściłam powietrze, które uszło niby z flaczejącej piłki.

– A... mógłby pan zdradzić, dokąd się udajemy? – spytałam, ledwo panując nad drzeniem głosu.

– Do głównego budynku Oddziału Czwartego – poinformował. – Najlepiej chronionego w Mauzoleum. Nawet Bóg nie potrafiłby sforsować jego zabezpieczeń.

Wzdrygnęłam się. Zważywszy na okoliczności, owo stwierdzenie wydaje się dosyć nie na miejscu.

– Raczej... nie zasługuję na specjalne traktowanie – wyszeptałam.

– Powinnam odszukać przyjaciółkę. Na sto procent się o mnie martwi.

Enns Petersen skrzywił się, odrobinę chyba urażony sceptycyzmem wobec wysiłków, jakie podejmował w celu zapewnienia mi bezpieczeństwa.

– Czegoś nie rozumiesz – oznajmił w końcu.

– Ja?

– Daleko ci do zwykłej Lilim – wyjaśnił poważnie, chociaż na jego twarzy niezmiennie malował się uśmiech. – Z tego co słyszałem,

w Świecie Żywych byłaś kimś wyjątkowym. Posiadałaś wrodzoną zdolność widzenia duchów.

– Wcale nie czułam się przez to... wyjątkowa – wymamrotałam, onieśmielona tym górnolotnym określeniem. – Bałam się zjaw... Potwornie.

Generał pokręcił głową.

– Mój brat nigdy ci nie mówił, że wyróżniające nas po tamtej stronie umiejętności w Panteonie ulegają zintensyfikowaniu?

Ze zdziwieniem uniosłam brwi. Czemu może aktualnie służyć dar rejestrowania obecności zjaw? Tu wszyscy są martwi, ja też. Uznałam jednak, że nie czas na dyskusje: dookoła królował chaos, co rusz przebiegał obok jakiś zdezorientowany Lilim... Część już znałam: na przykład Elizabeth, Generał Dywizji Oddziału Pierwszego. Miała teraz nadpalone włosy i przy pomocy innej dziewczyny dźwigała na prowizorycznych, rozpadających się noszach rannego.

Droga zajęła nam około piętnastu minut. W pewnym momencie minęliśmy grupę oczekujących rozkazów żołnierzy: gotowi do ataku, spojierali w niebo, z którego wciąż spadały ciała i lała się krew. Kilku z nich należało do Oddziału Trzeciego. Dostałam gęsiej skórki. Alois... Jak on sobie radzi?

Nic mu nie grozi... Nic mu nie grozi... Nic mu...

– Dotarliśmy.

Zatrzymaliśmy się przed imponującym metalowym ogrodzeniem, uniemożliwiającym nieproszonym gościom dostęp do budynku bardziej przypominającego typowy dla epoki romantyzmu pałac niż wojskową konstrukcję: ogromny, o spiczastych kopułach i licznych mansardowych oknach, nadających mu elegancji w niczym nieustępującej głównym zabudowaniom Oddziału Aloisa, zdawał się wprost przeniesiony z kolekcji obrazów w Luwrze. Otaczały go rozległe trawiaste ogrody pełne równo przyciętych krzewów, a w tej

chwili także podległych Ennsowi Petersenowi Lilim.

Ten, który znajdował się najbliżej, parę lat ode mnie starszy, natychmiast podszedł do Generała. Nie patrzył w moją stronę, lecz mimo to odniosłam nieprzyjemne wrażenie, że jestem obserwowana. Wysoki i szczupły, o delikatnych – choć ostrzejszych niż Aloisa – rysach i skórze tak bladej, że wyglądała na przezroczystą, miał najczarniejsze włosy, jakie kiedykolwiek widziałam. Aż mieniły się granatowymi refleksami. Na policzku pod kątem prostym przecinały się blizny przywodzące na myśl krzyże wykorzystywane przez Rzymian do egzekucji niewolników.

Z poważną miną powiedział coś na ucho Petersenowi. Generał naraz szeroko się uśmiechnął.

– Diletta! Chodź no tu, mała, przedstawię ci Generała Broni Oddziału Czwartego.

Zmartwiałam, gdy Generał Broni na mnie spojrział. Niepokojące, intensywnie niebieskie oczy stanowiły jedyny element odróżniający tę twarz od maski.

– Cze...ść – wydukałam.

Idiotka.

– Zorya – wycedził zimno. – Miło mi.

Zgarbiłam się i zaczęłam cofać, zatrwożona pobrzmiwającą w jego głosie agresją, ale Enns Petersen, ewidentnie czymś ubawiony, położył mi rękę na ramieniu, nie pozwalając zrobić ani kroku więcej.

– Zaprowadziłbyś Dilettę do środka? – spytał. – I zostań z nią, dopóki trwa oblężenie.

– Oczywiście, Generale – skłonił się Zorya.

O nie, nigdzie z nim nie idę. Lepiej już trzymać się stukniętego brata Aloisa. Poczułam się tak, jakby mnie właśnie porywano.

– Na co czekasz, mała? – mruknął Enns. – Zamierzasz tu tkwić, by przywitać ptaszki?

Zacisnęłam palce na rękojeści bułatu i niechętnie zbliżyłam się do Generała Broni. Natychmiast ruszył ku pałacowi. Próg przekroczyliśmy niemal równocześnie: on ze wzrokiem wbitym w mój kark, a ja we własne stopy.

– Boisz się mnie? – szepnął ni stąd, ni zowąd.

Zanim się odezwałam, zdębiała, rozejrzałam się po bogato zdobionym wnętrzu tego wspaniałego budynku.

– Ja... ja nie... – I teraz co? Jak wybrnąć? Zerknąwszy na Zoryę, zakląłam w myślach. Nie wydaje się skory do zmiany tematu... Wreszcie wydusiłam: – Nie wiem.

Boże. Nierzadko naprawdę zachowuję się jak skończona kretyńka.

Tymczasem reakcja mojego opiekuna kompletnie mnie zaskoczyła. Na jego twarzy pojawił się... nie, jeszcze nie uśmiech. Ale prawie.

– Jesteś pierwszą osobą, która odpowiada szczerze – stwierdził. Pytanie, czy to dobrze, czy źle... Nie zdążyłam jednak ustosunkować się do tej deklaracji, gdyż wtem coś kazało mi spojrzeć w prawo, na ledwo widoczną w ciemnościach ściankę. Nerwowo splotłam dłonie, nie mając pojęcia, jak zinterpretować ostrzegający przed zagrożeniem wewnętrzny głos. Zmrużywszy oczy, dostrzegłam słaby blask białych skrzydeł...

– Chyba tam są... – wymamrotałam, obcierając spływającą po policzku kroplę potu.

Zorya, popatrzywszy w tym samym kierunku co ja, bez słowa odpiął z paska Minuttę i przytknął ją do skroni, gdzie, przysłonięta włosami, znajdowała się data jego śmierci. Po sekundzie dzierżył długą katanę.

– Tylko tchórze się chowają! – zawołał.

Rozległy się szmery, a zaraz potem ktoś zaśmiał się w sposób przyprawiający o ciarki. Przywarłam do Zoryi, nie kontrolując

dygotania rąk, na skutek którego bułat to się wznosił, to opadał. Gdy zza ścianki wychyliły się trzy głowy, zapragnęłam zniknąć bez śladu. Moje przeczucie, niestety, okazało się słuszne.

Ale przecież... to ponoć najbezpieczniejszy budynek w Mauzoleum. Tak zapewniał Enns Petersen. Czyżbym wpadła w pułapkę?

Trzech Aniołów, każdy uzbrojony w budzącą przerażenie pikę, podchodziło do nas z minami niewskazującymi na przyjazne zamiary. Zupełnie nie przypominali Noaha ani kobiety, która zaatakowała mnie po wypadku. Byli sporo starsi, właściwie już w podeszłym wieku, o skórze niesamowicie błyszczącej w porównaniu z naszą, bladą i matową przez niedobór światła.

– Uważaj. To nie zwykłe ptaszyska, ale Cnoty – wyjaśnił Zorya. – Znacznie wyżej w anielskiej hierarchii.

Przygryzłam wargi.

Cholera... W co ja się wpackowałam?

Alois

Wzleciałem w powietrze i śledziłem rozgrywające się w dole dantejskie sceny.

Ptaszyska zyskały zdecydowaną przewagę. Zginęło około dziesięciu Lilim, wśród Aniołów natomiast liczba ofiar nie sięgnęła pięciu.

Odwróciłem się, słysząc krzyk. Henriette zasłaniała akurat własnym ciałem dwóch młodych Podporuczników, którzy płakali ze strachu, osaczeni przez triumfującego, wywijającego wielkim mieczem Władzę.

Jak w zwolnionym tempie zobaczyłem, że całym ciężarem napiera na Generał Broni.

Mocno zamachałem skrzydłami i ruszyłem w ich stronę, unosząc floret. Zanim Henriette spadł z głowy choć jeden włos, wyciągnąłem broń i przyjąłem na klingę cios Anioła, tak silny, że straciłem

panowanie nad skrzydłami i grzmotnąłem piersią o ziemię.

– Odsuńcie się – poleciłem Henriette i Podporucznikom. – Zajmę się nim.

Wtem dobiegł mnie przenikliwy chichot. Przeturlałem się kilka metrów, w ostatniej chwili umykając spod imponującej głowni: ostrze wbiło się w miejsce, gdzie leżałem zaledwie ułamki sekund temu.

– Ty mały kuku – syknął Władza, ponownie szykując się do ataku.

Nie wstając, dźwignąłem się na rękach i kopnąłem go w brzuch. Stęknął, rozpaczliwie łapiąc oddech, a wówczas przetoczyłem się po piachu i zerwałem na nogi. Błyskawicznie zdjąłem i odrzuciłem na bok tunikę, wyglądającą teraz niczym brudna szmata.

– Walczysz z Generałem, ptaszycie – podkreśliłem z pogardą. – Ale proszę bardzo, lekceważ mnie. To tylko ułatwi sprawę.

Władza zmarszczył czoło i wyprostował się, rozmasowując bolący żołądek.

– Szkoda zabijać równie młodego demona – stwierdził nienaturalnie słodkim głosem. – Będę się za ciebie modlił.

– Jestem niewierzący – warknąłem. – Niemniej jednak dziękuję.

Rozpostarł olbrzymie skrzydła, poderwał się i runął na mnie, potężnym uderzeniem przewracając na ziemię. Wzdrygnąłem się, gdy tuż przy mojej szyi zaśniło ostrze miecza. Podniosłem się z trudem, usiłując ukryć drżenie ściskającej floret dłoni.

Nie wiedziałem, czy to wynik gniewu, czy lęku.

Cholerne ptaszysko.

Popatrzył na mnie rozbawiony, podobny do bezlitosnego kota, który bawi się z myszą, zanim ją pożre. Na widok tej miny odzyskałem energię i natarłem na niego, ustawiając floret w pozycji horyzontalnej. Pewnie zatrzymał cios, ale nim odepchnął klingę, uniosłem ją skrętem nadgarstka i trafiłem go w brodę. Odskoczyłem

z mundurem obryzganym krwią.

Legion, wyraźnie zaskoczony, dotknął rany i bacznie przyjrzał się zabarwionym na czerwono palcom.

– No proszę... – mruknął.

I nagle zamasyście zatrzepotał skrzydłami i odleciał. Poryw wiatru powalił kilku Lilim na trawę.

Archaniołowie momentalnie przerwali atak i podążyli za swoim dowódcą. Dostrzegłem w ich źrenicach morderczy błysk.

– Uwaga! – krzyknąłem. – Kontrolujcie niebo!

Naraz powietrze przeciął świst i jeden z Podporuczników padł na kolana, z jękiem przytykając ręce do piersi. Oczy niemal wychodziły mu z orbit, a z pleców sterczała rękojeść miecza.

– Zachować czujność! – wrzasnęła Henriette, podbiegając do stojącego za Podporucznikiem Archanioła.

Chciał uciec, lecz grupa Lilim zastąpiła mu drogę. Próba ofensywy również nie przyniosła rezultatu: moja zastępczyni z elegancją uchyliła się przed ostrzem broni nieprzyjaciela, a następnie wprawnym ruchem zagłębiła szpadę w jego brzuchu. Wtedy znowu rozległ się ów przerażający świst. Pozostali Archaniołowie i Władza znienacka rzucili się na nas niby żerujące orły. Niestety, nie wszyscy Lilim w porę zareagowali i Oddział Trzeci uszczuplił się o kolejne ofiary.

Nie miałem czasu nawet głębiej odetchnąć. Powstrzymałem szarżę Legiona, ale ręce tak trzęsły mi się z wysiłku, jaki kosztowała mnie ta obrona, że postanowiłem na trochę oddalić się z pola bitwy, aby wziąć się w garść.

Kiedy Władza zorientował się, że wzbijam się w powietrze, bezzwłocznie uczynił to samo. Wystarczyło parę sekund, by się ze mną zrównał: moje skrzydła, wciąż ubrudzone krwią z ceremonii mianowania, były však dwukrotnie mniejsze i dużo słabsze niż jego.

Zaatakowałem, o centymetry unikając głowni miecza, lecz zarazem zawadzając przeciwnika barkiem o ramię. Poczawszy parzące ciepło, nieco nieporadnie starałem się zwiększyć dystans, gdy wtem mocny podmuch spowodował, że straciłem wysokość. Ustabilizowałem lot i zdążyłem jeszcze zobaczyć zbliżającą się do czoła rękojeść broni. Potworny cios i natychmiastowa fala przeszywającego bólu na moment odebrały mi świadomość. Zamrugalem, ogłuszony donośnym pulsowaniem w całym ciele, i niepewnie rozejrzałem się za Legionem. W polu widzenia pojawiło się niespodziewanie coś długiego i ostrego, o rozmytych konturach...

Czas więc na ostateczne uderzenie...

Rękawem obtarłem zalewającą oczy krew, jak przez mgłę rejestrując ruch głowni. Instynktownie skuliłem się i miecz trafił mnie w ramię. Zamroczony, bezwładnie zwałem się na ziemię.

– Alois! – zawołała rozdzierająco Henriette.

Uniósłszy powieki, ujrzałem tuż przy twarzy białe buty. Ktoś pochylił się, chwycił mnie za włosy i pociągnął, zmuszając do dźwignięcia się.

– Ta bitwa była przegrana od samego początku, Generale Aloisie Petersen – syknął Władza. – Mam nadzieję, że piekło, w którym się znajdziesz, okaże się gorsze niż...

Stęknął nagle i rozluźnił uścisk. Przewróciłem się, obserwując, jak klęka, rozkłada ramiona i zdumionym, gasnącym wzrokiem błądzi po wystającym z jego piersi uchwycie floretu. Po chwili z jękiem upadł i skonał.

Zręcznie wyrwałem broń i oparłem ją o ziemię niby laskę, pomagając sobie wstać.

– Gdybyś tyle nie gadał, spostrzegłbyś ten atak, ty kretyński ptaszydle – prychnąłem pogardliwie. – Dobrej drogi do nieba. Albo dokądkolwiek.

Obróciłem się i natarłem na Archaniola, który właśnie osaczył jedną z Lilim. Z drwiącym grymasem odparowałem cios prostym skrętem nadgarstka.

– Czołem, ptaszku.

Diletta

Rzuciłam się do ucieczki; strach zwyciężył i nie wydzierałam się wyłącznie dlatego, że kompletnie sparaliżował mi struny głosowe. Ledwie jednak zrobiłam kilka kroków, Zorya złapał mnie za ramię.

Cnoty z uśmiechem stanęli między nami a wyjściem, przyglądając mi się w sposób sugerujący, że zmieniałam się w apetyczne ciastko z bitą śmietaną i truskawkami.

– Pilnuj się mnie – szepnął Zorya. – Zadbam, by cię nie skrzywdzili.

– Nie... nie umiem... – wydukałam, szczękając z trwogi zębami.

– Słucham?

– Nie... nie umiem posługiwać się bronią. Dopiero... raz... trenowałam – wyjaśniłam cicho. Za sekundę zemdleję. – Skończą ze mną. Boże. Zabiją...

– Uspokój się – rozkazał cierpko Zorya. Zdawał się rozczarowany. Przymuszalnie liczył na coś więcej niż napad hysterii. – Uspokój się i myśl.

W takiej sytuacji? Uspokoić się? I dodatkowo myśleć? Przecież nasze szanse równają się zeru. Czym może zagrozić trzem Aniołom obciążony kulą u nogi Zorya? Niczym, ot co. Zupełnie niczym.

Pisnęłam, gdy jeden z Cnót załopotał skrzydłami i ruszył ku nam z nieprawdopodobną prędkością, wpatrzony w moją twarz. Zorya zasłonił mnie własnym ciałem i brutalnie odparł atak, ale wtedy do akcji wkroczyło dwóch pozostałych starców.

Trzęsąc się i niewprawnie kołysząc bułatem, czekałam, niezdolna do konstruktywnej reakcji.

Nie uratujemy się. To nierealne.

Raptem zawładnął mną obraz przedstawiający okrążające nas i przebijające pikami Cnoty. I chociaż nic takiego jeszcze nie nastąpiło, nie miałam najmniejszych wątpliwości, że zaraz się wydarzy. Owa scena obudziła mój instynkt przetrwania i z całych sił wrzasnęłam:

– Schyl się!

Oboje jednocześnie padliśmy na podłogę, a ostrza pik zderzyły się, nawzajem blokując. Starcy wymienili zdziwione spojrzenia, nie dowierzając, że ich natarcie zakończyło się niepowodzeniem.

Zorya tymczasem z impetem mnie popchnął, odsuwając od Cnót, a sam zerwał się, gotowy do walki. Dwóch Aniołów podjęło wyzwanie, trzeci zaś z wściekłym grymasem odwrócił się w moją stronę.

Poczułam, że serce przestaje mi bić.

– Zo... Zorya... – wyszeptałam, wolno wstając.

Próbował się zbliżyć, lecz Cnoty skutecznie mu to udaremniły, zmuszając do skupienia się na obronie.

Mokrymi od łez oczami obserwowałam mężczyznę, który z odległości półtora metra celował piką prosto w mą nienaturalnie szybko unoszącą się i opadającą pierś.

– Niech pan nie robi mi krzywdy... – poprosiłam, głośno przełykając ślinę.

– Mówi się, że Anioły to łaskawe istoty. I pełne współczucia. Bóg nie życzyłby sobie zabicia siedemnastoletniej dziewczyny.

– A co ty możesz o Nim wiedzieć, przeklęta Lilim? – warknął.

W tym momencie drzwi otworzyły się i do budynku wszedł Enns Petersen w towarzystwie kilku żołnierzy. Przystanął na progu, uśmiechnięty, z zaciekawieniem oglądając to nierówne starcie. Lilim podnieśli krzyk, Enns jednak milczał.

– Generale! – zawołałam. – Pomocy!

Wtem zmysły poraził mi kolejny obraz. Zobaczyłam w głowie

następny ruch Anioła, dzięki czemu odskoczyłam, nim ostrze piki sięgnęło moich żeber. Cnota ryknął z irytacją, kiedy metalowy grot utkwiał w podłodze.

Ponownie zerknęłam na Petersena, wciąż przypatrującego się potyczce z zagadkowym wyrazem twarzy.

– Ratunku!

Nowy obraz skłonił mnie do skulenia się, ratując przed roztrzaskaniem czaszki. Paru Lilim chciało pospieszyć z odsieczą, ale Generał powstrzymał ich stanowczym gestem ręki.

– Na co pan czeka? – wrzasnęłam zdesperowana.

– Nie potrzebujesz wsparcia, kochanie – odparł spokojnie. – Co więcej, dałabyś radę zabić tego Anioła.

Miałam ochotę spytać, czy doszczętnie mu odbiło, lecz powtórnie ujrzałam scenę zdradzającą zamiary wroga i odsunęłam się, by uniknąć ciosu.

Tym razem okazało się to zbędne. Zanim starzec wzniosł pikę, Zorya przeszył go od tyłu kataną.

Pisnęłam i gwałtownie cofnęłam się, potykając o własne nogi, i upadłam na ziemię. Rozległy się oklaski. Dopiero wtedy dostrzegłam leżące nieopodal w kałuży krwi ciała dwóch Cnót.

Zrobiło mi się niedobrze.

– Proszę, proszę... – mruknął Enns Petersen, zbliżając się.

– Generale... – pozdrowił go Zorya, wycierając tuniką zakrwawione ostrze.

– Dobra robota – pochwalił Enns, puszczając do niego oko. – Jak zawsze.

– To dzięki niej. Uratowała mi życie – burknął, wskazując mnie brodą, i szepnął Generałowi na ucho parę słów, a potem energicznym krokiem podszedł, złapał moją rękę i pomógł wstać.

– Coś jeszcze? – zwrócił się do Petersena.

W tej sekundzie zawyły syreny. Identyfikacyjny przejmujący dźwięk

słyszałam dziś rano...

– Nie, Zorya. Możesz odejść.

Wolno się oddalił. Czekaający przy drzwiach Lilim podążyli za nim, poklepując po plecach, i nagle zostałam sama z szaleńcem o dziwnym uśmiechu.

Znowu zadzwoniono na alarm.

– Wzywają na Końcowe Zgromadzenie – wyjaśnił Generał. – Chcą pewnie sprawdzić, czy żyjemy.

Nie odezwałam się, zbyt oszołomiona tym, co zdarzyło się ledwie minuty temu.

– Aha, idziesz ze mną – dodał.

– Ja?

– Chyba nikogo tu więcej nie ma – zauważył z rozbawieniem.

– Ale... myślałam, że tylko Generałowie mogą uczestniczyć w tego rodzaju... zgromadzeniach – wydukałam. – A ja nie...

– Reguły są po to, żeby je łamać, nie sądzisz?

Nieśmiało przytaknęłam. Nie podobał mi się ton, jakim wypowiedział ostatnie zdanie, i wolałam spuścić oczy, żeby nie zobaczył malującej się w nich nieufności.

– Dobra. Zbieramy się, mała – oznajmił. – Czekają na nas.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Podporucznik

Alois

Kiedy dotarłem do sali zgromadzeń, zlokalizowanej w Pałacu Centralnym – rezydencji Stratega – sześcioro Generałów już czekało. Wszyscy przeżyli więc oblężenie, chociaż większość wyglądała równie źle, a wręcz gorzej niż ja. Nie posiadałem się z radości, odnotowując, że Dimitri Valya zalicza się do tej drugiej grupy.

– No proszę, chłopaku, niełatwo z tobą wygrać, co? – rzucił wesoło Horacio Kaspar.

Opierał się o jedną z bogato zdobionych ścian. Na jego brzuchu widniała długa szrama, a lewą łydkę przecinała głęboka rana.

– A co myślałeś? – spytałem butnie. – Banda ptaszydeł mi nie podskoczy.
– Uśmiechnąłem się. – W końcu jestem Generałem.

– Bufon... jak zawsze – wyszeptał Valya.

Odwróciłem się do niego w tym samym momencie, w którym draśnięty w pierś Ángelo Vendetta kładł mu dłoń na ramieniu, próbując uspokoić. Dowódca Oddziału Siódmego oddychał z trudem, najwyraźniej uraz był poważny.

– Coś ci przeszkadza, Valya? – zadrwiłem.

Atmosfera stała się napięta. Generałowie jednocześnie skierowali wzrok ku Dimitriemu. Wściekły, ścisnął palce na rękojeści broni, ledwo nad sobą panując.

– Szlag by ich trafił – prychnęła Charlotta Brennt. – Wciąż by szukali zaczepki.

Wtem od drzwi dobiegł nas czyjś głos i niby na komendę zamilkliśmy.

– Cieszę się, że ciągle macie ochotę walczyć. To znaczy, że nie opadliście z sił.

Strateg wszedł wolnym krokiem do pomieszczenia, bacznie przyglądając się zebranym. Zdawało się, że jest w tak dobrej formie jak każdego innego dnia. Tylko podarte spodnie i nadpalona tunika zdradzały udział w wydarzeniach ostatnich godzin.

Zbliżył się i zmarszczył brwi, dostrzegłszy na podłodze ślady krwi.

– Raport – zarządził.

– Nie znamy jeszcze dokładnej liczby zabitych, ale szacujemy ją na sto osób – obwieściła Mei Tsu-zu. Sądząc po dygotaniu kolan, utrzymanie się na nogach kosztowało Generał sporo wysiłku. – Dodatkowo ponad dwustu rannych, wielu ciężko. Ci Lilim, którym pozwala na to stan zdrowia, zajmują się ich transportem do szpitali w Grobie.

– Rozumiem. – Zaccaria Lawrence spojrział na sufit z twarzą ściągniętą w grymasie bólu. Ponieśliśmy ogromne straty: owo oblężenie okazało się jednym z najtragiczniejszych w historii Panteonu. – Co wiemy o ofiarach wśród Aniołów?

– W sumie około dwustu pięćdziesięciu zabitych – odparł Ángelo Vendetta. – Nie znaleźliśmy nikogo żywego. Ranni woleli się dobić, niż wpaść w nasze ręce.

– Przekłęte ptaszydła i ich mania nieujawniania informacji... – mruknął Kaspar, kopiąc czubkiem buta w posadzkę.

– Tego się spodziewaliśmy – zauważył Strateg. – Departament do Zadań Specjalnych przeczesuje aktualnie miejsca przeniknięcia wrogów do Panteonu. Zgodnie ze wstępnymi doniesieniami... – Rozejrzał się po sali. Zadrzałem, kiedy przesunął wzrokiem po mojej twarzy. – ...uzyskali pomoc.

Zdrętwieliśmy. Znaczenie tych słów, stawiających śmierć Zaha Browna w zupełnie innym świetle, docierało do nas niezwykle powoli. Ewidentnie nie chodzi tylko o pojedyncze zabójstwo. Kryje się za nim coś więcej. A raczej ktoś więcej. Zdrajca. Spiskowiec. Zdałem sobie nagle sprawę, że wszyscy patrzą na mnie. Nawet Enns.

Cholera.

– Ciekawe... – powiedział Valya, przesadnie mrużąc oczy.

– Niewątpliwie, Dimitri – zgodził się Zaccaria. – Dlatego też każdy z Oddziałów zostanie poddany od dziś skrupulatnej kontroli.

– Że co? – wykrzyknęła Charlotta, bijąc pięścią w powietrze. – Sądzi pan, że jakiś wysoki rangą Lilim dopuściłby się zdrady? To absurdalne!

– Może i tak, Generał Brennt – westchnął po chwili milczenia Strateg. – A jednak to rozkaz i ufam, że mu się podporządkujecie. Wszyscy.

Mówił bardzo cicho, a mimo to bez problemu wyłowiliśmy w jego tonie ostrzegawczą nutę, toteż skłoniliśmy się w wyrazie posłuszeństwa.

– Straże będą wzmocnione, a bramy prowadzące do Grobu pilnowane dwadzieścia cztery godziny na dobę – instruował Zaccaria. – Ogłaszam stan wyjątkowy. Obowiązuje zatem godzina policyjna. Po zmroku nikt, oprócz pełniących wartę Lilim, nie ma prawa opuszczać terenu swojego Oddziału. – Zaczekał, aż przytakniemy, i dodał: – Rozejdźcie się.

– Jeszcze moment, Strategu... – odezwał się naraz mój brat. – Chciałbym coś zaproponować.

Zaccaria z właściwym sobie spokojem przyzwalająco kiwnął głową.

Enns cofnął się i szepnął kilka słów w stronę panujących za jego plecami ciemności. Rozległ się szmer i z mroku wyłoniła się

dygocząca postać.

Oślupiałem. Diletta? Co ona tu, do cholery, robi?

– Wnioskuje o awans Diletty Clementiny Mair na stanowisko Podporucznika i jej natychmiastowe włączenie do Oddziału Numer Cztery.

Ogarnęło mnie nagle dziwne uczucie. W uszach zaczęło przeraźliwie szumieć, coś ścisnęło w żołądku, a serce zabiło jak oszalałe. Jednocześnie nie mogłem choćby mrugnąć.

Jeśli chodzi o reakcję pozostałych Generałów, to o ile dyspozycja Stratega wywołała wcześniej wzburzenie, teraz podniósł się prawdziwy tumult.

Diletta trwożliwie spojrzała na Ennsa, a następnie na mnie. Szybko odwróciłem wzrok. Skąd owo osobliwe żądanie, skoro ona ciągle nie umie posługiwać się bronią? Ponadto, z tego co opowiadała Henriette, nie objawia specjalnego talentu... Nie wyróżnia się, a przecież wiem, że brata interesują tylko ci, którzy wybijają się na tle innych. Zacisnąłem pięści.

Enns, co ty knujesz?

Strateg także wydawał się zaskoczony, bacznie przypatrując się coraz bardziej skulonej kandydatce na Podporucznika. Wyglądała, jakby miała lada chwila zemdleć. Dostrzegłem na jej szyi i policzkach krew, ale nie licząc zadrapań, chyba nie odniosła poważniejszych obrażeń.

– Co? Już doszczętnie ci odbiło? – wrzasnęła Charlotta Brennt pod adresem Ennsa.

– Cisza! – rozkazał Zaccaria Lawrence. Uplętnęło parę minut, nim daliśmy mu kontynuować. – Generale Petersen, znamy tę dziewczynę.

Jasne, że tak. To ona w końcu znalazła ciało Browna...

– Nie jest tajemnicą – dorzucił Lawrence – że jeszcze nie rozpoczęła nauki w Akademii. Przypuszczam, iż dysponujesz

przekonującymi argumentami na poparcie owej kuriozalnej propozycji.

– Owszem – potwierdził Enns, chwytając Dilettę za ramiona i niemal przesuwał ją na środek sali.

To zakrawa na żart.

– Mała Mair uratowała mojego Generała Broni w trakcie starcia z trzema Cnotami, którzy wdarli się do głównego budynku Oddziału Czwartego – wyjaśnił. – Nie tylko wykazała się odwagą. Pozwolę sobie zacytować informację przekazaną mi przez zastępcę: „Widziała ruchy wroga przed ich wykonaniem”.

Nasilające się szepty zebranych przywodziły na myśl krążący po pomieszczeniu rój pszczół.

Strateg wolno podszedł do trzęsącej się Diletty.

– To prawda?

– Nie... nie wiem, jak mi się to udało – odpowiedziała z przestachem. – Ale... tak, to prawda.

– Udowodnij.

Błyskawicznie dobył Minuttę i runął na Dilettę, która pisnęła i w lot się odsunęła. Sam nie byłbym w stanie uchylić się przed atakiem z taką prędkością.

Mei Tsu-zu zasłoniła usta dłonią, Enns uśmiechnął się szerzej, a ja jedynie skrzywiłem się z niesmakiem.

Strateg znowu uniósł Minuttę, lecz tym razem przyklęknął, celując małym ostrzem w łydki dziewczyny. Momentalnie ugięła nogi i podskoczyła, unikając zranienia.

Poruszała się ułamek sekundy przed przeciwnikiem, jakby rzeczywiście potrafiła odgadnąć jego następny manewr...

– Niesamowite... – mruknął Ángelo Vendetta.

Diletta tymczasem wyprostowała się i czerwona z wysiłku, głośno dysząc, obserwowała nasze zdumione miny. Odniosłem wrażenie, że zbiera się jej na wymioty.

– Rozumiem już, o czym mówisz, Enns – oznajmił Zaccaria Lawrence. – Ta mała jest niewątpliwie dobra. Ale... – zmierzył ją wzrokiem – ...dalej uważam twój wniosek za nierozsądny. Radzę, by ukończyła przynajmniej pierwszy rok Akademii, a potem...

Enns ściągnął wargi. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem go równie poważnego.

– Chcę, by została Podporucznikiem w Czwartym Oddziale – powtórzył.

Strateg ze zniecierpliwieniem westchnął i obrócił się ku zebrany.

– Głosy za? – spytał.

Ángelo Vendetta bezzwłocznie podniósł rękę.

– Ktoś jeszcze?

Enns wyczekująco popatrzył na Dimitriego Valyę, lecz ten pokręcił głową.

– Nie myśl, że pozwolę takiej smarkuli na kontakt z moimi Podporucznikami – burknął. – Wyłącznie by przeszkadzała.

Diletta zerknęła na niego z lękiem, ale i urazą. Tak mocno splótła dłonie, że aż zbieleły jej kostki.

Brat natychmiast zaapelował do Generał Tsu-zu:

– Mei...

– Nie mam nic przeciwko tej dziewczynie, Enns... – zapewniła – lecz jest zbyt młoda, zbyt niedoświadczona. Stanowisko Podporucznika wiąże się z ryzykiem. Wielu uczestniczy w bitwach. I wielu ginie.

– To tylko dziecko bez odpowiedniego przygotowania – dodała z furią Charlotta Brennt. – Wstydz się, Petersen. Choćby nie wiem jak była wyjątkowa, twój pomysł należy uznać za absurdalny.

Diletta wbiła wzrok w podłogę. Zrobiło mi się głupio. Dlaczego jej nie popieram, głosując na „tak”? Przecież na własne oczy zobaczyłem tę niezwykłą zdolność, niewiarygodny dar, którego

docenienie wymagałoby więcej niż zwykłego awansu.

– Ktoś jeszcze? – ponownie zapytał Strateg. – Nie? W takiej sytuacji obawiam się, że...

Przerwał mu tubalny krzyk:

– A niech to! Za!

Horacio Kaspar... Spojrzeliśmy na niego ze zdziwieniem, a wtedy, znacząco mi się przyglądając, rzucił:

– Ślepi jesteście, czy co?

Wciąż toczyłem wewnętrzną walkę, świadomy, że zaledwie głos dzieli Diletę od stopnia Podporucznika. Ale z drugiej strony...

Odchrząknąłem i podniosłem rękę.

– Za. Proszę jednak, by dołączyła do Oddziału Trzeciego. – Tak jak przypuszczałem, uśmiech niemal zniknął z twarzy brata. – Podczas ataku straciłem większość Podporuczników. Potrzebuję wsparcia.

Zaległa pełna napięcia cisza. Wszyscy wpatrywali się to we mnie, to w Ennsa, aż wreszcie Zaccaria Lawrence pojednawczym gestem uniósł dłoń i zwrócił się do dowódcy Czwartego Oddziału:

– Akceptujesz ten postulat, Petersen?

Enns potakująco skinął głową.

– Wobec tego – kontynuował Strateg – mianuję... eee... – Diletta szepnęła mu swoje imię – ...Diletę Mair Podporucznikiem Oddziału Trzeciego. Gratulacje. I – pogłaskał ją po policzku – witaj wśród nas. Generałowie, możecie się rozejść.

Diletta

Rozejrzałam się, kompletnie zagubiona.

Jeden z tych, którzy poparli mój awans, minął mnie z wymownym grymasem wykrzywiającym jego twarde rysy. Odskoczyłam, przestraszona. Mężczyzna zmarszczył brwi i oddalił się, mrużąc pod nosem.

– Generał Kaspar. Oddział Piąty – podpowiedział mi ktoś do ucha.

Odwróciłam się. Brat Aloisa... Nadal się uśmiechał, choć nieco inaczej niż zwykle. Dużo zimniej, wręcz lodowato.

– Więc nie wstąpisz do Oddziału Czwartego – westchnął. – Cieszysz się?

Pewnie, że tak... Przezornie nie uzewnętrzniłam jednak tej radości. Zakrawałoby to wszak na samobójstwo... Postarałam się przywołać na twarz wyraz rozczarowania, smutku albo jakiegokolwiek innej emocji mogącej usatysfakcjonować Ennsa Petersena i wydukałam:

– Nie... nie miałam pojęcia, że zaproponuje pan coś... podobnego.

– Cieszysz się? – powtórzył z budzącym grozę spokojem.

Przełknęłam ślinę.

– Nie wiem, Generale.

Wydał się zadowolony, a przynajmniej uśmiechnął się odrobinę przyjaźniej. Odetchnęłam z ulgą.

– Zoryę zasmuci ta wiadomość – wyznał kpiąco.

Zaczerwieniłam się i wymamrotałam coś, czego sama nie rozumiałam. W tym momencie pojawił się Alois. Dopiero teraz dostrzegłam na jego czole i policzkach zaschnięte strużki krwi. Spod podartego ubrania wyzierały otwarte rany.

– Dobrze się czujesz? – zawołałam.

Nawet na mnie nie spojrzał, zupełnie jakbym nie istniała. Podeszedł do brata, popchnął go i krzyknął:

– Co ty, do cholery, usiłowałaś osiągnąć?!

Enns nie cofnął się ani o krok, chociaż kolana wyraźnie zadrżały mu pod wpływem uderzenia.

– Myślałem, że nie lubisz używać brzydkich słów – zadrwił.

– Nie zmieniaj tematu – ostrzegł Alois. – Skąd pomysł, by mianować ją Podporucznikiem?

– Widziałeś ten zdumiewający dar... Ktoś taki nie powinien tracić

dziewięciu lat w Akademii.

– Nie jest gotowa do wstąpienia w szeregi Oddziału! – wrzasnął Alois, przyciągając uwagę dwojga Generałów: mężczyzny, który jako pierwszy podniósł rękę podczas głosowania, i małej Azjatki.

– Dlaczego więc poprosiłeś o przeniesienie Mair pod twoje rozkazy, braciszku? – zainteresował się Enns, mrużąc oczy.

Alois spuścił wzrok i przygryzł wargi. Nie spodziewał się tego pytania.

– Pragnąłeś Diletty tylko dla siebie? Czy po prostu uznałeś, że nie najlepszy ze mnie kandydat na jej przełożonego?

Zapanowała krępująca cisza. Alois wyglądał, jakby pilnie starał się znaleźć logiczne wytłumaczenie. Czyżby nie ufał Generałowi Oddziału Czwartego równie mocno jak ja? Wzdrygnęłam się, odkrywając naraz, że żaden nie przekształcił broni w Minuttę. Obaj zaciskali palce na rękojeściach, w każdej chwili gotowi do ataku.

Matko. Co się tutaj dzieje?

– Nie gadaj głupot – odparł w końcu oschle Alois. – Mam cię za znakomitego dowódcę.

– Oj, braciszku. Zawsze powiesz coś takiego, że się czerwienię.

– Enns... Dobrze wiesz, że nie znoszę, gdy się do mnie w ten sposób zwracasz.

Rozległ się gromki śmiech.

– Wiem. Właśnie dlatego to robię.

– Oczywiście – syknął Alois. – Ciekawe, czemu nie jestem zdziwiony.

Rzucił mi wymowne spojrzenie, a kiedy prędko do niego podeszłam, chwycił moją rękę i skierował się do drzwi.

– Trzymaj się blisko – szepnął.

Przed wejściem do Pałacu Centralnego czekało kilku Generałów Broni. Większość była ranna, na szczęście niezbyt ciężko. Struchlałam, dostrzegłszy także Zoryę. Opierał się o mur

w odległości około trzech metrów od towarzyszy, ze wzrokiem wbitym w ziemię, niby oddzielony niewidzialną barierą.

Chyba wyczuł mój niepokój, bo zniemacka uniósł brodę i utkwiał we mnie oczy, a następnie ruszył w naszą stronę.

Mimowolnie dotknęłam zaciśniętej na ramieniu dłoni Aloisa.

– Co jest? – burknął, obracając się. – Kurde.

Chociaż zastępca Ennsa doskonale usłyszał ostatnie słowo, nie wydawał się urażony. Aż go pożałowałam. Pewnie na tyle przyzwyczał się do podobnych reakcji, że nie przywiązuje do nich wagi.

– Czego chcesz? – wycedził Alois.

Zorya zignorował pytanie, ani na sekundę nie przestając się we mnie wpatrywać. Próbowałam odczytać, co kryje się za tymi niebieskimi tęczęwkami, lecz musiałam dać za wygraną.

– Dowiedziałem się, że nie wstąpisz do Oddziału Czwartego – powiedział cicho.

– Ale... szybko – wyjąkałam zaskoczona.

Nie minęło pięć minut, odkąd awansowałam, a Enns Petersen jeszcze nie wyszedł z rezydencji Stratega.

– Mam świetnych informatorów – wyjaśnił.

Przełknęłam ślinę, czując narastającą wściekłość Aloisa. Jak nic za chwilę wybuchnie... Jego dłoń wręcz parzyła mi skórę.

– Liczyłem, że do mnie dołączysz – kontynuował Zorya.

– Doprawdy ogromna szkoda, że tak się nie stało – wtrącił Alois. – A teraz, jeśli wybaczysz... Przed nami wiele obowiązków. Na przykład przedstawienie Diletty jej nowym kolegom.

– Oczywiście, Generale.

Ton... Co za ton... Otwarcie lekceważący.

Zastępca Ennsa najwyraźniej uważał, że Alois nie powinien zajmować tak wysokiego stanowiska... Że na to nie zasługuje.

Petersen tymczasem pociągnął mnie za sobą, nie pozwalając się

nawet pożegnać. Odwróciłam głowę i posłałam Zoryi przepaszające spojrzenie, na które odpowiedział lekkim skłonem. Gdy opuściliśmy teren Pałacu Centralnego, wyrwałam się

i zatrzymałam.

– To nie było konieczne – prychnęłam.

– Jestem Generałem, Diletta. Umiem ocenić, kiedy coś jest konieczne, a kiedy nie – oświadczył Alois wyniośle i zanim zdążyłam się odsunąć, złapał mnie za nadgarstek.

Zmartwiałam. Co, do diabła...? Przecież potrafię przewidzieć, jak zachowa się druga osoba... Udowodniłam to w starciu z Cnotami, a potem w obecności siedmiu Generałów. Co więcej, zarówno Anioły, jak i Strateg bez wątplenia poruszali się dużo szybciej niż Alois przed momentem. A jednak... Wtedy z łatwością uniknęłam ataku, teraz zaś zareagowałam zbyt późno.

Nie rozumiem. W skupieniu obserwowałam nogi Aloisa, usiłując zgadnąć, którą da pierwszy krok. Cholera. Nie mam pewności. Prawą?

– Znalazłaś na ziemi coś interesującego? – spytał uszczypliwie, wznawiając marsz.

Zbladłam. Pudło. Zaczął lewą.

Szlag by to trafił!

– Nie... nic – wymamrotałam.

Kilka minut szliśmy w milczeniu: on – zamyślony, z wyrazem napięcia na twarzy; ja – wciąż blada, świadoma, że ta pomyłka niczego dobrego nie wróży.

Ni stąd, ni zowąd poczułam gniew. Pieprzony debil. Bez ustanku przysparza mi problemów.

Westchnęłam i zerknęłam na jego dłoń, zaciśniętą na moim nadgarstku zbyt mocno, by uznać ten dotyk za przyjemny. Mimo to...

Zarumieniłam się, przypomniawszy sobie sen, w którym mnie

pocałował.

– Czekaj – polecił nagle, przystając i spoglądając w niebo. Powiodłam wzrokiem po nieznanej okolicy. Chyba bardzo oddaliliśmy się od zabudowań Oddziałów.

– Gdzie jesteśmy? – zapytałam zdenerwowana. – Co tu robimy? Powinieneś raczej udać się do szpitala, żeby ci opatrzyli rany, a ja do Żeńskiej Rezydencji, po rzeczy.

– Nie porwę cię, spokojnie – szepnął z rozbawieniem. – Chcę z tobą porozmawiać.

Nie zaprotestowałam, choć bynajmniej nie rozwiązał moich obaw. Zważywszy na to, że mnie przytrzymuje i że zawędrowaliśmy na opustoszałe, nieodwiedzane przez nikogo obrzeża Mauzoleum, a na horyzoncie widać tylko parę zrujnowanych domów oraz uschnięte drzewo, trudno zachować zimną krew.

Wtem usłyszałam trzask. Wzdrygnęłam się, a uścisk Aloisa stał się jeszcze silniejszy.

– Ej, co... – przerwałam, gdy zobaczyłam, że Alois kuli się, a z jego pleców wyrastają czarne... skrzydła...

Wolno wyprostował się, spocony i skrzywiony z bólu.

– Specjalnie się nie dziwiłaś – stwierdził cierpko.

– Twój... brat zdradził mi, że... dostałeś je w trakcie ceremonii mianowania.

– Jasne, mój brat. – Ze złością zatrzepotał, wzniesając obłok kurzu. – Jest mniej godny zaufania, niż myślisz.

Nie odezwałam się. Przecież wiem. Wiem, że nie można mu ufać. Wystarczy spojrzeć na ten przyklejony do ust uśmiech. Co gorsza, tu nie chodzi wyłącznie o zaufanie, Alois. Enns jest niebezpieczny, lecz mimo że masz tego świadomość, akurat tym spostrzeżeniem się nie podzielisz, żeby mnie nie przerazić.

Bystry chłopak.

– Złap się mocno – polecił nagle. – Wciąż średnio kontroluję lot.

– Sł...

Nie dokończyłam. Naraz szarpnął moje ramię tak brutalnie, jakby zamierzał je wyrwać. Zamachałam w powietrzu nogami i pisnęłam, uzmysławiając sobie, że z zawrotną prędkością wznosimy się ponad ziemię. Naokoło furkotały pióra. Zakaszlałam, kiedy kilka weszło mi do buzi.

– Ożeż ty... Uważaj! – krzyknęłam. – Powiesz mi chociaż, dokąd lecimy?

W tym momencie poczułam pod stopami coś twardego i nie zastanawiając się, uwolniłam rękę. Piętami natrafiłam jednak na próżnię i spadłabym, gdyby Alois nie objął mnie skrzydłem.

Uklękałam, dysząc ze strachu.

Znalazłam się na dachu jednego z opuszczonych budynków, z którego roztaczał się widok na Mauzoleum i Grób: olbrzymie, ciągnące się aż po horyzont miasto. Po raz pierwszy mogłam podziwiać je w całej okazałości...

– Mówiłem ci, żebyś się mocno złapała! – zawołał Alois, lądując obok.

Zerknęłam na niego z rozdrażnieniem, a następnie podniosłam się i burknęłam:

– No i? O czym chciałeś porozmawiać?

– Ja tu jestem od zadawania pytań – wycedził zimno, wychwyciwszy w moim głosie zaczepny ton. – I to ja mam powód, by być cholernie wściekły.

Policzyłam do dziesięciu. Ostatnia rzecz, jakiej mi trzeba po wydarzeniach tego okropnego dnia, to awantura.

– Cholernie? – powtórzyłam z uśmiechem. – Sądziłam, że nie lubisz używać brzydkich słów. Wcześniej...

– Wcześniej cię nie znałem – wtrącił. – Dopiero niedawno odkryłem twój cudowny dar...

– Rejestrowania obecności duchów?

– Grania mi na nerwach.

– Aha – mruknęłam. – No proszę.

Kopnął znieńacka w dach i coraz gwałtowniej łopoczącymi skrzydłami zmiotł kilka płytek. Poleciały na ziemię i potłukły się w drobny mak... Kolejnym kopniakiem zrzucił jeszcze jedną dachówkę.

– Zamierzasz rozwalić cały dach? – zakpiłam. – Jeśli tak, wolałabym się stąd ewakuować.

– Nie masz prawa nic woleć – syknął, mierząc we mnie floretem. Cofnęłam się, przestraszona tą agresywną reakcją.

– Co... się z tobą dzieje?

Zaklął pod nosem, nieprzerwanie znęcając się nad pokryciem budynku, a po chwili warknął:

– Dlaczego nie wyjawiaś, że potrafisz przewidywać ruchy innych? Czemu wcześniej nic mi na ten temat nie wspomniałaś?

– Nie wiedziałam, że mam taką zdolność! – krzyknęłam z urazą.

– Jasne – prychnął. – Czyli powinienem uwierzyć, że dopiero atak Cnót otworzył ci oczy?

– Właśnie tak.

Przygryzł wargi i przebiegł wzrokiem po okolicy, nie tyle wzburzony, ile – oceniając po napiętych mięśniach, zaczerwienionych policzkach czy drżących na rękojeści broni palcach – rozjuszony.

– Po co miałabym kłamać? – spytałam, zirytowana tym wymownym milczeniem. – Co niby miałabym w ten sposób osiągnąć?

– Może chciałaś mnie przed wszystkimi ośmieszyć?

Oniemiałam, kompletnie zaskoczona.

– Dlaczego przypuszczasz, że mogłoby mi na czymś takim zależeć? – wyszeptałam.

Westchnął i zrobił krok w moją stronę. Nieco się opanował, na jego twarzy malowała się już nie wściekłość, ale nieufność

i zniechęcenie. Oraz bezbrzeżny smutek.

– Bo mnie nienawidzisz, prawda?

Nim zdążyłam odpowiedzieć, ugiął kolana i odleciał. Zachwiałam się pod wpływem podmuchu wiatru, uchylając jednocześnie przed trafieniem przez kolejne oderwane dachówki.

– Ej! Alois! Alois! Nawet się nie odwrócił. Bajka.

Jak stąd zejść?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Oddział Numer Trzy

Alois

Dotarłszy na teren swojego Oddziału, rozkazałem dwóm oficerom, którzy wyszli z walk bez szwanku, aby bezzwłocznie udali się po Dilettę. Zdziwili się, słysząc, gdzie mają jej szukać, lecz zastosowali się do polecenia bez słowa sprzeciwu.

Choć większość podwładnych czekała, aby pogratulować mi awansu, minąłem ich z taką wyniosłością, że nie ruszyli się z miejsc. Zgoda, to nie najlepszy sposób na zyskanie popularności, ale nie miałem ochoty z nikim rozmawiać. A już najmniej z...

– Alooois!

Od razu po otwarciu drzwi do biura wpadłem w objęcia Henriette.

Westchnąłem, z twarzą wtuloną w jej pierś, a następnie wyrwałem się i zmierzyłem Generał Broni nieprzyjaznym wzrokiem.

– Czego?

Wygięła usta w podkówkę niczym małe dziecko, ale rzut oka na moje rany wystarczył, by spoważniała.

– Nie poszedłeś do lekarza! – wykrzyknęła. – Boże, Alois! Wyglądasz strasznie! Szkoda patrzeć!

– Po pierwsze, nie wolno ci już mówić mi po imieniu. Dla ciebie jestem Generałem Petersenem – prychnąłem. – Po drugie, wiem, że wyglądam strasznie.

– I masz fatalny humor – uzupełniła.

Odsunąłem się na bezpieczniejszą odległość w obawie, że lada

moment znowu postanowi okazać mi czułość. Nie lubię być dotykany. Zwłaszcza wtedy, gdy z trudem powstrzymuję chęć rozwalenia wszystkiego dookoła.

– Powiesz, co się stało? – spytała.

Odwróciłem się do niej plecami i powłócząc nogami, podszedłem do biurka. Opadłem na obrotowy fotel, zagłębiając się w oparcie.

– Kiedy indziej. Jak sama stwierdziłaś, w obecnej chwili nie dopisuje mi humor – odparłem oschle.

Ten ton najwyraźniej ją przekonał, gdyż pochyliła głowę i ze zrezygnowaną miną szybko skierowała się do wyjścia. Zanim nacisnęła kławkę, jeszcze raz na mnie spojrzała.

– Winszuję awansu, Generale.

– Dziękuję, Henriette.

Równie dobrze mogłem się nie odezwać: nie wyartykułowałem nawet pierwszej sylaby, gdy drzwi z hukiem się zamknęły.

– Cholera... – mruknąłem.

Widać mój kiepski nastrój jest zaraźliwy.

Swoją drogą... skąd owo koszarne samopoczucie? To wszystko wydaje się nie tyle zastanawiające, ile wręcz nonsensowne. Czemu z taką irytacją przyjmuję mianowanie Diletty Podporucznikiem mimo krótkiego stażu w Panteonie? I czemu – skoro nie potrafię się z tym pogodzić – poparłem wniosek Ennsa? Przecież gdybym nie podniósł ręki, ona ciągle mieszkałaby w Żeńskiej Rezydencji, a ja bawiłbym się właśnie z Kasparem, opijając nowe stanowisko i zwycięstwo nad ptaszydłami.

Kiedy na własne oczy zobaczyłem jej niesamowity dar, początkowo ogarnęła mnie zazdrość. A zaraz potem rozżalenie, że nie byłem tym, który dowiedział się o nim jako pierwszy.

Uderzyłem pięścią w podłokietnik.

A więc o to chodzi. A więc o to dokładnie chodzi... Nie o zazdrość czy żal, ale o wrażenie, że zostałem zdradzony, gdyż Enns dzielił

z Diletta ten rodzaj... sekretu przede mną.

Wtem drzwi gwałtownie się otworzyły i ze zdumieniem odnotowałem, że kolejny gość nie należy do mojego Oddziału.

– Loretta?

Nie zauważyłem na jej twarzy i rękach żadnych obrażeń. Zapewne przeczekwała oblężenie w Grobie... Zatrzymała się na progu, obserwując mnie w sposób sugerujący, że przed nią siedzi seryjny morderca, a następnie podbiegła do biurka i oparła dłonie na drewnianym blacie z taką siłą, że aż zatrzęszczał.

– Można poznać motywy twego zachowania? – rzuciłem zimno.

– Z ust mi wyjąłeś to pytanie! – wrzasnęła. – Jakim prawem opowiedziałeś się za awansem Diletty? Nie rozpoczęła nawet nauki w Akademii!

– A ty jakim prawem zwracasz się do przełożonego bez krzty szacunku? W dodatku... kwestionując jego decyzje? – drążyłem spokojnie.

– Dlaczego ją tak traktujesz? – pisnęła w odpowiedzi, zupełnie nad sobą nie panując. – Dobrze wiesz, że sprawowanie funkcji Podporucznika wiąże się z ryzykiem! A jeśli zginie?

Popatrzyłem na nią ostrzegawczo, zaciskając ręce na udach.

– Loretta, jeśli nie przestaniesz się wydzierać, każę cię aresztować za zakłócanie porządku.

– Proszę bardzo! Ale nie myśl, że mnie to skłoni do milczenia! – Kopnęła w stół z energią godną najprawdziwszego buntownika. – Nie rozumiem, czemu narażasz Dilettę na niebezpieczeństwo!

– Nic jej nie jestem winien – burknąłem. – Fakt, że spotkaliśmy się w Świecie Żywych, to czysty przypadek.

– Kiedy ona darzy cię uczuciem!

Zapadła chwila ciszy, w czasie której oglądałem paznokcie z takim skupieniem, jakbym właśnie dostrzegł w nich coś niezwykle interesującego. Potem podniosłem wzrok. Wolno. Nadzwyczaj

wolno.

– Darzy... uczuciem?

Loretta zarumieniła się, świadoma, że wykrzyczała o kilka słów za dużo.

– Skąd to przypuszczenie?

Zanim odparła, przespacerowała się naokoło pomieszczenia.

– A obiecasz, że będziesz ją w miarę możliwości chronić? – Mimo malującego się na mojej twarzy gniewu nie traciła animuszu. – Przysięgam, że się odcepnię i znowu zacznę się do ciebie odnosić z szacunkiem.

– To szantaż?

Wzruszyła ramionami i niepewnie usiadła na krześle obok. Przez moment milczała.

– W noc... zabójstwa Zaha Browna Diletta mówiła przez sen. Obudziłam się i leżałam z na wpół otwartymi oczami, nasłuchując...

– Ciekawe, dlaczego mnie to nie dziwi – wtrąciłem.

– Wołała cię... Wiele razy wypowiedziała twoje imię – ciągnęła z niedowierzaniem. – A gdy się ocknęła, cała drżała. Nikt nie drży bez powodu, więc...

– Przyśnił jej się jakiś koszmar – przerwałem obojętnym tonem.

– To nie był koszmar! – zawołała, ponownie kopiąc w biurko.

– Skąd wiesz? Potrafisz przenikać do snów innych osób? Jeśli tak, zamelduj się u Stratega. Istnieje szansa, że i ciebie mianują Podporucznikiem.

– Jasne, że nie, idio... – Widząc moją minę, ugryzła się w język. Westchnęła i zerwała się, przewracając krzesło na podłogę. – Oczywiście, że coś do ciebie czuje. Nie zmyślam.

– Średnio przekonujący argument – stwierdziłem.

– Bo go nieprawidłowo interpretujesz – syknęła. – Zresztą wszystko jedno. Niepotrzebnie przyszłam. Nie warto z tobą rozmawiać.

– Uważaj na to, co mówisz – ostrzegłem zimno. – Któregoś dnia trafisz do więzienia za niesubordynację.

Rzuciła mi nieżyczliwe spojrzenie i zniknęła, trzaskając drzwiami tak mocno, że zatrzęśły się ściany. Biedne zawiasy. Jeśli od teraz normą ma być ów brak delikatności przy wychodzeniu z gabinetu, nie wytrzymają dłużej niż dwa tygodnie.

Odchyliłem się w fotelu i położyłem nogi na biurku.

Bolała mnie głowa. Okropnie. Może jednak powinienem pójść do szpitala w Grobie, żeby opatrzone mi rany zadane przez tamto przeklęte ptaszyczo. A gdzie tam, do cholery, przecież jestem Generałem. Niech tu kogoś przyślą.

Chwyciłem słuchawkę telefonu i wykręciłem numer recepcji. Natychmiast z wyszukaną grzecznością powitał mnie kobiecy głos.

– Proszę wezwać lekarza – rozkazałem z miejsca.

– W tej chwili, Generale.

Nim się rozłączyłem, recepcjonistka zakomunikowała:

– Generale Petersen, Podporucznik Diletta Mair została przeniesiona do nowego pokoju. Mam panu przekazać, że nie zejdzie na kolację.

Zakląłem pod nosem.

– Świetnie! Niech umrze z głodu.

Z furią odłożyłem słuchawkę, niemal miażdżąc plastikowy aparat, i dłuższy czas siedziałem bez ruchu, zamyślony, wpatrując się w swój zniekształcony obraz odbity w pękniętej w trakcie dzisiejszych walk szybie. Twarz zdawała się schwytna w pajęczą sieć.

Uporczywy głos wciąż powtarzał mi w głowie: „Wołała cię... Wiele razy wypowiedziała twoje imię”, i wtem moje serce, zwykle niewzruszone, zaczęło bić dwukrotnie szybciej, jakby chciało wyskoczyć z piersi i uciec z biura, oczywiście z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Nie rozumiem. Nie jestem w stanie tego zrozumieć.

Obtarłem ze skroni krople zimnego potu i z konsternacją odwróciłem wzrok od okna.

Nie pojmuję, co się ze mną dzieje.

Diletta

Obudziłam się dosyć wcześnie, gdyż żołądek głośno domagał się jedzenia. Objęłam się ramionami i skuliłam. Rezygnacja z kolacji nie należała do najlepszych pomysłów...

Wiedziałam jednak, że gdybym pojawiła się na stołówce, niechybnie natknęłabym się na Aloisa, otoczonego wianuszkami gratulujących mu awansu osób, a także wielbicielek, wzdychającymi za każdym razem, kiedy ze znużeniem przymyka oczy.

Nie zniosłabym tego widoku. Nie po tym, jak wczoraj odleciał, a ja zostałam sama, pośrodku niczego, uwięziona na częściowo rozwalonym w wyniku jego ataku szału dachu.

„Bo mnie nienawidzisz, prawda?”

Wyprostowałam się i oparłam plecami o zimną ścianę. Nie nienawidzę cię, aczkolwiek jesteś tak potwornie zadufany w sobie i trudny w obejściu, że czasem mam ochotę ci przyłożyć.

Znowu zaburczało mi w brzuchu. Teraz może i trochę cię nienawidzę.

Wstałam i wsunęłam stopy w typowe dla Lilim buty: śmieszne baletki, które – chociaż wykonane z delikatnego i cienkiego materiału – dobrze chroniły przed chłodem, a następnie przeciągnęłam się, sięgając palcami frędzla abażuru zwisającej z sufitu lampy i rozglądając się po pokoju. Wystrój okazał się znacznie mniej surowy niż w przypadku sypialni w Żeńskiej Rezydencji. Zważywszy na mój wiek, wydał mi się wręcz zbyt wyszukany: za dużo tu aksamitów i drogich mebli. Z radością natomiast odkryłam prywatną łazienkę. Nie znosiłam zarówno

zrywania się tylko po to, żeby uniknąć kolejek do pryszniców, jak i spacerów po zimnym korytarzu z mokrymi włosami.

Uśmiechnęłam się, ale momentalnie tego pożałowałam, aż podskakując z bólu, gdy jedno z odniesionych podczas starcia z Aniołami skaleczeń otworzyło się na skutek nagłego napięcia mięśni. Przejrzałam się w lustrze nad umywalką: zadrapania na prawym policzku wyglądały niepokojąco. Sądząc po spuchniętej i zaczerwienionej skórze, mogło się wdać zakażenie. Natychmiast przemyłam twarz, bez litości szorując ją mydłem, i delikatnie osuszyłam ręcznikiem.

Doprowadziwszy się do względnego porządku, włożyłam mundur Podporucznika, dostarczony mi przez Henriette wczoraj wieczorem, tuż po przeprowadzce. Nie zamieniłyśmy właściwie ani słowa. Sprawiała wrażenie przygaszonej i czymś zmartwionej, ja zresztą też nie paliłam się do rozmowy...

Mundur prawie niczym nie różnił się od poprzedniego. Dostałam po prostu dodatkowo lekką kamizelkę, odrobinę za długą, lecz mimo to bardzo wygodną.

Jeszcze raz zerknęłam w lustro, przeczesalam palcami włosy i wyszłam. Zamknęłam drzwi na klucz.

Przebiegłam wzrokiem po szerokim korytarzu pełnym drzwi do pokoiów Podporuczników Oddziału Trzeciego. Bajka. Jak niby dojść na stołówkę?

Akurat przechodziło obok dwóch nieco starszych ode mnie Lilim. Przypatrywali mi się z ciekawością i przez moment rozważałam nawet pomysł odwrotu do sypialni. Informacje rozchodzą się po Mauzoleum w ekspresowym tempie, więc członkowie wszystkich Oddziałów na bank zostali już powiadomieni, że dołączyła do nich dziewczyna, która ani minuty nie spędziła w Akademii. Przemogłam się jednak i podeszłam do chłopaków, doskonale zdając sobie sprawę ze swoich spąsowiałyh do granic możliwości policzków.

– Przepraszam, gdzie jest jadalnia? – spytałam uprzejmie. Wymienili wymowne spojrzenia. Jeśli mieli wcześniej jakiegokolwiek wątpliwości odnośnie do mojej tożsamości, właśnie się ich pozbyli.

– Wystarczy zejść głównymi schodami na pierwsze piętro – odparł jeden z Lilim, o ciemnej skórze i czarnych oczach. – Łatwo trafić.

Jego kolega twierdząco pokiwał głową.

– Dziękuję – uśmiechnęłam się i odwróciłam, a wówczas ten drugi delikatnie przytrzymał mnie za lewe ramię.

Nieumyślnie podciągnął mi przy tym rękaw munduru, odsłaniając bliznę z datą śmierci. Ujrawszy ją, odsunął się, wyraźnie zawstydzony.

– Przepraszam... – wymamrotał. – Nie chciałem...

Uniosłam brwi, nie rozumiejąc tej reakcji, ale machnęłam ręką, bagatelizując zdarzenie.

– Nazywam się Ismael Gordon – kontynuował chłopak. – A to David Henie. Podporucznicy.

– Miło mi – powiedziałam. – Diletta...

– ...Clementina Mair. Ta nowa – wtrącił David. – Wiemy. Cudownie.

– Pewnie... niedługo znowu się zobaczymy – wyszeptałam na odchodne.

Pożegnali się dosyć powściągliwie i odprowadzili wzrokiem, dopóki nie zniknęłam na schodach. Na szczęście nie oszukali mnie w sprawie położenia stołówki. Gdy tylko dotarłam na pierwsze piętro, poczułam zapach jedzenia i kawy, a także wyłowiłam uchem szmer rozmów przerywanych porannym ziewaniem.

Mój żołądek niemal oszalał z niepoohamowanej radości i szybko podążyłam za wspaniałymi aromatami. Skręciłam za róg korytarza i oto znalazłam się przy wejściu do ogromnej, wypełnionej po brzegi i zastawionej stolikami sali, z bufetem, którego zawartość

zadowolilaby chyba kazdego lakomczucha.

Zatrzymałam się na progu, skrępowana obecnością tak wielu Lilim. Stłoczeni w dużych grupach przy stołach, dyskutowali, śmiali się albo kłócili. Oceniając po mundurach, większość sprawowała wyższe funkcje niż ja. W pierwszej chwili pomyślałam o ucieczce, byle dalej od nieuchronnych komentarzy, ale po kilku sekundach uzmysłowiłam sobie, że w tym gwarze nikt mnie raczej nie zauważy. Zbliżyłam się więc do olbrzymiej lady pełnej tac i misek z grzankami, płatkami, ciastkami i przeróżnymi wędlinami. Jak na zawołanie pojawiła się za nią dziewczyna o zmęczonym uśmiechu, czekając, aż dokonam wyboru. Zmarszczyłam czoło. Na co by tu się zdecydować? Wszystko wygląda przepysznie.

Niespodzianie usłyszałam za plecami męski głos:

– Proszę podać tamto.

– Oczywiście, Generale Petersen.

Kelnerka nałożyła szczypcami dwa kawałki ciasta i wręczyła mi talerz.

Skinęłam z wdzięcznością głową, a następnie obróciłam się i stanęłam twarzą w twarz z Aloisem. Przyglądał mi się ze skrzyżowanymi ramionami i nieodgadnioną miną.

– Zostałeś moim doradcą żywieniowym? – spytałam sucho.

– Dieta Lilim jest niezwykle ważna – odparł. – Uznałem więc, że warto ci coś podpowiedzieć.

– Aha. W takim razie dziękuję.

Nagle zorientowałam się, że rozmowy znacznie przycichły. Rozejrzałam się po sali i o mało nie zakrztusiłam, gdy okazało się, że wszyscy, absolutnie wszyscy, bezceremonialnie nas obserwują. Momentalnie poczerwieniałam.

– Nie kul się – szepnął Alois, obrzucając ciekawskich pogardliwym spojrzeniem, pod wpływem którego prawie każdy błyskawicznie wrócił do swoich spraw. – Jesteś oficerem.

Podporucznikiem. Nie możesz chodzić, jakbyś miała garb.

– Wcale nie chodzę, jakbym miała garb – warknęłam z urazą.

– Więc przestań tak zawzięcie oglądać sobie buty.

Wyzywająco podniosłam wzrok. Ku mojemu zdumieniu wybuchnął śmiechem.

– Teraz lepiej – stwierdził, pokazując gestem ręki, bym za nim podążyła.

– Usiądźmy gdzieś.

Podeszliśmy do jedyne go wolnego stolika, znajdującego się nieco na uboczu, w rogu sali. Niektórzy ciągle ukradkiem się nam przypatrywali, lecz Alois, zniecierpliwiony, jeszcze raz ostrzegawczo na nich zerknął i po chwili na stołówce znowu rozległ się gwar.

Opadłam na krzesło i zabrałam się do jedzenia. Alois zajął miejsce naprzeciwko i założywszy nogę na nogę, w milczeniu na mnie patrzył. Usiłowałam go zignorować, ale ostatecznie nie wytrzymałam ciężaru tego spojrzenia i odsunęłam talerz, czując, że nie przełknę ani kawałka więcej.

– Już? – zapytał zaskoczony. – Sądziłem, że po tylu godzinach bez pożywienia będziesz umierać z głodu.

Z irytacją wzruszyłam ramionami.

– Muszę coś wyjaśnić – oznajmiłam bez ogródek.

Nie wydał się specjalnie zadowolony. Skrzywił się i nachylił ku mnie, dotykając stołu ostrzem zawieszanej na szyi Minutty.

– Nie powinienem był zostawić cię na dachu – przyznał niechętnie. – Należało pomóc ci zejść na ziemię.

– Nie o to chodzi – zaoponowałam rozgniewana. – Nie powinieneś być ni stąd, ni zowąd się zmyć, nie dając mi czasu zareagować na to głupstwo, które na końcu strzeliłeś.

Zwilżył wargi językiem i rozejrzał się, sprawdzając, czy na pewno nie wzbudzamy już zainteresowania.

– Lepiej, żebyś nie rozmawiała ze mną tak... poufale – burknął. – Przynajmniej nie wtedy, kiedy przebywamy w... towarzystwie.

Wzniosłam oczy na sufit.

– Rozkaz, Generale. Zrezygnuję więc... z poufałości – zakpiłam. – Wiesz, że palnąłeś wczoraj straszną bzdurę? Niczym w dodatku nieuzasadnioną.

– Miałaś mnie traktować z szacunkiem – przypomniał rozbawiony.

– Z szacunkiem, na jaki zasługujesz.

– Słucham? – syknął, jeszcze mocniej się nachylając.

– Nie... nie nienawidzę cię – szepnęłam, starając się zapanować nad własnym językiem. – Chociaż często zachowujesz się w taki sposób, że trudno cię znieść. Nie rozumiem twojego postępowania. Nie rozumiem, dlaczego najpierw chcesz, żebym się od ciebie odczepiła, a potem zostajesz w mojej sypialni, by upewnić się, że nic mi nie jest. Nie rozumiem, dlaczego poprosiłeś swojego brata, aby się mną zajął, a później wyznałeś, że mu nie ufasz. Nie rozumiem, dlaczego wnioskowałeś o przyjęcie mnie do Oddziału, którym kierujesz, a za chwilę oskarżyłeś o ośmieszenie cię przed dowództwem. Nie rozumiem, dlaczego, do cholery, zwiąłeś, jakbym powiedziała coś niewłaściwego, podczas gdy nie zdążyłam otworzyć ust. – Spuściłam wzrok, potwornie zmieszana, modląc się, by rumieniec na policzkach nie stał się zbyt widoczny. – Ale nie nienawidzę cię. Chyba... nie potrafię cię nienawidzić.

Na twarzy Aloisa odmalowało się wzburzenie. Zaczął się podnosić, ale błyskawicznie chwyciłam go za nadgarstek i przytrzymałam. Tego się nie spodziewał: stracił równowagę i runął na stół, zrzucając talerz na podłogę.

Brzęk tłuczonego szkła spowodował, że zebrani na stołówce Lilim ponownie się ku nam obrócili, jednak zupełnie się tym teraz nie przejęliśmy.

Alois prawie leżał na blacie, podparty na łokciach. Zadarł brodę, a jego zielone tęczęwki nieomal znikły pod rozszerzonymi ze

zdumienia źrenicami. Wpatrywał się we mnie, pełen napięcia, porażony. Jak i ja. Prawdę mówiąc, zapomniałam nawet o oddychaniu.

Znajdowaliśmy się bardzo blisko siebie. Bliżej niż blisko; wręcz na granicy nieistnienia przestrzeni. Oddech Aloisa łaskotał mnie w oczy, ale nie byłam w stanie choćby mrugnąć, by pozbyć się uporczywego swędzenia.

Nie byłam w stanie zrobić absolutnie nic.

Ujrzałam, że porusza wargami, lecz nie usłyszałam żadnego dźwięku. Niewykluczone, że wcale się nie odezwał...

– Dzień dobry.

Równocześnie się wyprostowaliśmy, siadając na krzesłach i w oszołomieniu zwracając się ku osobie, której ingerencja przywróciła nam władzę nad sparaliżowanymi przez moment mięśniami.

Gdy zobaczyłam, kim jest ten Lilim, uczucie przeraźliwego gorąca ustąpiło miejsca przejmującemu zimnu.

Zorya.

Zerknęłam na Aloisa i ze zdziwieniem dostrzegłam, że dygocze z wściekłości. Uzmysłowiłam sobie, że jeśli chcę uniknąć bójki, powinnam interweniować. Natychmiast.

– Cze... cześć, Generale Broni – wydukałam.

– Oddaliłeś się od swojego Oddziału, Zorya – wtrącił od razu Alois. – A godzina jeszcze wczesna jak na spacer.

– Zwykle budzę się skoro świt – wytłumaczył Zorya pozbawionym emocji głosem, nie odrywając ode mnie wzroku.

Alois gwałtownie pobladł. Uważałam go za nad wyraz opanowanego, lecz teraz, przy Zoryi, kojarzył się raczej z buzującym ogniem, gotowym strawić wszystko, co napotka na drodze. Niestety, pod ręką jest tylko jedna gaśnica.

Ja.

– W moim przypadku poranne wstawanie to koszmar! – zawołałam, świadoma, że robię z siebie kretynkę. – Mama powtarzała, że przespałabym i trzęsienie ziemi.

Błąd. Popełniłam błąd, wspominając o mamie. Po wypadku zmusiłam się do eliminowania wszelkich związanych z nią myśli, by jakoś egzystować, i od pewnego czasu nieźle mi to wychodziło. Ale w tej konkretnej chwili nie umiałam wymazać z pamięci jej obrazu i poczułam napływające do oczu łzy.

– Diletta? – zaniepokoił się Alois. – Co...

Zorya delikatnie ścisnął mnie za ramię. Jego wzrok dalej onieśmiał, lecz rysy nieco złagodniały.

– Niewątpliwie ciężko znosić tęsknotę za rodziną – szepnął, ignorując rozzłoszczoną minę Aloisa.

– To... to nic – bąknęłam zawstydzona, obcierając łzy. Chyba daję niezły spektakl. – Zresztą... – popatrzyłam na niego i słabo się uśmiechnęłam – ... przypuszczalnie większość na początku przez to przechodzi. Przyzwyczaję się.

Zorya lekko się nachylił.

– Jesteś twardsza, niż się wydajesz – skonstatował. – Bardzo żałuję, że nie wstąpiłaś do Oddziału Czwartego.

Tym razem Alois nie wytrzymał. Prychnął z irytacją, zerwał się i głośno tupiąc, prędko opuścił stołówkę, odprowadzany zaintrygowanymi spojrzeniami.

– Twój Generał najwyraźniej za mną nie przepada – stwierdził Zorya, kładąc dłonie na stole tuż obok moich.

– A skąd! – wykrzyknęłam. – Mylisz się. Po prostu... no, jemu też rankami trudno się zwlec z łóżka...

Uniósł brwi, ale kiwnął potakująco głową, jakbym właśnie wygłosiła uniwersalną prawdę.

– Zjawiłem się tu, by złożyć ci propozycję – poinformował nagle.

– Propozycję?

– Podporucznicy dysponują aktualnie sporą ilością wolnego czasu
– wyjaśnił. – A ponieważ ominie cię nauka w Akademii, doszedłem do wniosku – biorąc pod uwagę stanowisko, jakie zajmujesz – że może warto, byś jednak przeszła szkolenie.

Oniemiałam, przyglądając mu się z otwartą buzią.

– Zrozumiałaś? – upewnił się.

Otrząsnęłam się. Idiotka. Nie pozwolę, żeby uznał mnie za umysłowo chorą albo kogoś w tym stylu.

– Czyli... chcesz ze mną ćwiczyć? – spytałam z niedowierzaniem.

– W skrócie... tak.

Przygryzłam wargę i oparłam brodę na rękę. Skąd ta życzliwość w stosunku do mojej osoby? Przywołałam w pamięci scenę z poprzedniego dnia: Generałowie Broni czekali przed Pałacem Stratega, a Zorya jako jedyny trzymał się z dala.

Natomiast teraz... Nie, stanowczo nic nie pojmuję.

– Ale... Henriette już mnie uczy... posługiwać się bułatem – wyjąkałam nieśmiało. – Jak zareagowałaby na...

– Mówię o innym rodzaju treningu – przerwał.

– Innym rodzaju?

– Owszem. Tamta kobieta pokazuje ci podstawowe ruchy i pozycje. Te same, które są w programie pierwszego roku Akademii... – zerknął na wystającą z kieszeni mojej kamizelki Minuttę – a ja nauczyłbym cię wykorzystywać twój dar.

Stawia mnie pod ścianą, świadomy, że nie mogę się nie zgodzić... Nieprzyjęcie takiej propozycji, przedstawionej ponadto przez wysokiego rangą Lilim, świadczyłoby o braku dobrych manier.

Genialnie.

– No więc... skoro to nie kłopot... – wymamrotałam, krytykując się w duchu za własne tchórzostwo.

– W przeciwnym wypadku nie wystąpiłbym z podobną inicjatywą

– mruknął, prostując się. – Możliwość udzielania ci lekcji to wielki

zaszczyt.

Nic więcej nie dodał. Ani słowa pożegnania. Zwyczajnie odwrócił się i odszedł.

Tłumiąc jęk, ukryłam twarz w dłoniach. Pomyślałam o Aloisie. O tym, jak piekielnie był rozdrażniony, kiedy niespodziewanie wyszedł z jadalni.

Boże. Dzień ledwo się zaczął, a już mam dość.

Nie wiem, ile czasu tak tkwiłam, lecz gdy się wreszcie podniosłam, zdało mi się, że minęły lata. Stołówka niemal opustoszała. Wbiegali jeszcze ostatni spóźnialscy, z zaróżowionymi z pośpiechu policzkami i zaspanymi oczami. Dostrzegłszy Henriette, podeszłam do niej i popukałam w ramię. Sądząc po rozczochranych włosach i niestarannym makijażu, właśnie wstała.

– Rety! Diletta! Ależ mnie przestraszyłaś! – Przytknęła rękę do czoła, a po chwili dorzuciła z naganą w głosie: – Proszę. Też stronisz od lekarzy.

– Co?

– Masz pokaleczoną twarz – westchnęła. – Jakbym widziała Aloisa. Nieuleczalne z was przypadki. – Przypominała w tym momencie matkę nieumiejącą poradzić sobie z dwójką źle wychowanych dzieci. – Jesteście identyczni.

Skrzywiłam się. Identyczni. Jasne.

– Przy okazji – ciągnęła – Alois przekazał listę rzeczy, które powinnaś dzisiaj zrobić. Wsunęłam ją przez szparę pod drzwiami twojej sypialni.

Niechętnie skinęłam głową. Wolałabym, żeby mój Generał osobiście objaśnił, jak wygląda organizacja Oddziałów, w szczególności Trzeciego, i na czym będzie polegała wyznaczona mi praca. Ale odwiedzenie go teraz w biurze to raczej średni pomysł.

Boże... Szykuje się okropnie długi dzień.

Alois

Co ja najlepszego wyprawiam? Zachowuję się jak włamywacz. Gorzej. Jak świr. Co by powiedziano, gdyby ktoś zobaczył mnie uczeponego parapetu okna Diletty, wiszącego piętnaście metrów nad ziemią, w środku nocy?

Bezsprzecznie to niespecjalnie inteligentne posunięcie. Ludzie Zaccarii Lawrence'a od zapadnięcia zmroku kontrolują przecież tereny Oddziałów, wyczuleni na każde podejrzanе działanie...

Jestem największym idiotą wśród idiotów.

Właśnie tak. Mimo to...

Cichusieńko otworzyłem okno, wszedłem do pokoju i znieruchomiałem, nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku dowodzącego, że Diletta się obudziła.

Na szczęście zarejestrowałem wyłącznie miarowy oddech i tykanie zegara.

– Diletta?

Żadnej odpowiedzi. Nie dziwne. Wyładowując swoją złość, obarczyłem ją wszak mnóstwem zadań, których wykonanie pochłonęło przypuszczalnie większą część dnia. Sam do późna siedziałem zamknięty w gabinecie, byle uniknąć jej widoku, przeglądając raporty, a głównie tracąc czas na rozpamiętywanie tego, co zaszło w trakcie śniadania: niefortunnego incydentu, kiedy to znaleźliśmy się w odległości kilku centymetrów od siebie, obserwując się w osłupieniu, nie rozumiejąc, co się dzieje, a może rozumiejąc to zbyt dobrze, by móc zareagować.

Czyżby Diletta wstrzymała oddech? Czyżby uniosła się? Chyba że to ja się nachyliłem... Cholera, nie potrafię nawet trzeźwo ocenić faktów, owładnięty nieznany m uczuciem; przepelniony czymś pulsującym, męcącym wzrok i porażającym mięśnie.

Wcześniej nic takiego mi się nie przytrafiło... Nieraz w okolicznościach podobnych do tych z rana bez wahania skracałem

dystans do ust dziewczyny, nie zdradzając oznak słabości czy zakłopotania. A moje serce nigdy nie waliło jak oszalałe.

W takich sytuacjach byłem mistrzem, wiedziały to wszystkie przedstawicielki płci pięknej. Zarówno w Świecie Żywych, jak i w Świecie Zmarłych.

Obecnie jednak... Gdy stoję tuż obok sprawczyni owego zamieszania, targa mną niepewność. I niemoc. A ona głęboko śpi, zdana na moją łaskę, nieświadoma tej burzy emocji.

Dałem krok do przodu i uderzyłem kolanami o ramę łóżka. Zacisnąłem zęby, tłumiąc okrzyk bólu.

Cholera. Niemal pogruchotałem sobie kości.

Pochyliłem się i oparłem dłonie na materacu. Wpadający przez okno blask księżyca upodabniał na wpół obróconą ku mnie twarz Diletty do obrazu namalowanego techniką światłocienia, wydobywając z mroku czoło, nos i usta. Znowu przeniknęło mnie obezwładniające uczucie; wrażenie, że z mojej piersi wypływa gorąca ciecz i rozprzestrzenia się po całym ciele niczym krew, docierając do każdej bez wyjątku komórki. Przełknąłem ślinę i wyciągnąłem drżącą rękę.

Rety... Po co tu właściwie przyszedłem? Uporczywie próbuję sam siebie przekonać, że w gruncie rzeczy nie robię nic złego. Że zwyczajnie muszę coś sprawdzić.

Ostrożnie musnąłem jej skórę, ale błyskawicznie cofnąłem palce, przestraszony, że oto zawłaszczam coś, co do mnie nie należy.

Jakiś obłąd.

Nabrałem powietrza i mocno chwyciłem brzeg kołdry, zbliżając wargi do twarzy Diletty.

Spokojnie... Tylko spokojnie. Dziesiątki razy całowałaś dziewczynę. I nigdy nic się nie wydarzyło, nigdy niczego nie poczułaś. Przynajmniej niczego intensywnego. Opanuj się. Po prostu tego potrzebujesz. Po prostu...

Przeprowadzasz eksperyment.

Zamknąłem oczy. Jeszcze trochę i... już. Będzie po wszystkim. Nie mogę.

Nie mogę!

Tuż zanim nasze usta się zetknęły, poderwałem się tak gwałtownie, że upadłem na podłogę, wpatrując się w zdumieniu w śpiącą postać.

Nie mogę jej pocałować. Nie mogę, bo wiem, że to nie w porządku. Nie mogę, bo wiem, że by na to nie pozwoliła. A cholernie zależy mi, żeby ta pieprzona debilka również pragnęła tego pocałunku. By to ona o niego poprosiła.

Kurde. Wstałem, niedowierzająco kręcąc głową i powoli wracając do rzeczywistości. Do dziwacznej rzeczywistości, w której gram rolę intruza, zazdrosnego o ludzki odruch Zoryi wobec Diletty; do rzeczywistości, w której postanowiłem ją pocałować, aby upewnić się, że nie umrę, gdy tylko dotknę jej warg.

Miałem ochotę wrzeszczeć. Chciałem wykrzyczeć te myśli na cztery strony świata, żeby nie wybuchnąć.

Zamiast tego bez słowa uciekłem przez okno niby złodziej nękany wyrzutami sumienia z powodu wybranej profesji.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Anomalia

Diletta

Chociaż poranne zrywanie się z łóżka w dalszym ciągu sporo mnie kosztowało, jakoś przyzwyczaiałam się do intensywnego rozkładu zajęć w Oddziale Trzecim.

Jadłam śniadanie i odbywałam trening z Henriette, który kończyłam zwykle ubrudzona od stóp do głów błotem i trawą. Brałam prysznic, a następnie odbierałam listę zadań do wykonania danego dnia, polegających przeważnie na bieganiu tam i z powrotem z teczkami raportów pod pachą lub też porządkowaniu zakurzonych archiwów w bibliotece Oddziału. Momentami podejrzewałam, że Alois po prostu uparł się, żeby uprzykrzyć mi życie, ale David i Ismael przekonywali, iż w trakcie wakacji tak właśnie wyglądają typowe obowiązki Podporuczników.

Z całą pewnością nie jest to praca marzeń, na szczęście znajomość z oboma chłopakami w dużej mierze umilała mi czas. Polubiliśmy się i w wolnych chwilach oddawaliśmy graniu na nerwach bibliotekarce. Biedna, rwała sobie włosy z głowy, gdy jej prośby o ciszę przypominały rzucanie grochem o ścianę. Inna sprawa, że oprócz tych dwóch Podporuczników mało kto w Oddziale ze zrozumieniem przyjmuje moją obecność. Niestety, na skutek krążących plotek zostałam uznana za sympatię i protegowaną Generała Petersena.

Niektóre z owych plotek brzmią absurdalnie. Opowiadano na przykład, że tamtej nocy, kiedy zamordowano Zaha Browna, spałam

z Aloisem w jednym pokoju. Co więcej, dzieliliśmy nie tylko łóżko, lecz i piżamę. Kompletna paranoja. W jaki niby sposób mieliśmy dzielić piżamę?

Ech... Gdyby rozpowszechniający te pogłoski znali prawdę... Gdyby wiedzieli, że odkąd pojawiłam się w Oddziale Trzecim, Alois nie zaszczyca mnie nawet spojrzeniem...

Nie powtarzaliby wtedy tych bzdur.

Najgorsze, że nie pojmuję, dlaczego tak się zachowuje. Zgoda, w szkole nie należał do moich fanów, a to, że musiał mi ratować życie przed atakiem Noaha, znacznie pogłębiło jego niechęć. Jednak na skutek późniejszych wydarzeń uwierzyłam, że uznał mnie może nie za przyjaciółkę, ale za dającą się znosić koleżankę. Jak widać, nie... Myliłam się i ta świadomość nie dawała mi spokoju. Mało tego: bolała. Bolała mocniej, niż powinna.

Westchnęłam i odgarnęłam z czoła kosmyk włosów. Szlag by to trafił.

– Ej! Diletta!

Odwróciłam się i zobaczyłam Elizabeth, Generał Dywizji Oddziału Pierwszego. Uśmiechnęła się, znacząco zerkając na mój mundur. Nie miałam na sobie przysługującej mi jako oficerowi niższego szczebla zielonej kamizelki.

– A słyszałam, że awansowali cię na Podporucznika – oznajmiła bez śladu ironii w głosie.

– Owszem... Ale dziś mam wolne. Wybieram się do szpitala w Grobie na badania.

– No tak, są obowiązkowe. Wymóg Generałów. Nie pytaj tylko, do czego ich potrzebują – powiedziała, wzruszając ramionami. – Przede mną za to badania okresowe. Mogę się dołączyć?

– Jasne – zgodziłam się, ciesząc z towarzystwa.

W końcu nigdy wcześniej nie zapuściłam się do Grobu sama, i bałam się, że – zważywszy na nienadzwyczajny zmysł orientacji –

zabłądzą. Poza tym lubię Elizabeth. Jest miła i zabawna, choć ma też skłonność do bujania w obłokach. Głęboko podziwia Dimitriego Valyę, najbardziej, moim zdaniem, irytującego Lilim w Mauzoleum. Nie przepada natomiast za swoją własną Generała. Uważa Charlotte Brennt za kobietę pozbawioną skrupułów, nieprzyjemnie szczerą i czasem zbyt okrutną. Aha, i równie nieokrzesaną jak Generał Oddziału Piątego.

Zdałam sobie nagle sprawę, że w podobny sposób mogłabym opisać Aloisa... Boże. Czy wszystko musi mi się z nim kojarzyć?

Przed prowadzącą do Grobu bramą, dokładnie na granicy dwóch głównych stref Panteonu, mieściło się stanowisko kontroli zawiadywane przez Generałów Dywizji. Poproszono nas o podanie stopni i numerów naszych Oddziałów, a puszczono dopiero wtedy, kiedy te dane zostały zweryfikowane podczas telefonicznej konsultacji. Dostałyśmy jeszcze ostrzeżenie, że nie wolno przekształcać Minutty w broń, chyba że okaże się to absolutnie niezbędne.

– Atmosfera jest ostatnio nieco napięta – szepnęła Elizabeth, gdy się oddalałyśmy. – Wszyscy podejrzewają, że ktoś zdradził...

– Serio? – zapytałam zaskoczona. – Któryś z Generałów?

– Albo Generałów Broni. I jedni, i drudzy podlegają ściślemu nadzorowi.

Wzdrygnęłam się. Rzeczywiście, po ataku Aniołów sporo się zmieniło. Ubrani w charakterystyczne mundury Lilim krążyli po terenie Oddziału Trzeciego, do nikogo się nie odzywając, nieprzerwanie monitorując otoczenie. Ludzie Stratega... Wystarczyło ich minąć, a już patrzyli podejrzliwie. Kiedy wędrowałam od budynku do budynku, roznosząc dokumenty, nie spuszczali ze mnie wzroku. Analizowali każdy krok, zupełnie jakbym robiła coś złego.

Wyjątkowo niemiłe uczucie.

– Kurczę – mruknęłam.

Elizabeth zmarszczyła brwi, dostrzegając na moim czole krople potu.

– Niepokoisz się o Petersena?

– O kogo?

– O Generała Aloisa Petersena.

Przygryzłam wargi, usiłując zapanować nad pokusą zwierzenia się. Jasne, że się niepokoję. Nawet bardzo. Nie trzeba wybitnej inteligencji, aby rozumieć, że okoliczność, iż Zah Brown był Generałem akurat Oddziału Trzeciego, gra na niekorzyść Aloisa. Ale wolałam nie poruszać tego tematu. Po pierwsze dlatego, że nie chciałam dostarczać kolejnego powodu do plotek. A po drugie, przeczuwałam, że gdybym wyznała Elizabeth, co w istocie mnie nurtuje, Alois by się o tym dowiedział i uznał za przejaw idiotycznej słabości. Dodatkowo, choć nie znajdowaliśmy się może w stanie wojny na milczenie i nieprzyjazne gesty, nie miałam ochoty pierwsza wysłać sygnału do zgody i prowokować rozmowy dotyczącej tego, co się między nami dzieje.

Między nami... Zacisnęłam dłonie.

– Da sobie świetnie radę. Sam – szepnęłam wreszcie.

Elizabeth przybrała sceptyczną minę, lecz najwyraźniej należycie odczytała ten komentarz, gdyż zamiast kontynuować wątek, wyznała:

– Nie cierpię igieł. Brr. Pobiorą nam krew. Okropność.

Również skrzywiłam się z odrazą, chociaż tak naprawdę przestałam się bać strzykawek, kiedy skończyłam dziesięć lat. Właściwie... chętnie poświęciłabym się medycynie. Mogłabym zostać lekarzem, pielęgniarką czy naukowcem. Westchnęłam. Teraz to bez różnicy. Nigdy już nie dostanę szansy realizowania się w innej dziedzinie niż walka z Aniołami. I używania innych narzędzi pracy niż bułat.

Przytknęłam dłoń do lewego przedramienia. Tamtego ranka, kiedy Alois mnie zranił, wszystko szybko zaczęło toczyć się ku mojej śmierci, nie zostawiając czasu na reakcję ani bodaj uświadomienie sobie, co, do cholery, się właśnie wydarza.

Gdybyśmy się wtedy nie zderzyli... ciągle zamieszkiwałamby Świat Żywych. Chodziłabym na lekcje z Noahem, Hamem i Febe i przejmowałabym się ocenami ze sprawdzianów, wspominając jednocześnie Petersena jako zarozumiałego i kontrowersyjnego kolegę z klasy, który po prostu zrezygnował z dalszej nauki z początkiem nowego roku szkolnego.

Powinłam cię nienawidzić, Alois. Oczywiście, że powinłam. Wszak w momencie, gdy nasza znajomość wyszła poza zwykłe „cześć”, dostałam wyrok.

Najgorsze jednak, że to, co do ciebie czuję, nie ma nic wspólnego z nienawiścią.

Alois

Zjadały mnie wyrzuty sumienia. Potworne wyrzuty sumienia, które wgryzały się w serce i mózg, zmuszając do rozpamiętywania i analizowania... wszystkiego, co związane z Diletta.

Wymknąłem się z biura, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Żle znosiłem to permanentne zamknięcie. Powierzyłem Henriette dowodzenie Oddziałem, dopóki nie wrócę. Wyczytałem w jej oczach niepokój, ale powstrzymała się od komentarzy.

Krążyłem teraz po Mauzoleum z rękoma wbitymi w kieszenie. Nie nadeszła jeszcze pora obiadowa i dookoła panowała cisza. Od czasu do czasu rozlegał się jedynie śpiew jakiegoś ptaka albo miauczenie ukrytego pomiędzy koszami na śmieci kota.

Cholera. Zachowuję się niczym nękanym niedorzecznymi i błahymi rozterkami nastolatek, obrażony na otaczający go świat, bezskutecznie usiłujący zrozumieć, co się z nim dzieje. Ha! Przecież na ziemi byłbym już blisko sześćdziesięcioletnim staruszkiem.

Setny raz wyrzuciłem sobie, że zakradłem się do sypialni Diletty. Minął tydzień, a dalej nie potrafię zapomnieć tej... tej... tego, co wtedy poczułem.

Popełniłem ogromny błąd, traktując Dilettę jak zabawkę, jak eksperyment. Popełniłem ogromny błąd, próbując ją pocałować.

Popełniłem ogromny błąd, nie całując. Bo nie dałem rady...

Absurd. Dotąd nie miałem z tym problemów. Wiedziałem, że wyglądem znacznie wykraczam ponad średnią, przez co bynajmniej nie narzekałem na brak zainteresowania ze strony dziewczyn. I zawsze to wykorzystywałem. Dlaczego nie? Skoro nadarza się okazja...

Żadna mi nie odmówiła, żadna się nie postawiła ani nie skrytykowała. Z wyjątkiem... Diletty. Z jej denerwującymi moralnymi zasadami, z ustawicznymi zarzutami i epitetami pod moim adresem... Egocentryczny, arogancki, okrutny, niewychowany, opryskliwy, zimny, gwałtowny... Aż do stworzenia długiej listy.

Zgoda, nigdy nie zaliczałem się do czarujących, co zresztą na każdym kroku powtarza Henriette. Ale straszliwie irytowało mnie to, że akurat Diletta wciąż mi o tym przypominała, że była wobec mnie tak nieufna i ostrożna...

Bezskutecznie przekonywałem się w myślach, że w mojej sytuacji nie powinienem tracić czasu na takie rozważania. Ktoś z oficerów wysokiego szczebla zdradził i wielu podejrzewa, że to ja zabiłem Zaha Browna. Jeśli na czymś się potknę, jeśli...

– Dzień dobry, Generale!

Odwróciłem się i już miałem uśmiechnąć na widok szczerze rozpromienionej Generał Dywizji Elizabeth, gdy wtem zobaczyłem, kto stoi obok niej, i natychmiast spowaźniałem.

Diletta.

Skrzyżowała ramiona i przyglądała mi się kątem oka,

naburmuszona. Spod jednego z byle jak podwiniętych rękawów munduru wystawał opatrunek.

No tak. Dostała wolne na obowiązkowe badania. Przygotowałem na piśmie stosowną informację, którą Henriette wsunęła rano pod drzwi jej sypialni.

– Co słychać? – mruknąłem.

– W porządku, dziękuję.

Diletta nie odpowiedziała. Westchnąłem i ze znużeniem popatrzyłem na zaintrygowaną Elizabeth.

– Zostawisz nas samych? – spytałem, starając się, by zabrzmiało to obojętnie. – Chcę zamienić kilka słów z moją Podporucznik.

– Oczywiście, Generale.

Z trudem powstrzymała uśmiech i znacząco ścisnęła Dilettę za rękę. Jej energiczne kroki wkrótce ucichły i nad ulicami Mauzoleum ponownie zapanował grobowy spokój.

Powłócząc nogami, podszedłem do muru otaczającego teren Oddziału Siódmego. Oparłem się o niego plecami, nie mogąc dłużej znieść przygniatającego mi barki ciężaru.

– Zamierzasz się zmyć? – burknęła Diletta. – To byłby już trzeci raz w ciągu niecałych dwóch tygodni. Przypuszczalnie rekord.

Spuściłem głowę, a po chwili spojrzałem jej w oczy.

– Hmm... ja...

– Tak?

Przejechałem ręką po włosach. Boże, ależ czuję się skrępowany tą napiętą atmosferą. Jakby coś naciskało na mnie ze wszystkich stron.

– Prze... – Nie mogę. Nie mogę! – Bardzoprzepraszamgłupiami. Przez twarz Diletty przemknął cień zaskoczenia.

– Co powiedziałaś? – zapytała, nieufnie marszcząc czoło.

– To, co słyszałaś – warknąłem.

Opuściła ręce wzdłuż tułowia i powoli się zbliżyła. Byłem od niej

co najmniej pięć centymetrów wyższy, ale teraz, gdy tak uporczywie się wpatrywała, wydało mi się, że to ona ma przewagę wzrostu.

– Nie kul się. Jesteś Generałem – szepnęła z rozbawieniem. Momentalnie się wyprostowałem, odzyskując część godności.

Chyba zaakceptowała przeprosiny, bo położyła mi dłoń na ramieniu, wyraźnie rozluźniona. W jednej sekundzie owładnęło mną owo znajome już wrażenie, że po ciele rozlewa się coś pulsującego.

Odchrząknąłem i uciekłem wzrokiem.

– Wiesz, że... nie lubię być dotykany.

Skinęła głową i cofnęła się, prawie niedostrzegalnie zaciskając usta. Zabolą ją ta uwaga.

– Serio ci przykro z powodu tego, jak mnie ostatnio traktowałeś?

– upewniła się.

– Nie oczekuj tylko, że zacznę nagle obsypywać cię względami i dawać buzi na dobranoc.

Należało sobie darować wzmiankę o pocałunkach, lecz nim pomyślałem, było za późno.

– Przystaniesz chociaż zwiewać, ot tak?

– O ile podejmę wysiłek... – Zachichotałem, widząc jej minę. – Żartowałem. Postaram się okiełznać swój porywczy temperament.

Wzniosła oczy do nieba, ale jednocześnie lekko się uśmiechnęła.

– Postarasz się?

– Niczego nie obiecuję – odparłem wyniośle. – Nie zapominaj, że jestem Lilim. Demonem.

– To nie takie trudne...

Nie odezwałem się i chwilę obserwowaliśmy się w milczeniu. Atmosfera stała się wreszcie mniej napięta. Wciąż czułem co prawda mrowienie w żołądku, lecz przynajmniej już normalnie oddychałem, nie obawiając się zgniecenia płuc.

– Wracajmy lepiej – powiedziałem w końcu. – Zaraz obiad, umieram z głodu. Poza tym... masz zaległą pracę z przedpołudnia.

– Co? – krzyknęła oburzona. – Przecież dałeś mi wolny dzień na badania!

Bez słowa ruszyłem z miejsca. Prychnęła i szybko się ze mną zrównała.

– To niesprawiedliwe, Alois! Rozumiesz? Niesprawiedliwe! Spojrzałem na nią kpiąco. Aż poczerwieniała z gniewu.

Zatrzymała się, kopnęła czubkiem buta w ziemię i znowu podbiegła.

– Poskarż się przełożonemu – poradziłem.

Próbowała mnie uderzyć, ale uchyliłem się i wybuchnąłem gromkim śmiechem.

Dawno się tak nie śmiałem. Bardzo dawno.

Diletta

– Źle postąpiłam – mruknęła Loretta dziesiąty już chyba raz, z roztargnieniem malując paznokcie u stóp. – W czasie godziny policyjnej nie wolno przebywać na nie swoim terenie. Nie powinnam była opuszczać Żeńskiej Rezydencji.

Westchnęłam. Siedziałam na łóżku i znudzona przeglądałam raporty w sprawie udzielonych kilku studentom drugiego roku Akademii nagan. Miałam za zadanie zapoznać się z przebiegiem zdarzeń i ocenić, czy zarzuty są na tyle poważne, żeby zgłosić je

Aloisowi. Upomniani Lilim wykorzystali nieuwagę nauczyciela i przykleili mu do pleców karteczki. Przypomniałam sobie, jak w pierwszych latach szkoły podstawowej wchodziliśmy z Hamem i Febe na dachy bloków i zrzucaliśmy na ulicę suszące się ubrania lokatorów.

Też przeginaliśmy...

– Diletta?

– Hm?

– Ty mnie w ogóle słuchasz?

Położyłam dokumenty na kolanach i zwróciłam się do niej z wyrazem zmęczenia na twarzy. Nie wydawała się specjalnie

zaniepokojoła. Bardziej martwiło ją to, że niechcący zostawiła ślad jaskrawego lakieru na skórze najmniejszego palca.

– Nic złego się nie stanie – zapewniłam. – Późno już, większość Lilim poszła spać. A Alois raczej tu teraz nie zajrzy.

Loretta uniosła brwi, machając stopami w powietrzu.

– Nie wiedziałam, że cię odwiedza nocami... – oznajmiła kąśliwie. Zarumieniłam się i burknęłam:

– Bo nie odwiedza. Nie przekręcaj moich słów.

Ostrożnie nałożyła lakier na kolejny paznokieć, a po chwili ponownie na mnie spojrzała.

– Jasne.

Dyskusja z nią nie miała żadnego sensu. W życiu nie uda mi się wybić z tej upartej głowy przekonania, że pomiędzy mną a Aloisem jest coś więcej niż przyjaźń.

O ile naszą relację rzeczywiście można nazwać przyjaźnią...

– Dlaczego zawsze kończymy, rozmawiając o Aloisie? – szepnęłam, opierając się o poduszki. – Straszna monotematyczność.

Wzruszyła ramionami i zaklęła, gdy powtórnie pomalowała pędzelkiem skórę.

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu...

Matko. Co za nudziara.

– Jakiś podtekst?

– Skoro znajdujesz... – Uśmiechnęła się.

Ze złością rzuciłam raporty na podłogę, nie dbając o to, że mogą się pognieść, a następnie podciągnęłam kolana aż do piersi i splotłam dłonie pod brodą.

– Wiesz, że dziś przeprosił? – spytałam cicho.

Usłyszałam stłumiony krzyk i brzęk tłuczonego szkła. Złorzeczając, zerwałam się i ściągnęłam z łóżka narzutę, żeby wytrzeć rozlewający się właśnie po drewnianej podłodze błyszczący lakier. Loretta patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Że co?

– Ostatnio dziwnie się zachowywał... – wyjaśniłam, usilnie ignorując jej uporczywy wzrok. Jeszcze mocniej potarłam powoli zasychającą plamę. – Myślę, że nawet ktoś taki jak on orientuje się, kiedy przeholował.

Klasnęła w dłonie i wyciągnęła się na ziemi, najwyraźniej nie zamierzając pomóc w sprzątaniu zrobionego przez siebie bałaganu.

– Coś jest. Bez wątpienia.

– Przeprosiny nie oznaczają, że darzy mnie... uczuciem – zauważyłam. – Opanował po prostu podstawy dobrego wychowania...

– Droga Diletto, świetnie znasz przecież Generała Petersena – stwierdziła. – Należy do osób, które nigdy nie przepraszają. Choćby cię śmiertelnie zraniły.

Zerknęłam na bliznę na lewym przedramieniu i westchnęłam, odkładając narzutę.

– Nigdy nie mów nigdy – bąknęłam, aczkolwiek w to nie wierzyłam nawet ja.

Wtem rozległo się delikatne pukanie w szybę. Jednocześnie obróciłyśmy się ku oknu, a Loretta ponownie krzyknęła, nerwowym ruchem ręki rozrzucając po całej podłodze rozbite szkło. Tym razem oszczędziłam przyjaciółce grymasu niezadowolenia. Każdego przeraziłby w środku nocy widok tańczącej w ciemnościach bladej twarzy Zoryi.

Nie byłam w stanie oderwać od niego wzroku. Błyskawicznie wstałam i cudem omijając resztki buteleczki po lakierze, przeszłam przez pokój i otworzyłam okno. Generał Broni siedział na zewnętrznym parapecie. Wystarczyło kilka centymetrów, by...

– Boże... wejdz... Zabijesz się!

Bez słowa wykonał polecenie, a następnie rozejrzał się po sypialni, zdecydowanie zbyt długo przyglądając się skulonej

Loretcie i poplamionej lakierem narzucie. Szczęśliwie nie zwrócił uwagi na leżącą na krześle przy biurku bieliznę.

– Co tu robisz? – spytałam, zdenerwowana tym wnikliwym lustrowaniem pomieszczenia. – Nie wolno po zmroku znajdować się poza miejscem zamie...

– Przepraszam. Czasem szwankuje mi pamięć – przerwał oschle, wpatrzony w Loretę.

Przygryzła wargi i zaczerwieniła się, rozważając prawdopodobnie możliwość natychmiastowej ucieczki. Gestem ręki dałam jej znak, żeby nie ważyła się wyjść, i odchrząknęłam, by skupić na sobie zainteresowanie Zoryi, a zarazem zwilżyć zbyt suche gardło.

– Dobra... czego chciałeś?

W końcu skierował na mnie niebieskie oczy. Z trudem opanowałam silny dreszcz i skrzyżowałam ramiona, nieświadomie przyjmując postawę obronną. Nie wiedziałam, co myśleć o tej niespodziewanej wizycie.

– Pojutrze moglibyśmy zacząć.

Loretta rzuciła mi zalęknione spojrzenie. Bez wątpienia ukryłaby twarz w dłoniach, gdyby nie to, że strach ją zupełnie obezwładnił. Pomysł rozpoczynania czegokolwiek z Zoryą każdemu musiał wydawać się dosyć upiorny.

– Zacząć?

– Treningi.

Aj... Zapomniałam.

– No i? – naciskał Zorya.

– No i? – powtórzyłam automatycznie.

Skrzywił się w sposób sugerujący, że wątpi w moją poczytalność.

– Co o tym sądzisz?

– W porządku... przypuszczam – wyjąkałam, głośno przetykając ślinę.

W gardle zaległ mi chyba ostry kamień.

– Czekam więc pojutrze wieczorem przy bramie do Grobu. Znam miejsce, gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Pożegnał się zwyczajowym skinieniem głowy i wszedł na parapet. Czułam się zbyt oszołomiona, by krzyknąć, gdy zwinnie skoczył z okna. Zresztą Alois też tak robił. Oficerowie wyższego stopnia mają widocznie swoje metody na uniknięcie roztrzaskania czaszki.

Popatrzyliśmy po sobie z Loretą.

– Diletta... też uważasz, że to ostatnie zdanie zabrzmiało... dziwnie?

Niekiedy cisza jest wymowniejsza niż słowa.

Alois

– Generaaaaale! Generaaaaale!

Gwałtownie odstawiłem na stół kubek z kawą, wylewając część zawartości na gładki blat i zabazgrane moim piśmem kartki. Zdusiłem jęk i z rozdrażnieniem zwróciłem się ku Generał Broni.

– Przestań zachowywać się jak dziecko, Henriette! – wrzasnąłem, wymachując zabarwionym na brązowo dwustronicowym dokumentem.

Wygięła wargi w podkówkę i uczyniła ruch, jakby chciała uderzyć czołem w biurko.

– Spójrz tylko, która godzina! Po dwudziestej drugiej! – zawyła. – Boli mnie głowa... i prawa dłoń od trzymania długopisu! Na miłość boską, Alois, jest piątek! Pora na spacer w świetle księżyca, kolację w restauracji, opijanie...

– Po pierwsze – wtrąciłem – nie możesz przespacerować się w świetle księżyca. Doskonale wiesz, że ludzie Stratega z wyjątkową podejrzliwością traktują oficerów Oddziału Trzeciego. Po drugie, z tego samego powodu wątpię, czy uda ci się dostać do Grobu, żeby coś zjeść. A po trzecie i ostatnie, nie masz czego opijać.

Wyraz jej twarzy wskazywał, że z chęcią by mi przyłożyła.

- Zawsze psujesz zabawę... – mruknęła, wracając do pracy.
- Dzięki za komplement.

Na szczęście nieco się uspokoiła i przestała narzekać. Za to wzdychania rozlegały się z taką częstotliwością, przeplatając się z tykaniem zegara, i tak przeszkadzały, że postanowiłem się poddać. Już miałem wysłać ją do diabła, kiedy drzwi nagle otworzyły się, silnie uderzając w ścianę, co zakończyło się odprysnięciem farby. Podnieśliśmy głowy i ze zdumieniem ujrzeliśmy na progu spoconego, cherlawego mężczyznę.

Nie znałem go, nigdy wcześniej nawet przelotnie nie spotkałem. Był niemłody, z pojedynczym, tłustym kosmykiem włosów przyklejonym do błyszczącej łysiny i ruchliwymi, okrągłymi oczami schowanymi za szklami zbyt grubymi, by wyglądały estetycznie. Nie sprawiał też wrażenia przesadnie schludnego. Na białym fartuchu, szczególnie w okolicy pach, widniały duże plamy.

Usłyszałem szybkie kroki i wtem za niespodziewanym gościem ukazało się dwóch wyznaczonych przez Stratega strażników. Mocno chwycili go za ramiona. Skulił się i wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Przepraszamy za najście tego człowieka, Generale Petersen. Jest lekarzem – wyjaśnił jeden ze strażników. – Zaraz zostanie odesłany do Grobu.

Mężczyzna zaczął się wściekle szamotać, jakby dostał ataku padaczki, i nagle ugryzł przytrzymującą go dłoń. Poszkodowany żołnierz głośno zaklął, a tymczasem awanturnik, mały, ale nieustępliwy, kopnął w kostkę drugiego strażnika i uwolniwszy się wreszcie z uścisku, podbiegł do mnie, ignorując Henriette. Kiedy oparł się o blat, dotknąłem zawieszanej na szyi Minutty. Nie miałem pojęcia, co zamierza.

Generał Broni zareagowała błyskawicznie. Przekształciła Minuttę w szpadę i przytknęła ostrze do szyi natręta. Dostrzegłszy

błyszczącą klingę, jęknął i złapał moją rękę.

– Panie... Generale... nie przyszedłem tu w niecnym celu – wyjąkał. – Muszę z panem porozmawiać na osobności. Natychmiast.

Chwilę przypatrywałem mu się w milczeniu, niewzruszony, a następnie zarządziłem:

– Zabrać go.

Lekarz nadludzkim wysiłkiem ponownie uwolnił się od strażników i desperacko chwyciwszy mnie za koszulę, przyciągnął do siebie. Twarz owionął mi kwaśny oddech.

– Chodzi o wyniki badania Podporucznik Mair – szepnął. Mair?

Diletta. Cholera.

– Proszę poczekać – zwróciłem się do żołnierzy, wolno wstając z fotela. – Zostawcie nas samych.

Unieśli ze zdziwieniem brwi. Henriette również nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Ale Generale...

– To rozkaz, panowie – przerwałem zimno. – Macie prawo swobodnie krążyć po terenie całego Oddziału, lecz nie pozwolę na kwestionowanie moich decyzji. Jasne?

Henriette pokręciła głową. Wiedziałem, co teraz myśli. „Nie szukaj nowych wrogów, Alois. Nie dostarczaj podejrzewającym cię o zamordowanie Zaha Browna kolejnego argumentu przeciwko sobie”.

Strażnicy wymienili wymowne spojrzenia, po czym odsunęli się od mężczyzny, który trzęsąc się, opadł na stojące obok biurka krzesło. Ani oni, ani Henriette nie wydawali się jednak skłonni do opuszczenia gabinetu.

– Chyba poleciłem, by zostawić nas samych... – wycedziłem, kładąc nacisk na ostatnie słowo.

Cała trójka w końcu niechętnie wyszła, nie zamykając drzwi. Prychnąłem, przeszedłem przez pokój i z furią je zatrzęsnałem.

– Cholera by ich wzięła – burknąłem.

Na powrót usiadłem w fotelu, niecierpliwym gestem splotłem ręce i pochyliłem się ku gościowi. Nerwowo rozglądał się po pomieszczeniu, ani na chwilę nie zatrzymując na niczym wzroku.

– Radzę, by się pan pospieszył i mówił cicho. Niewykluczone, że nas podsłuchują – ostrzegłem ochryplym ze wzburzenia głosem. – Co się dzieje z badaniem mojej Podporucznik?

Odchrząknął i podał mi wyjętą z kieszeni fartucha kartkę. Była zapisana drukowanymi literami, pełna wykresów i niezrozumiałych określeń.

– Nie jestem lekarzem – syknąłem, ze złością oddając mu dokument. – Lepiej, żeby sam pan to objaśnił.

Kilkakrotnie przejechał dłonią po łysinie. Wydawał się bliski napadowi hysterii.

– Kiedy... kiedy przeprowadzamy analizę krwi, szukamy nieprawidłowości w materiale genetycznym; na tym polega wstępna diagnostyka – wytłumaczył. – Wyniki trafiają do Generała właściwego Oddziału. Zdarza się, że odkrywamy odchylenia od normy, które w późniejszym okresie mogą negatywnie wpłynąć na zachowanie danego Lilim.

Gorączkowo pokiwałem głową. Miałem na ten temat pełną wiedzę.

– Gdy ktoś umiera i staje się Synem Lilith, czyli Lilim – kontynuował mężczyzna – w chromosomach następuje zmiana sekwencji nukleotydów. Zawsze taka sama. Dzięki owej zmianie ciało adaptuje się do nowych warunków, stąd potrafimy być niewidzialni dla istot żywych. Ale u Diletty Mair... zmiana zaszła tylko w połowie chromosomów.

– I co to oznacza? – zapytałem z niepokojem.

Prawie nic nie pojmowałem z tego wyводу.

– Że... typowej dla Lilim zmianie poddała się jedynie jej ludzka

część.

Schował kartkę do fartucha i strachliwie spojrzął do tyłu, spodziewając się pewnie zobaczyć wycelowaną w siebie broń.

– Ludzka część? – powtórzyłem.

Już zupełnie się zgubiłem...

– Chcę powiedzieć, że ta dziewczyna za życia nie do końca była... istotą ludzką. A po śmierci nie do końca jest Lilim.

Zadrzałem, ogarnięty coraz gorszymi przeczuciami. Czekałem na dalszy ciąg ze ściśniętym żołądkiem.

– Posiada pan informacje o rodzicach Diletty Mair, Generale?

Przymrużyłem powieki, starając się skoncentrować.

– Pamiętam matkę jako zwyczajną, niczym niewyróżniającą się kobietę. Dostyc zresztą denerwującą. A jeśli chodzi o ojca... – Zamyśliłem się. Nigdy nie rozmawialiśmy na jego temat. Nie wiedziałem, czy umarł, czy po prostu rozwiódł się z żoną i odszedł. –

Nie mam pojęcia. Nie mieszkał z Diletta, kiedy poznałem ją w Świecie Żywych.

– W takim razie to on... – wymamrotał lekarz, drapiąc się w brodę. – Skoro...

– Można prosić jaśniej? – przerwałem, uderzając pięścią w stół.

Wzdrygnął się i przycisnął chude plecy do oparcia krzesła.

– Generale... muszę panu zakomunikować, że w szeregi pana Oddziału wkradł się... Anioł.

Zdębiałem.

– Co?

– W przypadku części genów... tej dziewczyny... nie doszło do zmiany sekwencji. Nie mogło do niej dojść. Bo... nie są normalne.

Straciłem nad sobą panowanie. Zanim dotarło do mnie, co robię, rzuciłem się na mężczyznę i brutalnie szarpnąłem go za ramiona.

– Jak to nie są normalne?! – krzyknąłem.

– Połowa to... geny anielskie – szepnął. – Jedno z rodziców Diletty

Mair najprawdopodobniej było Aniołem i z przykrością stwierdzam, że ona również nim jest.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Podjejrzenia

Alois

Zerknąłem na zegarek. Szósta czterdzieści pięć. Pewnie jestem jedyną osobą w Panteonie, która nie śpi w sobotę o szóstej czterdzieści pięć rano.

W ogóle nie zmrużyłem tej nocy oka. Nie dałem rady. Przekręcałem się z boku na bok niezliczoną ilość razy, przeczytałem ileś rozdziałów z najnudniejszej książki, jaką znalazłem, jednak nie zdołałem zdrzemnąć się nawet na dziesięć minut.

I co w tym dziwnego? Po wydarzeniach wczorajszego wieczoru... Ciągle słyszałem wwiercające się w mózg słowa lekarza. Diletta to Anioł. To Anioł. To... Kurde.

Schowałem twarz w poduszkę i z całych sił ją ugryzłem, pragnąc uwolnić się od przepelniającego mnie dręczącego uczucia.

Jak można było być tak tępym? Jak można było nie zorientować się, że ta dziewczyna ma w rodzinie kogoś niezwyčajnego? Przecież dlatego widziała duchy... Nie istniało inne wytłumaczenie owej zdolności.

Uderzyłem pięścią w materac. Co za kretyn... W dodatku jestem wszystkiemu winny. Gdybym nie zranił Diletty, żyłaby, a po naturalnej śmierci dołączyłaby do swojego ojca i reszty Aniołów. Cholera. Nie urodziła się, żeby zostać demonem, lecz... moim wrogiem.

Lekarz zaproponował, by od razu udać się do Stratega, ale kategorycznie się temu sprzeciwiłem. Sam nie wiem, jakim

sposobem go przekonałem, że warto zaczekać. Zaczekać... Na co? Nie mogę wydać Diletty. Nie mogę jej zostawić własnemu losowi.

Bo znam dalszy scenariusz. Skończą z nią jednym ciosem. Obetną głowę albo przeszyją serce... Zginie.

Nic więcej się nie liczy.

Przewróciłem się na plecy i wbiłem zmęczony wzrok w sufit. Nie zasnę, nie ma szans. Muszę się czymś zająć.

Wstałem i chwyciłem wiszącą na wezgielciu łóżka lekką generalską tunikę. Nie przebrałem się. Po co, skoro o tej porze na nikogo się nie natknę? Uznałem zresztą, że tunika okrywa mnie w wystarczającym stopniu.

Otworzyłem drzwi na zewnątrz i nabrałem w płuca rześkiego powietrza. Nie zaczęło jeszcze świtać, więc nie powinienem opuszczać terenu Oddziału. I dobrze. Nie planuję dalekiego spaceru.

Przeszedłem kilkanaście metrów najzdobniejszą galerią budynku – drewniano-metalową, z gipsowymi wykończeniami – na której znajdowały się przynależne mi z racji sprawowanej funkcji pomieszczenia. Nikt się tu zwykle nie zapuszczał. Nie obowiązywał, co prawda, żaden zakaz, jednak Lilim traktowali ów długi balkon niby swego rodzaju świętą przestrzeń.

Usiadłem i spuściłem nogi, zupełnie jak wtedy, gdy będąc dziesięcioletnim smarkaczem, obserwowałem z tarasu domu niczego nieświadomych przechodniów. Oparłem czoło o balustradę i zacisnąłem palce na drewnianych słupkach.

O, teraz znacznie lepiej.

Zamknąłem oczy, dając się ponieść kojącemu wrażeniu ciszy i spokoju. Słyszałem tylko pianie koguta w oddali, szelest poruszanych wiatrem gałęzi, czyjeś zbliżające się kroki... Uniosłem powieki i spojrzałem w bok.

– Oj! Przepraszam. Nie przypuszczałam, że cię tu spotkam.

Przytknąłem rękę do czoła, momentalnie zapominając o błogim odprężeniu. Diletta. Miała na sobie piżamę, a na plecy narzuciła cienką chustkę.

Wstrząsnął mną tak silny dreszcz, że aż się pochylilem.

– Co robisz na tej galerii? – burknąłem.

Nie mogę być dla niej miły. To nie leży w mojej naturze. Przyglądała mi się z niewinną miną, kompletnie nie przejmując się przebijającą z tego pytania nieufnością. Wolno podeszła i usiadła obok, również spuszczać nogi.

Odsunąłem się, czując się nieswojo wobec jej bliskości. Bliskości Anioła.

– Ismael mówił, że stąd jest wspaniały widok – wyjaśniła. – A ponieważ spędziłam bezsenną noc, pomyślałam, że warto obejrzeć wschód słońca.

Uniosłem ze zdumieniem brwi.

– Nie znasz Ismaela? – zdziwiła się, źle interpretując ten grymas.

– Ismael Gordon. Jeden z twoich Podporuczników. Pierwszego dnia pokazał mi drogę na stołówkę.

– Co mnie obchodzi jakiś Ismael? – prychnąłem. – Nie możesz tu przebywać.

– To zabronione?

Westchnąłem i przejechałem dłonią po włosach.

– Niezupełnie, ale...

– W takim razie nie ma problemu – przerwała z szerokim uśmiechem. Zapatrzyła się w horyzont. – Ech... zobacz jak pięknie.

Ostentacyjnie odwróciłem wzrok. Jasne. Pięknie. Co za obłęd... Muszę jej przekazać to, czego się dowiedziałem. Uświadomić, że jest Aniołem, więc nie powinna siedzieć tuż-tuż, na moim terytorium, zachwycając się wschodem słońca...

– Słuchaj, Diletta...

– Ojej! Spójrz! Spójrz! – krzyknęła, wskazując rozmyty punkt na

widnokręgu.

Korony drzew utonęły nagle w złotym blasku nadającym liściom bursztynowy odcień. Lśniaca łuna niczym tusz rozlewała się powoli, ale nieprzerwanie na całą okolicę, barwiąc na miodowo każdy zakamarek.

Rzeczywiście. Pięknie.

Położyłem się, zamieniając ów niesamowity widok na ciemne belki galerii. Zerknąłem na Dilettę. Zdawała się oczarowana.

Nagle ziewnąłem i kiedy podnosiłem rękę, żeby zakryć usta, przypadkiem musnąłem jej palce. Zanim dotarło do mnie, co robię, mocno, niemal brutalnie zacisnąłem wokół nich dłoń.

Cholera. Zmartwiałem, przerażony własną zuchwałością.

Diletta też się nie poruszyła. Mimo że dalej wpatrywała się w horyzont, czułem, że myślami krąży wokół czegoś innego. A dokładniej wokół prawej dłoni.

Zabierz rękę, rozkazałem sobie bezgłośnie. Nie mogę.

Zabierz tę pieprzoną rękę! Nie chcę.

Nie chcę, chociaż ta dziewczyna ma anielskie geny i załączki ohydnych, białych skrzydeł. Nie chcę, chociaż zgodnie ze swoją naturą powinienem nią wzgardzić. I zabić.

Nie przyglądaj się jej. To poniżające. Jest Aniołem, do cholery. Aniołem!

I co z tego?

– Pójdę już – wyjąkałem, gwałtownie wstając. Przeszedłem kilka kroków i na sekundę się odwróciłem. Diletta patrzyła na mnie jak zahipnotyzowana. – Na razie.

Oddaliłem się prawie biegiem. Wpadłem do pokoju, zatrzasnąłem drzwi i kucnąłem, usiłując uspokoić oddech. Niespecjalnie mi się to udało.

Kurde. Co się ze mną dzieje?

Jedyne, co wiedziałem to to, że nie mogę pozwolić, by lekarz zaczął mówić.

Boże.

Dopiero teraz zorientowałem się, że ściskam Minuttę, a moje dłonie drżą.

Diletta

Ależ mam wory pod oczami. Od trzech nocy źle śpię, a jutro jak zawsze czeka mnie poranny trening z Henriette, a potem praca. Należałoby choć trochę odpocząć. Relacje z Aloisem co prawda znacznie się poprawiły, ale raczej nie byłby zachwycony, gdybym zasnęła nad którymś z tych przeklętych raportów. Może lepiej przełożyć lekcję z Zoryą...

Nagle przypomniałam sobie jego ostre rysy i intensywnie niebieskie tęczaówki...

Może lepiej nie.

Związałam włosy gumką, tak wysłużoną, że ledwo już utrzymywała kucyk. Muszę wybrać się do Grobu po zakupy. Od wielu dni brakuje mi paru niezbędnych każdej siedemnastoletniej dziewczynie akcesoriów.

Wyjrzałam przez okno. Słońce powoli zachodziło. Jeśli się nie pośpieszę, nie zdążę na ustaloną godzinę. A akurat na spotkanie z Zoryą wołałabym stawić się punktualnie.

Ponownie przejrzałam się w lustrze i wyszłam z pokoju, nieomal wpadając na Davida i Ismaela. W ostatniej chwili uskoczyłam.

– Właśnie mieliśmy po ciebie zajść – oznajmił Ismael w ramach powitania.

– Idziemy na spacer do Grobu – dodał David. – Dołączysz się?

– Nie mogę. Innym razem.

– Ej, no, bez takich! – wykrzyknął. – Czym niby jesteś zajęta w niedzielny wieczór?

– Z kimś się umówiłam.

Świetnie. Że też nie ugryzłam się w język... Chłopcy wymienili znaczące spojrzenia. Nie musieli nic mówić. Doskonale wiedziałam, co myślą.

– Wobec tego nie zabieramy czasu – stwierdził David kąśliwie.

– Baw się dobrze!

Oddalili się, żywo gestykulując i szepecząc niczym przekupki z bazaru. Pokręciłam głową. W życiu nie uwolnię się od plotek na temat romansu z Aloisem.

Gdybym im wyjawiała tożsamość owego „kogoś”... Wyobraziłam sobie ich miny i wybuchnęłam takim śmiechem, że musiałam oprzeć się o ścianę, by się nie przewrócić. Dwie przechodzące obok dziewczyny zerknęły na mnie ze zdziwieniem. Momentalnie spoważniałam i zaniósłam się udawanym kaszlem, próbując opanować rumieniec wstydu.

– Nie rozumiem, co Generał w niej widzi... – skomentowała głośno jedna z Lilim.

– Ej, ty! – nie wytrzymałam. Natychmiast przyspieszyły i zniknęły za rogiem. – Ech... Ależ tego nienawidzę.

Zamknęłam oczy i postanowiłam policzyć do dziesięciu, żeby się uspokoić.

Raz... dwa... trzy... cztery...

Dlaczego tak się denerwuję perspektywą idiotycznego treningu z Zoryą? Przecież nic złego mi się nie stanie. Zgoda, to, że spotkam się z nim sam na sam, w miejscu, „gdzie nikt nam nie będzie przeszkadzał”, nie napawa entuzjazmem, ale w końcu nie chodzi o seryjnego mordercę, tylko o miłego kolegę, który zaoferował pomoc.

Skąd więc strach?

Pięć... Sześć... Siedem... Osiem...

Bo Zorya przypomina Ennsa Petersena. Nie wzbudza zaufania.

I choćbym nie wiem, jak się starała, nie potrafię wyzbyć się podejrzliwości.

Dziewięć... Dziesięć...

Uniosłam powieki. Dobra. W drogę.

Energicznym krokiem przemierzyłam korytarz, czując na sobie zaciekawione spojrzenia, prześladowujące mnie, odkąd wstąpiłam do Oddziału Trzeciego. Jednak tym razem nie zgarbiłam się ani nie spuściłam wzroku. Może odrobinę pochyliłam ramiona; tak czy inaczej, utrzymałam nerwy na wodzy.

Wyszłam z budynku, nie natykając się już na nikogo znajomego. Dzięki Bogu. Nie mam pojęcia, jak zareagowałabym na widok Aloisa albo Henriette, i co bym odpowiedziała, gdyby spytali, dokąd idę...

Kiedy minęłam bramę Oddziału, prawie zaczęłam biec. Za dużo już straciłam czasu i ryzyko spóźnienia stawało się coraz bardziej realne.

Po okolicy przechadzało się sporo osób. Dostrzegłam nawet Loretę, spacerującą z jakąś dziewczyną z Żeńskiej Rezydencji. Pomachałam im, ale nie zwolniłam. Na twarzy Loretty odmalowało się współczucie. Najwyraźniej odgadła, gdzie tak pędzę...

Skręciłam za róg i raptownie wyhamowałam, o mały włos unikając zderzenia z plecami dwóch Lilim. Raczej mnie nie zauważyli, zatopieni w cichej rozmowie. Kojarzyłam ich, przyjaźnią się z Elizabeth. Nie pamiętałam, jak się nazywają, lecz z całą pewnością zajmują ważne stanowiska w Oddziale tego aroganta, Dimitriego Valyi.

– ...wielu sądzi, że... winny... – szeptał chłopak o rudej czuprynie.

Nadstawiłam ucha i nie bacząc na niebezpieczeństwo zdradzenia się swoją obecnością, ruszyłam za nimi.

– Poważnie? – spytał niższy z Lilim, szczupły blondyn o jasnej skórze. – No nie wiem...

– Ja także twierdzę, że to on – oświadczył rudy. – Jest takim

despotą, że...

– Valya też nie należy do świętych, a nikt nie oskarża go

o zdradę...

– Bo nie awansował na Generała tak niesamowicie szybko.

– Serio przypuszczasz, że...

Blondyn niespodziewanie zatrzymał się i zanim zdążyłam zareagować, wpadłam na niego, uderzając łokciami. Zachwiałam się i natychmiast cofnęłam, ledwie łapiąc równowagę. Cholera. Z niepokojem zdałam sobie sprawę, że kolejny już raz nie udało mi się przewidzieć, jak zachowa się druga osoba. Powinnam była uskoczyć, a jednak... Boże, co za porażka! Rzeczywiście nie obejdzie się bez owego „specjalnego” treningu.

– Przepraszam – bąknęłam, z trudem panując nad drżeniem głosu. – Zamyśliłam się.

Chłopak odwrócił się z pojednawczym uśmiechem, ale gdy mnie ujrzał, gwałtownie pobladł. Rudy zaklął pod nosem.

– Przecież ty jesteś...

Nie czekałam, aż skończy. Mając świadomość, że ani chybi zostanę uznana za świra, popędziłam przed siebie, potrącając przy okazji kilku oficerów. Złorzeczając, usunęli się z drogi.

Serce waliło mi jak oszałałe. Matko. Ci Lilim rozmawiali o Aloisie. O Aloisie! To jego podejrzewają. A jeśli rudzielec mówił prawdę... grupa przekonanych, że właśnie na Generale Oddziału Trzeciego spoczywa odpowiedzialność za śmierć Zaha Browna i atak Aniołów, liczy wielu członków.

Absurd. Chociaż... Niekoniecznie. Można to zrozumieć. Alois zawsze budził nieufność. Po pierwsze, jako jedyny potrzebował zaledwie dwóch lat, by otrzymać dyplom Akademii. W dodatku połączony ze spektakularnym awansem. Po drugie, jest zarozumiały, ambitny i nieco wywrotowy. Wszak kiedy w Świecie Żywych wyjawiał mi, co się dzieje po śmierci, złamał elementarne

zasady. Ostrzegę

go...

Nie, po co? Bez wątpienia doskonale wie, że większość Lilim przypisuje mu zdradę. Pewnie dlatego tak dziwnie się ostatnio zachowuje... Boi się. Normalne. Ma tylko siedemnaście lat...

Lękliwie rozejrzałam się dookoła. Oddaliłam się od terenu Oddziałów. Zrobiło się pusto, grobowej ciszy wieczoru nie mąciły żadne odgłosy. Chyba zbliżam się już do miejsca, w którym umówiłam się z Zoryą, a bezdyskusyjnie znajduję w okolicy, w jaką nikt przy zdrowych zmysłach się nie zapuści: kompletnie pozbawionej uroku, stanowiącej wręcz idealną scenografię dla horroru.

Naraz owionął mnie lodowaty podmuch wiatru i nerwowo potarłam dłońmi ramiona. Po chwili poczułam na plecach dotyk czegoś ostrego. Nie zastanawiając się, odskoczyłam, zmieniając jednocześnie Minuttę w bułat. Kiedy się odwróciłam, szybko oddychając i wywijając szablą, ujrzałam Zoryę. Jego Minutta zwisała z łańcuszka na nadgarstku.

– Cieszę się, że jesteś punktualna – powiedział, z uwagą mi się przyglądając. – Przestraszyłem cię?

Zaprzeczyłam ruchem głowy i czerwieniąc się, schowałam bułat za siebie.

– Nie... skąd.

– Nie musisz kłamać – stwierdził oschle i dodał: – Przewidziałaś mój ruch. To dobry znak.

Uklucie w plecy... Wzdrygnęłam się i cofnęłam, ponownie unosząc broń.

Zorya roześmiał się.

– Spokojnie, nie zamierzałem cię zranić, a jedynie... zaalarmować, żeby ocenić twoją reakcję. Ta, jak się właśnie przekonałem, jest doskonała. Przeczuwasz następne posunięcie

przeciwnika.

Wzruszyłam ramionami i wolno opuściłam bułat.

– Nie zawsze – przyznałam niechętnie. – Często...

– Dlatego tu przyszłaś – przerwał. – Chcę ci pomóc, abyś potrafiła zobaczyć, co się za moment wydarzy nie tylko wtedy, gdy wietrzysz niebezpieczeństwo.

Skrzywiłam się z niedowierzaniem.

– Pomóc? Niby jak?

Zmrużył oczy i błyskawicznie przekształcił Minuttę w katanę.

– Coś wymyślimy.

Alois

Zakręciłem się o trzysta sześćdziesiąt stopni na obrotowym krześle i głośno westchnąłem.

Co, do cholery, robię zamknięty w biurze? Powinienem jeść kolację z oficerami, klócić się z Henriette albo tracić czas na inne głupoty. Jest niedziela i wykonałem już pracę zaplanowaną na najbliższe cztery dni.

Żalotne.

Przed czym się ukrywam?

Odpowiedź znałem aż za dobrze... Przed lekarzem i jego rewelacjami. Przed Diletą i jej prawdziwą naturą.

Ukrywam się po prostu przed Aniołem, łamiąc wszelkie zasady, na których opiera się moje drugie życie.

Czyli popełniam zdradę stanu.

Tego jeszcze brakowało, by utwierdzić Lilim w ich domysłach... Skuliłem się i chwilę siedziałem bez ruchu, wpatrzony w Minuttę.

Kiepsko się czułem. Nudności zawdzięczam prawdopodobnie zbyt wielu obrotom na krześle, ale ból głowy utrzymywał się od wczorajszego rana, kiedy tak nagle zostawiłem podziwiającą wschód słońca Diletę.

Muszę znaleźć wyjście z tej sytuacji. Za wszelką cenę.

Wtem drzwi zatrzęsły się, prawie wypadając z zawiasów pod wpływem silnego uderzenia. Podskoczyłem, omal nie zsuwając się na podłogę, a następnie z gniewem poprawiłem się w fotelu.

– Co tam?

Ktoś z impetem nacisnął klamkę i do gabinetu wtoczyła się Henriette. Miała rozczochrane włosy, błyszczące oczy, a na policzkach rumieńce bez wątplenia niebędące wynikiem makijażu. Roztaczała słodko-kwaśny odór, niby gryzący zapach perfum kiepskiej jakości.

Momentalnie zrozumiałem, skąd ten niepewny krok i przymilny wyraz twarzy.

– Boże... Piłaś.

Zachichotała, gwałtownie kręcąc głową. Zbyt gwałtownie: zaraz zachwiała się i chwyciła za brzuch, powstrzymując atak mdłości.

– Henriette!

Zerwałem się i podbiegłem do niej, żeby podstawić krzesło.

– Świat się kręci, Generale – wybełkotała, opadając na siedzenie i bezskutecznie usiłując skoncentrować na czymś wzrok.

– To problem twojej głowy, a nie świata – zauważyłem. – Dałaś radę wszystkim butelkom czy coś jeszcze zostało? Jedzie od ciebie rumem.

Wyprostowała się, rozpaczliwie starając wytrwać w tej pozycji, lecz szybko się poddała i pochyliła ramiona.

– Konsultowałam... wybór odpowiedniego trunku na zabawę... – wymamrotała.

– Zabawę? Jaką znowu zabawę?

– Rozpoczynając rok szkolny w Akademii.

Wstrząsnęła nią kolejna fala mdłości, więc na wszelki wypadek nieco się odsunąłem.

– No, wie pan... – kontynuowała niewyraźnie – tę samą, co zawsze.

Jasne... Te nudne imprezy. Chociaż... W sumie nie wspominam ich źle. Nie uczestniczyłem w ostatniej, gdyż przebywałem akurat w Świecie Żywych, lecz w czterech poprzednich i owszem. Podczas trzeciej i czwartej zgodzono się, bym pił alkohol, mimo że byłem nieletni, i obie zakończyłem w ramionach starszych ode mnie dziewczyn.

– Nieznacznie się pospieszyłaś, co? – Wyciągnąłem rękę i pomogłem jej wstać. – Lepiej się połóż i módl, żeby jutro kac pozwolił ci skupić się na pracy.

Stuliła wargi w ryjek i próbowała zmrużyć oczy w wyrazie niezadowolenia, jednak ilość spożytego alkoholu utrudniała kontrolę mimiki i w efekcie zrobiła tylko lekkiego zeza.

– Ale Alois...

– Żadnych ale. Trzeba było trzy razy pomyśleć, zanim zabrałaś się za doradzanie – warknąłem, otwierając drzwi. – Rano czekam na ciebie w biurze punkt ósma. Jak co dzień.

Z godnością skierowała się ku wyjściu. Mijając mnie, chciała uderzyć w ramię, lecz chybiła i wymierzyła cios w powietrze. Poślizgnęła się i przewróciła jak długa na podłogę. Łoskot wstrząsnął pewnie całym budynkiem.

Złapałem się pod boki. Paru oficerów z ciekawością zajrzało do gabinetu, ale widząc moją rozdrażnioną minę, czym prędzej się wycofali.

– Henriette...

Nawet się nie poruszyła. Albo zasnęła, albo na skutek upadku straciła resztki świadomości.

Nie mogę zostawić jej w takiej pozycji. Powinienem ją przynajmniej przekręcić, żeby się nie udusiła.

– Ależ jesteś ciężka... – mruknąłem, walcząc z bezwładnym ciałem.

Udało mi się ułożyć ją na boku, twarzą ku sufitowi. Od razu

rozległo się chrapanie. Odsapnąłem i ciągle nad nią pochylony, uniosłem głowę, czując na sobie czyjeś spojrzenie.

Bajka. Diletta. Stała po drugiej stronie korytarza i wpatrywała się we mnie rozszerzonymi ze zdumienia oczami.

– Alois?

Westchnąłem z rezygnacją.

– Pomożesz mi? Odprowadziłbym moją zastępczynię do pokoju.

Natychmiast podeszła, dalej oszołomiona tą dziwną sceną.

Zauważyłem, że ma potargane włosy, podarte w kilku miejscach ubranie, a na policzkach zaschnięte strużki potu. Sprawiała wrażenie wyczerpanej.

– Gdzie byłaś?

Słabo się uśmiechnęła i spuściła wzrok. Zrozumiałem, że cokolwiek teraz powie, skłamię.

– Trenowałam... Sama – wyjąkała.

– Aha. Trenowałaś. Sama – powtórzyłem, nie starając się ukryć sceptycyzmu.

Przelotnie na mnie popatrzyła, nim jednocześnie szarpnęliśmy Henriette za ramiona i podnieśliśmy z podłogi. Generał Broni trochę jednak kontaktowała. Niebezpiecznie się wprawdzie kołysała na zbyt mocno ugiętych kolanach, ale – z naszą pomocą – utrzymywała się na nogach. Powoli ruszyliśmy korytarzem ku jej sypialni.

– Nie sądziłam, że możesz mieć coś przeciwko – stwierdziła w końcu Diletta. – Nie chcę uchodzić za „tę awansowaną po znajomości”.

Zmarszczyłem czoło. Tym się więc gryzie...

– Zostałaś Podporucznikiem w sposób absolutnie poprawny i zgodny z panującymi zasadami. Sam Strateg przychylił się do propozycji zgłoszonej przez mojego brata – przypominałem z naciskiem. – Wszystko zawdzięczasz własnym zasługom, a nie znajomościom.

Odpowiedziała uśmiechem, który od razu przekształcił się w grymas zmęczenia. Średnio ją pocieszyłem... Albo rzeczywiście ćwiczyła i czuje się wycieńczona treningiem, albo ma po prostu tak dość krążących po Mauzoleum absurdalnych plotek jak i ja.

Chwyciłem Henriette za drugą rękę, biorąc na siebie cały ciężar jej ciała, i odsunąłem się od Diletty. Zatrzymała się, zdezorientowana.

– Wracaj do pokoju i odpocznij – poleciłem obojętnym tonem. – Wolałbym uniknąć konieczności targania i ciebie, gdy już położę tę pijaczkę do łóżka.

– Nie jestem żadną pijaczką... – obruszyła się Henriette, rozsiewając wokół woń alkoholu.

Diletta zawahała się, wciąż zaciskając dłonie na mundurze Generał Broni.

– Ale...

– To rozkaz, pani Podporucznik – prychnąłem. – A jutro o ósmej trzydzieści stawiasz się w biurze, żeby odebrać listę zadań do wykonania.

Zachichotała i szybko się oddaliła, podejrzewając pewnie, że za chwilę ją zawołam. Prawdę mówiąc, rozważałem to.

Odprawienie Henriette kosztowało mnie więcej wysiłku, niż przypuszczałem. Niestety, po drodze musiałem pokonać spory odcinek schodów, a ponad sześćdziesięciokilowy worek, który dźwigałem, robił wszystko, co w jego mocy, by wyślizgnąć mi się z ramion.

Kiedy dotaszczyłem oficer na posłanie, byłem zlany potem.

– Następnym razem zostawię cię na podłodze! – ostrzegłem.

Wzdrygnęła się i zakryła twarz poduszką.

– Ciszej, Alois... Masz tak piskliwy głos jak mała dziewczynka.

Przewyciężyłem chęć, by jej przyłożyć, i wyszedłem z pokoju, trzaskając drzwiami.

– I jeszcze się trzeba nasłuchać... – mruknąłem.

Ruszyłem z powrotem do gabinetu, zły, z przyklejoną do pleców tuniką i opadającymi na oczy mokrymi włosami. Prawie się przewróciłem, potykając o jakiś cholerny kosz na śmieci.

– Przeklęta Henriette... – szepnąłem, opadając wreszcie na fotel.

– W najbliższym czasie powinienem...

Słowa naraz uwięzły mi w gardle i zamiast dokończyć zdanie, wydałem z siebie głuchy jęk.

Na biurku leżała kartka, a dokładniej niedbale oderwany skrawek jednego z raportów, które sporządzałem całymi dniami zamknięty w biurze. Moje pismo pokryte było dużymi, rozmazanymi literami, układającymi się w lakoniczną wiadomość:

Przykro mi, Generale. Muszę to zgłosić Strategowi.

Kurde.

Tak mocno naciągnąłem drżącymi rękoma strzęp papieru, że rozdarłem go na pół.

Lekarz. Wyjawi sekret! Nie zaczeka... Postanowił oskarżyć Dilette. Skazać ją.

Wyleciałem na korytarz. Na pewno daleko nie zaszedł... Nieważne, że zaczęła się godzina policyjna. Odepchnę każdego, kto spróbuje mnie zatrzymać.

O ile miałem wcześniej wątpliwości co do sposobu wybrnięcia z tej sytuacji, pozbyłem się ich, kiedy przeczytałem ową krótką notatkę. Przecież decyzję podjąłem już na samym początku. Nie zdradzę Diletty. Dośćgnę tego mężczyznę... Złapię i nakłonię do zmiany zdania. Nie przebijając w środkach. Bo jeśli piśnie chociaż słówko, jeśli Lilim dowiedzą się prawdy...

Zamknąłem oczy, usiłując odsunąć od siebie obraz uniesionej szabli Zaccarii Lawrence'a, podczas gdy Diletta wyrywa się i płacze, przytrzymywana przez Dimitriego Valę.

Pędem opuściłem budynek, gorączkowo rozglądając się na boki

w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu lekarza. Wtem nieopodal rozległy się kroki i nieznanome głosy. Cholera. Cholera! Ludzie Stratega. Ani chybi mnie usłyszeli.

Podbiegłem do muru otaczającego teren Oddziału i przywarłem do niego plecami. Najciszej jak potrafiłem, zdjąłem Minuttę z łańcuszka i wbiłem ją w pierś. Malutka szpada momentalnie osiągnęła metr długości, a jej rękojeść powiększyła się, zaokrąglając i z błyskiem zamykając wokół mojej dłoni.

Uniosłem floret i niezauważony jednym skokiem pokonałem ogrodzenie. Wylądowałem po drugiej stronie bez najmniejszego problemu, nie wzbijając nawet obłoczka pyłu.

Baczenie potoczyłem wzrokiem po okolicy. Z drzew zwieszały się małe lampiony, przywodząc na myśl latarnie ze Świata Żywych. Prawie nie rzucały światła, tylko lekko zabarwiały panujący mrok na czerwono.

Zrobiłem kilka kroków z bronią gotową do ataku. Naraz z prawej strony doszedł mnie przeciągły jęk, a potem słabe rżężenie, jakby ktoś dławił się własną śliną... Natychmiast ruszyłem w kierunku tych odgłosów, obiegłem spory fragment muru i po chwili dostrzegłem wijącą się w konwulsjach postać. Zbliżyłem się, wstrzymując oddech.

– Ge... Generale... dobrze, że się pan zja...wił.

Lekarz. Leżał na boku, z nienaturalnie wygiętym ramieniem.

– Nic panu nie... – przerwałem i zerknąłem na swoje stopy, czując, że mam mokre nogawki.

Rety. To krew... Dookoła mężczyzny rozlewała się krwista kałuża... Z miejsca, gdzie stałem, nie widziałem jednak żadnej rany.

– U... ukradli mi je...- wybełkotał, a następnie splunął czymś ciemnym. – Wyniki badań... tej dziewczyny. Chcieli mnie... zmusić... do milczenia. Abym nie wydał...

– Czego?

Nachyliłem się i wtedy dopiero zrozumiałem powagę sytuacji. Rozpłatanu mu brzuch. Niby zwierzęciu przed wypatroszeniem... Cud, że ciągle żył.

– Nie... nie chcę, żeby w Mauzoleum wiadano, że... jest... Anioł. Kucnąłem i delikatnie go dźwignąłem, podpierając plecy.

– Kto nie chce, żeby wiadano? – spytałem ochrypłym głosem. – Kto?

Pokręcił głową, po czym skrzywił się z bólu i nagle spojrzał mi prosto w oczy.

– Dlaczego... wyjął pan z pochwy broń, Generale? – szepnął z wysiłkiem. Dusił się krwią. Tą resztką, która mu jeszcze została. – Pan... pan też... przyszedł... mnie... zabić?

Tłumiąc krzyk, zabrałem rękę, pozwalając, by ciało lekarza bezwładnie uderzyło o ziemię. Wycofałem się na kolanach, ciężko dysząc. Ta sugestia była jak pchnięcie nożem. Nie dlatego, że padła z ust konającego mężczyzny. Zwyczajnie uprzytomniła mi moje prawdziwe zamiary.

– Zgadłem, Generale?

Nie wytrzymałem. Zerwałem się i uciekłem, zostawiając tego nieszczęśnika samego, w środku nocy, czekającego na śmierć.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nie ma winy bez krwi

Alois

– Synu, nie przywitasz się z Generałem Brownem?

Na twarzy mamy malowały się konsternacja i wzburzenie. Chyba nie rozumiała, dlaczego z taką grozą wpatruję się w potężną postać tego, który w przeszłości był moim przełożonym.

– Oczywiście, że tak... Dzień dobry, Generale – wymamrotałem, z trudem pochylając głowę.

Miałem zupełnie zeszywniałą szyję, jakby skóra zmieniła się w gips.

Zah Brown lekko się uśmiechnął. Siedział przy należącym teraz do mnie biurku, bębniąc palcami o trzymaną na kolanach stertę papierów. Mama stała tuż obok, ubrana w mundur Lilim, z narzuconą na ramiona żółtawą tuniką przysługującą Generałom Broni. Przyglądała mi się ze zmarszczonym czołem.

Niemożliwe...

Przecież to niemożliwe. Przecież oboje nie żyją... Pamiętam zakrwawione prześcieradła i mamę, spoconą, wijącą się w konwulsjach tuż po narodzinach Ennsa... Pamiętam opartego o mur Generała i... głowę spoczywającą w trawie, półtora metra od ciała...

– Dobrze się czujesz, Alois? – spytał Zah Brown. – Jesteś dziwnie milczący.

– Wy... umarliście... – szepnąłem, zbyt późno uświadamiając sobie niestosowność tej uwagi.

Mama aż jęknęła z przerażenia, a Generał kpiąco uniósł brwi.

– Ja? – zaśmiał się dobrotliwie, chociaż jego spojrzenie pociemniało. – Umarłem? Zamordowano mnie?

– Nie wspomniałem o morderstwie – bąknąłem.

Cofnąłem się, usiłując namacać zawieszoną na szyi Minuttę. Zniknęła... A moje dłonie... Dlaczego są tak małe? Wydają się pulchniejsze, nieporadne, niczym dłonie dziecka.

Z lękiem zerknąłem w lustro. Co się dzieje?

Znowu byłem dwunastolatkiem. Wróciłem do wieku, w jakim przeniosłem się do Panteonu. Policzki zrobiły się pełniejsze, a oczy bardziej okrągłe, podobne do szmaragdowych kulek. Włosy miałem obcięte na pazia i potargane, identycznie jak... za życia.

Skierowałem wzrok na mamę i Generała, którzy obserwowali mnie z nieukrywaną drwiną.

– Jesteście oszustami! – zawołałem cienkim głosem. – Umarliście!

Dałem kolejny krok w tył, gotowy do ucieczki, kiedy nagle drzwi uchyliły się i do gabinetu weszła otoczona blaskiem postać. Dzierżyła w dłoni długą szablę, a z jej pleców wyrastały zachwycające, białe skrzydła, dwukrotnie większe niż ja.

Diletta.

Wyciągnęła przed siebie broń i z wojennym okrzykiem rzuciła się na dwójkę dorosłych. Wrzasnęli, próbując umknąć przed atakiem, ale... Przymrużyłem powieki, nie będąc w stanie znieść widoku tej sceny. Rozległy się potworne odgłosy: gruchotanych kości, rozdzieranej skóry, wrywanych kończyn... Zachciało mi się wymiotować.

I nagle zapadła cisza.

– Alois, już po wszystkim. Możesz otworzyć oczy.

Tak też zrobiłem i natychmiast tego pożałowałem, dostrzegając

w ręku Diletty głowę Zaha Browna. Po mamie nie został żaden ślad.

Zawyłem i przywarłem do ściany.

– Co z tobą? – zapytała Diletta z niepokojem. Podeszła i nachyliła się. – Dlaczego nie dasz mi teraz buziaka, na którego nie odważyłeś się tamtej nocy?

Poczułem na wargach dotyk jej ust i ponownie spuściłem powieki, gwałtownie nabierając powietrza nosem. Aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jak strasznie pragnąłem ją pocałować... Wtem wyprostowała się i odsunęła, z twarzą wykrzywioną w grymasie strachu.

– Czemu... wyjąłeś z pochwy broń, Alois? – wyjąkała.

Spojrzałem na swoje dłonie, zdezorientowany, i o mało nie zemdlałem. Nie wierzę... Zaciskałem palce na rękojeści floretu, a jego błyszczące ostrze wbijało się w brzuch Diletty. Z piskiem odskoczyłem.

– Przyszedłeś... mnie zabić? – szepnęła, upadając na podłogę, tuż obok moich stóp.

Zaprzeczyłem ruchem głowy. Raz, dwa razy, dziesiątki razy. Nie, nie przyszedłem tu, żeby ją zabić. Oczywiście, że nie! Chciałem uratować, uratować przed tymi, którzy mogliby odkryć jej prawdziwą naturę. Nie potrafiłbym zabić Diletty... Nigdy nie potrafiłbym zdobyć się na to, co właśnie uczyniłem.

– Nie... Nie... Nie... Nie! Nie! Nie! NIE! NIE!

NIE.

Gwałtownie usiadłem, nieprzytomnie rozglądając się dookoła. Ktoś walił w drzwi sypialni. Odetchnąłem z ulgą. To tylko sen... Koszmarny sen.

Wstałem i ślaniając się, przemierzyłem pokój. Prawie uderzyłem czołem w futrynę. Namacałem klamkę, a kiedy ją nacisnąłem, ujrzałem Henriette. Miała podkrążone oczy i poszarzałą cerę, a mundur umazany jakąś mazią, której wołałem się zbytnio nie

przypatrywać.

– Co tam?

– Pod murem otaczającym teren Oddziału Trzeciego natrafiono na ciało mężczyzny – wyjaśniła chrapliwym głosem. – Musisz je zobaczyć.

Poczułem skurcz żołądka i chwyciłem się za gardło, starając się opanować wzbierającą falę mdłości.

– Chwilka – szepnąłem.

Zamknąłem drzwi, pobiegłem do łazienki i rzuciłem się na kolana, szukając wzrokiem sedesu. Nie zdążyłem się do niego doczołgać. Zwymiotowałem na białe kafelki, widząc przed sobą na przemian obraz martwej twarzy Diletty i lekarza.

Diletta

Wzdrygnęłam się, mijając miejsce, gdzie trzy dni temu znaleziono zwłoki medyka z Grobu.

Odkrył je o świcie jeden ze strażników, gdy schodził z warty. Przed śmiercią mężczyzna napisał krwią na ogrodzeniu słowo „Generał”.

Nie podał nazwiska. Przypuszczalnie nie starczyło mu czasu... Może morderca wrócił, by dobić swoją ofiarę.

Od tamtej pory po Oddziale Trzecim kręciło się jeszcze więcej żołnierzy Stratega.

Jeśli wierzyć pogłoskom, wykluczono z kręgu podejrzanych Generałów Broni i skoncentrowano dochodzenie na siedmiu dowódcach.

Zwłaszcza na Aloisie Petersenie.

Przestałam go właściwie spotykać. Nie pojawiał się nawet na stołówce. Ismael twierdził, że prosi o zanoszenie mu posiłków do gabinetu.

Henriette piekielnie się denerwowała... W trakcie treningów bywała rozkojarzona i co rusz zerknęła w kierunku głównego

budynku naszego Oddziału.

– Nie mam pojęcia, co on zamierza – wyznała mi pewnego ranka, kiedy przysiadłyśmy, żeby chwilę odpocząć. – Wiem, że jest niewinny. Wszyscy jego oficerowie to wiedzą... Daliby sobie za niego ręce poucinać. Tylko... dlaczego się ukrywa? Po co tyle tajemniczości?

Też się nad tym zastanawiam... Mimo wysokiego ilorazu inteligencji zachowuje się jak król idiotów.

Z każdą godziną rozumiem cię coraz mniej, Alois... I coraz bardziej wytrąca mnie to z równowagi. Dziś Zorya po raz pierwszy, odkąd ćwiczymy, wypomnił mi brak koncentracji.

Muszę z tobą porozmawiać... Nie zniosę tych wątpliwości ani sekundy dłużej. To nie może tak trwać.

Tego samego popołudnia poszłam do gabinetu Aloisa, zdecydowana uczynić wszystko, co w mojej mocy, by wreszcie rozwiązał mu się język.

Po drodze natknęłam się na kilku Lilim, którzy oczywiście natychmiast zaczęli szeptem wymieniać komentarze. Wiadomo jakie. Odkąd Alois zniknął z pola widzenia mieszkańców Mauzoleum, ktoś puścił plotkę, że między nami się popsuło. Niedawno pewna idiotka o ptasim mózdzku, przytulona do jednego z oficerów Oddziału Siódmego tak mocno, jakby byli syjamskimi bliźniętami, obdarzyła mnie współczującym spojrzeniem, kiedy ją mijałam...

Aż trzęśłam się ze złości na wspomnienie tego zdarzenia.

Zanim dotarłam do generalskiego biura, naliczyłam pięć uwag pod swoim adresem. Nie najgorzej, bywało więcej. Z drugiej strony, szłam wyjątkowo zamyślona, więc prawdopodobnie coś mi umknęło.

Zapukałam.

– Proszę! – zawołała Henriette z wnętrza gabinetu.

Zaczerpnęłam powietrza i otworzyłam drzwi.

– Cześć – przywitałam się, rozglądając po pomieszczeniu

w poszukiwaniu przedstawiciela płci męskiej. Niestety, nie zobaczyłam nikogo oprócz siedzącej przy biurku zawalonym stosami papierów i książek Generał Broni. – Oj... nie ma Aloisa.

– Ostatnio bierze dużo dni wolnych – mruknęła Henriette.

– Nie pracuje? – zdziwiłam się.

– Wręcz przeciwnie. Gdyby nie pracował, dałby mi chociaż satysfakcję zasypania go wymówkami – odparła. – W tym tygodniu wykonał zadania na miesiąc do przodu. Nie zostało mu zupełnie nic do zrobienia. A nie, przepraszam. Ja, na przykład, na brak zaległości nie narzekam. Mógłby zaoferować pomoc. Ale to Alois. Termin „pomoc” nie wchodzi w zakres jego słownictwa.

– No cóż... – westchnęłam, opierając się o drzwi. – Chciałam z nim pogadać.

Zerknęła na mnie z nieodgadnionym uśmiechem.

– Prędeż czy później sam się do ciebie odezwie.

Podeszłam do niej, zaintrygowana. Usiadłabym obok, lecz na jedynym niezajętym krześle piętrzyły się pokryte warstewką kurzu plastikowe koszulki i teczki.

– Henriette?

Ponownie podniosła głowę znad papierów. Cholera. Wiedziała, że rozbudziła moją ciekawość.

– Tak?

Poczułam, że się czerwienię, ale przemogłam wstyd i spytałam:

– Co masz na myśli, mówiąc, że się do mnie odezwie?

– Podobasz mu się. Bardzo – wyjaśniła beznamiętnym tonem i natychmiast wróciła do pracy.

Wybuchnęłam śmiechem, szybko jednak spoważniałam. Ta odpowiedź zabrzmiała inaczej niż krążące po Mauzoleum plotki. Odniosłam wrażenie, że Henriette stwierdziła coś oczywistego.

– Akurat – szepnęłam.

Skierowałam się do wyjścia, lecz po chwili cofnęłam się, nie

mogąc opanować wzburzenia, i znowu stanęłam przy biurku. Generał Broni w skupieniu analizowała leżące przed nią dokumenty. Przygryzłam wargi. Szlag by ją trafił. Nie piśnie ani słówka, dopóki jej nie przycisnę. Postanowiła mnie pomęczyć.

– Hmm... Henriette...

Bez pośpiechu dokończyła pisać zdanie i wyprostowała się, przyglądając mi się z drwiną. Albo raczej rozbawieniem.

– Dlaczego sądzisz, że mu się podobam? – spytałam z udawaną obojętnością.

Wzruszyła ramionami.

– Bo nie spuszcza z ciebie wzroku. Bez przerwy cię obserwuje, również ukradkiem, z daleka...

– Co?! – krzyknęłam.

– To, co słyszałaś – burknęła z miną sugerującą, że zmuszam ją do wygłaszania truizmów.

– Ale jak niby... – wyjąkałam drżącym głosem, zmieszana do granic możliwości. – Przecież on zawsze... nigdy...

– Podpatruje cię... jakby nie chciał, żebyś o tym wiedziała – ciągnęła Henriette. – Jakby uważał, że jest w tym coś złego... Jakby nie rozumiał, czemu to robi.

Przypomniałam sobie niedawne zdarzenie, kiedy podziwialiśmy wschód słońca i złapał mnie za rękę... Dziwnie zareagował. Uciekł jak oparzony... Zdawał się przestraszony tym, że się dotknęliśmy.

Czerwień, która ogarnęła już większą część mojej twarzy, nabrała głębszego odcienia, i uznałam, że lepiej wyjść, zanim zacznę dymić.

– Pójdę już... żeby ci nie przeszkadzać... – oznajmiłam z przeproszającym uśmiechem. Byłam niemal pewna, że Henriette, w zamian za podzielenie się ową cenną informacją o Aloisie, poprosi mnie o pomoc w uporaniu się z wieloma zaległymi w wyniku poranków na kacu obowiązkami. – Nudna chyba... ta robota.

Skrzywiła się i na nowo pochyliła nad dokumentami.

– Doprawdy jesteś urocza, Diletto – prychnęła. – Zamknij za sobą drzwi.

Usłużnie wykonałam polecenie i wolno puściłam klamkę. Kończyłam pracę dopiero za godzinę, więc Generał Broni miała pełne prawo zlecić mi dodatkowe zadanie. A chociaż zachowywała się dużo bardziej nieodpowiedzialnie niż ja i spędzała noce na piciu, należała do oficerów wyższych stopniem, stąd musiałabym bez sprzeciwu podporządkować się jej decyzji.

Oddaliłam się korytarzem dumnym, ale i – na wypadek, gdyby wyjrzała z biura, żeby mnie zawołać – wyjątkowo szybkim krokiem.

Skręciłam w lewo, w stronę sypialni, gdy wtem wpadłam na pewien pomysł i zatrzymałam się. Może wybrać się do pokoju Aloisa? Pamiętam drogę na tę olśniewającą galerię, z której wchodzi się do generalskich pomieszczeń...

Odwróciłam się i chyłkiem ruszyłam ku drugiemu skrzydłu budynku. Na szczęście nikogo nie spotkałam. Niekoniecznie potrafiłabym nad sobą zapanować, usłyszawszy za plecami kolejne plotki.

Stałam wreszcie przed jedynymi na długim balkonie drzwiami. Na gładkiej drewnianej powierzchni widniała pozłacana tabliczka z napisem:

Alois Petersen, Generał Oddziału Trzeciego

Naszła mnie nagle niepoohamowana chęć wzięcia nóg za pas. Odstąpiłam nawet krok w tył, ale za moment opamiętałam się, nakazując sobie pozostać w miejscu. Wycofanie się teraz byłoby przejawem skrajnej niedojrzałości. Zgoda, nie mam pojęcia, jak interpretować zachowanie Aloisa sprzed prawie tygodnia, zwłaszcza wiedząc to, co radośnie wyznała Henriette, lecz ucieczka niczego nie rozwiąże. Mieszkamy na terenie tego samego Oddziału, idiotyzmem jest więc zakładać, że już więcej się nie spotkamy.

Uniosłam nieświadomie zaciśnięte powieki i policzyłam do trzech.

Boże, Diletta, nie bądź dzieckiem. Wystarczy przekręcić gałkę.

Wyzywając się od kretynek, drżącymi dłońmi otworzyłam drzwi tak ostrożnie, jakbym spodziewała się ujrzeć za nimi czającego się potwora, a przynajmniej szykowała do stawienia czoła czemuś, co zmieni całe moje życie.

Rozejrzałam się po pomieszczeniu. Ależ tu ciemno... Ciężkie kotary szczelnie zasłaniały okna, nie wpuszczając ani promyczka naturalnego światła i potęgując uczucie duchoty oraz nastrój przygnębienia. Z trudem oddychałam gęstym powietrzem. Ewidentnie od wielu już dni pokój nie był wietrzony.

Na środku stało ogromne, rozesłane łóżko. Kołdra skrywała dygoczącą niczym w febrze postać. Alois...

Wolniutko podeszłam bliżej, coraz bardziej zdenerwowana. Naruszam jego prywatność... Co zrobi, gdy mnie zobaczy? Przychodziły mi do głowy dwie możliwości.

Obie napawające lękiem.

Znieruchomiałam, kiedy dotknęłam kolanami materaca, oczekując chyba, że obudzę Aloisa samym tylko spojrzeniem. Bynajmniej.

– Ej... – szepnęłam w końcu, z równie miernym skutkiem.

Alois dalej trząstł się skulony pod kołdrą, w żaden sposób nie reagując na mój głos. Lekko się nachyliłam. Najwyraźniej śni o czymś niezwykle realnym i bezsprzecznie niespecjalnie przyjemnym.

– Alois! – zawołałam.

Rozległ się dźwięk podobny do jęku, a może raczej szlochu... Nie wiedziałam, czy to forma odpowiedzi, czy kolejny etap snu.

Pieprzony debil. Co teraz?

Niepewnie wyciągnęłam rękę i pomału odchyliłam pościel.

Alois zakrywał dłonią spoconą twarz, jakby próbował odgradzić się od widoku czegoś... lub kogoś. Zaciskał usta, mocno napinając mięśnie szczęki, a włosy, mokre od potu, przykleiły mu się do głowy. Zmarszczyłam nos. Boże. Kiedy on się ostatnio mył?

Towarzyszące mi do tej pory obawy i wątpliwości w jednej chwili się ulotniły. Delikatnie musnęłam palcami jego policzek, przejęta nagłym dreszczem. Skóra Aloisa miejscami była szorstka od zaschniętych łez.

Zrobiło mi się go tak szkoda, że nie zastanawiając się, usiadłam obok i z impetem nim szarpnęłam.

– Obudź się! – krzyknęłam. – Alois!

Wzdrygnął się, jakbym zaaplikowała mu elektrowstrząsy, a następnie gwałtownie uniósł i rzuciwszy się na mnie, objął w pasie i wtulił się z taką siłą, że omal nie spadłam na podłogę. Aż poczułam ból.

Zdrętwiałam. Z wysiłkiem podniosłam rękę i poklepałam go po ramieniu. Serce nigdy jeszcze nie biło mi równie szybko.

– A... Alois?

Zamrugnął, wreszcie przytomniejąc. Na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– Diletta – szepnął, a zorientowawszy się, jak mała dzieli nas odległość, od razu się odsunął i błędnym wzrokiem nerwowo przebiegł po pokoju. Przywodził na myśl doznającego właśnie halucynacji schizofrenika. – Skąd się tu wzięłaś?

Matko, co za zdarty głos...

– Masz prywatną łazienkę?

– Co?

– Spytałam, czy masz prywatną łazienkę – powtórzyłam niecierpliwie.

– A... oczywiście. Tam są drzwi. – Skinął brodą na widniejący w ciemnościach prostokąt, przez którego krawędzie przenikało

słabe światło.

Bez słowa wstałam i ruszyłam we wskazanym kierunku. Napełniając wodą szklankę, rozejrzałam się po niewielkim pomieszczeniu o zielonych kafelkach. Ależ śmierdzi... Natychmiast rozpoznałam ten słodko-kwaśny fetor. Wymioty. Rety, albo od tygodni tu nie sprzątno, albo Alois zwraca co najmniej trzy razy dziennie.

– Na razie nic nie mów – ostrzegłam, podając mu wodę. – Straszysz głosem.

Zdawał się zbyt wyczerpany i oszołomiony, by się odezwać. Przytknął naczynie do ust i łapczywie wypił całą zawartość.

– Już mi lepiej – wychrypiął, odstawiając szklankę na nocny stolik. Jasne.

– W łazience... cuchnie wymiocinami. A ty masz zrujnowane gardło – oznajmiłam bez ogródek. – Dobrze się czujesz?

Momentalnie pobladł i z urazą przygryzł wargi, a potem ponownie się położył, odwracając plecami.

– Zajmij się swoimi sprawami – burknął.

O nie. Skoro już tu przyszłam, przezwyciężając chęć ucieczki, nie dam się tak łatwo spławić. Nieważne, czy chce ze mną rozmawiać, czy nie. Zamierzam go nakłonić do wyjaśnień, a to, co obserwuję, tylko utwierdza mnie w tym postanowieniu.

– Co się dzieje, Alois? – wyszeptałam. – Co się z tobą dzieje?

– To dwa różne pytania – mruknął, patrząc w drugą stronę. – A akurat nie jestem w nastroju do zwierzeń. Mam zrujnowane gardło. I boli.

Prychnęłam i chwyciłam go za ramię. Wyrwał się, ale nie skapitulowałam. Gdy ponownie poczuł dotyk mojej dłoni, tym razem na nadgarstku, wrzasnął skrzekliwie:

– Zostawisz mnie, do cholery, w spokoju?!

– Nie! – krzyknęłam. – Musisz mi powiedzieć, z jakiego

pieprzonego powodu tak się zachowujesz! Wiesz, że wszyscy podejrzewają, iż to ty zabiłeś Generała Browna? Że te ostatnie zdarzenia nastąpiły z twojej winy?

Schował twarz w poduszkę i wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam.

– Alois! Kurde! – Popchnęłam go tak silnie, jak pozwoliły mi napięte mięśnie. – Otrzeźwiejesz wreszcie?

Nie powinnam była użyć tych słów ani nim potrząsnąć. Z wściekłością się poderwał, a jego skóra przybrała niezdrowy, żółtawy kolor. Źrenice rozświetlił przerażający, morderczy błysk. Spod górnej wargi ukazały się białe zęby, nadając mu wygląd szykującego się do ataku drapieżnika. Z nieprawdopodobną szybkością runął na mnie, uderzył dłońmi w brzuch, odepchnął, brutalnie rzucając na ścianę.

Zamknęłam oczy, tłumiąc jęk strachu, i przywarłam plecami do zimnego muru, marząc, by stać się niewidzialną.

Wtem poczułam na policzku muśnięcie. Uniosłam powieki i wstrzymałam oddech, gdy napotkałam wzrokiem zielone tęczówki Aloisa. Przyglądał mi się z odległości zaledwie kilku centymetrów, prawie ocierając się o mnie ciałem.

– Nie ruszaj się... – szepnął głosem przypominającym syk węża. Moje serce, przez chwilę struchlałe, wróciło do pracy z większym niż kiedykolwiek entuzjazmem.

Bum. Bum. Bum.

Alois z pewnością bez problemu rejestruje te bicia...

– Wariuję przez ciebie – wycedził. – Nie potrafię nad tym zapanować, co doprowadza mnie do szału. Jesteś pierwszą ze znanych mi osób, przez którą zaczynam mieć wątpliwości, która przewraca mój świat do góry nogami. Jesteś jedyną, która sądzi, że składam się z czegoś więcej niż tylko warstwy lodu. Początkowo jakoś się pilnowałem, ale coraz mi trudniej. Twoje komentarze

irytują mnie do tego stopnia, że tracę nad sobą kontrolę, a twoje słowa, gesty i postępowanie są tak niepojęte... że aż fascynują. Pragnę i zarazem nienawidzę być obok ciebie, bo wtedy przestaję zachowywać się... jak ja.

– Nie... nie rozumiem – wyjąkałam, czerwieniąc się.

– Myślę, że owszem.

Z wysiłkiem łapałam powietrze, przez co zrobiło mi się słabo. Co to ma znaczyć? Skąd niewielki dystans między nami? Czemu Alois tak intensywnie się wpatruje? Lekko się uśmiechnął, widząc, że trzęsę się jak galareta.

Odkąd skończyłam trzynaście lat, nasłuchiwałam się rozmów dziewczyn z klasy na temat pierwszych pocałunków i ich okoliczności. Febe przekonywała, że intuicyjnie wiadomo, kiedy nadchodzi ten moment.

Uznałam wówczas, że to piramidalna bzdura... Owszem, na romantycznych filmach bohaterowie patrzą sobie w oczy, a potem obejmują się i całują do utraty tchu, ale to wszystko jest zainscenizowane, odegrane zgodnie z wyuczonym scenariuszem.

A jednak... W tej konkretnej chwili, kiedy Alois opiera dłoń tuż ponad moim ramieniem, kiedy się wolno nachyla, z malującym się na twarzy pożądaniem... domyślałam się, nie, wiem, co się wydarzy za kilka sekund.

Dotąd wymieniałam pocałunki wyłącznie z członkami rodziny, więc nie miałam pojęcia, jak powinnam zareagować. Z filmów i opowieści koleżanek pamiętałam tylko, że należy przymknąć powieki i otoczyć szyję chłopaka ramionami, lecz zważywszy na całkowity paraliż mięśni, jedyne, do czego okazałam się zdolna, to nieruchome obserwowanie wciąż zmniejszającej się między nami odległości. Zadrżałam, gdy położył ręce na moich barkach.

„To wariat. W ogóle nie łąpię, co on mówi. Wydaje się, że żyje w innym świecie niż my wszyscy”.

„Uważaj na niego, dobrze?”

„Mam nadzieję, że po śmierci się na ciebie nie natknę”.

„Nienawidzę cię”.

No właśnie... Większość z tych stwierdzeń, jak najbardziej zasadnych, padła z moich własnych ust, a przecież... Teraz Alois znajduje się tak blisko, że jego rysy stały się niewyraźne. Oddechem łaskocze mnie w nos, a śnieżnobiałymi włosami muska czoło, natomiast ja... czekam, aż TO nastąpi.

Spuściłam wzrok, zupełnie bezsilna. Poczułam na skórze ciepły dotyk, delikatną pieśczość i wtem Alois wzdrygnął się i nieco odsunął, a następnie z jękiem runął na mnie, obejmując w talii, podczas gdy jego nogi zaczęły konwulsyjnie dygotać.

Zmartwiałam.

– A... Alois?

Jeszcze mocniej zacisnął ramiona, trzęsąc się i wbijając mi kości biodrowe w żołądek.

– Przepraszam... Przepraszam... – wymamrotał. – Po prostu... nie wiem... nie wiem, co robić.

Chciałam wykrzyknąć tysiące słów, lecz nie byłam w stanie otworzyć ust, by wyartykułować chociaż jedno, więc tylko go przytuliłam, odpowiadając w ten sposób na coraz gwałtowniejszy, nieomal miażdżący uścisk.

Nogi odmówiły mu wreszcie posłuszeństwa i upadł na kolana, pociągając mnie za sobą. Nagle wstrząsnęła nim potężna fala mdłości. Odsunął się, z grymasem potwornego bólu, i wymiotował.

– Alois! – zawołałam, podtrzymując go za barki. – Na Boga, Alois! Po chwili dostał kolejnego ataku torsji i zwrócił resztę zawartości żołądka, ograniczając się już wyłącznie do żółci, na widok której, powodowana równocześnie odrazą i współczuciem, zamknęłam oczy.

Kiedy ponownie na niego spojrzałam, po policzkach ciekły mu

ły. Zdawał się tak bezbronny, tak słaby i tak udręczony, że coś we mnie pękło. Tym razem to ja go pierwsza objęłam, mocno, najmocniej jak potrafiłam. Ukrył mokrą twarz w zagłębieniu mojej szyi.

– Spokojnie... Spokojnie... Nie wiem, co się dzieje... ale wszystko się ułoży.

Pokręcił głową i szepnął:

– Nie rozumiesz... Nie ma szans się ułożyć.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ukąszenie węża

Alois

Pierwsze, co odnotowałem, kiedy otworzyłem oczy, to poczucie niesamowitej ulgi, jakie nie towarzyszyło mi już od wielu dni. Nieco zdezorientowany, wolno uniosłem się na łokciach, rozglądając dookoła. Znajdowałem się w swojej sypialni, czyli tu, gdzie niedawno z własnej woli się uwięziłem. Nic się nie zmieniło: te same meble stały w tym samym miejscu, a jednak w pokoju panowała zupełnie inna atmosfera. Ktoś rozsunął ciężkie zasłony, dzięki czemu promienie słońca rozproszyły gęsty mrok, spowijający wcześniej pomieszczenie. Ponadto pachniało czystością. Nie dostrzegłem ani śladu żółci, którą zwymiotowałem, gdy się przewróciłem, pociągając za sobą Dilette.

Westchnąłem i ponownie opadłem na materac. To pewnie ona zajęła się sprzątaniem nagromadzonego brudu...

Spojrzałem w bok i uśmiechnąłem się na widok szklanki wody. Miałem sucho w gardle, a przełykanie śliny sprawiało mi ból. Sięgnąłem po naczynie i jednym haustem wypiliśmy całą zawartość. Oj, teraz lepiej.

Przebiegłem wzrokiem po suficie. Byłem lekko otumaniony, jakbym nagle obudził się z długiego odrętwienia. Nie do końca wiedziałem, co się ze mną w poprzednich dniach działo, wszystko wydawało się koszmarnym snem.

Niestety, ostatnie zdarzenia bynajmniej mi się nie przyśniły... Tyle tylko, że świadomość powagi sytuacji przestała mnie

przygniatać. Fakt, Generałowie sądzą, że jestem mordercą i zdrajcą, a Diletta okazała się posiadaczką anielskich genów, ale przyjmowałem to ze spokojem. Zachichotałem. Co za farsa... Ja, najbardziej znienawidzony mieszkaniec Panteonu, w rzeczywistości gram rolę ofiary... Ha, niewinny Szatan. Absurdalne...

I jakie prawdziwe.

Wstałem i powłóczę nogami, skierowałem się do łazienki. Wziąłem głęboki oddech, wreszcie nie zginając się wpół na skutek przyprawiającego o mdłości smrodu. W powietrzu unosił się zapach środka odkażającego, a choć nie należał on do przyjemnych i odrobinę szczypał w nos, zdał mi się tak cudowny jak aromat kwiatów.

Diletta... Znowu ona.

I nagle wszystko stało się jasne. Muszę z nią porozmawiać. Muszę jej wyjawić tajemnicę. Przestraszy się, ale z pewnością zachowa na tyle racjonalnie, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Przecież zawsze była „tą inną”... Zdolność widzenia duchów to dar, który w niemałym stopniu odróżnia od otoczenia.

Zerknąłem w lustro i skrzywiłem się. Najpierw wanna. Miałem brudną twarz i przyklejone do głowy włosy. Uniosłem rękę. Fuj. Stanowczo potrzebuję kąpieli.

Spędziłem w łazience ponad trzydzieści minut. Kiedy wyszedłem, zawinięty w czysty ręcznik i z opadającą na oczy mokrą grzywką, opuszki palców zmieniły się w białe rodzyunki. Czuję się jak nowo narodzony. Gorąca woda rozjaśniła mi umysł, a zdania, jakie zamierzałem wypowiedzieć przed Dilettą, wręcz wryły się w mózg.

Pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Na powrót stałem się sobą. Genialnym Aloisem Petersenem, cudownym dzieckiem.

Wytarłem się byle jak i nie zważając na wilgotną skórę, ubrałem, mocniej niż zwykle przewiązując mundur na biodrach. Oceniając po zbyt szerokich spodniach i za luźnej generalskiej tunice, zwisającej

mi z ramion niczym peleryna, sporo w ostatnim tygodniu schudłem. Zwykle kojarzono mnie z figurą upadłego Anioła, ale teraz, z zapadniętymi, podkrążonymi oczami i bladymi wargami, przypominam raczej rekonwalescenta po ciężkiej chorobie.

– Wyglądam jak duch – stwierdziłem, marszcząc czoło, i zaśmiałem się z dowcipu, aczkolwiek trudno uznać go za oryginalny.

W ciszy pokoju ten śmiech zabrzmiał dziwnie dudniąco, lecz specjalnie się tym nie przejąłem. Od kilkunastu już chyba dni nie wyrażałem swoich emocji tak hałaśliwie, i struny głosowe najwyraźniej odzwyczyły się od wydawania tego typu dźwięków.

Strząsnąłem z włosów krople wody, poprawiłem zawieszony na szyi łańcuszek z Minuttą, a następnie pewnym krokiem opuściłem sypialnię.

Była niedziela i po terenie Oddziału kręciło się niewielu Lilim. Natknąłem się jednak na dwóch Podporuczników, tych kumpli Diletty, którzy popatrzyli na mnie ze zdumieniem i nerwowo pochylili się w geście pozdrowienia, oraz na trzech Generałów Brygady, równie albo bardziej zaskoczonych moim widokiem niż Podporucznicy. Nie straciłem rezonu. W obu przypadkach lekko odkłoniłem się, z kamienną twarzą, nawet nie zwalniając.

Skręciłem ku pokojom najniższych stopniem oficerów Oddziału. Na szczęście nikogo więcej już nie spotkałem. Lepiej nie wyobrażać sobie, o czym by plotkowano, gdyby ktoś zauważył, jak wchodzę do Diletty...

Zatrzymałem się pod drzwiami z ciemnego drewna, jednymi z wielu w długim korytarzu, i uniosłem rękę, żeby zapukać, kiedy nagle rozległ się znajomy głos:

– Generał Petersen?

Obok stała sporo niższa ode mnie dziewczyna.

– A, to ty, Loretto – uśmiechnąłem się, ponownie odwracając ku

drzwiom. – Co słyszeć?

– Proszę nie pukać.

Spojrzałem na nią pytająco.

– Diletta wyszła – wyjaśniła. – Minęliśmy się dziś wczesnie rano, gdy szła na trening z... – przerwała i zacisnęła usta.

– Na trening? W niedzielę? – zdziwiłem się, wolno do niej zbliżając. – Bez wątplenia nie z Henriette. Znając ją, leży teraz w łóżku z głową zanurzoną w kuble zimnej wody, dochodząc do siebie po wczorajszej popijawie.

– Och – wydusiła Loretta, robiąc się naraz trupio blada.

– Z kim więc ćwicz?

Przywarła plecami do ściany, z lękiem obserwując, jak dotykam łańcuszka z Minuttą.

– Z... nikim... – wyjąkała.

– Aha. Z nikim – zadrwiłem. – I przeciwko komu przeprowadza kontrataki? Przeciwko gałęziom drzew?

Zerknęła na mnie błagalnie i mocno splótła dłonie, aż zatrzeszczały stawy.

Kurde, zacząłem się denerwować. Bardzo.

– Loretto, z kim?

– Z Generałem Broni Zoryą – wyszeptała tak szybko, że ledwo ją zrozumiałem. – Nie chciała, żeby pan o tym wiedział. Przykro mi.

Ogłuszony wpatrywałem się w nią szeroko otwartymi oczami. Po chwili jednak odzyskałem zdolność myślenia i w pełni pojąłem znaczenie tej lakonicznej informacji. Z Zoryą. Z Zoryą! Nie wierzę. Z nim? Z NIM? Co takiego ma niby do zaoferowania ten idiota, który nie akceptuje mnie jako Generała, czego nie potrafiłaby nauczyć Diletty moja własna Generał Broni? Specjalnie oddelegowałem do tego zadania najlepszą po sobie Lilim Oddziału. Dlaczego, do cholery, postanowiła szukać dodatkowej pomocy? I dlaczego... wybrała Zoryę?

– Gdzie trenują? – spytałem głucho.

Loretta przybrała taką minę, jakbym właśnie wrzasnął jej prosto do ucha. Musiałem wyglądać przezabawnie.

– Nie jestem... pewna – wymamrotała, ale jednym spojrzeniem nakłoniłem ją do doprecyzowania odpowiedzi. – Chyba blisko granicy Mauzoleum z Grobem.

– Chyba?

– Na bank – potwierdziła drżącym głosem. – Na sto procent.

– Dobrze. – Odsunąłem się. Odetchnęła z ulgą, przyciskając dłonie do piersi. – Dobrze.

Czemu powtarzam słowo „dobrze”, skoro wszystko idzie źle? Gorzej niż źle. Fatalnie. Zabiję tego gnoja gołymi rękoma.

I nawet nie wiem z jakiego powodu.

– Dzięki za wiadomość – mruknąłem, ruszając z miejsca.

Marsz pospiesznym krokiem już nie wystarczył.

Zwyczajnie rzuciłem się biegiem.

Diletta

Zatrzymałam się, czując spływający z czoła pot i ukłucia bólu w napiętych mięśniach ramion. Miałam wrażenie, że bułał waży z pięćdziesiąt kilo. Bałam się, że za sekundę się przewrócę.

– Nieźle ci to wyszło – pochwalił Zorya. Zanim zdążyłam się uśmiechnąć, dodał: – Żartowałem.

Westchnęłam i wbiłam ostrze szabli w ziemię. Brakowało mi sił na wyrażenie rozczarowania, gdyż wymagałoby to wykrzywienia twarzy odpowiednim grymasem, a w tym momencie wykorzystywałam resztki energii na łapanie oddechu.

Zorya przyglądał mi się chwilę w milczeniu, a następnie dłonią dał znak, bym podeszła. Powłócząc nogami, zbliżyłam się, wzniecając obłoczki pyłu.

– Powinniśmy odpocząć – stwierdził, nie odrywając wzroku od moich zaróżowionych z wysiłku policzków.

Nie odezwałam się. Usiadłam i oparłam się plecami o pień drzewa. Zorya kucnął obok, z rękoma na udach.

– Jesteś ostatnio dosyć rozkojarzona – oznajmił. – Prawdę mówiąc, od paru lekcji w ogóle nie zwracasz na mnie uwagi.

Skierowałam zmęczone spojrzenie na niebo, jakbym chciała zwalić na nie winę. Czekałam na te słowa. I w czasie trzech poprzednich treningów, i dzisiaj, nic mi się nie udawało. Zorya po kilka razy pokazywał to samo ćwiczenie, a kiedy już przystępowałam do jego wykonania, nie starałam się, nie dbałam o dokładność ruchów ani szybkość reakcji. Reasumując, stałam się typową zmorą każdego nauczyciela.

– Przepraszam – bąknęłam. – Mam dużo rzeczy na głowie i... – ugryzłam się w język.

Alois.

Bez przerwy o nim myślę.

– Pogadamy... o tym? – spytał Zorya, dotykając mojego nadgarstka.

Oniemiałam, z przestrawieniem obserwując, jak ostrożnie przesuwa palcem wskazującym po przegubie, aż do środka dłoni.

Serce zaczęło mi bić znacznie wolniej, ciężko, pompując zbyt dużą ilość krwi ku górnej części ciała. Zaczerwieniłam się po uszy i wpatrzyłam w nieokreślony punkt pomiędzy stopami. Zorya nie zabrał ręki.

– No i? – Nachylił się.

Co teraz? Nie byłam w stanie się skupić, a dodatkowo nieznanne uczucie zdenerwowania pomieszanego z niechęcią zupełnie sparaliżowało mi mięśnie, nie pozwalając na żaden ruch.

– Ja... – Przełknęłam ślinę. Ja co? Nie najlepszy sposób rozpoczęcia zdania... – Ja...

Generał Broni zacisnął palce wokół mojej dłoni i w efekcie zredukowałam odpowiedź do gwałtownego wydechu. Podniosłam

głowę, milcząco błagając o coś, czego sama nie potrafiłam nazwać, i ze zdziwieniem zobaczyłam, że Zorya lekko się uśmiecha, a jego zimne zwykle oczy rozświecła ciepły blask.

– Spokojnie – szepnął. – Próbowałem tylko poprawić ci humor. Nie zamierzam do niczego zmuszać.

I nagle, bez uprzedzenia i ciągle trzymając mnie za rękę, nachylił się mocniej i pocałował w czoło.

Nie zdążyłam nawet krzyknąć, gdy ktoś głośno zaklął ochryłym, pełnym nienawiści głosem. Wzdrygnęłam się i odwróciłam, szukając wzrokiem autora tego przekleństwa.

Pobladałam, gdy dostrzegłam za gęstymi gałęziami pobliskiego drzewa czerwonego z wściekłości Aloisa.

– Ty! – zawołał, podchodząc do nas. Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do Zoryi. – Ty!

Nie odezwaliśmy się. Popatrzyliśmy po sobie z Generałem Broni i wstaliśmy; on, ponownie poważny, a ja szczękająca zębami z powodu zażenowania wywołanego tą sytuacją.

– Co tu się dzieje?! – wrzeszczał Alois. – Co ty tu robisz z... nim?!

Policzyłam do trzech, usiłując się opanować.

– Nie miałam pojęcia, że nie wolno rozmawiać z oficerami innych Oddziałów – stwierdziłam obojętnym tonem.

– Nie jestem idiotą, Diletta – wycedził, trzęsąc się ze złości. – Dlaczego z nim ćwiczysz? Wyznaczyłem ci moją najlepszą Lilim, żebyś się podszkoliła, żebyś zasłużyła wreszcie na ten cholerny stopień, do którego awansowałaś dzięki absurdalnej zdolności...

Gwałtownie cofnęłam się, jakbym dostała kopniaka w żołądek. Obrzuciłam Aloisa urażonym spojrzeniem i prawie przytuliłam się do Zoryi. Chciałam się odgryźć, ale Generał Broni mnie uprzedził.

– To nie absurdalna zdolność – powiedział oschle – tylko cudowny dar. I powinien być doskonały.

Alois skierował na niego wzrok, coraz bardziej rozsierdzony.

Floret aż wibrował w jego bladych dłoniach.

– Przez ciebie, prawda? – syknął.

– A przez kogo? – spytał spokojnie Zorya. – Uznałem, że najlepiej się do tego nadaję i dlatego zaoferowałem pomoc.

Sądząc po morderczym błysku w oczach i furii, z jaką przygryzał wargi, Alois z trudem powstrzymywał się przed rzuceniem na zastępcę Ennsa.

I w tym właśnie momencie zadzwoniły nasze komunikatory. Napięcie w jednej chwili opadło. Szybko wyrwałam rękę z uścisku Zoryi i wyjęłam z kieszeni niewielkie urządzenie. Po kilku sekundach Alois i Generał Broni również przyłożyli aparaty do uszu i wspólnie wysłuchaliśmy obwieszczenia przeczytanego przez Elizabeth wyraźnie poruszonym głosem.

– Uwaga! Wiadomość dla wszystkich oficerów Mauzoleum. Powtarzam: dla wszystkich oficerów Mauzoleum. Odkryto, kim jest winny rozgrywających się od niedawna w tej społeczności wydarzeń.

Zamarłam, niemal miażdżąc komunikator w dłoni.

– To Alois Petersen – ciągnęła Elizabeth. – Powtarzam: Alois Petersen. Ktokolwiek go zobaczy, ma obowiązek natychmiastowego przekazania dowódcom stosownej informacji i za wszelką cenę udaremnienia mu próby ucieczki. Oskarża się Aloisa Petersena o zdradę polegającą na wpuszczeniu Aniołów do Panteonu, a także o zabójstwo Generała Oddziału Trzeciego, Zaha Browna, oraz Jeremy'ego Bota, lekarza z Grobu. Pod żadnym pozorem nie wolno pozwolić mu zbiec.

Elizabeth się rozłączyła, a cisza, jaka teraz zapanowała, zdała mi się wręcz przytłaczająca. Alois patrzył przed siebie niewidzącym wzrokiem, z niewyraźną miną. Zrobił się kredowobiały.

On? Nie...

Pomyślałam o tym, jak zachowywał się w ostatnich dniach... Nie

wychodził z pokoju, unikając kontaktu, nieprzystępny... Nie...

Niemożliwe.

Tyle że nie sposób ignorować faktów, a ich bezsprzeczność uderzyła we mnie z taką siłą, że zabrakło mi tchu. Alois nie jest już tym samym diabłem o twarzy Anioła, którego poznałam w szkole. Zmienił się. Zmienił, odkąd zamordowano Generała Browna.

Wtem usłyszałam głos Zoryi.

– Wiadomość dla Generałów Sześciu Oddziałów. Pilna wiadomość. Znajduję się w towarzystwie poszukiwanego Aloisa Petersena, przy granicy Mauzoleum z Grobem. Potrzebuję posiłków. Powtarzam: bezzwłocznie potrzebuję posiłków.

Stałam niczym sparaliżowana, nie wiedząc, jak zareagować. Wreszcie powoli odwróciłam się ku Zoryi. Mierzył kataną prosto w pierś Aloisa.

– Nie ruszaj się – ostrzegł go zimno. – Wolałbym nie brudzić się krwią zdrajcy.

Ledwie skończył, rozległ się łopot skrzydeł i jednocześnie spojrzeliśmy w niebo. Ponieważ jednak silny podmuch wzbił w powietrze tumany piasku, zasłoniłam oczy i cofnęłam się, zataczając pod wpływem przygniatającego do ziemi wiatru. Spodnie zakręciły mi się wokół kostek.

Pomiędzy palcami dostrzegłam czarne pióra. Odgadłam, co zaraz nastąpi.

Obok nas wylądowało sześcioro Generałów, wszyscy z Minuttami przekształconymi w broń: począwszy od floretu Ennsa aż po muszkiet Kaspara. Błyskawicznie otoczyli półkolem Aloisa, który szarpnął się, jakby zamierzał rzucić do ucieczki.

Zacisnęłam dłoń na rękojeści bułatu.

Alois

Chciałem prysnąć, ale jakaś postać zastąpiła mi drogę. Przymknąłem powieki, oślepiony metalicznym błyskiem, a po chwili

zobaczyłem w odległości raptem dziesięciu centymetrów od nosa ostrze. Podniosłem wzrok. Diletta. No proszę, nauka Henriette nie poszła w las...

Zbliżyła się z wyzywającą miną. W jej źrenicach czaiły się smutek, rozczarowanie i gorycz.

Uśmiechnąłem się, znacząco patrząc na szablę, którą unosiła z takim zdecydowaniem. Kretynka.

– Masz zamiar mnie zaatakować? – syknąłem. Ani drgnęła.

– Jeśli spróbujesz się wymknąć...

Przygryzłem wargi, udając zdenerwowanie, i obejrzałem się na Generałów, w napięciu oczekujących rozwoju wypadków. Żadna z sześciu osób nie sprawiała wrażenia chętnej do udzielenia mi pomocy. Nawet z łagodnych zwykle rysów Mei Tsu-zu przebijała zawziętość. Skrzywiłem się. Ta grupka, i owszem, jest gotowa do natarcia.

– I akurat ty mi przeszkodzisz? – spytałem z rozbawieniem, ponownie zwracając się ku Dilecie. – Chyba nieco przeceniasz swoje umiejętności, skoro sądzisz, że...

– Nie zapominaj, że potrafię przewidzieć twoje ruchy – przerwała oschle.

– Bzdura – prychnąłem z pogardą.

Udało mi się zachwiać jej pewnością siebie. Zadrzała, wyraźnie przestraszona. Myślała, że niczego wcześniej nie zauważyłem... Ależ naiwna.

– Nie wiesz, co za moment zrobię... – kontynuowałem. – Jestem jedyną osobą, której następne posunięcie pozostaje dla ciebie tajemnicą bez względu na okoliczności. Zdałem sobie z tego sprawę w dniu mianowania cię na stanowisko Podporucznika, kiedy obserwowałeś moje nogi, starając się rozszyfrować, czy uczynię pierwszy krok lewą, czy prawą. I nie trafiłaś. Może i podszkoliłaś się

podczas lekcji ze swoim drogim Zoryą, lecz na mnie to nie wystarcza.

Diletta pobladała, Generałowie natomiast wymienili zaniepokojone spojrzenia, świadomi, że w takiej sytuacji nie ma w starciu ze mną szans. A to stwarza duże ryzyko. Nie udaremni mi ucieczki.

Kątem oka ujrzałem podchodzącego z wyciągniętą bronią Ennsa.

– Nie mieszaj się, braciszku – ostrzegłem. – Nie komplikuj tego jeszcze bardziej.

Zaklął pod nosem, ale zatrzymał się, a ja skierowałem się do Diletty:

– Odsuń się. Nie chciałbym cię skrzywdzić.

Przełknęła ślinę i mocniej zacisnęła spocone dłonie na rękojeści bułatu.

– Byłbyś w stanie mnie zaatakować? – wyszeptała.

Idiotka.

– Kto wie... – odparłem. – Więc zejdz mi lepiej z drogi.

– Byłbyś w stanie? – powtórzyła, nie ruszając się z miejsca. Zaśmiałem się w duszy. Tyle widzisz, a jednak tak mało mnie znasz, Diletto... Zaślepiają cię uczucia.

Uniosłem floret i przesunąłem klingą o głównię szabli, wywołując przenikliwy dźwięk. Rozdrażniona, zaczerwieniła się i krótkim uderzeniem zdusiła ten metaliczny pisk.

– Nie baw się ze mną! – krzyknęła.

– Nie przypuszczasz, że potraktuję to starcie serio, co? – spytałem kąśliwie. – Mógłbym cię wyautować bez użycia broni.

Wpadała w coraz większą złość. Zbliżyła się i odległość, jaka dzieliła bułat od mojego nosa, stała się prawie niezauważalna. Powinna wiedzieć, że wściekłość nie jest dobrym doradcą w walce... Uśmiechnąłem się i skłoniłem w drwiącym geście szacunku, wbijając jednocześnie floret w ziemię i puszczając rękojeść.

Za nami rozległy się szepty Generałów.

– Impertynent z ciebie – wycedziła.

– Wszyscy mamy tego świadomość, więc bądź tak miła i oszczędź nam epitetów... Spieszę się.

Prychnęła i natarła, niezdarnie wykonując skomplikowany dla niewprawionych nóg zwód. Bez najmniejszego problemu uniknąłem ciosu. Po prostu pochyliłem się i odskoczyłem.

– Nie przewidziałaś, co zrobię, prawda, Podporuczniku? Obdarzyła mnie nienawistnym spojrzeniem i sfrustrowana, nieskładnie ponowiła atak. Stałem na czubkach palców i szybko obróciłem się bokiem, dzięki czemu tym razem również chybiła. Zakłęła, natychmiast unosząc szablę, gotowa do kolejnego uderzenia. Zgięła się w pasie i przenosząc cały ciężar ciała na bułat, rzuciła się w moim kierunku. Spokojnie się odsunąłem.

– Znowu pudło...

Nie dawała za wygraną, przecinając bronią powietrze czwarty raz i piąty, i szósty... Jej ruchy były coraz bardziej nieskoordynowane i chaotyczne, a ostrze z każdym atakiem trafiało coraz dalej ode mnie, stąd uchylanie się przed ciosami przypominało dziecianną zabawę, banalny taniec. Dwa kroki w prawo, podskok i skręt. I tak w kółko.

– Jeśli życzysz sobie, żebym poćwiczył balet, potrzebuję muzyki – zakpiłem, puszczając oko.

– Pieprzony debil.

Po entym nieudanym natarciu wolno do niej podszedłem. Wyprostowała się, kołysząc na boki wyciągniętą szablę. Zablokowałem głownię przedramieniem, a następnie delikatnie chwyciłem rękę Diletty i nacisnąłem odpowiednie ścięgno. Momentalnie wypuściła bułat, a malujący się na jej twarzy gniew zniknął, wyparty przez strach. Usiłowała się cofnąć, lecz ją przytrzymałem.

– A nie mówiłem? Moje przyszłe reakcje są dla ciebie

niewidoczne.

– Dlaczego? – wymamrotała.

Atmosfera stała się tak napięta, że nawet typowe dla popołudnia odgłosy przyrody jakby ucichły, ustępując nam pola. Odniosłem wrażenie, że Panteon zredukował się do skrawka trawnika, na którym znajdowałem się wraz z Diletą.

– Bo nie chcesz ich zobaczyć – wyjaśniłem. – Boisz się tego, co mogłabyś odkryć.

– Bzdura – wyjąkała, gwałtownie blednąc. – Niby dlaczego miałabym...

– Z tego samego powodu, z jakiego ja nie jestem w stanie cię skrzywdzić, chociaż jeśli myślę o ucieczce... należałoby z tobą skończyć.

– Gadasz głupoty! – krzyknęła rozpaczliwie. – U... umknij albo... odepchnij mnie... Ale nie rób mi tego!

– Tego?

– Tego... – potwierdziła z desperacją. – Tego, że przez ciebie czuję się zagubiona, słaba i bezbronna... Czuję, że nie wolno mi cię zawieść, że powinnam... oddać ci się duszą i ciałem. Jakbyś... był dla mnie najważniejszy na świecie! – Wymierzyła mi niespodziewanie policzek. – Najpierw zjawiam się tu przedwcześnie... z twojej winy... Pozwalasz mi uwierzyć, że coś dla ciebie znaczę, a potem zabijasz swojego Generała i dopuszczasz się zdrady... A teraz jeszcze to! – Przerwała na chwilę, dostrzegając, że zadrzałem. – Tak! Wiem, że zakradłeś się do mojego pokoju i próbowałeś pocałować! Nie spałam tamtej nocy! – Znowu uniosła rękę, ale tym razem tylko mnie popchnęła. – Co powinnam zrobić? Jak się zachować? – spytała z bólem. – Nie mam pojęcia... nie rozumiem, o co ci chodzi!

Uśmiechnąłem się smutno i pokręciłem głową.

– Ja też nie.

W tym momencie zarejestrowałem ruch po prawej stronie

i błyskawicznie uchyliłem się, unikając zranienia przez Ennsa. Podrzuciłem stopą wbity w ziemię floret, chwyciłem go w powietrzu, a drugą ręką złapałem Dilettę w pasie i przyciągnąłem do siebie. Nie zastanawiając się, przytknąłem ostrze do jej szyi.

– Spokój! – rozkazała Mei Tsu-zu.

Wyłącznie ona złąkała się, że Diletta może zginąć... Zawsze była pełna empatii.

Reszta Generałów posłusznie, choć niechętnie, wycofała się, z bronią gotową do ataku.

Diletta z trudem oddychała, przerażona, więc odrobinę odsunąłem klingę.

– A teraz postąpisz jak grzeczna dziewczynka i odejdiesz na bok, zgoda? – szepnąłem jej do ucha.

– Nie... – odparła z wahaniem. – Dlaczego sądzisz, że ci pomogę?

– Po pierwsze, ponieważ nigdy się nie mylę. Po drugie, ponieważ nie zabiłem Zaha Browna ani lekarza i nie ułatwiłem ptaszydłom ataku na Panteon. A po trzecie... ponieważ za bardzo mnie kochasz, żeby nie pomóc.

Cisza.

– Tak jest, chłopie! – Horacio Kaspar roześmiał się tubalnie, nie opuszczając wycelowanego w moją stronę muszkietu. – Trzeba mieć ja...

– Przymknij się, Horacio! – krzyknęła Charlotta Brennt, uderzając go pięścią.

Diletta chyba nic nie słyszała. Patrzyła na mnie bez słowa, kompletnie porażona. Znowu się zaczerwieniła... Dodatkowo wydawało się, że straciła głos.

Uśmiechnąłem się z rozbawieniem.

– Wcale... nie – wyjąkała wreszcie.

– Oj, nie mów... – westchnąłem. – Szkoda...

– Szkoda?

Niespokojnie poruszyła się w moich ramionach, kiedy uśmiechnąłem się szerzej.

– Jeszcze raz mi się oberwie...

– Co?

Nachyliłem się. Trzęsa się, ewidentnie spanikowana, z oczami przypominającymi głębokie, czarne, pochłaniające mnie studnie i spojrzeniem, w którym malowało się zbyt wiele emocji, bym potrafił je nazwać. Wyczuwałem przez skórę jej przyspieszony puls.

– Wybacz, ale pragnę to uczynić. Potrzebuję tego. Potrzebuję... ciebie.

Zanim zdążyła zareagować, pocałowałem ją.

I nagle świat się zatrzymał. Uleciała nawet ogłuszająca niczym rój pszczół furia. Nic i nikt. Zniknął czas i przestrzeń. Została Diletta. I jej zdumienie, jej różnokolorowe tęczęwki, jej napięte z przestachu mięśnie, zarumienione policzki i ręce, które uwolniła z uścisku, by mocno mnie objąć. I jej łzy, gdyż poczułem w ustach słony smak, i kiedy uniosłem powieki, spostrzegłem, że płacze. Z bezsilności, gniewu i konsternacji.

Nie wiem, kto pierwszy rozchylił wargi. Najwyraźniej ten moment tak mną wstrząsnął, tak oszołomił, że nie byłem w stanie prawidłowo zarejestrować faktów. Przeszedł mnie dreszcz i wtem słodycz zmieniła się w coś zupełnie innego: ciemniejszego, krwistoczerwonego... Nie pamiętam wyrazu twarzy Diletty, widziałem wyłącznie jej mokre rzęsy, przysłaniające błyszczące źrenice. Zrobiło mi się słabo. Gorąca ciecz rozlewała się po całym moim ciele, od głowy aż po czubki palców, a serce tak łomotało, że miałem wrażenie, iż zaraz rozsadzi pierś. Ona. Diletta. Ona, ona i ona. I nic poza nią.

Wtem wygiąłem się, powodowany ostrym bólem w okolicach łopatki, i gwałtownie odskoczyłem, próbując jednocześnie za wszelką cenę przytrzymać Dilettę w ramionach. Natychmiast

zacząłem drętwieć.

Podniosłem głowę, usiłując zrozumieć, co się dzieje. Diletta wpatrywała się w jakiś znajdujący się za mną punkt. Z największym wysiłkiem zerknąłem do tyłu i ujrzałem celującą z kuszy Generał Tsu-zu.

Skrzywiłem się i pomacałem po plecach. Po chwili znalazłem to, czego szukałem. Strzała ze środkiem usypiającym. Pozostało mi najprawdopodobniej kilka sekund, nim stracę świadomość.

– Diletto – szepnąłem, szarpiąc ją za rękaw munduru. – Nikogo nie zabiłem.

Nie odezwała się, tylko pokręciła głową i odsunęła, zakrywając dłonią usta. Szlochała.

– Diletto – powtórzyłem ledwie słyszalnym głosem.

Coraz bardziej otumaniony potężną dawką narkotyków, zobaczyłem jeszcze, jak się odwraca i podchodzi do tego gnojka, Zoryi Senkiego.

A potem ogarnęła mnie ciemność.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Pod słuchując

Diletta

Głowa, zbyt ciężka, by szyja zdołała ją podtrzymać, co rusz bezwładnie opadała mi na pierś, powodując bolesne naciąganie górnej części kręgosłupa. Wbiłam wzrok w stopy, tak ciasno złączone, że lekko drżały. Zaciśnięte w pięści dłonie spoczywały na kolanach. Obgryzłam już wszystkie paznokcie. Nigdy wcześniej nie miałam tego nawyku... do teraz. Mogłam jeszcze zacząć palić papierosy, lecz uznałam obgryzanie za zdrowsze.

– Chyba nas nie słucha...

– Zauważyłem... Czwarty raz zadaję jej pytanie i czwarty raz nie odpowiada.

– Wygląda, jakby znajdowała się w transie, Ismael. Od dziesięciu minut siedzi w tej pozycji.

– To co robimy? Polać ją wodą, żeby zobaczyć, czy zareaguje?

– W sumie niezły pomysł...

Zerknęłam na chłopaków z takim rozdrażnieniem, że aż podskoczyli na krzesłach.

– Nawet się nie ważcie – burknęłam i na powrót utkwiałam spojrzenie w stopach.

Ignoruję ich, fakt. I? Umknęłam przed pustką pokoju, gdyż czułam się niczym ukrywający się przestępca, ale to nie znaczy, że mam ochotę z kimkolwiek rozmawiać.

Zbyt byłam zaabsorbowana własnymi myślami. Te parę razy, kiedy się odezwał, mój głos zabrzmiał chropawo, jakbym mówiła

na bezdechu. Nic dziwnego. Od kilkunastu godzin oddycham z dużym trudem.

Ciągle widziałam w głowie wczorajsze sceny. Wyraz twarzy Aloisa, gdy usłyszał, że został oskarżony o zdradę i morderstwo. Jego nieudaną próbę ucieczki, gniewne miny Generałów, błagalny wzrok, jakim popatrzył na mnie, zanim się oddaliłam, i swoje własne łyzy, kiedy...

Zamknęłam oczy i machinalnie przejechałam palcami po ustach. Nic nie pojmuję. Kompletnie nic.

Część mnie godzi się z wynikiem przeprowadzonego dochodzenia. Ale inna część, ta, która dała się pocałować, która odpowiedziała na dotyk warg Aloisa i otoczyła ramionami jego szyję, wierzy, że nie popełnił zarzucanych mu czynów. Tylko... dlaczego chciał się ulotnić? Dlaczego nie zachował spokoju i nie starał się dowieść niewinności?

Z furią kopnęłam w stół, wylewając zawartość stojących na blacie szklanek.

– Nie rozumiem cię, do cholery!

Ismael i David gwałtownie się odsunęli, szurając krzesłami po kamiennej podłodze jadalni. Te hałasy skierowały na nas uwagę obecnych.

Ismael z troską się ku mnie nachylił.

– Dobrze się czujesz?

– Nie! Jasne, że nie! – wrzasnęłam. – To chyba oczywiste, nie sądzisz?

Wymienili zdenerwowane spojrzenia. Przypuszczalnie uznali, że właśnie oszalałam. Albo coś w tym stylu. Tak czy owak, jest mi to obojętne.

– Może powinienem przynieść ci ziółka – zakpił Ismael. – Jeszcze trochę i dostaniesz zawału.

– I co z tego? – mruknęłam, wstając. – Nie żyję, prawda?

Znowu po sobie popatrzyli, tym razem ze smutkiem.

– Diletto, są dowody – przypomniał David. – Zgoda, ciebie najmocniej dotknęło zatrzymanie Petersena, ale...

– Generała Petersena – wycedziłam. – Dotąd nie został odwołany ze stanowiska.

Zanim David zdążył odpowiedzieć, Ismael szturchnął go w bok.

– Nie wstyd wam w niego wątpić? – spytałam coraz bardziej rozzłoszczona.

– Diletto... Przecież nigdy nie należał do osób całkowicie... bez skazy.

Spuściłam wzrok pod wpływem owego ciosu poniżej pasa. Czułam pulsującą w żyłach krew.

– No i? – prychnęłam wreszcie. – To nie oznacza, że byłby zdolny do...

Nie dałam rady skończyć.

– Widzisz? – Ismael zrobił wymowną minę. – Nawet ty nie masz pewności, czy to uczynił, czy nie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – rzuciłam napastliwie, zaciskając pięści.

– Kochasz go – wyjaśnił spokojnie. – Dlatego nie wiesz, co myśleć. Zadygotałam, przejęta lodowatym zimnem.

– Diletto... – zaczął David, wyciągając rękę.

– Nie dotykaj mnie!

Cofnęłam się i potknęłam o własne nogi, przez co wpadłam na przechodzącego akurat obok Lilim. Upuścił tacę, która wylądowała na kolanach siedzącej przy sąsiednim stole Podporucznik. Znałam ją: była jedną z najchętniej plotkujących za moimi plecami. Krzyknęła z oburzeniem, ale i wtedy nie zdołałam się uśmiechnąć.

Boże, nie mogę tu zostać ani chwili dłużej. Nie zniosę tych wszystkich spojrzeń. Głowa mi pęka, jakby od środka rozwalał ją potężny młot.

Odwróciłam się i szybkim krokiem ruszyłam przez stołówkę. Potrzebuję świeżego powietrza... Miałam wrażenie, że się duszę, że brakuje mi tlenu, co zakłóca pracę połączeń neuronowych.

Na podłodze klęczały dwie dziewczyny w tym samym wieku co ja, malujące błyszczącymi plakatówkami wielki transparent. Zamiast je okrążyć, jak automat nadepnęłam na baner, przewracając przy okazji puszkę z farbą. Zignorowałam głośne wyrzuty, przystanęłam jednak na moment, gdy zdało mi się, że słyszę pod swoim adresem przekleństwo. Obojętnym wzrokiem przesunęłam po twarzach rozgniewanych Lilim, a następnie zerknęłam na plakat, który właśnie zniszczyłam. Ozdobnymi i za bardzo – moim zdaniem – pochylonymi literami napisano na nim: *Witamy w nowym roku szkolnym w Akademii Lilim.*

Jasne... Przecież jutro odbywa się zabawa... Rozlana farba powoli pokrywała tekst karminowymi szlaczkami.

Zmrużyłam oczy i mocniej zacisnęłam pięści. Ten obraz przywodził na myśl strużki krwi barwiące trawnik.

Chwyciły mnie mdłości i puściłam się pędem.

Alois

Czas mijał. Sekundy zmieniały się w minuty, a minuty w godziny. Strzała wbita przez Generał Tsu-zu najwyraźniej zawierała na tyle pokaźną dawkę narkotyku, by utrzymać mnie w stanie nieznośnego otępienia przez całą, ciągnącą się w nieskończoność dobę.

Straciłem władzę nad mięśniami. Ciało miałem zupełnie zeszywniałe, a zmysły tak stępione, że nawet ledwo rejestrowałem panujące dookoła ciemności. Z trudem łykałem powietrze, odnosząc wrażenie, że czyjeś ręce zgniatają mi klatkę piersiową, bezskutecznie usiłując połamać żebra.

Na szczęście pomału do siebie dochodziłem i stopniowo zaczynałem odbierać takie bodźce jak zimno, przejmująca wilgoć, dobiegające z oddali szepty rozmów czy nagły, przeszywający ból

w plecach. Gwałtownie wygiąłem się, tłumiąc krzyk.

– Czołem, braciszku.

Odwróciłem się i napotkałem wzrokiem uśmiech Ennsa, tak szeroki i sztuczny, że upodabniał jego twarz do okropnej karnawałowej maski. Chciałem się podnieść, ale ponownie poczułem silne ukłucie w łopatkę i znieruchomiałem, nerwowo oddychając.

– Co ty... – przerwałem, zorientowawszy się, że Enns ostrzem floretu kaleczy mi skórę. – Zabierz to.

Pokręcił głową.

– Przykro mi, Alois. Właśnie odebrano ci oficcerski stopień, pozbawiając wszelkich przywilejów – wyjaśnił, napawając się tymi słowami. – Nikogo nie obchodzi, czy jeszcze żyjesz, czy już nie.

Zamknąłem oczy, starając się uspokoić. Czułem się bardzo słaby, wręcz chory. Znajdowałem się w jednej z cel w Pałacu Stratega; kilkakrotnie pełniłem tu straż, pilnując więźniów przed rozpoczęciem procesu. Siedziałem na podłodze zbudowanej z nieregularnych kamieni, których krawędzie dotkliwie wrzynały mi się w ciało. Na domiar wszystkiego z mojej szyi zniknął łańcuszek z Minuttą.

– Nie jestem mordercą – warknąłem. – Ani zdrajcą. Nie znoszę Aniołów równie mocno jak i ty.

Mimo ciemności dostrzegłem, że Enns nieznacznie się skrzywił, kiedy wypowiedziałem ostatnie zdanie.

– Nie przedstawiłeś wiarygodnego alibi na noc śmierci Zaha Browna – przypomniał. – A podczas oblężenia Mauzoleum odniosłeś tylko lekkie rany, chociaż walczyłeś z samym Władzą i...

– No i co z tego? – wtrąciłem. – Zaliczam się do najlepszych Lilim Panteonu. Nie zostałem najmłodszym Generałem w historii dzięki urokowi osobistemu.

Enns chwilę przyglądał mi się w milczeniu.

– Obok zwłok lekarza, na pokrywającej trawę krwi, odkryto

niewielkie odciski butów – poinformował wreszcie. – Analizy wykazały, że należą one do Generała płci męskiej. – Uśmiechnął się szerzej. – Sprawdzenie, do którego, nie nastąpiło problemów. Masz najmniejsze stopy z całej piątki.

Przełknąłem ślinę, niemal wbijając paznokcie w kamienne podłoże. Zachowałem się tamtej nocy jak idiota... Że też zaniedbałem podstawowe środki ostrożności i nie zatarłem śladów... Byłem tak wzburzony, że w ogóle o tym nie pomyślałem.

– Enns, jesteś moim bratem. Znasz mnie – zawołałem. – Naprawdę uważasz, że mogłem coś podobnego uczynić?

– A jak sądzisz? Przytykam ci ostrze broni do pleców. Jeśli spróbujesz wstać, nadziejesz się.

Z wściekłością usiłowałem złapać go za kostkę, ale w porę odskoczył i kopnął mnie w rękę.

– To pieprzona pomyłka! Nic nie zrobiłem! Rozumiesz? NIC! Nawet nie mrugnął. Dalej się uśmiechał, w sposób równie wyprany z emocji jak zawsze.

– O tym zawyrokuje Strateg na rozprawie za dwa dni. Na twoim miejscu nie żywiłbym specjalnych nadziei.

– Enns, słuchaj... – szepnąłem błagalnie. – Jesteśmy braćmi... Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

Spoważniał, a na jego twarzy odmalowała się pogarda.

– Teraz widzę w tobie po prostu zdrajcę – wycedził i splunął. – I budzisz we mnie wstręt.

Diletta

Słońce skryło się za dachami Grobu. Powoli zapadał mrok. Wierne odbicie mojego nastroju.

Głęboko odetchnęłam i odwróciłam wzrok od okna. Straciłam już rachubę, jeśli chodzi o liczbę westchnień, jakie wydałam od momentu ucieczki ze stołówki przed Davidem i Ismaelem. Przed obecnością wszelkich Lilim.

Nie wiedziałam, co ze sobą począć. Zabrałam się do pracy, ale szybko uznałam za idiotyczne wykonywanie obowiązków zleconych przez kogoś, kto za trzy dni może nie żyć. Próbowalam się też zdrzemnąć, jednak zbyt byłam zmęczona, by zmrużyć oko. Nie potrafiłam się nawet porządnie rozplakać: zalegający w gardle kamień okazał się za duży, stąd pozbycie się go za pomocą łez – niewykonalne.

Po raz pierwszy czułam się tą, którą w istocie jestem. Czyli zmarłą w świecie demonów. Duszą skazaną na piekło.

Uniosłam dłoń, by przyłożyć ją do zmarszczonego na skutek trosk czoła – co postarzało mnie o około dziesięć lat – i bezwiednie musnęłam palcami usta. Zadrżałam i zatrzymałam rękę, a po chwili ostrożnie, prawie ze strachem, przejechałam kciukiem po dolnej wardze. Ponownie przebiegł mi po plecach dreszcz, tym razem intensywniejszy.

Odniosłam wrażenie, że ta niewielka część mojego ciała skarży się ze smutku, z odrzucenia, jakby chciała uwolnić się od kontaktu... ze mną, jakby potrzebowała przede wszystkim...

Innej osoby. Innego dotyku.

Dotyku Aloisa.

I nagle kamień w przełyku powiększył się, a jego krawędzie zaostrzyły, przez co oddychanie zaczęło sprawiać mi ból. Pokój zniknął, przesłonięty niemożliwymi do wyparcia z pamięci obrazami, choć z całych sił starałam się je zablokować. Znowu znajdowałam się na granicy Mauzoleum, w otoczeniu Generałów, przed Zoryą, który obserwował tę scenę z nieporuszoną wyrazem twarzy. A tuż obok, w odległości mniejszej, niż bym sobie życzyła, widziałam zmrużone oczy Aloisa, jego białą cerę pokrytą warstewką potu, lekko wykrzywione usta, przytrzymujące mnie mocno, ale delikatnie, dłonie... I potem... Dostałam gęsiej skórki, kiedy odtworzyłam w myślach ten moment intymnego kontaktu, gest,

jakim się ze mną pożegnał, zanim nieprzytomny upadł na ziemię.

Pocałował mnie. Pocałował mnie. Pocałował!

A ja...

Uderzyłam pięścią w małą poduszkę. Podniósłszy rękę, poczułam się równie z maltretowana jak ten jasiek, na środku którego zrobiłam właśnie wgłębienie.

Alois nie mógł zabić lekarza, nawet kierowany ambicją nie byłby zdolny zamordować swojego Generała i nigdy nie pomógłby Aniołom w ataku na Panteon. Lecz jeśli rzeczywiście popełnił jedną z tych zbrodni... Nie chcę, żeby go skrzywdzono, nie chcę, by został skazany, nie chcę, nie chcę, nie chcę... Nie!

Zerwałam się z łóżka i spojrzałam na drzwi. Orientowałam się, że Generałowie zebrali się w Pałacu Stratega – sprawa Aloisa wywołała ogromne poruszenie i dowódcy spędzali godziny na debatach z najwyższym przełożonym Lilim – ale a nuż uda mi się chociaż chwilę porozmawiać z Aloisem, o ile przedostanę się pod celę niezauważona przez strażników... Dzięki Zoryi rozwinęłam swój dar i czas, by to wykorzystać.

Muszę zamienić z nim kilka słów, nakłonić, by wyznał wszystko, co tłamsił w sobie całymi dniami zamknięty w pokoju, prawie nie jedząc i śniąc koszmary. Z pewnością wie więcej niż inni na temat ostatnich wydarzeń i z pewnością od początku miał świadomość, co go czeka.

I co ważne... Jest na tyle zuchwały, iż przyznałby się do podwójnego morderstwa i zdrady, gdyby naprawdę dopuścił się tych przestępstw. Cechowała je potworność, lecz i brawura. Na takie czyny stać wszak tylko kogoś o błyskotliwej inteligencji.

Chwyciłam z krzesła kamizelkę i wyszłam. Skręciłam od razu ku głównemu korytarzowi. Mimo planowanej na jutro imprezy panujący w budynku nastrój z zabawą bynajmniej się nie kojarzył. Oskarżenie oficera Oddziału Trzeciego o ciężkie przewinienia

okrywało nas hańbą, tym większą, że chodziło o samego Generała. Poczucie wstydu wręcz wyzierało z każdego zakamarka, skłaniając do przemieszczania się ze wzrokiem wbitym w ziemię.

Z ulgą odnotowałam, że najwyraźniej jako jedyna zdecydowałam się na opuszczenie o tej porze sypialni. Nie trzeba przynajmniej posyłać na prawo i lewo karcących spojrzeń...

Droga prowadząca do Pałacu Stratega także sprawiała wrażenie wymarłej. Oficerowie woleli nie wychylać nosa poza teren swoich Oddziałów, spędzając czas na plotkowaniu o tym, co się zdarzyło i obmawianiu Oddziału Numer Trzy... Niespecjalnie przejmowałam się tą nagonką.

Szłam energicznym krokiem, walcząc z pokusą rozglądania się naokoło, by sprawdzić, czy nikt za mną nie podąża. Przecież gdyby jednak okazało się, iż nie jestem sama, nie istniał lepszy sposób na ściągnięcie na siebie podejrzeń. Kogo nie zaintrygowałaby domniemana sympatia więźnia, zwłaszcza jeśli nie przestawałaby zerkać na boki niczym neurotyczka?

Jeszcze przyspieszyłam, pilnując się, żeby nie zacząć biec. Wreszcie, po wlokących się w nieskończoność dwudziestu minutach, zatrzymałam się pod bramą Pałacu, głośno dysząc na skutek i dziarskiego marszu, i zjadających mnie od środka nerwów. Niepewnie popatrzyłam na przyglądających mi się z ciekawością, pilnujących wejścia dwóch strażników, a następnie dałam krok do przodu. I kolejny. Nic. Lilim nie poruszyli się. Nie przyszło im chyba do głowy, że ostatni nabytek Oddziału Trzeciego ponownie postanowi silnie zaznaczyć swoją obecność w Panteonie, zaledwie dzień po aresztowaniu Aloisa.

Wstrzymałam oddech, kiedy otarłam się rękawem munduru o rękojeść broni jednego z wartowników. Wolno minęłam próg, odprowadzona bacznyimi spojrzeniami mężczyzn, i ze zdumieniem zobaczyłam, że hol jest pusty. Siedząca zwykle na portierni kobieta

zniknęła, czuwający przy głównych schodach żołnierze również. Przystanęłam zdezorientowana. Co za niewytłumaczalna sytuacja. I co za sprzyjające okoliczności... Jakby jakaś nadprzyrodzona istota zdecydowała wesprzeć mnie w owej szalonej próbie udzielenia pomocy potencjalnemu mordercy. Nie zastanawiałam się, czy to Bóg, czy diabeł: po prostu podziękowałam w duszy za przychylność.

Kilkakrotnie i z różnych powodów zaglądałam wcześniej do Pałacu Stratega, ale nigdy dotąd nie miałam okazji wizytować lochów, w których więziono oczekujących procesu Lilim. Wykorzystując niepojęty brak ludzi Zaccarii Lawrence'a, należy czym prędzej odnaleźć prowadzące do podziemi zejście...

Ruszyłam szerokim korytarzem. Natknęłam się na wiodące w górę kręcone schodki oraz kolejne, biegnące w dół, zbyt jednak bogato zdobione, by mogły kończyć się w tak ponurym miejscu jak kazamaty. Nagle usłyszałam znajome głosy. Generał Charlotta Brennt i ten obłudny Dimitri Valya... Mój dar ostrzegał, że zaraz skręcą, kierując się prosto na mnie. Gorączkowo rozejrzałam się, szukając kryjówki, a dostrzegłszy boczne przejście, natychmiast rzuciłam się w jego stronę, ostrożnie stawiając stopy, by nie hałasować. Gnałam niby opętana. Zatrzymałam się dopiero wtedy, gdy znalazłam się w pełnym drzwi korytarzu, tak mało reprezentacyjnym, że wydawał się przeniesiony do Pałacu z zupełnie innego budynku. Przez jedno z drzwi, niedomknięte, przedostawało się światło, zbyt słabe i ciepłe jak na elektryczne. Ktoś najwyraźniej nie chce zwracać na siebie uwagi...

Powodowana ciekawością, chyłkiem zbliżyłam się, stopniowo rozróżniając dobywające się z pomieszczenia dwa męskie głosy, na tyle stłumione, że odgadłam, iż chodzi o tajne zebranie.

– ...Strateg stanowi poważne zagrożenie. Zbyt się interesuje tą sprawą. Cholera, zawsze miał słabość do Aloisa. Nie do końca wierzy w jego winę.

– Naprawdę niepokoi cię taka drobnostka, Generale?

Generale? Co tu się dzieje? W głowie tak szumiało mi z nerwów, że nie zdołałam zidentyfikować rozmówców.

Mimo wyrzutów sumienia z powodu podsłuchiwania poufnej narady położyłam się i zaczęłam czołgać, aż dotarłam pod same drzwi. Lękliwie zerknęłam do środka przez niewielką szparę, po czym nieco się cofnęłam, przyciskając pierś do zakurzonej podłogi. Przy prostym drewnianym stole z małym świecznikiem siedzieli Enns Petersen i Zorya.

– Bynajmniej. Martwię się za to moim kochanym braciszkiem – wyznał Enns. – Podejrzewa mnie.

– Temu akurat uda się łatwo zaradzić – zauważył obojętnie Zorya. – Za kilka dni przyczyna owego frasunku spocznie pod ziemią.

– Tak, przypuszczam, że jego drugie życie dobiega kresu – przyznał Generał w zamyśleniu.

Nie wytrzymałam i ze zduszonym jękiem wypuściłam z płuc zbyt długo przetrzymywane powietrze. Od razu zatrwożona chwyciłam się za gardło. Lepiej, żeby nie odkryli mojej obecności... Konsekwencje nie zaliczałyby się do przyjemnych.

Na szczęście niczego nie usłyszeli.

– Mam nadzieję, że to wszystko okaże się warte swojej ceny, Zorya. Zabicie Zaha Browna, a szczególnie tego biedaczyny z Grobu, nie przyszło mi łatwo.

Nastąpiła chwila absolutnej ciszy, w czasie której rejestrowałam tylko bicie własnego serca.

– Oczywiście, że się okaże. Dzięki niej.

Niej? Mocno przytknęłam policzek do futryny, ale mężczyźni nie kontynuowali tematu.

Dostałam gęsiej skórki, kiedy nagle ujrzałam przed oczami obraz otwieranych na oścież drzwi. Przeczulałam, że dowódcy Oddziału

Czwartego zaraz wyjdą, a wtedy... Doleciał mnie jeszcze oschły głos Zoryi:

– Enns, jesteś wolny. Skończyliśmy.

– Jasne.

Boże. Jakim prawem Generał Broni zwraca się w ten sposób do przełożonego? Szokujące...

Nie wierzę, że to się naprawdę dzieje.

Wzdrygnęłam się, jakby porażona prądem, i wreszcie odzyskałam władzę nad ciałem. Zerwałam się i biegiem rzuciłam w kierunku głównego korytarza, modląc się, żeby brat Aloisa mnie nie dostrzegł. Niestety, dokładnie w momencie, gdy postawiłam stopę na pokrytej dywanem podłodze holu, strzeżonego już przez dwóch wartowników, tuż za mną wychynął przerażający cień, samym tylko pojawieniem się uniemożliwiając mi uczynienie następnego kroku.

– Proszę, proszę... Oto i moja ulubiona Podporucznik – szepnął Enns, cedząc słowa. – Co też skłoniło cię do tej dalekiej wycieczki, panno Diletto?

Powoli odwróciłam się, wbijając wzrok w jego twarz. Uśmiechał się tak dwuznacznie, że zrobiło mi się niedobrze.

– Ja... ja... – Opanuj się. Musisz to powiedzieć. Teraz. –

Dowiedziałam się, że dziś wieczorem Generałowie zbierają się w Pałacu Stratega w celu przedyskutowania tematu nadchodzącej rozprawy – wyjaśniłam szybko. – Chciałam porozmawiać z... z... – Myśl. Myśl! – Z Generałem Kasparem.

Enns uniósł brwi.

– Nie tędy więc droga – oznajmił z pogardą. – Należałoby szukać go raczej w okolicy składu z winami. Ani chybi pije z Generał Broni Henriette. Jako że mój braciszek zajęty jest gniciem w lochach, Kaspar znalazł sobie kolejnego towarzysza swojego pokroju. Kogoś, kto wytrzyma z nim, kiedy się ubzdryngoli.

Z przekonaniem pokiwałam głową.

– Dziękuję... – wyjąkałam. O mało się nie uśmiechnęłam. – To sprawa... niecierpiąca zwłoki.

Alois

– Dobry wieczór, obszarpańcu.

Aż podskoczyłem na dźwięk tego głosu. Przysunąłem się do kraty i wyteżyłem słuch, zastanawiając się, co o podobnej porze robi Horacio Kaspar w więzieniu. Powinien się bawić... a nie dyskutować ze strażnikiem, nie mniej pewnie zdziwionym niż ja.

– Ddo... dobry wieczór, Generale – wymamrotał. – Czym mogę służyć?

– Przyszedłem zobaczyć się ze szczeniakiem, który zbłądził. Zdębiałem, nie wiedząc, jak zinterpretować tę odpowiedź.

Horacio zawsze był trudny do rozgryzienia... Może wpadł na pomysł pogratulowania mi statusu podejrzanego, a może właśnie ze względu na ten status postanowił ze mną skończyć.

– Przepraszam, Generale, lecz mam rozkaz, by...

– Oj, proszę cię, chyba nie sądzisz, że zamierzam uwolnić tego chłopaka – mruknął Kaspar ostrzegawczo.

– Skąd... Nie śmiałybym wątpić w pana intencje... – wyjąkał wartownik, coraz bardziej zdenerwowany. – Ale normy...

– Normy, normy... – Donośny śmiech Horacia odbił się echem od gołych ścian pomieszczenia. – Co do norm... Nie istnieje przypadkiem taka, która pozwala przełożonemu ukarać podwładnego, jeśli wymaga tego sytuacja?

Nie potrafiłem powstrzymać się od półuśmieszku. Ten człowiek nigdy się nie zmieni.

– Wydaje mi się, że... że istnieje, Generale.

Wyobrażam sobie, jak biedak musi się trząść...

– Tak też myślałem...

Rozległo się uderzenie i łoskot upadającego na ziemię ciała.

Skuliłem się, gotowy na wszystko. Sekundy później usłyszałem zbliżające się powoli, ale nieubłagane kroki. Kątem oka dostrzegłem, że Horacio zaplata dłonie na prętach celi, a wtedy błyskawicznie rzuciłem się w jego kierunku i pociągnąłem za rękę. Kiedy z impetem wpadł na kratę, zacisnąłem mu ramię wokół szyi, unieruchamiając.

– Co tu robisz? – syknąłem.

Uśmiechnął się.

– Szybki jesteś... Ale na rozprawę to nie wystarczy.

Zanim zdążyłem zareagować, wyrwał się i role momentalnie się odwróciły.

– W walce wręcz zawsze ze mną wygrasz – wydusiłem – lecz w walce przy użyciu broni nie masz szans. Nawet w snach.

Odsunął się, uwalniając mnie z uścisku, i zmierzył krytycznym spojrzeniem.

– Fatalnie wyglądasz, chłopaku. Wzbudzasz litość.

– Darujmy sobie te banały. Obaj doskonale wiemy, że wyglądam strasznie, a ty wprost przeciwnie. Co się takiego stało, że nie pijesz teraz w Grobie? O tej godzinie powinieneś już nagabywać dziewczyny.

Westchnął i przesunął ręką po włosach. Chyba sam był zdziwiony tą wizytą.

– Twoja przyjaciółeczka przeszkodziła mi, nim wyszedłem.

– Przyjaciółeczka? Henriette?

– Blisko – odparł, puszczając oko. – Pewna Podporucznik. Ta, która odebrała ci tytuł cudownego dziecka. Kojarzysz?

Zatkało mnie, a serce zabiło mocniej.

– Diletta?

– Bingo.

Przymknąłem powieki, czując nagle dojmujący ból w piersi.

Przypomniałem sobie wczorajsze sceny. Diletta zastępująca drogę.

Diletta przystawiająca mi do twarzy ostrze bułatu. Diletta biorąca stronę Zoryi. Diletta odwracająca się plecami...

Przygryzłem wargi z taką siłą, że prawie zaczęły krwawić.

– W takim razie nie chcę wiedzieć nic więcej.

– Szkoda, chłopaku. Bo ją, i owszem, interesuje, co u ciebie słyhać – stwierdził Kaspar i rzucił we mnie niewielkim przedmiotem, który w ostatniej chwili złapałem.

Moja Minutta.

– Mały prezent od Podporucznik Mair – wyjaśnił.

– Ale... jak to?

– Prawdziwa niespodzianka, co? – Roześmiał się. – W tym roku świętujemy Boże Narodzenie wcześniej niż zwykle, szczeniaku. Jutro kilku buntowników wyciągnie cię z celi. Będzie trochę zamieszania, lecz przy odrobinie szczęścia...

– Co?! – wykrzyknąłem. – Kto?

– Podrzędne oficerzyki. Jestem, niestety, jedynym Generałem, który ma o tobie dobre zdanie. Pech.

Ucieczka. Pomogą mi uciec... Uniknę procesu. Przełknąłem ślinę, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie miej tego za złe pozostałym dowódcom – dodał Kaspar, wzruszając ramionami. – Za bardzo respektują prawo. Ja za to, jako ten zły, lubię je łamać.

– Ale... Enns...

Horacio natychmiast spowaźniał.

– Radzę ci zapomnieć o bracie. Nie można mu ufać.

– Dlaczego? – spytałem, zaciskając palce na prętach kraty.

– Diletta wspomniała, że zawsze wątpieś w jego szczerłość...

I słusznie. Głównie dzięki niemu skończyłeś w celi.

Skuliłem się, jakbym dostał silny cios w brzuch. Oparłem się o ścianę. Nie wierzę... Nie chcę uwierzyć. Nie... Enns? Przejechałem dłońmi po głowie, z wściekłością targając włosy.

Kurde. Nie pomyliłem się więc w swoich podejrzeniach... i sprawiło mi to potworny ból. Bolało w piersi, w żołądku...

Słowa Horacia mną wstrząsnęły.

Ostrzegałem Dilettę, by uważała na dowódcę Oddziału Czwartego. „Jest mniej godny zaufania, niż myślisz”, mówiłem. A to nie ona powinna była uważać, ale ja... Kto by przypuszczał? Zawiodłem się na rodzonym bracie, na tym chłopaczku, którego chronilem przed szukającymi zaczepki kolesiami w Świecie Żywych. Na zagubionym nastolatku, który przybył do Panteonu. Na odważnym Generale, z którego czułem się dumny... Nazwałeś mnie zdrajcą, Enns. Powiedziałaś, że budzę w tobie wstręt. Uderzyłem pięścią w kratę. Cholerny hipokryto! Nikim więcej nie jesteś. Tylko cholernym hipokrytą. To ty zdradziłeś.

Miałem ochotę rozwalić mu czaszkę.

– Kawał z niego pieprzonego sku... – westchnął Horacio.

Wzdrygnąłem się, słysząc tę inwektywę.

– Ale – ciągnął – zachowaj lepiej mordercze odruchy na później. Przydadzą się, gdy cię uwolnimy.

Racja. Na nic uleganie teraz negatywnym emocjom. W tej chwili i tak niewiele mogę.

– Zabiję go – wycedziłem. – Nie dzisiaj ani jutro. Lecz pewnego dnia zabiję za to, co mi zrobił.

– Oho, zemsta... – skomentował Generał, delektując się brzmieniem tego słowa. – Zdrady, zasadzki, spiski, bunty... Przypominają się stare czasy.

Podwinął rękaw munduru, ukazując tatuaż widniejący pod datą jego śmierci, czyli czwartym sierpnia tysiąc sześćset osiemdziesiątego dziewiątego roku. Uśmiechnąłem się. W szkole, w Świecie Żywych, uczyliśmy się o znaczeniu podobnych rysunków. Źle się kojarzyły dowódcom flot wojennych...

– Byłeś piratem – szepnąłem.

– Mogłem stać się sławny, ale śmierć przedwcześnie zadała mi zdradziecki cios – wyjaśnił. – Zginałem trafiony armatnią kulą, gdy usiłowałem zdobyć pieprzony statek brytyjskiej marynarki. Mało co ze mnie zostało. Piękny obrazek, bez dwóch zdań.

Skinałem głową, nie przestając się uśmiechać. Tego rodzaju zwierzenia nie należą do łatwych. W Panteonie opowiedzenie komuś, w jaki sposób umarłeś, wskazuje na duży stopień zażyłości, zaufania.

Wręcz na przyjaźń.

Popatrzyłem Generałowi prosto w oczy.

– Dziękuję.

Mruknął coś, nieco zmieszany, a potem się odwrócił.

– Pójdę już, chłopaku – stwierdził, ruszając przed siebie. – Obszarpaniec niedługo odzyska przytomność, więc muszę się nim zająć. Mógłby donieść, że z tobą rozmawiałem. – Przystanął i zerknął w moim kierunku. – Prześpij się. Potrzebujemy cię jutro w pełni sił, szczeniaku. – Zachichotał. – Jutro... Oj, czeka nas zabawny dzień. Bardzo zabawny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Ucieczka

Diletta

Nabrałam powietrza, a następnie gwałtownie je wypuściłam, rozdmuchując sobie grzywkę.

Zerknęłam w lustro i zacisnęłam pięści.

Zachowywałam się w ten sposób od trzydziestu minut. Wdech, wydech, spojrzenie w lustro. I tak w kółko. Tą idiotyczną metodą próbowałam uspokoić skołataną nerwy, zapanować nad trzęsącymi się rękoma i pozbyć się z płuc przeszkadzającego w normalnym oddychaniu ciężaru.

Boże, przypominam głupią snobkę w dniu ukończenia szkoły. Chociaż... Rozsądniejsze to niż wrzaski, bieganie po sypialni i rozwalanie bułatem mebli.

Przynajmniej nie zwracam niczyjej uwagi.

W nocy w ogóle nie zmrużyłam oka. Ciągle i wciąż analizowałam plan uwolnienia Aloisa. Niestety, dalej wydawał mi się potwornie ryzykowny, aczkolwiek – fakt – najlepszy ze wszystkich, na jakie wpadł Horacio Kaspar po butelce koniaku i paru godzinach wytężonej umysłowej pracy.

Uznaliśmy, że musimy przeprowadzić naszą akcję właśnie dzisiaj, wykorzystując zamieszanie związane z imprezą z okazji rozpoczęcia nowego roku w Akademii. Nie mamy wyboru. Nie będzie bardziej sprzyjających okoliczności. Jeśli się nie uda... Wzdrygnęłam się.

Należy za wszelką cenę wyciągnąć Aloisa z Mauzoleum. Nie tylko z Mauzoleum. Z Panteonu. To jedyna możliwość uniknięcia procesu,

w wyniku którego niechybnie zostanie skazany.

Pomyślałam o Zoryi. O Ennsie. Tak trudno uwierzyć w to, co zrobili... Dlaczego? Dlaczego zdradzili Mauzoleum? Dlaczego zabili niewinnych Lilim? Dlaczego obarczyli odpowiedzialnością Aloisa? Wreszcie – i akurat to pytanie dręczy najmocniej – dlaczego obaj przejawiają równie duże zainteresowanie moją osobą?

Boję się choćby wyobrażać sobie, że istnieje racjonalna odpowiedź. Każda z tych, jakie przychodzą mi do głowy, brzmi absurdalnie. Przecież nie mam żadnej cechy predysponującej mnie do znalezienia się w polu uwagi dwóch morderców. Czemu więc...

Zastanawiając się nad tym, dostawałam skurczów żołądka. Owszem, potrafię przewidywać ruchy innych, lecz dalej jestem tylko Podporucznikiem. Nie umiem nawet porządnie posługiwać się bułatem.

Ponownie popatrzyłam w lustro i przeciągle westchnęłam.

– Ale ładnie wyglądasz.

Odwróciłam się zaskoczona. Nie usłyszałam ani dźwięku otwieranych drzwi, ani odgłosu kroków uczynionych w butach na najwyższych obcasach, jakie kiedykolwiek widziałam.

Przez moment bez słowa przyglądałam się ich właścicielce.

– Dzięki, Henriette.

Zmusiłam się do uśmiechu mającego wyrażać radość z komplementu. Rzuciłabym się Generał Broni na szyję, prosząc o słowa pocieszenia, gdyby nie to, że towarzyszyła jej oficer wysokiego stopnia, której nie znałam. Ani więc drgnęłam.

Henriette puściła do mnie oko.

– Wytrzymasz cały dzień w tym stroju?

Stojąca obok kobieta roześmiała się, najwyraźniej nie wychwyciwszy rzeczywistego celu zadania tego pytania, czyli upewnienia się, że zielona sukienka nie utrudni mi ucieczki. Ani walki, jeśli okaże się ona nieunikniona.

Wolałabym uniknąć opóźnień spowodowanego zaplątaniem w gałęzie albo zaczepionym o ostrze broni ubraniem.

– Jasne... Jest dosyć wygodny. A co z twoimi szpilkami?

– Oj, nie martw się – odparła nieznajoma oficer. – Henriette chodzi na obcasach z równą łatwością jak na bosaka. Zawsze zastanawiałam się, jak to robi... – dodała z lekką zazdrością.

Zachichotałam, raczej ze zdenerwowania niż rozbawienia, i dotknęłam wiszącej na szyi Minutty.

– Do zobaczenia... zaraz – szepnęłam.

Henriette odpowiedziała uśmiechem zbyt promiennym, by uznać go za szczery, i odwróciła się, zamaszycie potrząsając bujnymi włosami.

– Pa, Diletta.

Sekundę później drzwi się zamknęły, ale minęło jeszcze około dwóch minut, zanim udało mi się poruszyć, to znaczy opaść na łóżko i zacisnąć dłonie na kolanach.

Matko. Nie jestem przestraszona, ale ciężko przerażona. Zastępczyni

Aloisa dołączyła do spisku bez chwili wahania i to ona wpadła na pomysł poinformowania o wszystkim także Generał Mei Tsuzu. Azjatka w skupieniu wysłuchiwała naszych argumentów, po czym spokojnie oznajmiła, że nie może wziąć udziału w organizowanej akcji, zaręczając wszak, iż dochowa tajemnicy i nie przeszkodzi ani w uwolnieniu więźnia, ani w ucieczce. Odniosłam wrażenie, że w głębi duszy nam kibicuje.

Oprócz Henriette, Kaspara i mnie w skład grupy weszły też Elizabeth i Loretta. Ta ostatnia o przygotowaniach dowiedziała się przez przypadek. A dokładniej dzięki przytknięciu ucha nie tam, gdzie powinna. Po prostu podsłuchiwała pod drzwiami mojej sypialni, kiedy dogadywałam z Elizabeth szczegóły „wielkiego” planu.

Nie chciałam, by uczestniczyła w jego realizacji. Boję się o nią.

Loretta jest jednak nie tylko wścibska, lecz i uparta, więc nijak nie dało się jej nakłonić do zmiany decyzji. I w gruncie rzeczy się z tego cieszę. Bez względu na to, jak zakończy się owo przedsięwzięcie, obecność przyjaciółki niewątpliwie doda mi otuchy.

Rozległo się bicie zegara, wrywając mnie z odrętwienia. Południe... Pewna osoba kieruje się właśnie ku celom w Pałacu Stratega, by oswobodzić Aloisa.

Jeśli wszystko pójdzie dobrze, za niecałą godzinę go zobaczę... Drżącymi rękoma związałam włosy gumką recepturką, silnie kontrastującą z elegancką sukienką.

Alois... Gdyby ktoś mi kiedyś powiedział, ile będę w stanie dla ciebie poświęcić, roześmiałabym mu się w twarz. Ty pieprzony debilu. Nie wiem, jak to możliwe, że aż tak zaczęło mi na tobie zależeć.

Czas ruszać.

Alois

Straże zostały dziś wzmocnione.

Pod celą tkwiło trzech Lilim, wyglądających w dodatku na znacznie bardziej doświadczonych niż ich poprzednik, którego Kaspar uwięził w podziemiach Oddziału Piątego. Nie miał wyboru: odzyskawszy przytomność, nieszczęśnik od razu rozgłosiłby, że Generał złożył niespodziewaną, połączoną z użyciem siły wizytę.

Ani chybi Horacio też skończyłby za kratami.

Kiedy o świcie pojawił się wartownik z dziennej zmiany i odnotował brak jakiegokolwiek nadzoru, natychmiast wszczął alarm. Bano się, że ktoś się nade mną zlituje i pomoże uciec... Albo że ulotnię się bez wsparcia ze strony osób trzecich.

Idioci.

Ciekawe, kto po mnie przyjdzie... Nagle serce zabiło mi z nadzieją. Diletta? Nie, na bank nie ona, a w każdym razie nie sama. Mimo swojego daru nie jest gotowa do walki z trzema

osiłkami.

Chcę stąd wyjść... wcale nie dlatego, że tęsknię za wolnością.

Tęsknię za Diletą.

Cholerna Mair. Zaledwie kilka miesięcy temu w ogóle nie zwracałem na nią uwagi. Traktowałem niemal jak powietrze, jak jedną z wielu klasowych koleżanek ze Świata Żywych, o rudawych, potarganych włosach i nie dość charakterystycznych rysach. Jak idealny przykład antykobiecego stylu ubierania się.

Ależ się pozmieniało...

Pieprzona debilka.

Wtem usłyszałem stukot zbliżających się po kamiennych schodach szybkich kroków. Strażnicy momentalnie stanęli na baczność.

– Kto idzie?

Zerwałem się i przytknąłem policzek do zimnych prętów kraty, wyężając wzrok.

Rozległo się brzęczenie uderzających o siebie bransoletek. Dziewczyna... W butach na obcasach.

Jednak Diletta? Nie... Ujrzałem niską postać o okrągłej, przesadnie umalowanej twarzy, z wpiętą we włosy Minuttą.

Loretta?

Wartownicy, nieco zdziwieni, rozluźnili się, a jeden nawet odetchnął z ulgą.

– Panienko, w tej strefie nie wolno przebywać nieupoważnionym Lilim. Na pewno widziałas przed wejściem stosowne ostrzeżenie.

Obserwowała ich pogardliwie, wykrzywiając usta w gniewnym grymasie. Mina godna Dimitriego Valyi...

– Głupcy! Przysłała mnie Generał Mei Tsu-zu! – prychnęła, znacząco wskazując palcem schody. Lekko drżała, chociaż nie potrafiłem stwierdzić, czy bardziej z wściekłości, czy podenerwowania. – Wczoraj miało miejsce włamanie do składu

zarekwirowanych broni!

Strażnicy spojrzeli po sobie skonfundowani.

– Jak to?

– Cholera jasna, ktoś przekazał mu Minuttę! – wrzasnęła Loretta.

Poczułem, jakby wylano mi na plecy kubek zimnej wody.

Pobladłem i gwałtownie odsunąłem się od kraty. Ona nie jest z naszych. Kurde.

Jeden z wartowników od razu skierował się ku celi, a pozostali dwaj chwycili długie lance. Nie czekając, wyjąłem Minuttę spod brudnego ubrania i błyskawicznie przekształciłem ją we floret.

– Panie Petersen, wolelibyśmy uniknąć problemów – oznajmił Lilim, zaciskając dłonie na prętach. – Proszę oddać broń.

– Jeszcze cze...

Zanim skończyłem, mężczyzna stęknął, a jego głowa z impetem uderzyła w kratę.

Zamarłem, patrząc, jak z krwawiącym czołem przewraca się na ziemię.

– Co ty wyprawiasz? – zawołał drugi strażnik, zwracając się do Loretty, rozmasowującej sobie bolącą w wyniku zadanego ciosu pięść.

Po chwili i on poleciał na kratę, silnie kopnięty przez dziewczynę, ale w porę wyciągnął ręce, unikając zderzenia.

Trzeci z Lilim natychmiast rzucił się na Lorettę z uniesioną lancą.

– No już, Alois! Rusz się! – pisnęła z przestrawieniem.

Nie musiała mi tego powtarzać. Nim stojący obok celi wartownik dołączył do nacierającego na nią kompana, złapałem go za ramię i szarpnąłem. Potknął się o leżące ciało i upadł na kolana, a wtedy prędko pozbyłem się generalskiej szarfy i przywiązałem go za nadgarstek do prętów tak mocno, że zatrzeszczały kości. Krzyknął z bólu, lecz specjalnie się tym nie przejąłem.

Wyprostowałem się i zerknąłem na Lorettę. Właśnie cudem

uskoczyła przed grotem lancy. Zdążyła zmienić Minuttę w długą drewnianą rurkę, którą przytykała teraz do ust. Z ciekawością przyjrzałem się tej broni: nieczęsto widuje się podobne...

– Potrzebujesz pomocy? – spytałem.

Posłała mi wymowne spojrzenie, jednocześnie się cofając. Klęczący strażnik z jękiem runął na swojego towarzysza, gdy rękojeścią floretu uderzyłem go w głowę. Kucnąłem, sięgając do kieszeni jego tuniki.

Wyczułem coś zimnego. Klucze.

Nie tracąc czasu, włożyłem je do zewnętrznego zamka. Klik. I krata puściła. Ten dźwięk wydał mi się najpiękniejszy na świecie.

Akurat wychodziłem z celi, kiedy trzeci ze strażników nieprzytomny osunął się na ziemię.

– Strzały ze środkiem usypiającym – wyjaśniła Loretta, na powrót przekształcając dmuchawkę w kojarzącą się ze spinką Minuttę. – Przepraszam za spóźnienie. Nie ja miałam tu przyjść, tylko Elizabeth, ale Charlotta Brennt w ostatniej chwili zleciła jej jakieś zadanie.

– Elizabeth? Generał Dywizji Oddziału Pierwszego? – upewniłem się.

– Też trzyma twoją stronę – potwierdziła Loretta. – Wierzy w ciebie więcej osób, niż myślisz.

Spuściłem wzrok, nie wiedząc, co powiedzieć. Najwłaściwiej zabrzmiałoby „dziękuję”, zamiast tego jednak szepnąłem:

– A teraz?

Loretta się nachmurzyła.

– A teraz właśnie możemy mieć problemy.

Podeszła i odwróciła się plecami, wskazując brodą zamek błyskawiczny strojnej różowej sukienki.

– Rozsuń.

– Że co?

- Boże, przecież mnie nie rozbierzesz – mruknęła ze zniecierpliwieniem.
- Mam pod spodem drugą. Ta jest dla ciebie.

Rety. O ile wcześniej się zdziwiłem, w tej sekundzie wręcz osłupiałem.

- O czym ty mówisz, Loretta?

Uśmiechnęła się i z przyprawiającym o gęsią skórę tupetem wyjęła spomiędzy niezliczonych plis i falbanek kilka kredek do makijażu oraz coś, co przypominało pęk splątanych, czarnych włosów.

- Będziesz najładniejszą Lilim w całym Panteonie – zachichotała. Drżącymi palcami zacząłem rozpinać suwak.

Alois Petersen. Ikona męskości zarówno w Świecie Żywych, jak i w Świecie Zmarłych, niewysoki casanova o twarzy Anioła, przebiera się za kobietę.

- Kto wpadł na ten nedorzeczny pomysł? – syknąłem, kiedy Loretta ściągała sukienkę przez głowę.

- Horacio Kaspar.

- Zabiję go. Zginie po raz drugi.

Diletta

Zajęłam miejsce niedaleko Kaspara, który z pierwszego rzędu, w towarzystwie reszty znudzonych Generałów, oglądał wystawiany przez najmłodszych studentów Akademii spektakl. Na scenie właśnie rozgrywała się bitwa. Spośród publiczności chyba tylko Strateg dobrze się bawił.

Siedząca po mojej lewej stronie Henriette co rusz słała mi uspokajające spojrzenia i trzymała za ręce, bym przestała wreszcie obgryzać paznokcie. Elizabeth wybrała krzesło po prawej. Nie ją powinnam tu widzieć, lecz Lorette... Cholera. W tym momencie Charlotta Brennt budziła we mnie mordercze instynkty.

Nie chciałam, żeby przyjaciółka narażała się na niebezpieczeństwo związane z dużym prawdopodobieństwem

stoczenia walki przy okazji oswobodzenia Aloisa.

A jeśli im się nie uda? A jeśli któreś zostanie ranne?

– Kończą, Diletta – szepnęła Elizabeth, nachylając się.

Z trwogą popatrzyłam na kłaniających się uczniów. Jeszcze trochę i umrę. Z nerwów i strachu rozboleł mnie brzuch. Podołam? Niby nigdy nie dałam się złapać na kłamstwie, ale aktorką jestem raczej mierną. W trakcie szkolnych przedstawień nie potrafiłam wydukać więcej niż dwa następujące po sobie zdania.

Generałowie zaczęli bez przekonania klaskać.

– Z każdym rokiem wygląda to gorzej – skomentował Horacio.

Wpatrywałam się w jakiś nieokreślony punkt, czując, że po plecach spływa mi strużka zimnego potu. Henriette znacząco chrząknęła.

Teraz. Muszę to zrobić teraz.

– Diletta – mruknęła ponaglająco Elizabeth.

Głośno westchnęłam i zasłoniłam twarz dłońmi. Przez palce dostrzegłam, jak Generał Broni i Generał Dywizji wymieniają szybkie uśmiechy. Zachwiałam się, zamknęłam oczy i nagle runęłam na oparcia znajdujących się rząd wcześniej krzesel.

Mocno uderzyłam się w czoło, lecz stłumiłam jęk.

– Diletta! – krzyknęła Henriette.

Zapanowało poruszenie. Siedzący dookoła Lilim zerwali się i odsunęli, by wpuścić trochę świeżego powietrza, a jakaś dziewczyna histerycznym wrzaskiem przywoływała lekarza. Z trudem kontrolowałam oddech, mając nadzieję, że mimo gorąca i zdenerwowania nie zaczerwieniłam się. Kiepski byłby to wówczas pokaz utraty przytomności.

– Co się dzieje?

Zamarłam na dźwięk tego głosu. Dimitri Valya. Stał w odległości nie większej niż pół metra.

– Ze... zemdlą! – bąknęła Elizabeth.

Poczułam chłodny powiew. Ktoś mnie wachlował.

– Przypuszczalnie z gorąca. Przenieście ją w ustronne miejsce – poradziła Mei Tsu-zu. – Duszno tu... i jest za duży tłum.

Najchętniej ucałowałabym tę małą Azjatkę... W myślach serdecznie jej podziękowałam. Wspiera nas. Postanowiła pomóc... choćby zwykłą sugestią.

– Odsuńcie się. Wezmę ją – oznajmił tubalnie Horacio.

Schylił się i uniósł mnie tak swobodnie, jakbym była szmacianą lalką, pozwalając, by moja głowa, nogi i ręce bezwładnie zwisały, lekko się kołysząc.

– Nie sądzę, by potrzebowała lekarza – ocenił.

Odwrócił się odrobinę zbyt gwałtownie, co sprawiło, że mimowolnie wzdrygnęłam się i na ułamek sekundy otworzyłam oczy. Zdało mi się, że widzę wbity w siebie wzrok Valyi... Wstrzymałam oddech, a krew odpłynęła mi z twarzy i tylko czekałam na jego reakcję. Kurde. Kurde! Dostrzegł, że uniosłam powieki, zrozumiał, że udaję... Na pewno zaraz podejdzie, na pewno...

– Dzięki Bogu, nikt niczego nie zauważył – szepnęła Henriette. – Diletto, byłaś wspaniała.

Ostrożnie zerknęłam na Generał Broni. Na czoło wystąpiły jej krople potu, ale uśmiechała się z wyraźną radością.

– A Valya? – spytałam ledwo słyszalnie.

– Został z innymi Generałami – poinformowała Elizabeth. – Zaraz rozpoczyna się występ studentów ostatniego roku. Dowódcy zwykle oglądają go z zainteresowaniem, by zorientować się, kto zasługuje na wstąpienie do ich Oddziału.

Horacio Kaspar prychnął ze złością.

– Przeklęty gnojek. Przez niego przede mną wybór nowych szczeniaków porównywalny do kupna kota w worku.

Wtem rozdzwonił się komunikator Henriette. Przystanęliśmy,

w napięciu na nią patrząc.

– Odbierz wreszcie! – krzyknęłam.

– Kontroluj swój entuzjazm, dziecko – polecił sucho Kaspar. – Jeśli chcemy się stąd niepostrzeżenie wydostać, to czego jak czego, ale wrzasków nie potrzebujemy.

Henriette potwierdziła słowa Generała skinieniem głowy, a następnie wyjęła komunikator z maleńkiej torebki i nabrawszy powietrza, przytknęła go do ucha.

– No i? – zapytała. Nastąpiła chwila ciszy. – Czyli się wam udało.

Poczułam tak ogromną ulgę, że zrobiło mi się słabo. Alois i Loretta są cali i zdrowi. Nic im się nie stało. Dziękuję. Dziękuję. Dziękuję!

– Dobra. Za pięć minut – zakończyła Henriette, po czym schowała aparacik.

Przez moment przyglądała się nam szeroko otwartymi oczami.

– Czekają przy granicy Mauzoleum z Grobem – oznajmiła wreszcie. – Musimy się pospieszyć.

Od razu puściliśmy się biegiem. Chociaż ja tak naprawdę specjalnie się nie wysilałam, ponieważ Generał Kaspar nie uznał za stosowne postawić mnie na ziemi. Biorąc pod uwagę jego potężną posturę i dźwigany w ramionach pięćdziesięciokilogramowy ciężar, przemieszczał się z zadziwiającą szybkością.

Ulice Mauzoleum na szczęście kompletnie opustoszały. Wszyscy zgromadzili się w rejonie posiadłości Stratega, gdzie trwały uroczystości. Dalej słyszeliśmy dochodzące stamtąd głosy i muzykę.

W bliższej okolicy rozlegał się zaś tylko stukot naszych butów o rozgrzaną ziemię i śpiew ukrytych w rzadkiej roślinności cykad. Panująca między nami cisza wręcz przytłaczała; nie zakłóciliśmy jej nawet głośnymi oddechami.

Za kilka minut będziemy bezpieczni i... z Aloisem.

Zacisnęłam powieki, zastanawiając się, jak się zachowam, gdy go

zobaczę... Podejdę, żeby przytulić? Czy też raczej spoliczkować? Nie mogę się już doczekać, kiedy wreszcie ujrzę jego zielone oczy.

– Docieramy... – szepnęła Elizabeth, lekko dysząc.

Wymownie się uśmiechnęła, napotkawszy mój wzrok, na co oczywiście się zaczerwieniłam.

Dobrze znałam miejsce, w którym znaleźliśmy się, opuściwszy gęsto zabudowane tereny Mauzoleum. Niedawno trenowałam tu z Zoryą.

Z Zoryą. Matko. Gdybym wiedziała... gdybym coś przeczuwała... Wspomnienie niedawnego pocałunku w czoło wzbudzało we mnie teraz reakcję podobną do mdłości.

I to on jest winny. On i ten niezrównoważony psychicznie morderca, Enns Petersen.

Właśnie przez nich Alois tak się nacierpiął.

Pomyślałam o popołudniu sprzed paru dni, kiedy zamiast wrócić do pokoju, skręciłam ku generalskim pomieszczeniom. Zastałam Aloisa bezradnego, wyczerpanego, przerażonego... Niemal chorego. A potem...

Jak to możliwe, że nie wzięłam jego strony, gdy został oficjalnie oskarżony? Że nie wstawiłam się za nim w obecności reszty Generałów? Że uwierzyłam, choćby tylko na moment, iż dopuścił się zarzucanych mu czynów?

Alois, tak mi przykro... Tak potwornie mi...

Wtem zobaczyłam w głowie wyraźny, opanowujący zmysły obraz. Mój dar. Ostrzega.

Boże. Zaatakują nas.

– Uwaga!

Kaspar natychmiast uskoczył, dzięki czemu rzucony przez kogoś nóż przeleciał mi w odległości kilku centymetrów od nosa i wbił się aż po rękojeść w pień pobliskiego drzewa.

– Co się... – zawołała Elizabeth, kończąc pytanie zduszonym krzykiem, kiedy zza rogu ulicy wyrzał Chanler Henle, Generał Dywizji Oddziału Drugiego i jeden z jej najlepszych przyjaciół.

Często ich razem widywałam.

Zmierzył ją zimnym spojrzeniem i donośnie powiedział:

– Są tutaj, Generale.

– Bosko – wycedziła Henriette, sięgając do dekoltu sukienki po Minuttę.

Horacio zerknął na nią z rozbawieniem.

– Daj spokój, kobieto. Ucieczka bez emocji to nie prawdziwa ucieczka – stwierdził, po czym bez ostrzeżenia upuścił mnie na ziemię.

Szczyśliwie przewidziałam ten ruch, dzięki czemu spadłam na obie nogi.

– No proszę... Ciekawe, dlaczego nie jestem zdziwiony...

Ten głos...

Równocześnie popatrzyliśmy na wysokiego mężczyznę o długich czarnych włosach, który ukazał się za Chanlerem.

Zaczęłam się trząść. Valya. Czyli zorientował się, że udaję. Pewnie śledzili nas, zachowując bezpieczny dystans, przez co nie potrafiłam wyczuć ich obecności ani zamiarów. Poza określonym zasięgiem dar stawał się bezużyteczny.

– Co tam, Dimitri? – przywitał się Kaspar. – Wyszedłeś na spacer?

– Odkryliśmy, że Petersen uciekł. Znaleźliśmy obok pustej celi ciała nieprzytomnych strażników – warknął Valya. – Nie wstyd wam pomagać zdrajcy?

– Generale, Alois Petersen nie jest zdrajcą. Ani mordercą – odparła Elizabeth, robiąc krok w przód. Jako jedyna nie przekształciła jeszcze Minutty w broń i ta w dalszym ciągu zdobyła jej sukienkę niczym broszka. – Obwiniacie niewłaściwą osobę.

– Rozczarowujące, że także przyłączyłaś się do tego cudacznego

spisku, dziewczyno – mruknął Valya. – Twoja Generał nie będzie zachwycona.

– Już ty zadbasz o to, by ją pocieszyć, nie? – roześmiał się Kaspar. Podniosłam wzrok, gdy kolejny obraz owładnął moimi zmysłami.

– Generale, proszę się odsunąć! – wrzasnęłam, zrywając się do biegu.

Kaspar spojrział w górę, ale ujrawszy skaczącego na niego z dachu niskiego budynku Lilim, nie poruszył się ani o centymetr. W dłoniach atakującego dostrzegłam ogromny miecz, podobny do tych, jakich używali średniowieczni rycerze.

Natarcie było potężne, a jednak Horacio wprawnie je zatrzymał, powalając przeciwnika na ziemię.

Elizabeth pobladła.

– Dardo... – szepnęła.

Chciałam ją objąć, dodając otuchy, lecz właśnie wyczułam, że ktoś rzuca się na mnie z ogromną szybkością, więc błyskawicznie się odwróciłam i uniosłam szablę, by stawić mu czoła. Zdrętwiałam, przekonawszy się, że chodzi o samego Dimitriego Valyę. Rozpostarł wspaniałe, błyszczące skrzydła i zbliżał się, celując mi w pierś ostrzem rapieru o bogato zdobionej rękojeści.

Boże...

Ugięłam nogi, by odskoczyć, gdy tuż przede mną wyrosła niespodziewanie jakaś postać.

Początkowo jej nie rozpoznałam. Zmyliła mnie bujna czupryna o czarnych lokach i falbaniasta różowa sukienka. Dopiero po chwili zauważyłam długi floret i trzepoczące w charakterystyczny sposób czarne skrzydła. Po plecach przeszły mi ciarki.

Alois.

– Tknij ją, a cię zabiję!

Nigdy dotąd nie słyszałam go wrzeszczącego z taką furją. Valya kpiąco mu się przyjrzał.

– Z przyjemnością bym się o tym przekonał, Petersen – syknął. Alois cofnął się, wyciągając w moją stronę rękę. Z profilu przypominał wytworną pannę żywcem wyjętą ze stron romantycznej powieści, śliczną i delikatną jak porcelanowa laleczka. Zachciało mi się śmiać.

– Odsuń się! – rozkazał, lekko mnie popychając.

Zadrżałam pod wpływem tego dotyku. Miałam wrażenie, że jego skóra parzy.

– Ale...

– Odejdź na bok!

Teraz wykonałam polecenie, tym gorliwiej, że na skutek brutalnego ataku Valyi Alois wpadł na mnie i przewrócił. Przeturlałam się po ziemi i natychmiast zerwałam, dysząc i niczym skończona wariatka gorączkowo rozglądając się dookoła.

Tymczasem Henriette przyparła Darda do muru i Generałowi Broni Oddziału Drugiego nie pozostało nic innego, jak skupić się na odpieraniu bezbłędnych ciosów mojej nauczycielki. Była zbyt szybka, by pozwolić mu na przejście do ofensywy i wykorzystanie niszczącej siły miecza.

Nieopodal Kaspar najwyraźniej świetnie się bawił. Raz po raz strzelał z muszkietu do słabnącego Chanlera, zmuszając go do podskoków na jednej nodze i biegania tam i z powrotem, by uniknąć kul.

– Diletta! – zawołała nagle Elizabeth. – Chodź tu!

– A Alois? – spytałam, zerkając przez ramię na walczących.

– Nie martw się, dołączy do nas!

Nie ruszyłam się jednak z miejsca, gdyby nie pociągnęła mnie za rękę. Odeszłyśmy kilkanaście metrów i naszym oczom ukazała się skulona Loretta. Podleciała i mocno się przytuliła, prawie miażdżąc mi żebra.

– Jak dobrze, że nic ci się nie stało – wyszeptała.

Bez słowa odwróciłam się, zdenerwowana do granic możliwości, by dalej obserwować pole bitwy. Henriette i Horacio kończyli już swoje potyczki, ale w przypadku Valyi i Aloisa nie potrafiłabym wskazać, kto ma przewagę. Natarcia obu były jednakowo groźne i zarazem eleganckie, a pojedynk należał do niezwykle wyrównanych.

– Niech się pospieszą... – mruknęła Elizabeth. – Jeśli jeszcze ktoś nas znajdzie, podniesie alarm... Czas stąd zniknąć.

Wtedy rozległ się głośny jęk. Wzdrygnęłam się, zatrwożona, lecz za moment uspokoiłam, zorientowawszy się, że osobą, która właśnie runęła na trawę, jest Dimitri Valya. Na jego brzuchu widniała krwawiąca rana.

– Prędkiej! – krzyknęła Elizabeth.

Henriette ogłuszyła Darda potężnym uderzeniem rękojeścią w głowę, zaś Kaspar, bardziej wspaniałomyślny, pozwolił przeciwnikowi ujść cało, a ten natychmiast rzucił się na pomoc swemu dowódcy.

W trójkę zbliżyli się do nas szybkim krokiem. Żadne nie odniosło obrażeń, a na ich twarzach malowała się satysfakcja z łatwego zwycięstwa.

– To już... – oznajmiła Elizabeth i ostrzem szpady przecięła sobie skórę na palcu.

Loretta uczyniła dokładnie to samo. Cicho pisnęła, kiedy kilka czerwonych kropeł skapnęło jej na buty.

Wiedziałam, dlaczego to robią. Właśnie zostałam o wszystkim poinformowana. Tylko w ten sposób możemy dotrzeć do Świata Żywych: poprzez narysowanie na ziemi własną krwią włosów Lilith, pierwszej kobiety i naszej domniemanej matki.

Ta krew, która nieuchronnie towarzyszy przenosinom do Panteonu, warunkuje również powrót na terytorium zamieszkiwane przez ludzi.

– Przyłączysz się do mnie?

Podniosłam głowę i napotkałam zielone tęczęwki Aloisa. Wyczytałam w jego spojrzeniu tak wiele emocji, że nie umiałabym ich zidentyfikować.

Momentalnie zmiękły mi nogi. Nie byłam w stanie choćby spuścić wzroku.

– Alois, ja...

– Na co, do cholery, czekacie? – wrzasnął Kaspar.

Otrząsnęłam się z odrętwienia i rozejrzałam. Reszta zakończyła już przygotowania. Cztery malunki przedstawiające fryzurę Lilith świeciły ciemnym blaskiem na trawie. Loretta zaciskała dłonie na ramieniu Elizabeth. Wyłącznie ona i ja nie odwiedzałyśmy wcześniej Świata Żywych, stąd przy przenosinach musiałyśmy trzymać się kogoś z większym doświadczeniem w tej materii.

Ponownie popatrzyłam na Aloisa i ugryzłam się w palec, zbyt otumaniona, by poczuć ból.

Chwytał mnie za rękę i przytknął ją do swojej, dzięki czemu nasza krew się zmieszała. Zachwiałam się, przejęta gwałtownym dreszczem.

– Już – szepnął, ani na moment nie odrywając oczu od mojej twarzy.

Wszyscy nastąpiliśmy na czerwone rysunki. Krew zabułgotała i naraz strzeliła czarnymi płomieniami.

– Złap się mocno – poradził Alois.

Był blisko, niepokojąco blisko, niemal paraliżując mi zmysły. Zaplotłam palce wokół jego dłoni, mimowolnie wbijając mu paznokcie w skórę. Nawet się nie skrzywił. W ogóle chyba nie zwrócił na to uwagi.

– Alois... – nie wytrzymałam – przepraszam. Tak strasznie mi wstyd.

Uniósł brwi i uśmiechnął się w typowy dla siebie, pełen wyższości

i pogardy sposób.

– Oj, tylko się nie rozplącz... To zaledwie kilka minut. Myślisz, że dasz radę, ty bekso?

Nieomal pokazałam mu środkowy palec.

– Postaram się. Jakby co, wytrę nos w jedną z twoich falbanek.

Pokręcił głową i lekko się ku mnie nachylił.

– Uroczą jesteś, Diletta.

– Dzięki – roześmiałam się.

I wtem potworna siła pociągnęła nas w dół, ku czeluściom ziemi, oddalając od Panteonu, od krainy Lilim, od piekła albo od owego dziwnego nieba, które okazało się moim drugim domem.

Znowu miałam stać się częścią Świata Żywych. Przynajmniej... w pewnym stopniu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Listopad

Alois

Mieliśmy twarde lądowanie. Ugiąłem kolana, żeby zamortyzować uderzenie, i mocno przytrzymałem Dilettę, ustrzegając ją przed upadkiem na chodnik.

– Wszyscy cali? – zapytała Henriette, przypatrując się leżącej brzuchem na asfalcie Loretcie.

Ta natychmiast wstała, posyłając urażone spojrzenie Elizabeth. Generał Dywizji nie zareagowała dość szybko, by zapobiec owej wywrotce.

– Dobra. Musimy zmienić broń w Minutty – kontynuowała moja zastępczyni. – Jeśli zostaniemy pod postacią Lilim, łatwiej im będzie nas znaleźć. Trzeba wtopić się w tłum.

– Ej! Chwila! – krzyknąłem. – Nigdzie nie idę w takim stroju! Wyglądam jak prostytutka!

Na twarzy Loretty odmalowało się oburzenie. Pewnie kiecka, w którą mnie przebrali, pochodzi z jej szafy.

Boże, co za straszny gust.

– O wszystkim pomyśleliśmy, szczeniaku – uśmiechnął się Horacio, wyjmując spod tuniki i rzucając mi zwinięte w kłębek ubranie. – Pospiesz się.

Puściłem Dilettę. Oddalając się, co rusz na nią zerkałem. Wyobrażam sobie, jak się teraz czuje. Koszmarnie. Wróciła do miejsca, które do niedawna było jej domem... W dodatku, ponieważ czas płynie na ziemi dużo szybciej niż w Panteonie, od dnia, kiedy

odeszła ze Świata Żywych, minęły najprawdopodobniej dwa lata. Sądząc po panującym przenikliwym zimnie, trafiliśmy na końcówkę roku.

Dwa tysiące piątego roku.

Błyskawicznie ściągnąłem sukienkę, a zanim upchnąłem ją w pobliskim, śmierdzącym zepsutą rybą kontenerze, falbanką starłem z twarzy przeklęty makijaż. Następnie włożyłem otrzymane od Kaspara pogniecione rzeczy i dołączyłem do pozostałych Lilim. Czekali niecierpliwie, z narzędziami walki przygotowanymi już do przekształcenia w Minutty. Nie zastanawiając się, nacisnąłem ostrzem floretu na asfalt. Klinga momentalnie zmniejszyła się i po chwili zawiesiłem miniaturową szpadę na szyi. Diletta, nienaturalnie blada, od razu poszła w moje ślady.

– Nie wyglądasz najlepiej – oznajmiłem. – Dlaczego wybraliście na kryjówkę akurat to miasto? Wiedziałaś, że widok znajomych kątów podziela na ciebie deprymująco.

Słabo się uśmiechnęła i pokręciła głową.

– To ostatnia lokalizacja, na jaką wpadną, analizując nasze potencjalne kierunki ucieczki – wyszeptała mechanicznie, jakby recytowała wyuczoną kwestię. – Nie martw się o mnie. Mam świadomość, że już nie należę do tego miejsca.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, ruszyła przed siebie. Znajdowaliśmy się w ciemnym zaułku, pełnym koszy na śmieci i pozamykanych garaży. W odległości kilku metrów migotały światła szerokiej alei; oceniając po ogromnej liczbie pieszych i hałasie przejeżdżających samochodów, chodziło o jedną z głównych ulic centrum.

Dogoniłem Dilettę, gdy mieszała się z tłumem. Wtem zatrzymała się tak gwałtownie, że niemal ją staranowałem. Mimo uderzenia nawet nie drgnęła, niby przybita gwoździami do ziemi.

– Co...

– Boże – wyjąkała.

W mig zrozumiałem przyczynę tej reakcji.

Przed nami stała dziewczyna odziana w gruby, błękitny płaszcz, pod ramię z chłopakiem w ciemnej kurtce. Febe i Ham. Matko.

Dawni przyjaciele Diletty. Nieco smuklejsi, dojrzałsi i... z identycznymi, osłupiałymi minami. Jakby ujrzeli...

Ducha.

Cholera.

– Diletta, zmieniaj Minuttę w bułat. Już! – rozkazałem cicho.

Natychmiast zerwała małą szablę z łańcuszka i wbiła ją w wytatuowaną datę śmierci. Sekundę później uczyniłem to samo.

Bliźnięta wymieniły zdumione spojrzenia.

– Co... to było? – wymamrotała Febe.

Ham przełknął ślinę i nerwowo przesunął dłonią po włosach.

– Nie... nie mam zielonego pojęcia.

– Przysięgłabym, że zobaczyłam... Dilettę. Jej twarz...

– Może ci się tylko przywidziało... – zasugerował Ham, ciężko oddychając.

– I tobie też? – spytała Febe z powątpiewaniem. Ledwo powstrzymywała płacz. – Nie, Ham, to nie przywidzenie. Diletta... naprawdę na chwilę się tu pojawiła. Nie wiem jakim cudem, ale się pojawiła.

Ham objął siostrę. Trzęsa się, a po jej policzkach zaczęły cieknąć łzy. Zerknąłem na Dilettę. Niespokojnie przestępowała z nogi na nogę.

– Febe, musimy iść. Bez sensu tu tkwić.

Bliźniaczka wyraźnie się ociągała, nieprzerwanie patrząc w naszym kierunku, a dokładniej w miejsce, w którym dalej staliśmy, niewidzialni dla ludzkich oczu.

– A jeśli... – szepnęła, przymykając powieki. – Diletta... jeśli jeszcze jesteś obok... chcę ci powiedzieć, że wszystko u nas

w porządku. Radzimy sobie... i strasznie za tobą tęsknimy. I... mam nadzieję, że gdziekolwiek teraz przebywasz... czujesz się szczęśliwa... i... I już.

– Febe...

– Żegnaj, Diletto.

Odwróciła się ze spuszczoną głową i pociągnęła brata za rękę. Diletta odprowadziła przyjaciół błyszczącym wzrokiem, a kiedy zniknęli wśród przechodniów, niespodziewanie lekko się uśmiechnęła.

– Żegnajcie! – zawołała, a następnie spojrzała na mnie i uśmiechnęła się szerzej. – Chodź. Dołączymy do reszty.

Diletta

Nie mogliśmy znaleźć zakwaterowania. Nic dziwnego. Będąc właścicielką agencji nieruchomości, z całą pewnością nie wynajęłabym żadnego lokum podobnej grupie. Zawadiacki wygląd Horacia odstraszał pośredników równie skutecznie, jak absurdalne przekonanie Henriette, że im głębszy dekolt, tym większe szanse na sukces.

– To może hotel... – zaproponowała Loretta.

– Nie dysponujemy wystarczającą ilością gotówki, a nie powinniśmy pobierać pieniędzy z konta Mauzoleum – wyjaśnił Alois.

– Od razu by nas zlokalizowali.

– Macie tu konto bankowe? – spytałam. – Nieźle.

– Tak czy inaczej, skostnieliśmy – wtrąciła Henriette, pocierając dłońmi ramiona i głośno wzdychając, kiedy jakiś mężczyzna bezwstydnie puścił do niej oko. – Nie wytrzymamy długo na tym przeklętym zimnie. W dodatku wzbudzamy zbyt duże zainteresowanie.

Fakt. Siedzieliśmy na ławkach w położonym w centrum miasta parku, odświętnie ubrani, niektórzy w tunikach, z rozmazanym makijażem i twarzami pokrytymi zlodowaciałym potem. Już co

najmniej dziesięć osób minęło nas, nie mogąc oderwać wzroku. Nagle wstałam i podeszłam do zamyślonego Aloisa. Wzdrygnął się, zorientowawszy, że stoję tuż przed nim.

– Co? – burknął.

– Chyba znam kogoś, kto mógłby pomóc.

Chwilę przyglądał mi się bez słowa. Wtem pojął, o kim mówię, i aż poczerwieniał z oburzenia.

– Kiepski pomysł...

– Pewnie kiepski... Ale to jedyne wyjście – zauważyłam łagodnie.

– Nie zwrócę się do niego o wsparcie! To... sprzeczne z moją naturą!

– Alois – szepnęłam, kładąc mu rękę na ramieniu. Zadrżał pod wpływem tego dotyku. – Nie mamy wyboru.

Posłał mi rozzłoszczone spojrzenie i wreszcie skinął głową, dając do zrozumienia, że się poddaje.

– Rób, co chcesz – warknął, urażony w swojej dumie.

– Świetnie. – Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam dłoń. – Poproszę więc o drobne na telefon.

Pomyliłam cyfry i musiałam przerwać połączenie. Przytknęłam czoło do zimnego aparatu, słysząc za plecami okrzyki protestu. Wiedziałam, że ta inicjatywa nikomu się nie spodoba. Obdarzenie zaufaniem upadłego Anioła przez demona można przyrównać do ukłęknięcia w kościele i recytowania Koranu. Pomieszanie z poplątaniem.

Dla mnie to też nie było łatwe, nie tylko dlatego, że podczas pobytu w Panteonie nabrałam awersji do białych skrzydeł. Po prostu... najżywsze wspomnienie, jakie pozostało mi po najlepszym przyjacielu to... uniesiony trójząb.

Podniosłam słuchawkę i ponowiłam próbę, błagając niebo albo piekło, żeby nie okazało się, iż Noah zmienił numer.

Jeden sygnał.

Dwa.

Wtem odebrał. I świat zawirował.

– Halo?

Otworzyłam usta, lecz nie potrafiłam wyartykułować ani sylaby.

– Halo!

Odchrząknęłam.

– Cześć, Noah – wydusiłam wreszcie.

Nastąpiła chwila ciszy. Zaciśnięłam powieki, czując, że serce bije mi coraz wolniej.

– Diletta.

Uśmiechnęłam się, opierając plecami o szklaną ścianę budki. Ledwo trzymałam się na nogach.

– Kupa czasu – powiedziałam głucho. – Nie sądziłam, że rozpoznasz mój głos.

– Do końca życia go nie zapomnę – odparł natychmiast.

Zabrakło mi słów. W pełnym napięcia milczeniu czekałam, by kontynuował.

– Dzwono... dzwonisz do mnie – szepnął z niedowierzaniem. – Dalej przebywasz w Pan...

– Dzwonię z parku Eden.

Usłyszałam stłumiony jęk i dźwięk rozbijającego się o podłogę przedmiotu.

– Jak to? Jesteś tutaj?

– Tak.

– A... ale...

– Wystąpiły pewne problemy i szukam lokum, w którym mogłabym spędzić parę dni – oznajmiłam prosto z mostu. – Kiedyś... gdy żyłam, opowiadałeś, że masz małe mieszkanie na przedmieściach. Udostępniłbyś je, żebym...

– Zapraszam do mnie! – przerwał z entuzjazmem. – Wystarczy miejsca!

Zawahałam się i zerknęłam na grupę wściekłych Lilim. Wydawali się gotowi rozwalić budkę samym tylko spojrzeniem.

– To nie najlepszy pomysł. Twoi rodzice...

– W zeszłym roku przeprowadzili się na drugi koniec kraju – wyjaśnił szybko. – Nikt nam nie będzie przeszkadzał. Poza tym to dobra kryjówka: komu przyszłoby do głowy, że zadekujesz się w domu upadłego Anioła?

– Ale...

– Jesteś w parku Eden, tak? Już tam lecę!

– Ej! Pocze...

– Pa!

I się rozłączył.

Przez chwilę wpatrywałam się w słuchawkę, a następnie odłożyłam ją i wyszłam na zewnątrz. Od razu napotkałam pięć par pałających gniewem oczu.

– Uwierzcie – uśmiechnęłam się – Noah najeży się bardziej niż wy.

Wyłonił się zza drzew, biegnąc po wijącej się między zalodzonymi trawnikami ścieżce. Dostrzegł mnie i już miał zawołać, gdy nagle stanął jak wryty, tocząc wzrokiem po obserwującej go niezycliwie piątce Lilim. Resztę drogi przebył wolnym krokiem. Zatrzymał się kilka metrów od nas z taką miną, jakby właśnie poczuł smród rozkładających się odpadów. Rozpoznawszy Aloisa, skrzywił się z jeszcze większą odrazą.

– Nie wspomniałaś o nich – burknął.

Podeszłam do niego, spoglądając w te kasztanowe tęczęwki, które kiedyś – jak mniemałam – nie skrywały przede mną żadnych tajemnic.

– To... skomplikowane. Wyjaśnienia zajęłyby dużo czasu. Ale zapewniam, że to nie są twoi wrogowie. Nie w tym momencie. Nie zaliczasz się już do Aniołów, a my... nie bylibyśmy raczej mile

widziani w Panteonie.

Pokręcił głową i cofnął się. Chwyciłam go za rękę, odsłaniając jednocześnie datę na moim przedramieniu.

– Noah – powiedziałam. – Każde z naszej szóstki ma na ciele taki znak. Niczym się nie różnimy. Jeśli zdecydowałeś się użyć schronienia mnie, bez wątplenia możesz przyjąć również... ich.

Westchnął i ostrożnie, jakby bał się poparzenia, musnął kciukiem jedną z wytatuowanych cyfr, a potem delikatnie ją nacisnął.

– Twoje włosy... niemal nie urosły – oznajmił ni stąd, ni zowąd, patrząc mi w twarz. – W ogóle się nie zmieniłaś.

– A ty i owszem – zauważyłam. – Ile masz teraz lat?

– Prawie dwadzieścia.

– Rety... Jesteś już dorosły. – Uśmiechnęłam się smutno. – Studiujesz?

– Tak, teologię. Drugi rok – odparł, wzruszając ramionami. – Dzięki temu trzymam się w miarę blisko... moich, chociaż wykluczyli mnie z anielskiej społeczności.

– Gdybym też mogła studiować... – szepnęłam w zamyśleniu. – Gdybym mogła poczuć niepewność związaną z wyborem odpowiedniego kierunku... Gdybym mogła pożyć dłużej...

Noah zabrał rękę i chwilę bacznie się jej przyglądał.

– Twój dotyk... pozostał taki sam – stwierdził wreszcie. – Twój głos, twoje oczy... to ciągle ty, prawda?

Nie odezwałam się, uznając milczenie za najwłaściwszą odpowiedź.

– Dobra, chodź do domu. Razem ze swoimi diabelskimi przyjaciółmi – mruknął, odwracając się. – Pospieszcie się. Straszny ziąb.

Skinęłam głową i gestem dłoni wezwałam Lilim. Zawahali się, nie ukrywając niechęci. Jedyнным, który wnet się zbliżył, okazał się Alois.

– Wszystko gra? – spytał ostrzegawczym tonem.

– Noah was zaprowadzi do siebie – odparłam spokojnie. – Jakiś czas się u niego zatrzymamy.

– Was zaprowadzi? – powtórzył Alois ze zdziwieniem. – A ty dokąd się wybierasz?

– Mam sprawę do załatwienia – poinformowałam i zanim zdążył zaprotestować, dodałam: – Nie martw się, pamiętam adres Noaha. Trafię.

Usiłował mnie złapać, ale wywinęłam się i energicznym marszem ruszyłam ku bramie parku. Wołał za mną, lecz nawet nie zwolniłam, a kiedy zniknęłam z jego pola widzenia, puściłam się biegiem.

Zdawałam sobie sprawę, że właśnie łamię wszelkie reguły, jednak się tym nie przejmowałam. Bardziej chyba nie skomplikuję swojej i tak trudnej sytuacji. Przecież już jestem potępiona. Mieszkam w piekle, z demonami, a ścigają mnie i Anioły, i diabły... Gorzej raczej być nie może.

Ostatnie metry pokonałam pomaleńku, odnosząc wrażenie, że coś napiera mi na pierś i nie pozwala przyspieszyć kroku. Stałam przed drzwiami i drżącą ręką nacisnęłam klamkę: otworzyły się z lekkim skrzypnięciem, niezamknięte na klucz. Gdy weszłam do budynku, który przez prawie osiemnaście lat nazywałam domem, powitała mnie cisza.

Przymrużyłam powieki i głęboko odetchnęłam, napełniając płuca znajomą wonią maminych perfum. Zawsze pachniał nimi każdy kąt... Często naśmiewałam się z mamy, mawiając, że spryskuje się tak obficie, iż odnalazłabym ją z zasłoniętymi oczami, podążając za tym intensywnym, lawendowo-miętowym aromatem.

– Mama... – szepnęłam.

Wtem usłyszałam hałas upuszczanego na podłogę przedmiotu i bez wahania skierowałam się do salonu, skąd doszedł dźwięk.

Zatrzymałam się na progu, ogarnięta nagle takim żalem, że niemal zaczęłam się trząść. Świadomość, że choćbym nie wiem jak

tego pragnęła, ta przestrzeń nie stanie się na nowo moim miejscem na ziemi, była nie do zniesienia. Utraciłam prawa domownika. Należę do innego świata.

Już miałam odwrócić się i uciec, gdy rozległ się radosny śmiech. Zrobiłam krok w przód i powiodłam wzrokiem po pokoju. Naprzeciwko telewizora, pomiędzy dwiema kanapami z delikatnej brązowawej skóry, dostrzegłam niewysokie – sięgające mi mniej więcej bioder – kolorowe, kwadratowe ogrodzenie. Przypominało dziecięcy kojec.

Kolejny wybuch śmiechu odbił się echem od ścian salonu.

Boże. To nie tylko przypomina dziecięcy kojec. To JEST dziecięcy kojec...

Podeszłam bliżej, z sercem bijącym jak oszalałe, i oparłam się o plastikową barierkę, z trudem utrzymując równowagę. Wtedy zobaczyłam wpatrujące się we mnie dwie pary różnobarwnych oczu.

Jęknęłam, przyciskając dłoń do piersi.

Maluchy. Kilkunastomiesięczne maluchy. Bliźnięta. Chłopczyk i dziewczynka, z heterochromią i rudawymi, podobnymi do moich włosami. Przyglądali mi się z ciekawością, prawie z rozbawieniem.

Chłopiec uśmiechnął się i uniósł pulchną rączkę. Rety.

Ta dwójka... to moje rodzeństwo.

Wzdrygnęłam się, chwytając wiszącą na szyi Minuttę, kiedy doleciał mnie brzęk tłuczonego szkła. Zerknąwszy przez ramię, ujrzałam oniemiałą kobietę. U jej stóp, w niewielkiej brązowej kałuży, leżała roztrzaskana filiżanka.

Pod powiekami wezbrały mi łzy, zamazując widok.

– Mama – wymamrotałam, delektując się tym słowem.

Nie odezwała się. Stała nieruchomo, zupełnie sparaliżowana. Szybko otarłam oczy, nakazując sobie w myślach zachowanie spokoju. Jest nie tyle przestraszona, ile zatrwożona, więc muszę

postępować rozważnie, bez względu na to, jak niedorzeczna wydaje się ta sytuacja.

– Mamo – powiedziałam wolno. – Nie bój się. To ja, Diletta. – Odczekałam chwilę i kontynuowałam: – Przypuszczalnie podejrzewasz, że masz halucynacje lub że zwariowałam, ale przysięgam, że... – przełknęłam ślinę i po moim policzku spłynęła łza

– to ja, mamo. Diletta. Uwierz mi, proszę.

Zbliżyła się o krok, na co cofnęłam się i uderzyłam piętami w ściankę kojca.

– Mama, tio tio? – spytało jedno z bliźniąt cienkim głosikiem. Zastłoniła usta dłonią i histerycznie pokręciła głową. Wyglądała niczym obłąkana.

– Boże... ja nie śnię – szepnęła. – Rzeczywiście... tu jesteś.

– Tak, mamo. Jestem tutaj. Z tobą.

Niespodziewanie znalazła się tuż przy mnie i nim zdążyłam zareagować, objęła tak mocno, że aż stęknęłam.

– Diletta... Diletta, Diletta, Diletta – powtarzała.

Nie wiem, ile minut spędziłyśmy w tej pozycji. Gdy w końcu rozluźniła uścisk i nieco się odsunęła, czułam się kompletnie rozbita i wręcz wyczerpana.

– Ty... ty...

– Nie, mamo. Nie żyję – oznajmiłam bez ogródek.

Nigdy wcześniej nie informowałam w równie otwarty sposób o swojej śmierci. I było to tak intymne wyznanie jak wyjawienie, z kim się po raz pierwszy całowałaś albo o kim nocami marzysz... Podwinęłam rękaw i pokazałam mamie wytatuowane na skórze cyfry.

Krzyknęła cicho i zacisnęła mi palce na barkach.

– To dzień... kiedy uderzył w ciebie tamten samochód. Boże. – Spojrzała na sufit, silnie drżąc. – Boże. Nic nie rozumiem.

Ledwie powstrzymywałam ponownie napływające do oczu łzy.

Głęboko nabrałam powietrza, usiłując się opanować.

– Nie mogę ci tego wytłumaczyć. Nie mogę... i nie powinnam. – Uśmiechnęłam się. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że dobrze mi tam, gdzie trafiłam... Jestem szczęśliwa. I chociaż często, nim zasnę, myślę o tobie i czasem pragnę umrzeć jeszcze raz, bo zbyt za tobą tęsknię, to... naprawdę jestem szczęśliwa.

Spuściła głowę i nagle, ku mojemu zdziwieniu, zaczęła się śmiać.

– Wierzę ci, Diletto... – szepnęła, znowu mnie przytulając. – Nie pojmuję dlaczego... lecz ci wierzę.

Nagły wybuch radości bliźniąt skłonił nas do nachylenia się nad kojcem.

– Jakie mają imiona? – spytałam.

Mama pogłaskała dziewczynkę po policzku. Mała od razu wtuliła się w nią niczym w ulubionego pluszaka.

– Demian i Ángela.

– Ładnie.

Nachyliłam się mocniej i zmierzwiłam chłopczykowi włosy. Pisnął wesoło, klaszcząc w dłonie. Jego lewa tęczówka była czarna, a prawa szarawa. U Ángeli kolory ułożyły się odwrotnie.

– Cześć. Oto i wasza starsza siostra. Nazywam się Diletta.

Nagle rozległo się bicie zegara. Mama wzdrygnęła się i gwałtownie wyprostowała, blednąc.

– Co się dzieje? – zaniepokoiłam się.

– Ósma. Niebawem przyjdzie Jerome.

Kurde.

– Muszę więc lecieć – powiedziałam, natychmiast kierując się ku wyjściu.

– Nie może mnie tu zobaczyć. To... niewskazane.

– Ale... – złapała moją rękę i przytrzymała – wró... wrócisz?

Odwzajemniłam uścisk. Obie dygotałyśmy. Pragnęłyśmy się objąć i już nigdy nie puścić. Cholerny Jerome. Cholerna godzina. Cholerna śmierć.

– Jasne – zapewniłam. – Nie wiem kiedy... ani czy będę wtedy dla ciebie widzialna. Ale wrócę, oczywiście. Zorientujesz się, gdy się pojawię.

Popatrzyłyśmy sobie w oczy i padłyśmy w ramiona w gorączkowym, rozpaczliwym, krótkim, a zarazem niekończącym się geście pożegnania; geście pełnym miłości przepelniającej każdą komórkę ciała. Gdy się odsunęłam, poczucie straty i opuszczenia sprawiało wręcz fizyczny ból.

– Pa, mammo.

Pomachała ręką i obtarła łzy.

– Żegnaj, Diletto. Uważaj na siebie... gdziekolwiek mieszkasz. Kocham cię.

Rzuciłam się biegiem. Jedynie w ten sposób mogłam oddalić się od domu i od rodziny: pędząc najszybciej, jak umiałam. Uciekając. Gdybym szła, w końcu bym zawróciła i została z mamą. I nie przejęłabym się zjawieniem ani Jerome'a, ani Stratega, ani nawet samego Szatana.

Ciężko dysząc, zatrzymałam się na rogu ulicy i oparłam dłonie o kolana, zupełnie bez sił. Marzyłam, by zasnąć. Na zawsze.

– Domyśliłem się, że tu przyjdiesz.

Uniosłam powieki i w odległości kilku centymetrów od swoich czółenek na obcasie dostrzegłam lilimowe buty. Wyprostowałam się i napotkałam intensywne spojrzenie zielonych oczu.

– Alois – szepnęłam. – Śledziłeś mnie?

– Nie musiałem. Od razu odgadłem, dokąd się wybierasz – odparł nonszalancko.

Rozejrzałam się i ponownie utkwiałam wzrok w jego twarzy.

– Usłyszę teraz, że pogwałciłam najważniejszą regułę Świata Zmarłych?

– Nie... Po co wypominać ci coś, z czego doskonale zdajesz sobie sprawę – stwierdził. – Zresztą... w naszej sytuacji... to chyba bez

znaczenia.

Westchnęłam i opadłam na krawężnik. Na niebie nie świeciła ani jedna gwiazda, a tylko zimny księżyc. Wierny obraz mojego stanu ducha.

Ja, sama, a wokół nieprzenikniona ciemność.

– Jak się ma twoje rodzeństwo? – spytał nagle Alois.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem. Usiadł obok i położył wyciągnięte ręce na podkulonych nogach. Chociaż wpatrywał się w nieokreślony punkt przed sobą, wydawało się, że niecierpliwie czeka na odpowiedź.

– Skąd wiesz?

Zaczerwienił się i nerwowym ruchem zmierzwił włosy.

– Powiedzmy, że... – odchrząknął – wpadłem tu niedługo po tym, jak przeniosłaś się do Panteonu. I... doszedłem wówczas do wniosku, że... albo twoja mama potwornie przytyła, albo spodziewa się bliźniaków.

Ostępiałam.

– Ale... dlaczego ją odwiedziłeś? Dlaczego nie pisałeś ani słowa?

Zawahał się i lekko skrzywił, nie mogąc ukryć zmieszania.

– Tak męczyłaś biadoleniem, że straciwszy drugie dziecko, popełni samobójstwo, że postanowiłem osobiście sprawdzić, czy się trzyma. – Zerknął na mnie i szybko odwrócił wzrok. – A nic nie wspomniałem na ten temat... bo nie chciałem, byś pomyślała, że się o nią martwię. Albo o ciebie. Starąłem się raczej pokazać, że jesteś mi obojętna.

Położyłam mu głowę na ramieniu i poczułam, że zadrżał. Wysunęłam do przodu lewą rękę. Blask księżycyca wyeksponował bliznę po ranie, jaką zadał mi pewnego wrześnieowego poranka, dwa lata temu w Świecie Żywych.

– Od początku wiedziałam, że tego dnia przestałam być ci obojętna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gra umarłych

Diletta

Obudziło mnie delikatne pukanie. Raptownie usiadłam, przecierając oczy i głośno ziewając, a następnie zerknęłam na zegarek. Chociaż zbliżało się południe, czułam się potwornie zmęczona.

Loretta najwyraźniej wstała wcześniej: łóżko obok było puste.

– Wejź, Noah – zawołałam, przeczesując palcami włosy.

Natychmiast wsunął głowę do pokoju.

– Skąd wiedziałaś, że to ja?

– Proste. Mało kto z moich znajomych puka. Większość wpada bez ostrzeżenia albo wali w drzwi tak mocno, jakby chciała je wyważyć.

Nim puścił klamkę, wyjrzał na korytarz, skąd dochodziły odgłosy włączonego telewizora i ożywionych rozmów. Rozpoznałam tubalny śmiech Kaspara i piskliwy chichot Loretty.

– Twoi przyjaciele... sprawiają wrażenie porządnych lu... Lilim – zauważył. – Nie miałem pojęcia, że zadajesz się z elitą Panteonu – zażartował. – Chyba krążą tam o tobie legendy. Niewielu udaje się zostać oficerem z pominięciem nauki w Akademii.

– Czego ci więcej naopowiadali? – spytałam ze zdumieniem.

– Cóż... Loretta jest dosyć gadatliwa.

– Powiedziałabym raczej, że kawał z niej papli.

Noah przysiadł na tapczanie i oparł brodę na rękach.

– Nie zdziwiłem się, zobaczywszy go w parku... obok ciebie –

oznajmił niespodziewanie. – Od początku przypuszczałem, że... skończycie razem.

Momentalnie się zaczerwieniłam. Nie odrywał ode mnie świdrującego wzroku, niemal przeszywając na wylot.

– Kochasz go.

Nie wychwyciłam w tym stwierdzeniu ani cienia wątpliwości. Nerwowo przełknęłam ślinę, zakrztusiłam się i rozkaszałam, a kiedy do siebie doszłam, zrobiłam się jeszcze bardziej czerwona. Uszy mi wręcz płonęły.

– Pocałował mnie, wiesz? – szepnęłam. – Zanim... zanim musieliśmy uciekać z Mauzoleum... Pocałował w obecności wszystkich Generałów.

Nastąpiła chwila ciszy.

– I jak zareagowałaś?

Milczałam, wpatrzona w kołdrę.

– Szkoda – westchnął smutno Noah. – Wielka szkoda, że to się tak potoczyło.

– Szkoda?

– Niesprawiedliwe, że znaleźliśmy się na przeciwległych biegunach. Niby yin i yang czy światło i ciemność... Ja... – przesunął ręką po włosach – ... kochałem cię jak siostrę. Dalej kocham. Może wbrew temu, co nam wrócono, nie stanęlibyśmy na ślubnym kobiercu, ale jestem pewny, że gdybym... nie odkrył w tobie kandydatki na Lilim, nasza przyjaźń przetrwałaby całe życie.

Kilkadziesiąt sekund obserwowałam go bez słowa, usiłując zebrać myśli.

– Wczoraj... trzęsłam się, kiedy dzwoniłam. Bałam się, ponieważ...

– Przykro mi, że cię wtedy zaatakowałem – wtrącił. – Mocno to przeżyłem.

– Nie chodzi o lęk przed tobą, Noah. Przestraszyłam się,

uświadomiwszy sobie, że mimo iż doskonale pamiętam tamto zdarzenie, to... wróciwszy do Świata Żywych, do miasta, w którym kiedyś mieszkałam, pragnęłam cię znowu zobaczyć.

Nim zorientowałam się, co się dzieje, przyciągnął mnie i objął. Jego barki szybko wznosiły się i opadały, jakby z trudem łapał oddech albo... ledwie hamował łzy.

Przymrużyłam powieki i dałam się ponieść płynącemu od niego ciepłu, przypominającemu, ile dawniej dla mnie znaczył. Trwaliśmy tak, Anioł wtulony w demona, i marzyłam, by Bóg lub Szatan byli tego świadkami.

Wtem drzwi otworzyły się na oścież i ujrzałam nachmurzoną twarz Aloisa.

– Przeszkadzam? – spytał z niebezpiecznym błyskiem w oczach.

Alois

Ptaszydło i Diletta gwałtownie się od siebie odsunęli: ona, zaczerwieniona po uszy, on zaś z wyzywającą miną.

Aż się prosił, żeby mu przyłożyć.

– Bynajmniej – odparła pospiesznie Diletta.

Skrzyżowałam ramiona. Inaczej nie powstrzymałbym się od uduszenia tego cholernego upadłego Anioła.

– Jasne – warknąłem i zwróciłem się do Noaha: – Zostawisz nas samych?

– Niby dlaczego? To mój dom – zauważył ze sztuczną obojętnością. – Mogę przebywać, gdzie mi się podoba, a tak się składa, że akurat...

– Noah... – przerwała Diletta.

Skrzywił się, ale natychmiast wstał i mierząc mnie wrogim spojrzeniem, skierował się do wyjścia. Żałowałem, że Diletta widzi teraz tylko jego plecy. Gdyby miała szansę podziwiania owego grymasu... Anielski, pełen słodczy obraz Noaha, jaki mimo wszystko nadal nosi w pamięci, zaraz by się zdezaktualizował.

– Dzięki, ptaszku – mruknąłem.

Udał, że nie słyszy. Mijając mnie, lekko zawadził barkiem, a chwilę później zniknął za drzwiami, delikatnie je zamykając.

W pokoju zaległa kompletna cisza. Patrzyliśmy na siebie z Diletą, a po moim ciele zaczęła rozlewać się gorąca, pulsująca ciecz, silniej niż kiedykolwiek obezwładniając mi zmysły i umysł. Nie byłem w stanie wydusić ani słowa.

Diletta zdawała się porażona. Chyba nawet przestała oddychać.

– Cześć – szepnęła w końcu i od razu zasłoniła usta dłonią, świadoma, że palnęła głupstwo.

Ale właśnie dzięki temu nieco oprzytomniałem. Roześmiałem się, a zbyt napięta atmosfera odrobinę się rozluźniła.

– Toś powiedziała... – zadrwiłem. – Cześć, Diletta.

Przybrała urażoną minę, czym zupełnie się nie przejąłem. Granie jej na nerwach należy do tych rozrywek, których – mimo radykalnej zmiany uczuć – nie potrafię sobie odmówić.

– No dobra, o co chodzi? – burknęła, podnosząc się z łóżka. – Domyślam się, że o coś niesamowicie ważnego, skoro wyrzuciłeś z pokoju jedyne żyjącego przyjaciela, z jakim jeszcze mogę rozmawiać.

– Przyjaciela? Przecież to ptaszyczo próbowało cię zabić!

– Ty za to jesteś najbardziej odpychającą ze znanych mi osób, a jednak...

– urwała strwożona, blednąc i niemal równocześnie się czerwieniąc, o mały włos nie wyjawivszy najwyraźniej czegoś, co traktowała niczym sekret i czego nie chciała wyznać za żadne skarby świata.

Zrobiłem krok w jej stronę. Cofnęła się z uniesionymi rękoma, jakby się przed czymś broniła.

– A jednak... co?

Gorączkowo pokręciła głową, potrząsając rudawymi kosmykami.

– Nic. Absolutnie nic.

Atmosfera ponownie stała się ciężka i duszna. Wdychanie powietrza sprawiało fizyczny ból, przypominając połykanie wrzątku. Napięcie było wręcz namacalne.

– Odgadujesz, dlaczego zależało mi, żeby Noah wyszedł?

– Nnie... – wyjąkała.

Dałem kolejny krok w przód, a Diletta starając się nie dopuścić do zmniejszenia dystansu między nami, okrążyła łóżko i przywarła plecami do ściany.

– Chciałem zostać z tobą sam na sam – szepnąłem, z trudem nad sobą panując – by przekonać się, co teraz nastąpi.

– Co teraz nastąpi? – powtórzyła drżącym głosem. – To znaczy... co teraz zrobimy, ścigani przez całe Mauzoleum?

– Doskonale wiesz, że nie o tym mówię – uśmiechnąłem się, podchodząc bliżej i zatrzymując się metr od niej. – Pocałowałem cię. Bez twojej zgody. Pocałowałem, bo tego pragnąłem, Diletta. Pocałowałem cię, bo nie mogłem dłużej wytrzymać.

Pochłaniała mnie rozszerzonymi źrenicami, a na jej skroniach, mimo wpadającego przez nieszczelne okno zimna, pojawiły się kropelki potu.

– Czego nie mogłeś wytrzymać? – spytała ledwo słyszalnie.

– Samooszukiwania się. Zaprzeczania temu, co do ciebie czuję. Powoli zniwelowałem dzielącą nas jeszcze odległość. Miała czas, by się odsunąć, lecz nie poruszyła się ani o centymetr.

Delikatnie, gestem na granicy pieszczoty, przejechałem rękoma po jej ramionach, a potem nachyliłem się, aż nasze czoła i nosy się zetknęły. Widziałem, jak przygryza wargi niemal do krwi i ucieka wzrokiem, nie mogąc znieść mojego spojrzenia. Wreszcie znowu utkwiała we mnie oczy, oślepiając na moment brązowo-niebieskim blaskiem. Zacisnąłem palce wokół jej nadgarstków i wstrzymałem oddech. Po plecach przeszedł mi wywołujący gęsią skórę dreszcz.

Przymknąwszy powieki, Diletta rozchyliła usta i z niezwykłą

wręcz siłą chwyciła mnie za ramiona, i wtem popchnęła tak gwałtownie, że oboje przewróciliśmy się na podłogę.

– Uwaga! – krzyknęła.

Sekundy później pokojem wstrząsnęła potężna eksplozja, pozostawiając w ścianie, o którą przed chwilą się opieraliśmy, ogromną wyrwę, zasypując wszystko gruzem i skrywając meble w gęstym, białym pyłe. Natychmiast dostaliśmy ataku kaszlu.

Zasłoniłem Dilettę własnym ciałem, usiłując ochronić przed skutkami wybuchu.

– Znaleźli nas... – szepnęła.

– Rety... Skąd wiedziałaś, co się wydarzy?

Posłała mi szybki uśmiech, zmieniając jednocześnie Minuttę w bułat.

– Zorya jest zdrajcą, ale sprawdził się w roli nauczyciela.

W tej samej chwili drzwi z hukiem się otworzyły i do sypialni zajrzało pięć zaniepokojonych, wyposażonych w narzędzia walki postaci.

– Gra umarłych... – mruknąłem, wbijając Minuttę w pierś.

– Czyli? – zaciekawiała się Diletta.

– Złamanie wszelkich reguł – wyjaśniłem, wstając i otrzepując ubranie. – Atakuję w biały dzień, na oczach żywych, będąc zarazem dla nich niewidocznymi i ignorując ryzyko zaalarmowania Aniołów. Gra umarłych... – powtórzyłem w zamyśleniu. – Kiedy duch się nudzi albo chce osiągnąć jakiś cel, zwraca na siebie uwagę, hałasuje, ściera się z innymi zjawami, straszy ludzi... Dokładnie to postanowili zrobić.

Horacio Kaspar uśmiechnął się i dodał:

– Bez patyczkowania się.

Diletta

– Musimy się stąd ulotnić – zawołała Henriette, wskazując klingą olbrzymią dziurę w ścianie. – Nie wolno dopuścić do kolejnych

eksplozji, i tak wzbudziliśmy już zainteresowanie istot ludzkich. Przełknęłam ślinę. Potworne... Żywi nie widzą nas, a jedynie efekty naszych działań: jeśli upuściłabym teraz szklankę z wodą, dostrzegliby tylko spadające w niewytłumaczalny sposób naczynie... Bezsprzecznie ci, którzy podjęli równie otwartą ofensywę, ostro przeholowali.

– Ruszamy!

Czarne skrzydła Horacia i Aloisa błyskawicznie się rozwinęły, zajmując sporą część pokoju. W powietrzu zawirowało kilka piór.

– Idę z wami!

Ze zdumieniem spojrzałam na autora tych straceńczych słów. Noah zbliżył się, dzierżąc wielki trójząb. Z pleców sterczały mu dwa nędzne, łyse kikuty, podobne do uschniętych gałęzi trafionego piorunem drzewa. Wzdrygnęłam się, przypominając sobie biel jego dawnego anielskiego atrybutu.

– Nie możesz! – pisnęłam, przytrzymując przyjaciela za ramię. – Nie... jesteś przygotowany!

Wyrwał się. W zwykle łagodnych czekoladowych oczach odmalował się gniew.

– Pozbawili mnie skrzydeł, Diletta, lecz dalej czuję się Aniołem – stwierdził oschle. – I postanowiłem zmierzyć się z diabłami odpowiedzialnymi za ten akt agresji.

– Ale...

– Zostaw go – wtrącił Alois. – Przyda się dodatkowa pomoc. Nie wiemy, ilu Lilim bierze udział w natarciu ani jak są potężni.

Noah zaśmiał się drwiąco, przesuwając palcami po metalowych zębach broni.

– Choć raz w czymś się zgadzamy.

Podczas gdy Horacio Kaspar obejmował w talii struchlałą Lorette, szykując się do skoku przez wyłom w murze, Alois ugiął nogi, zniżając grzbiet do wysokości moich bioder.

– Wdrapuj się – powiedział. – Przespacerujemy się.

W innych okolicznościach już bym się zaczerwieniła, lecz teraz zbyt się bałam, by protestować. Zaplotłam ramiona wokół jego szyi, mocno się przytulając, i skupiłam się na powtarzaniu w myślach wszystkich znanych mi modlitw.

Po chwili znaleźliśmy się na zewnątrz, powitani przez silny podmuch wiatru. Alois z pewnym wysiłkiem ustabilizował lot, a następnie wzniósł się i wylądował na dachu domu Noaha. Reszta grupy już czekała, ze wzrokiem wbitym w horyzont. Akurat zaczęło lać, a pod naszymi stopami zbierał się tłumek gapiów zwabionych odgłosem wybuchu.

Zacisnęłam powieki, kiedy mój dar przekazywał potrzebną informację.

– Jest ich dziewięcioro – oznajmiłam. – W tym czwórka Generałów.

Niemal natychmiast zostaliśmy otoczeni przez uzbrojone postacie, niektóre osłonięte olbrzymimi ciemnymi skrzydłami, niemal stapiającymi się z ołowianą szarością nieba.

Górowali nad nami liczbą oraz kwalifikacjami. Ujrzałam wpatrującą się we mnie z nieskrywaną wrogością Charlotte Brennt; lodowatą twarz Dimitriego Valyi; Darda i Chanlera, a tuż obok celującego do nas Ángela Vendettę. Nieco z tyłu stała poważna Mei Tsu-zu, z Minuttą w dalszym ciągu nieprzekształconą w kuszę, a na lewo od niej Strateg, z siwymi, przylepionymi do czaszki mokrymi włosami, uważnie obserwujący rozgrywającą się scenę. Enns i Zorya zatrzymali się przy krawędzi dachu.

Ledwie powstrzymałam się od rzucenia na tę dwójkę.

– Diletta – szepnęła Elizabeth. – Skąd wiedziałaś? Sądziłam, że jedyne, co potrafisz przewidzieć, to kolejne posunięcie drugiej osoby...

Spuściłam głowę, by uniknąć spojrzenia niebieskich oczu Zoryi.

Zbyt onieśmiało i... prowokowało.

– Nie... nie tylko – odparłam. – Kiedy żyłam, sięgałam wzrokiem dalej niż inni ludzie, a po śmierci sięgam... poza teraźniejszość. Dzięki lekcjom z Zoryą uświadomiłam sobie, że umiem zobaczyć najbliższą przyszłość.

Alois nieznacznie się skrzywił, ale nie odezwał się. Chyba zaboląły go te słowa... Trudno.

Po raz pierwszy głośno wyjawiałam, na czym naprawdę polegają moje zdolności... Wciąż szwankują, gdy jestem zbyt poruszona. Właśnie dlatego przed kilkudziesięcioma minutami nie odgadłam, że Noah otoczy mnie ramionami.

Przede mną jeszcze sporo pracy.

Niestety, teraz ten osobliwy dar niewiele może pomóc. Nie dam rady z wyprzedzeniem zorientować się, co zrobi każde z dziewiątki Lilim.

Nagle rozległ się stanowczy i opanowany głos Stratega:

– Aloisie Petersen, w imieniu społeczności Mauzoleum rozkazuję ci... proszę cię, żebyś oddał się w nasze ręce, nie stawiając oporu.

Skończywszy, Zaccaria lekko pochylił się, dotykając przypiętej do krwistoczerwonej tuniki Minutty. Od razu do niego podeszłam. Nogi poniosły mnie same...

– Proszę pana – odchrząknęłam – musi nam pan uwierzyć. Przysięgam, że Alois jest niewinny. – Wymownie popatrzyłam na dowódców Czwartego Oddziału. – Oskarżacie niewłaściwą osobę!

Enns odpowiedział mi tak nienawistnym spojrzeniem, że zadygotałam.

W mojej głowie pojawił się następny ostrzegawczy obraz i z trwogą zwróciłam się ku Charlotte, szykującej się do strzelenia ze średniej wielkości przenośnej armaty, podobnej do tych, jakie widywałam w filmach o rewolucji francuskiej. Krzyknęłam, padając na mokre dachówki. Horacio, Loretta, Henriette i Elizabeth

natychmiast odskoczyli, za to Alois stanął między mną a Generał Brennt z uniesioną bronią.

– Co ty wyprawiasz? – pisnęłam, obserwując lecącą w naszą stronę kulę.

Odbił pocisk na bezpieczną odległość, zupełnie jakby klinga floretu zmieniła się w pancerny kij bejsbolowy. Wybuch na moment oślepił mnie i ogłuszył, ale nie odrzucił. Alois również nie został ranny: czarne skrzydła zasłoniły go niby tarcza.

Niesamowite...

– Nie pozwolicie nawet, byśmy złożyli wyjaśnienia? – spytał zimno, otrzepując się z pyłu.

– Ścierwo z was... Morderca, grupa zdrajców i... upadły ptaszek

– wycedził Dimitri Valya, z obrzydzeniem zerkając na kikuty Noaha.

– Nie zasługujecie na możliwość wypowiedzenia się.

– Kiedy Diletta ma rację! – zawołała Elizabeth, mierząc wzrokiem Darda i Chanlera. – Alois Petersen nigdy nie zabił żadnego Lilim!

– W takim razie kto, Generał Dywizji, pozbawił życia Zaha Browna i lekarza? – wtrącił się Ángelo Vendetta.

– E...

Nowy atak Charlotty Brennt zmusił nas do zamilknięcia i skupienia się na kolejnym uniku. Usłyszeliśmy dobiegające z ziemi wrzaski. Zebrani wokół budynku gapie bez wątpienia byli ciężko przerażeni tym niepojętym spektaklem, polegającym na pojawiającym się znienacka ogniu i dymie oraz towarzyszącym im tajemniczym wybuchom...

– Bezspornie traktujecie to całkiem serio – zaśmiał się Kaspar. – Odlóżmy więc rozmowy na później.

I wtem zdało mi się, że ktoś nacisnął klawisz „przewiń do przodu”. Lilim natarli na siebie z niewyobrażalną wręcz prędkością. W ostatniej chwili uchyliłam się przed ostrzem sztyletu Chanlera. W mig zrozumiałam przyczynę owego zawrotnego tempa akcji:

aktualnie jesteśmy przecież bezcielesnymi duchami... Choć wyglądamy normalnie, wypełnieni powietrzem ważymy tyle co nic, dzięki czemu możemy poruszać się szybciej niż zwykle.

Dało się to odnotować szczególnie w przypadku Lilim najwyższych stopniem.

– Muszę cię stąd wyciągnąć – szepnął Alois, z łatwością odpierając natarcie Dimitriego Valyi.

Generał ewidentnie się na niego wziął.

– Oni chcą ciebie! I zabierz Lorette, nie potrafi przewidywać ataków jak ja!

– Kretynko, Kaspar już się nią zajął. Zresztą co ci po przewidywaniu ataków, skoro jesteś zbyt wolna, by na czas przed nimi uskoczyć?

– Ale...

Nie słuchał. Kopnięciem w brzuch odepchnął Valyę, chwycił mnie i zatrzepotawszy skrzydłami, odleciał.

Z niepokojem zerknęłam przez ramię na panujący w dole chaos. Generał Kaspar, z przestraszoną Lorette na plecach, bronił się przed ustawicznymi ciosami Charlotty Brennt. Henriette przecięła drogę mającemu za nami popędzić Dimitriemu i ścięli się w bezpardonowej, morderczej walce, co rusz z furią krzyżując klingi. Elizabeth ostatkiem sił odparowywała uderzenia swych... do niedawna przyjaciół. Najgorzej wyglądała sytuacja Noaha, rozpaczliwie umykającego przed nieustępliwym Generałem Vendetta. Strateg i Mei Tsu-zu stali z boku, bacznie przyglądając się toczony bitwie.

Nagle pojawił się przed nami cień jakiejś postaci. Alois wyhamował, a zanim gwałtownie zapikował, zdążyłam dostrzec znajomy, nienaturalnie szeroki uśmiech.

Wylądowaliśmy na średnio ruchliwej ulicy. Przechodnie nie zwracali uwagi ani na naszą broń, ani na przemoczone ubrania. Nic

dziwnego, skoro pozostajemy niewidoczni dla ludzkich oczu...

– Dlaczego mnie tu... postawiłeś? – spytałam z lękiem.

– Mam sprawę do załatwienia.

Od razu zorientowałam się, o co chodzi, i histerycznie pokręciłam głową.

– Nie rób tego! On... może cię zranić, Alois. Jest nienormalny! Na sekundę rozpromienił się i delikatnie przejechał mi kciukiem po wytatuowanej na lewym przedramieniu dacie śmierci.

– Nie martw się, poradzę sobie – zapewnił, rozpościerając skrzydła. – Uciekaj stąd jak najdalej. Odnajdę cię.

– Pocze... – Nie skończyłam, gdyż niespodziewanie ujął w dłonie moją twarz i poczułam zapierający dech dotyk jego ust.

Ten pocałunek był krótki, zbyt krótki, ale wystarczył, by wywołać zniewalającą burzę emocji i sprawić, że kiedy Alois się odsunął, ledwo trzymałam się na nogach. Patrzyłam na niego z ciągle rozchyłonymi wargami.

– Do zobaczenia, Diletto.

I wzniósł się w powietrze.

Nerwowo rozejrzałam się dookoła, mało co widząc przez ścianę deszczu oraz morze kolorowych parasoli, a po chwili, przeklinając w duszy polecenie Aloisa, zerwałam się do biegu.

Pędziłam co tchu, klucząc między pieszymi. Adrenalina pobudziła odurzone zmysły, a serce zaczęło walić jak oszałałe.

Nagle poślizgnęłam się w kałuży i przewróciłam, uderzając brodą o chodnik. Asfalt zabarwił się na czerwono, szybko jednak zapomniałam o bólu, z przestachem rejestrując umysłem obraz zbliżającego się energicznym krokiem wysokiego, młodego mężczyzny. Tylko się podniosłam, a już zatrzymał się przede mną, świdrując niebieskimi oczami.

Właśnie śnię najgorszy ze swoich koszmarów.

– Cześć, Diletto – powiedział Zorya.

Alois

Wzleciawszy ponad dachy zabudowań, wreszcie go ujrzałem. Dalej szczyrzył zęby w odpychającym uśmiechu.

– Braciszku! – zawołał, skłaniając głowę w geście powitania.

Zakołysałem floretem, poprawiając ułożenie dłoni na rękojeści.

– Enns.

W tej sekundzie oślepiająca błyskawica przecięła na pół ciemne niebo. Zagrzmiąło, a żywi w dole natychmiast przyspieszyli. Deszcz zacinał z coraz większą siłą.

– Zdaje się, że niebiosa są niepocieszone walką dwóch braci – zauważył Enns z udawanym smutkiem.

– Nie traktuję cię już jak brata – warknąłem.

– Oho, co za ton. Jakbym słyszał głos dorosłego mężczyzny, a nie wkurzająco trudnego do zabicia dzieciaka – zakpił, nonszalancko bawiąc się klingą.

Skrzywiłem się i odgarnąłem z czoła mokre włosy. Na pozór zachowywałem spokój, ale w rzeczywistości krew aż kipiała mi w żyłach. Ledwie się hamowałem, by się na niego nie rzucić.

– Przecież wiesz – wycedziłem, wyraźnie artykułując każdą sylabę. – Wiesz, że odkryliśmy, iż jedyni zdrajcy to ty i Zorya.

– Wyłącznie to tłumaczy, że pięcioro Lilim pomogło ci uciec z Panteonu – odparł, wzruszając ramionami. – Nikt nie wstawiłby się za tobą z czystej sympatii. Umiejętność zjednywania sobie przyjaciół nie należy do twoich mocnych stron.

Nie wytrzymałem i z furią przypuściłem atak. Kilkakrotnie potężnie uderzyłem w ostrze jego szpady, która zadrżała z powodu brutalności tych ciosów. Kierował mną wręcz zwierzęcy instynkt.

– Dlaczego?! – krzyknąłem. – Dlaczego to zrobiłeś?!

– Długo by opowiadać, a nie czas teraz i miejsce – mruknął, trzepocząc skrzydłami, żeby się ode mnie oddalić. – W skrócie: miałem ochotę zmienić obóz. Ty zaś okazałeś się idealnym

kandydatem na kozła ofiarnego.

Błyskawicznym ruchem uniosłem rękę i czubkiem uchwytu broni trafiłem Ennsa w czoło. Rozległ się chrupot, a kiedy się odsunąłem, poczułem spływającą po nadgarstku krew. Parę kropel spadło na biały parasol przechodzącego ulicą człowieka.

– Zmienić obóz? – powtórzyłem. – Więc Anioły stoją też za zabójstwami?

Enns uśmiechnął się szerzej i obniżył lot, umykając przed ostrzem floretu. Prędko za nim podążyłem. Skrzydła drętwiały, nieprzyzwyczajone do tak dużego wysiłku, lecz nadmiar adrenaliny nie pozwalał mi zwolnić.

Złapałem go za jedną z pierzastych kończyn i najsilniej, jak umiałem, pociągnąłem ku sobie, udaremniając dalszą ucieczkę. Wrzasnął z bólu. Gdy się odwrócił, już się nie uśmiechał. Widok zalanej krwią twarzy o gniewnie zaciśniętych ustach przyprawił mnie o ciarki. To nie był ten nieco szalony i ekscentryczny brat, którego pamiętałem.

Zobaczyłem mordercę.

Uderzyłem go pięścią, na skutek czego stracił resztki równowagi i runął na ziemię. Zawadził o kosz na śmieci, rozsypując dookoła śmierdzącą zawartość, a następnie upadł plecami na chodnik wąskiej, zaniedbanej uliczki.

Nim zdążył się podnieść, postawiłem stopę na jego piersi, przytykając do brzucha klingę.

– Odpowiedz! – rozkazałem, nachylając się. – Anioły przyczyniły się do śmierci Generała Browna i lekarza?

– Anielska natura jest obecna od początku – wyjaśnił z błyskiem rozbawienia w oczach. – Dokładniej od trzeciego września dwa tysiące trzeciego roku. – Roześmiał się, gdy pobladłem. – Kojarzysz ten dzień, prawda?

– Zraniłem wtedy Dilette – szepnąłem przerażony. – Czyli... to

wszystko przez nią?

Wtem poczułem gwałtowny powiew i spojrzałem w górę. Po niebie sunęło morze zbitych czarnych skrzydeł. Dostrzegłem zemdloną Lorette w ramionach związanego Horacia, a także Henriette, popychaną rapierem przez Dimitriego Valyę.

Zmartwiałem. Nie wierzę. Pojmali ich.

– Kawał niespodzianki, co? – zachichotał Enns. – Może i wygrałeś tę bitwę, ale przegrałeś wojnę. A pewnie i coś więcej. O ile się nie mylę, Zorya właśnie ucina ożywioną pogawędkę z naszym uroczym kwiatuszkiem.

Wzdrygnąłem się, tłumiąc jęk. Boże. Co za kretyn! Jak mogłem zostawić Dilette samą, na pastwę zdeprawowanego przestępcy?

Nie patrząc na Ennsa, wzbiłem się w powietrze, pragnąc ją czym prędzej odnaleźć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Hybryda

Diletta

Zmartwiałam, mocno ściskając bułat, którego ostrze wydawało metaliczny dźwięk za każdym razem, gdy dygocząc, szorowałam nim po asfalcie.

– Nie przywitasz się? – spytał Zorya.

Paraliżujący strach narastał, udaremniając próbę ucieczki. Rozejrzałam się, choć przecież szukanie pomocy u przechodniów nie miało sensu, skoro pozostają dla nich niewidzialna... Jestem osamotniona i bezbronna pośrodku tłumu ludzi.

– Odczep się – syknęłam. – Idź stąd. Spływaj.

Nie spuszczał ze mnie krytycznego spojrzenia. Pewnie wyglądam żałośnie.

– Nie sądzę, byś w obecnej sytuacji mogła wysuwać takie żądania

– oznajmił z zagadkowym uśmiechem, kontrastującym z malującą się na jego twarzy powagą.

Usłyszawszy to, dostałam nagłego ataku furii.

– Co więc zrobisz? – wrzasnęłam, bezładnie wywijając bułatem. – Zabijesz mnie?

– Nigdy bym cię nie skrzywdził – szepnął z miną osoby, którą właśnie spoliczkowano.

Ku memu zdumieniu zabrzmiało to szczerze.

– Pozwól mi zatem odejść – poprosiłam, błagalnie wpatrując się w niebieskie oczy.

– Nie, Diletto – westchnął smutno. Odniosłam wrażenie, że

wypowiada te słowa wbrew sobie. – Przykro mi.

Nie czekałam na dalszy ciąg. Odwróciłam się i puściłam biegiem, walcząc z przesłaniającym widok deszczem. Z impetem wpadłam na kilka osób. Zachwiały się, nie rozumiejąc, jak to możliwe, że podmuch wiatru popchnął je z aż taką siłą.

Przemokłam już do suchej nitki, ale mimo panującego listopadowego chłodu było mi potwornie gorąco, a po plecach spływały strużki potu.

Głośno dysząc, skręciłam za róg i pisnęłam z przerażeniem, gdy ponownie ujrzałam Zoryę. Stał spokojnie, z Minuttą nieprzekształconą w katanę, jakby zamierzał po prostu zaproponować wspólny spacer.

– Diletta...

Nie zatrzymałam się. Błyskawicznie zrobiłam obrót o sto osiemdziesiąt stopni i kontynuowałam tę szaleńczą ucieczkę, żałując, że nie mam skrzydeł. Wtem ze zdumieniem odnotowałam, że dotarłam w okolice mojego dawnego liceum, w którym naukę przerwała mi przedwczesna śmierć. Lekcje jeszcze trwały: przez okna dostrzegłam siedzących w ławkach uczniów.

O mur na końcu ulicy, skrzyżowawszy ramiona, opierał się... Zorya.

Zakląłam pod nosem. Co za nieprawdopodobna szybkość.

Nie zastanawiając się, wbiegłam do budynku, niemal taranując drzwi. Pędziłam pustymi korytarzami, nieuważnie rozglądając się na boki. Oprócz odcienia zielonych ścian, nieco teraz ciemniejszego, nic się tu nie zmieniło.

Wiedziałam, dokąd się kierować. Z dziedzińca wymknę się poza teren szkoły przez niewielką furtkę w ogrodzeniu. Nigdy jej nie otwierano, ale pamiętałam, że zamek nie stanowi żadnej przeszkody. Łatwo go sforsować. Wystarczy kopnąć.

W odległości kilku metrów od wyjścia na patio gwałtownie jednak

wyhamowałam, ledwo żywa z wysiłku. Zorya już czekał, blokując jedyną drogę ratunku. Nie mogłam uwierzyć. Przecież... nikt nie potrafi poruszać się z taką prędkością... Nawet Lilim wysoki stopniem. Uniemożliwia mu to brak skrzydeł.

Spanikowana rzuciłam się ku prowadzącym na dach schodom. Widziałam w głowie obraz podążającego za mną, zbliżającego się z każdym krokiem Generała Broni.

Pchnęłam drzwi i wypadłam na zewnątrz.

Znalazłam się w pułapce.

Za moimi plecami rozległ się głos Zoryi:

– Diletta... Ta zabawa w kotka i myszkę robi się strasznie nudna. Daj już spokój.

W tym samym momencie zorientowałam się – dzięki darowi – że pojawił się ktoś jeszcze. Dwie osoby. Zidentyfikowałam je, chociaż nie umiałam zlokalizować. Strateg i Mei Tsu-zu. Najwyraźniej nie planują ataku... Postanowili przyglądać się z ukrycia. I słuchać.

Nabrałam powietrza i utkwiałam wzrok w Zoryi, unosząc szablę, świadoma, że w starciu z nim nie mam najmniejszych szans.

– Pozwól mi odejść – powtórzyłam.

W zamyśleniu przesunął palcami po Minutcie.

– Nie mogę, Diletto – oświadczył wolno. – Wystąpienie ostatnich zdarzeń ściśle wiąże się z tobą.

– Ze mną? – zdziwiłam się. – Co chcesz przez to powiedzieć?

Przypatrywał mi się tak intensywnie, że zadrżałam, prawie upuszczając bułat.

– Nie zauważyłaś, że wszystko zaczęło się, gdy dołączyłaś do Panteonu?

Pobladałam i cofnęłam się, podchodząc niebezpiecznie blisko krawędzi dachu.

– To... to jakiś nonsens... – wydusiłam.

– Wręcz przeciwnie – odparł. – Jesteś wyjątkowa.

Boże. Co on opowiada... Wróciłam pamięcią do brutalnego ataku Aniołów; do Generała Zaha Browna z odciętą głową; do lekarza, który wykrwawił się na śmierć... I...

I to z mojego powodu?

Dlaczego? Dlaczego?

DLACZEGO?!

– Ponieważ zawsze odstawałaś od reszty żywych, a potem umarłych – wyjaśnił Zorya, jakby czytał w moich myślach. – Masz wskazującą to cechę fizyczną. Różnobarwne tęczówki. W tym przypadku heterochromia nie stanowi wyłącznie nieistotnej wady genetycznej. Symbolizuje twoją naturę.

– Naturę...? – spytałam ledwo słyszalnie.

– W świecie ludzi widziałaś duchy, a zmieniawszy się w Lilim, nauczyłaś się odczytywać nieodległą przyszłość. Geneza owych zdolności została opisana w badaniu lekarskim przeprowadzonym przez tego nieszczęśnika, znalezionej później pod murem otaczającym Oddział Petersena. – Skrzywił się, wymawiając nazwisko Aloisa.

– Jakim znowu... badaniu? – wyjąkałam.

– Wstępując w szeregi Oddziału, Lilim przechodzi obowiązkowe testy medyczne – przypomniał. – Kilka tygodni temu pobrano ci krew i wykonano wiele innych analiz.

No jasne... Poszłam do Grobu z Elizabeth. Zdradziła wtedy, że boi się igieł.

Skąd Zorya ma te informacje?

– Lekarz wykrył w wynikach pewną genetyczną anomalię, która go zaalarmowała. Gdyby nie doszukał się żadnego odchylenia od normy, nie musiałbym zlecać Ennsowi zabójstwa. – Ani drgnął, kiedy jęknęłam. – Jeszcze raz przejrząwszy dokumenty, zatrwożony, postanowił skonsultować się z dowódcą przebadanej właśnie dziewczyny.

Zmartwiałam.

– Z Aloisem.

– Tak.

– Dlaczego Alois nic mi nie powiedział? – spytałam, unosząc głos.

– Dlaczego nie wspomniał o tej anomalii?

– Proste. Jeśliby coś pisnął, ponownie byś umarła, tym razem zamordowana. Milczenie było jedynym sposobem, żeby cię chronić.

– Zrobiłam się kredowobiała, lecz Zorya spokojnie kontynuował: – Lekarz objaśnił mu, że w poprzednim życiu nie należałaś do zwykłych istot ludzkich, a obecnie nie należysz do zwykłych Lilim. Jedno z twoich rodziców... – Przerwał, mierzając mnie wzrokiem. Zdawało się, że stara się odgadnąć, jak zareaguję na wiadomość, którą za chwilę usłyszę. – ...to Anioł.

Alois

Z każdym uderzeniem serca czułem się coraz bardziej wyczerpany. Wypatrując przez strugi deszczu Diletty, nie tylko leciałem najszybciej, jak umiałem, ale i na tyle nisko, że musiałem kluczyć wśród głów przechodniów, a dodatkowo na ogonie siedział mi Generał Vendetta. Ruszył w pogoń, gdy Dimitri Valya zauważył, że się oddalam.

– Zatrzymaj się! – wrzeszczał Vendetta. – Przecież wiesz, że jesteś wolniejszy niż ja! Prędeż czy później cię złapię!

– Lepiej więc później! – zawołałem, nawet się nie oglądając. Wtem chwycił mnie za kostkę i pociągnął tak mocno, że niemal wyrwał mi nogę. Krzyknąłem z bólu i w efekcie nie uchyliłem się na czas przed wystrzeloną z potężnego, metrowego arkebuza niewielką kulą. Nie przebiła ramienia, lecz głęboko zadrasnęła skórę, przypuszczalnie uszkadzając żyłę, gdyż z rany natychmiast chlusnęła krew. Próbowałem zatamować ją dłonią, jednak wciąż tryskała między drżącymi palcami.

Runąłem na ziemię, wprost w zarośla, które co prawda odrobinę

zamortyzowały upadek, ale zarazem podrapały mi ręce i twarz.

Nie dałem rady wstać. Leżałem w godnej pożałowania pozycji i wciąż dzierżąc floret, obserwowałem, jak Generał podchodzi i się nachyla. Podniósł mnie za bluzę niczym szmacianą lalkę, a następnie odwrócił się i nie puszczając, brutalnie cisnął mną o ścianę pobliskiego domu. Zamroczony, widziałem przed sobą zaledwie rozmazany cień, gotowy, by położyć kres mojemu życiu czy też temu, co podtrzymywało mi krążenie od dnia, kiedy trafiłem do Panteonu.

– To koniec – powiedział poważnie Vendetta. Prawie go nie słyszałem, jakby dzieliła nas kilkumetrowa odległość. – Nie mogło być inaczej.

Odbezpieczył broń i przytknął mi lufę do piersi. Już miał strzelić, gdy niespodziewanie rozległo się brzęczenie komunikatora.

Nie odrywając ode mnie wzroku, wyjął aparat spod tuniki i przystawił go do ucha.

– Tu Generał Vendetta. – Zmarszczył czoło, w skupieniu odbierając wiadomość. – Rozumiem. Alois Petersen jest obok. – Ponownie zapanowała cisza, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. – Ale... zgoda, zgoda. Zaraz się pojawimy.

Schował komunikator i odsunął się, uwalniając mnie z uścisku. Upadłem na asfalt, kompletnie zdezorientowany tym zaskakującym obrotem sytuacji.

– Muszę udać się do publicznego liceum. Znasz drogę? – spytał.

Skinąłem głową, niezdolny wydobyć głos. Ángelo Vendetta zawahał się i nagle podał mi rękę, by pomóc wstać.

– Plany najwidoczniej się zmieniły – oznajmił. – Generale Petersen, idzie pan ze mną. Rozkaz Stratega.

Generale Petersen? O co chodzi? Zresztą to bez znaczenia, nie mogę mu towarzyszyć. Z trudem się dźwignąłem. Nogi aż ugięły się pod ciężarem ciała.

– Nie. Najpierw odszukam Dilettę, ona...

– ...znajduje się w miejscu, do którego się kierujemy – wtrącił Ángelo Vendetta z dziwnym błyskiem w oczach. – Wezwano nas ze względu na nią. Chyba właśnie wyjaśniło się wiele rzeczy.

Diletta

Stałam jak oniemiała.

Przecież to wierutna bzdura. Przecież to... niemożliwe.

– Odbiło ci – wyszeptałam. – Opowiadasz brednie.

– Tak sądzisz? – mruknął Zorya, zbliżając się. – Kiepsko pamiętasz ojca, prawda? Odszedł lata temu.

– Tata... okazał się kawałem gnojka! – wrzasnęłam, wywijając bułatem. – Zostawił mamę dla młodziutkiej idiotki i zupełnie o nas zapomniał!

– Tak ci powiedziała... Uwierzyła w wersję Uryana. Twojego ojca

– zauważył oschle, jakbym wygłosiła herezję.

– Seraphina, nie Uryana – warknęłam.

– Ironiczne nawiązanie do jego dawnej pozycji – wytłumaczył Zorya, lekko się uśmiechając. – Zanim poznał Mariel, twoją matkę, był Serafinem. Jeśli orientujesz się w anielskiej hierarchii, wiesz, że Serafin to Anioł najwyższy rangą. Zdegradowano go wskutek niesubordynacji polegającej na posiadaniu potomstwa z istotą ludzką. Został Tronem – przerwał, czekając, aż się odezwę, ale nie zdołałam poruszyć wargami. – Opuścił was, bo nie miał wyboru. Zawsze czuwał jednak nad własną rodziną, choć sobie z tego nie zdawaliście sprawy. Do dziś przebywa u boku Mariel. – Westchnął i pokręcił głową. – Przysługiwał ci rzadki przywilej dołączenia po śmierci do Aniołów. Niestety, rana zadana przez Aloisa Petersena naznaczyła cię, kompletnie zmieniając twoje przeznaczenie.

Gwałtownie zaczerpnęłam powietrza. Duszę się... Te rewelacje mnie przerosły. Po prostu... nic nie pojmuję.

Nie mogę być córką Anioła... Nie mogę!

– Jakim cudem... zdobyłeś taką wiedzę? – spytałam schrypniętym głosem.

Cofnęłam się i wtem moja stopa zawisła w próżni. Histerycznie zamachałam rękoma, szukając punktu zaczepienia i usiłując złapać równowagę, lecz wszystko na nic. Patrzyłam, jak Zorya rzuca się, wyciągając dłoń w nieudanej próbie udzielenia pomocy, i... poczułam, że spadam z dachu.

Słyszałam wyłącznie przeraźliwy, wywołujący gęsią skórę świst. Dotarła do mnie brutalna prawda. Umrę drugi raz. Nikt i nic temu nie zaradzi. Zamknęłam oczy w oczekiwaniu na koniec. Myślałam o Aloisie. Widziałam jego jasne włosy, zielone tęczówki i ten charakterystyczny, lekceważący uśmiech, przez który kochałam go i jednocześnie nienawidziłam. Zaczynałam już tracić przytomność, gdy nagle ktoś mocno chwycił mnie i podtrzymał, w ostatniej chwili ratując od zderzenia z twardym podłożem.

Uniosłam powieki. Ujrzałam wirujące na wietrze pióro koloru popiołu.

Z pleców Zoryi sterczały olbrzymie, szarawe skrzydła.

Wolno wylądował i delikatnie postawił mnie na ziemi, a chociaż nie zabrał rąk z moich ramion, nie odsunęłam się. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. Mogłam się tylko w niego wpatrywać.

– Jakiś czas temu zapytałem, czy napawam cię strachem. Stwierdziłaś, że nie wiesz. A... – zmiął w palcach materiał pożyczony mi przez Noaha pizamy – ...teraz?

– Nie – odparłam natychmiast.

To nie była świadoma, zdeterminowana umysłem czy emocjami odpowiedź, ale instynktowny wyraz... samej natury.

Niespodziewany uśmiech rozświetlił twarz Zoryi. Odkryłam nagle w jego rysach coś fascynującego, ponadnaturalnego; przyciągającego i zarazem odpychającego. Niewidoczne dla większości obserwatorów piękno.

– Nie boisz się mnie, bo cię przypominam – szepnął. – Także jedno z moich rodziców to Anioł.

– Ale twoje tęczęwki... – zawahałam się, a następnie uniosłam rękę i musnęłam współprzymknięte powieki Zoryi.

– Nie szczycę się jak ty więzami krwi z Aniołem należącym do pierwszej triady – wyjaśnił cicho. – Chodzi zaledwie o Archanioła. Kiedy żyłem, nie rejestrowałem obecności duchów. I niestety, nie mam równie wyróżniającej cechy fizycznej jak heterochromia.

Wtem z przerażeniem coś sobie uzmysłowiłam i serce zabiło mi szybciej.

– Moje rodzeństwo. Bliźniaki – wymamrotałam. – Ich oczy... też...

– Powiedziałem ci, że Uryan zawsze trzymał się blisko two... Spojrzałam w niebo, nie słuchając końca zdania. Dar przekazywał, że za moment tuż-tuż wylądują Lilim.

Pytanie, czy powinnam odetchnąć z ulgą, czy raczej zacząć się trząść ze strachu.

Zorya, dostrzegłszy, że zmieniłam się na twarzy, błyskawicznie przekształcił Minuttę w katanę i złożył skrzydła, lecz nim zdążył ukryć je w plecach, rozległ się potężny głos:

– Nie kłopotuj się, Generale Broni. Za późno.

Jednocześnie się odwróciliśmy. Strateg Zaccaria Lawrence i Generał Mei Tsu-zu. Oboje z bronią gotową do natarcia.

Zorya ani drgnął, najwyraźniej zupełnie niezdziwiony pojawieniem się dwójki dowódców. Znów rozpostarł skrzydła, niemal mnie zasłaniając. Ich szara barwa kontrastowała z typową dla Lilim czernią.

– Zaatakują cię – mruknęłam, chowając usta w piórach. – Odsuń się.

Nie mam pojęcia, dlaczego go ostrzegłam. Zrobiłam to całkiem bezwiednie. Natychmiast ugiął kolana i wzbił się w powietrze, unikając tym samym strzał Mei Tsu-zu.

Gdy tylko ponownie stanął na ziemi, kilka metrów dalej, silny podmuch wiatru zmusił nas do pochylenia głów. Wyprostowawszy się, ledwo stłumiłam krzyk. Wokół wyrosły kolejne postacie. Wśród Generałów brakowało wyłącznie Ennsa. W ramionach Horacia zobaczyłam też zemdloną Loretę, a obok zadraśniętą w policzek, ale uśmiechniętą Henriette i... wtedy zrozumiałam.

Prawda wyszła na jaw. Odkryli, że Alois nie popełnił żadnego przestępstwa. Zerknęłam na Zoryę: nieporuszony przesuwiał wzrokiem po twarzach zebranych.

– Diletta!

Alois rzucił się na mnie i objął, przytulając tak mocno, jakby chciał pogruchotać kości, lecz czułam się za bardzo oszołomiona, by odpowiedzieć na ten gest. Kiepsko wyglądał. Lekko dygotał, czoło przecinała mu zaogniona rana, a jedno z ramion było niedbale przewiązane przesiąkniętym krwią kawałkiem materiału.

– Nic ci się nie stało... – szepnął.

– On nigdy nie wyrządziłby mi krzywdy – stwierdziłam zbyt cicho, by cokolwiek usłyszał.

Zaccaria Lawrence postąpił krok naprzód, wskazując Zoryę mieczem.

– Generale Broni, chyba masz wiele do zreferowania – zauważył zimno, z łatwym do wychwycenia gniewem. – Najlepiej zacznij od samego początku.

– Oczywiście, Strategu. Z przyjemnością – skrzywił się Zorya, kierując na mnie spojrzenie. – Cel mojej misji bynajmniej od tego nie ucierpi.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Cała prawda

Alois

– Zacznę od tego, czego wielu przypuszczalnie domyśliło się, zobaczywszy, że mam skrzydła – powiedział Zorya, wskazując brodą plecy. – Nie jestem stuprocentowym Lilim. Ów dodatkowy narząd ruchu powinien przecież rozwinąć się dopiero podczas ceremonii mianowania na Generała. Ale w naszym przypadku – zerknął na Dilettę, która wyraźnie się wzdrygnęła – sytuacja wygląda inaczej. Anielska natura determinuje pojawienie się skrzydeł. Prędzej czy później u Diletty także wyrosną. Kolor niełatwo przewidzieć, gdyż zależy od osobowości, lecz na pewno nie będą białe ani czarne. W ten sposób odróżniamy się zarówno od Aniołów, jak i od demonów.

Z trudem wyobraziłem sobie Dilettę otoczoną wielkimi, pierzastymi kończynami... Sądząc po minie, ta wizja przejmowała ją dreszczem.

– Umarłem pierwszego stycznia tysiąc osiemset siedemdziesiątego piątego roku – kontynuował Zorya – i trafiłem prosto do Panteonu, ale zawsze stałem po stronie wysłanników Boga. Ta część mojej osobowości od początku dominowała nad częścią diabelską. – Znacząco popatrzył w niebo. – W trakcie pierwszego szturmu Aniołów, jakiego doświadczyłem, wymknąłem się, kiedy wraz z innymi studentami Akademii miałem opuścić Mauzoleum i schronić się w Grobie. Nie chciałem oddalić się od atakujących. Pragnąłem nawiązać z nimi kontakt, chociaż wiązało

się to z ryzykiem utraty drugiego życia. Wiedziałem, że jestem synem Archanioła: matka zdradziła mi sekret swej natury. – Uśmiechnął się tęsknie. Nigdy przedtem nie zaobserwowałem na jego twarzy podobnego uczucia. Szybko odwróciłem spojrzenie, powodowany niesmakiem. – W końcu napotkałem Uryana, prawdziwego Serafina, kierującego ową inwazją. Liczyłem wtedy zaledwie czternaście lat i właśnie przez wzgląd na ten młodociany wiek dowódca wstrzymał się z rozkazem zabicia mnie, dając kilkanaście sekund na wyjaśnienia. Wytłumaczyłem mu, że jako Anioł w ciele diabła marzę, by dołączyć do obozu, który reprezentuje.

Usłyszałem stłumione przekleństwo Dimitriego Valyi i wściekłe pomruki Horacia. Gdyby nie uniesiona w uspokajającym geście dłoń Stratega, rozszarpalibyśmy Zoryę na strzępy gołymi rękoma. Generał Broni tymczasem dodał wyzywającym tonem:

– Zacząłem z nim współpracować w charakterze szpiega. Od tamtego momentu pomagałem Aniołom we wszystkich uderzeniach na Panteon.

– Nie wierzę... – szepnęła Elizabeth.

– Kilka miesięcy temu Uryan złożył mi wizytę. Spotkaliśmy się w Grobie. Powiadomił, że jego żyjąca wśród ludzi córka zostałaznaczona przez Lilim i niedługo zginie... – przerwał, wymownie na mnie spoglądając. Rozległy się okrzyki zaskoczenia, ale nie spuściłem wzroku. – Nie znał dokładnej daty, był jednak pewien, że dziewczynie grozi poważne niebezpieczeństwo ze strony dwóch grup. Gdy po śmierci zmieni się w ducha, Anioły na ziemi spróbują ją unicestwić. Jeśli zaś sama dotrze do świata Lilim, stracimy nad nią kontrolę. Demony z przyjemnością zawładną kimś równie młodym i o tak niezwykłych zdolnościach.

Wydawało się, że Diletta zaraz zemdleje. Pobladła i trzęsła się jak w febrze, ciężko przerażona.

– Od paru już lat współdziałałem z Generałem Lilim, który postanowił wesprzeć mnie w szpiegowskiej misji, chociaż nie ma w żyłach ani kropli anielskiej krwi.

– Mój brat... – syknąłem.

– Enns Petersen skłamał. Po wypadku Diletta nie wezwała go ani świadomie, ani podświadomie. Dzięki kontaktom z pewnymi zjawami otrzymaliśmy stosowną informację i Enns, zgodnie z ustaleniami, pojawił się na ziemi, by odprowadzić zmarłą do Panteonu. Tak oto, mimo przemiany w Lilim, znalazła się pod naszym dozorem i opieką.

– Boże... – jęknęła Diletta.

– Teraz należało przekazać córkę ojcu – ciągnął Zorya. – Do nieba mogła trafić wyłącznie w towarzystwie stuprocentowego Anioła, co oznaczało konieczność zorganizowania kolejnej anielskiej inwazji. Potrzebowaliśmy tylko kozła ofiarnego, by skierować na niego wszelkie podejrzenia. – Wszyscy równocześnie spojrzeli na mnie. – Istniał lepszy wybór niż Alois Petersen? Odpowiedzialny za dołączenie dziewczyny do obcego jej naturze świata, wzbudzający nieufność ze względu na szybkie uzyskanie dyplomu Akademii i niespodziewany awans... Stąd decyzja o zamordowaniu Generała Browna. Chodziło o wywołanie plotek sugerujących winę Petersena.

Co za skurczybyk... Zatrważające, ile ma zimnej krwi... A ja... do teraz uważałem się za zdolnego do panowania nad trudnymi sytuacjami poprzez umiejętność ich obiektywnej oceny i podjęcia właściwych działań... Uzmysłowiłem sobie jednak, że jestem jedynie żalonym amatorem. Ci dwaj górują nade mną... Znajdują się poza zasięgiem.

– Niestety – Zorya powoli przejechał dłonią po włosach – atak nie zakończył się sukcesem, chociaż Diletta natychmiast wpadła w nasze ręce. Alois Petersen wyraźnie wszak poprosił brata, by się nią zajął, znacznie ułatwiając zadanie.

Spuściłem głowę, przybity i upokorzony. Że też popełniłem tak potworny błąd... Podałem Dilettę na tacy. Jakbym świadomie ich wspierał, idealnie wypełniając funkcję usłużnego i bezmyślnego pionka. Do cholery, świetnie wczułem się w wyznaczoną mi w tej dziwacznej sztuce rolę.

– Podczas drobiazgowo zaplanowanej walki Diletta zaprezentowała wyjątkowe zdolności, potwierdzając wobec Aniołów i Lilim swą nieocenioną wartość. Na nieszczęście uderzenie odparto zbyt wcześnie, co uniemożliwiło nam wypełnienie misji. – Westchnął z żalem. – Postanowiliśmy wtedy zgłosić wniosek o wcielenie Diletty Mair do Oddziału Czwartego, ale Alois Petersen pokrzyżował te plany. Musieliśmy usunąć się na bok.

Głęboko odetchnąłem, bezgłośnie gratulując sobie przebłytku przenikliwości, na skutek którego Diletta wstąpiła do mojego Oddziału.

– Usiłując się do niej zbliżyć, zaproponowałem wspólną pracę nad udoskonaleniem daru. Trenowałem Dilettę zgodnie z instrukcjami jej ojca. Przyznaję – uśmiechnął się kpiąco – nie zaliczałem się do wyrozumiałych nauczycieli. Wiedziałem, że mi się nie przeciwstawi: dzieli ze mną anielską naturę, toteż do pewnego stopnia ją... fascynuję.

Zacisnąłem pięści, z trudem powstrzymując się przed rzuceniem na Zoryę. Nikogo dotąd nie nienawidziłem równie mocno. Diletta poczerwieniała i utkwiała wzrok w ziemi, nerwowo zaplatając dłonie.

– Wraz z Ensem kontrolowaliśmy sprawę badań przeprowadzonych po mianowaniu Diletty na Podporucznika. Nie zdecydowaliśmy się na natychmiastowe zabicie lekarza, gdyż błędnie założyliśmy, że Generał, któremu nasza podopieczna nie była już wówczas obojętna, poradzi sobie z tą sytuacją. – Posłał mi oskarżycielskie spojrzenie. – Kiedy jednak medyk ruszył do Pałacu Stratega, by ujawnić sekret, uznaliśmy, że trzeba wkroczyć do akcji.

– Właśnie, badania! – wykrzyknęła Diletta. – Dlaczego analizując twoje wyniki, nie odkryto anielskich genów?

Ponad nami rozległ się naraz głos Ennsa:

– Proste. – Brat wylądował tuż przed Zoryą, niby chroniąc go własnym ciałem. – Połączyliśmy siły, zanim ukończył Akademię. Zwyczajnie zapomniałem przypomnieć mu o obowiązkowych testach medycznych.

– Cholerny skur... – warknęła Charlotta Brennt, uginając kolana. Kojarzyła się z gotowym do skoku drapieżnym kotem.

– Reszty chyba mogę się domyślić – wtrącił Strateg. – Generał Alois Petersen znalazł ciało lekarza, lecz nie zaalarmował Mauzoleum, przypuszczalnie dając sobie czas na sprawdzenie, czy aby nie istnieją kopie badania zdradzającego anielską naturę panny Mair. Nie chciał, byśmy weszli w ich posiadanie.

Gorliwie potaknąłem głową, choć przecież Zaccaria się myli. Prawda wygląda zupełnie inaczej.

Co więcej, ruszając tamtej nocy na poszukiwanie medyka, zamierzałem go zabić. To, że mnie uprzedzono, okazało się szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Jednak tę informację zabiorę ze sobą do grobu. Jest zbyt upiorna, by z kimkolwiek się nią podzielić.

– Skupiliśmy uwagę na domniemanym zabójcy, pozostawiając wam wolną drogę, czyż nie? – spytał Strateg z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Zorya się skrzywił.

– Porwanie miało nastąpić w trakcie ostatniej lekcji... – szepnął. – Tak niewiele brakowało... Wtedy ponownie wmieszał się Petersen, niwecząc zamierzenia.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo żałuję – zadrwiłem.

– Ja bardziej – burknął, wręcz pożerając Dilette wzrokiem, jakby wpatrywał się w swoją własność, którą brutalnie mu odebrano. – Już

prawie była... moja.

To jedno słowo spowodowało, że puściły mi nerwy. Myśl, że Zorya mógłby tknąć Diletę, zbliżyć się do niej, stać się częścią jej życia, doprowadziła mnie do szału. Uniosłem floret i wymijając wyciągniętą rękę Stratega, z dzikim wrzaskiem runąłem na dowódców Oddziału Czwartego.

– Nic nam nie zrobisz – uśmiechnął się Enns.

– Alois, nie! – zawołała rozpaczliwie Diletta. – Odsuń się!

Nagle widok przesłoniła mi świetlna smuga, lśniący promień, który wnet powiększył się, zmieniając w olbrzymią, oślepiającą wyrwę. Wydawało się, że oto niebo rozstąpiło się, ukazując swą głębię.

Cofnąłem się, zasłaniając oczy. Przez palce dostrzegłem na tle owej jasności nieskalanie białe skrzydła.

Natychmiast przysunąłem się do Diletty, gotowy jej bronić. Właściciel tych skrzydeł z całą pewnością jest dla nas zbyt potężny.

– W końcu się pojawili – mruknął Enns, obserwując materializujące się powoli postacie. – Witamy.

Blask stopniowo słabł, aż wreszcie rozproszył się na tysiące skrzących się kryształów, niemal mistyczną łuną otaczając dwóch Aniołów.

– Pokój z wami.

Zerknąłem w górę. O ile nad nami dalej wisały ciężkie szare chmury, nad głowami nowo przybyłych – mężczyzny i chłopaka w tym samym mniej więcej wieku co ja – przesuwwały się delikatne białe obłoczki, przepuszczające promienie padającego tylko na nich słońca.

Po raz pierwszy w życiu widziałem coś tak niesamowitego. Starszy z Aniołów był Tronem, czyli istotą należącą do najwyższych sfer nieba. Miał ostre rysy i świetliście jasną skórę, uwydatniającą mahoniowy odcień włosów i kasztanowy kolor oczu.

Okrywała go długa zielona tunika, podobna do mojej, generalskiej. W dłoniach dzierżył ogromne srebrne berło o gładkiej fakturze, zwieńczone okrągłą gałką z wygrawerowanym wizerunkiem Anioła. Najbardziej przykuwający uwagę element wyglądu ptaszydła stanowiły imponujące skrzydła. Nie chodziło wyłącznie o ich śnieżną biel, ale również o rozmiar i liczbę. Z jego pleców wyrastały dwie pary tych pierzastych kończyn, otulając go niby lśniący płaszcz, zbyt nieskazitelny jak na rzeczywisty.

Stojący obok w wyzywającej pozie bosy chłopak o potarganych, rudawych, opadających na piegowatą twarz włosach intrygował różnobarwnymi tęczęwkami: brązową i niebieską. Kolory jak u Diletty, tyle że ułożone odwrotnie... Ubrany w ciemne spodnie o niskim kroku, przypominające krojem nasze, oraz szeroką, białą, sięgającą niemal kostek rozpiętą koszulę, wściekle trzepotał pomarańczowymi skrzydłami średniej wielkości. Nie miał broni, ale sprawiał wrażenie skłonnego do skoczenia na nas z samymi pięściami. Nie potrafiłem umiejscowić go w anielskiej hierarchii, lecz oceniając po aksamitnym blasku bladej cery, mimo młodego wieku ewidentnie zajmował wysoką pozycję.

Nie odpowiedzieliśmy na powitanie. Zwyczajnie nie daliśmy rady wydobyć głosu. Przecież zgodnie z niepisany porozumieniem między Aniołami i demonami żaden przedstawiciel pierwszej triady, a więc grupy najbliższej temu, którego nazywają Bogiem, nie ma prawa konfrontować się z nami w Świecie Żywych... Nie pojmowaliśmy, dlaczego się zjawił, ta wizyta wydawała się niewytłumaczalna.

Chociaż... nie wszystkim.

– Nnie... niemożliwe – wyjąkała Diletta, przyciskając dłonie do piersi. – Nie wierzę, że... to wy.

– Znasz ich? – zdziwiłem się.

Poruszony spostrzegłem, że po jej policzku spływa łza i niknie

w kąciku ust. Wokół nasilały się niespokojne szepty.

– Oczywiście, że znam – odparła, obcierając rękawem oczy. – To mój ojciec i brat.

Diletta

Wiedziałam, że właśnie zatrzasnęłam za sobą ostatnią furtkę ratunku. Fakt, Lilim zrozumieli, że Alois nie popełnił przypisywanych mu czynów, lecz... ja okazałam się córką Anioła. Najpotężniejszego Anioła, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Jestem wrogiem.

To koniec.

Chociaż Alois zaakceptował mnie pomimo anielskiej natury, wątpię, by inni zamanifestowali podobną wyrozumiałość. Na pewno nie zaaprobują obecności ptaszydła w Mauzoleum.

– Witaj, córeczko.

Te słowa przywołały wspomnienia, które pozostały mi po tacie z czasów, kiedy z nami mieszkał... Nagle poczułam ukłucie gniewu wymieszanego ze strachem i żalem, co zaowocowało wybuchem od dawna powstrzymywanej wściekłości.

Rzuciłam się na ojca, zupełnie nie dbając o konsekwencje. Przewidziałam, że Alois spróbuje mnie złapać, i w porę się uchyliłam. Brat krzyknął zaskoczony, gdy zdołałam wyminąć również jego. Stałam przed rodzicem z uniesioną prawą ręką, gotowa, by go uderzyć, bynajmniej nieonieśmielona ani osobliwym blaskiem, ani wielkimi skrzydłami. Zobaczyłam w głowie, że postara się zastopować mój ruch, więc szybko podniosłam lewą dłoń i wymierzyłam mu silny policzek. Gwałtownie odwrócił twarz.

Ktoś pisnął – chyba Loretta – a następnie zapanowała złowroga cisza.

Chwyciłam zieloną tunikę i zaczęłam tłuc pięściami w pierś taty. Nawet nie drgnął, patrząc w jakiś nieokreślony punkt.

– Nie nazywaj mnie tak! – wrzasnęłam, czerwona z irytacji. –

Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj! Nie jestem twoją córką! Ani ty moim ojcem! Przestałeś nim być lata temu, kiedy nas zostawiłeś!

Puściłam go i ciężko dysząc, cofnęłam się, czując w okolicach serca piekący ból.

– Coś ty zrobiła, kretynko?

Zerknęłam przez ramię i niczym w zwolnionym tempie ujrzałam, jak brat, ten sam, z którym bawiłam się i śmiałam aż do dnia jego śmierci, naciera na mnie z wyciągniętymi rękoma, najwyraźniej zamierzając zacisnąć mi je na szyi.

Wtem usłyszałam trzepot skrzydeł. Zorya błyskawicznie zablokował atak, zatrzymując chłopaka ostrzem katany.

Wymieniliśmy spojrzenia, zanim Generał Broni skierował się do Uryana:

– Przykro mi. Jeszcze nie zakończyłem misji, a ochrona Diletty jest jej elementem.

– Spokój, Serguei – rozkazał ponuro ojciec, władczo unosząc dłoń.

Brat mruknął coś pod nosem i odepchnął Zoryę. Obrzuciwszy mnie nienawistnym wzrokiem, skłonił głowę w pojednawczym geście.

– Przepraszam, Diletto – wycedził z udawaną skruchą.

Tron głęboko westchnął i skrzywił się z lekkim niesmakiem zabarwionym smutkiem. Zdawało się, że toczy wewnętrzną walkę.

– Nie wiem, jak do tego doszliśmy... – szepnął.

– Nie wiesz? – warknęłam. – Ja natomiast się domyślam. To z twojej winy.

Alois ostrzegawczo zmarszczył czoło, milcząco prosząc, bym ważyła słowa.

– Może i masz rację – odparł Anioł. – Może i popełniłem błąd, usiłując sprowadzić cię do siebie... Z Sergueiem się udało. Pragnąłem, byś dołączyła do nas i przeistoczyła się w... – Nabrał

powietrza. – Chciałem dla ciebie jak najlepiej.

– Jak najlepiej?! – zawołałam, połykając łzy. – Gdybyś rzeczywiście chciał jak najlepiej, opiekowałbyś się mną, nie dopuściłbyś do przedwczesnej śmierci!

– Nie wolno zmieniać biegu zdarzeń! – krzyknął. – Istnieją reguły. Wolałbym, żebyś mogła nadal żyć, jednak nie pozwoliłem sobie na interwencję.

– Nagle zacząłeś przestrzegać reguł? Przecież jesteśmy tu dziś, i ja, i Serguei, bo kiedyś jedną z nich złamałeś!

Wtem przed oczami stanął mi obraz różnobarwnych, czarno-szarych tęczęwek. Zamarłam. Wszystko ułożyło się w logiczną całość: przekonanie Zoryi, że ojciec zawsze czuwał nad swoją rodziną; pojawienie się w życiu mamy Jerome'a; Ángela, Demian i ich heterochromia...

– Boże – wymamrotałam, zasłaniając usta dłońmi i wpatrując się w Uryana z taką miną, jakbym oglądała potwora. – Boże. Boże.

– Diletta, co się dzieje? – zaniepokoił się Alois, kładąc mi rękę na ramieniu w próbie dodania otuchy.

– Poznałam cię jeszcze w Świecie Żywych – szepnęłam z niedowierzaniem. – Wyglądasz inaczej, ale... Boże. Jesteś... Jerome Nott.

Na twarzy Noaha, w skupieniu przysłuchującego się tej wymianie zdań zza pleców Lilim, odmalowało się zdumienie. Najwyraźniej pamiętał, jak dwa lata temu, pierwszego dnia roku szkolnego opowiadałam mu o złych przeczuciach związanych z osobą narzeczonego mamy, którego zamierzała przedstawić mi po południu... Uryan co prawda fizycznie nie przypomina Jerome'a, lecz to akurat nie budziło mojego zdziwienia. Będąc Aniołem wysokiego szczebla, bez wątpienia ma zdolności, o jakich nawet mi się nie śniło.

Co w tej chwili uznawałam za istotniejsze i co rodziło

niepohamowany, opanowujący każdą komórkę ciała gniew, to to, że mnie oszukał... A przede wszystkim oszukał mamę.

„Mam wrażenie, że ten facet przysporzy mi mnóstwa problemów”. Rety... Nie pomyliłam się. Wcale a wcale.

– Dlaczego nie zostawisz jej w spokoju?! – wrzasnęłam. – Po co, do cholery, wróciłeś?!

Nie odpowiedział. Stał niewzruszony, podczas gdy Serguei aż dygotał z wściekłości.

– Zdajesz sobie chociaż sprawę z wyrządzonej mamie krzywdy?! Wiesz, jak mocno to przeżyła?! – krzyczałam, szlochając.

– Wiem. Ale... zbyt ją kocham, by się oddalić. Próbowałem. Nie wyszło.

Pokręciłam głową. Oto urzeczywistnia się najgorszy z możliwych do wyobrażenia koszmarów.

– Nie zasługujesz na miano Anioła – wyszeptałam. – Jesteś... najpotworniejszym i najbardziej egoistycznym osobnikiem, jaki istnieje. Przyczyną strasznych nieszczęść. Uparłeś się, że zabierzesz mnie do nieba, więc wysłałeś na Mauzoleum oddział Aniołów, a to pociągnęło za sobą mnóstwo ofiar! Mało tego, zamordowano niewinnego Generała i lekarza, którego jedynym grzechem okazało się rzetelne wykonywanie obowiązków i wierność swoim... – Przełknęłam ślinę, ale nie zdołałam powstrzymać łez. Trzęsącą ręką wskazałam Aloisa i dodałam: – Mogli go zabić... Skazać na śmierć przez... pewne cholerne widzimi się.

– Diletto, kochanie, przecież to nędzny diabeł – prychnął Uryan z pogardą.

Owo stwierdzenie podziałało niczym uderzenie obuchem. Jeśli w ogóle dostrzegałam w tym mężczyźnie pozytywne cechy, właśnie się ich pozbawił. Skrzydła zbrzydły, a berło straciło wszelką wartość.

– Może to i diabeł – wycedziłam. – Nie mam jednak wątpliwości,

że gdyby kiedyś odbył się Sąd Ostateczny, Bóg zbawiłby raczej jego duszę niż twoją.

Natychmiast pojęłam, że rzuciłam najdotkliwszą obelgę. Rysy Uryana stwardniały, zaś oczy zmieniły się w dwa rozżarzone węgle.

– Nigdy więcej nie waż się czegoś takiego powtórzyć – ostrzegł. – Nie... o ile nie chcesz doprowadzić do konfliktu o tragicznych konsekwencjach i dla ciebie, i dla twych demonicznych przyjaciół.

– Nie rozumiesz? – Uśmiechnęłam się lekko i przebiegłam wzrokiem po postaciach zebranych Lilim. – Należę do Panteonu. Również jestem demonem.

Po chwili ciszy Uryan spojrział na nieopuszczającego floret Aloisa.

– W takim układzie najwyższy czas pozbyć się nadziei – mruknął z niezadowoleniem, gestem dłoni przywołując Zoryę i Ennsa. – Podjęła decyzję – wyjaśnił im. – Nie przyłączy się do nas. Misja zakończona.

– Moment! – krzyknął Strateg. – Na dowódcach Oddziału Czwartego ciężą poważne zarzuty. Powinni udać się z nami i zostać osądzeni!

Uryan gorzko się zaśmiał.

– Ja przejmuję ich, a pan moją córkę. Proszę uznać to za wymianę i dziękować Bogu, że darowuję wam życie. Panu i całej reszcie godnych pożałowania kruków.

– Zadbam, by nikt o tym nie zapomniał – oznajmił zimno Strateg. Zerknęłam na wpatrującego się we mnie Zoryę.

– Przykro, że to już... – westchnął. – Będzie mi cię brakowało.

Odwróciłam się plecami i obojętnym tonem powiedziałam:

– Żegnaj, Zorya.

Po raz pierwszy i ostatni odezwałam się do niego po imieniu. Oślepił nas nagle blask, zmuszając do cofnięcia się i zaciśnięcia powiek. Zdążyłam jeszcze zobaczyć, że Enns macha ręką, a Serguei nieprzerwanie przygląda mi się z wrogim grymasem.

– Tato! – wrzasnęłam nagle, przytykając do ust złożone w trąbkę dłonie. – Przypilnuję cię! I postaram się doglądać Ángeli i Demiana! Jeśli kochasz te maluchy, zachowaj się jak prawdziwy ojciec i dbaj o nie!

Nie doczekałam się żadnej reakcji. Światło naraz zgasło, a świat na powrót zmienił się w krainę deszczu i ołowianego nieba.

Wokół słychać było wyłącznie uderzające o ziemię krople.

Z jękiem upadłam na kolana i oparłam łokcie na zimnym asfalcie szkolnego dziedzińca. Wtem ktoś dotknął mojego ramienia. Uniósłszy wzrok, napotkałam szczery uśmiech Stratega, przeznaczony tylko dla mnie.

– Wracamy do domu.

Zaccaria Lawrence pomógł mi wstać, a Alois natychmiast zbliżył się i podtrzymał.

Niespodziewanie rozległ się jakże znajomy głos:

– Co? To Anioł! – Oczywiście. Dimitri Valya. – Jedna z nich! Nie możemy pozwolić, by ktoś tego pokroju ponownie postawił stopę w Panteonie! Musimy... – urwał i nieprzytomny grzmotnął w kałużę.

Horacio tymczasem z satysfakcją rozmasowywał sobie pięść.

– Od lat miałem ochotę to zrobić – zachichotał Alois.

Charlotta Brennt z oburzeniem zwróciła się do Stratega:

– Proszę zainterweniować! Z premedytacją i z osobistych pobudek zaatakowano Generała!

– Moja droga – odparł Strateg, zerkając na leżące ciało – gdyby Horacio mnie nie uprzedził, sam bym mu przyłożył.

Puścił oko do Aloisa, a następnie popatrzył na skulonego ze strachu Noaha. Dałam krok w stronę przyjaciela, zdecydowana bronić go przed ewentualnymi represjami, ale nim otworzyłam usta, Zaccaria Lawrence poinformował:

– Ciebie także zabieramy do Panteonu. W charakterze gościa. Noah zdębiał i posłał mi pytające spojrzenie, nie wiedząc, co

myśleć o tym nietypowym zaproszeniu. W odpowiedzi po prostu z rozbawieniem zmarszczyłam brwi.

– Ruszamy! – zawołał Strateg.

Rozejrzałam się i uśmiechnęłam na widok rozpromienionej miny Aloisa. Chwył mnie za rękę i przyciągnął do siebie, mocno obejmując zarówno ramionami, jak i skrzydłami. Wtuliłam twarz w jego pierś, dając się ponieść temu uściskowi.

– Dziękuję – szepnął Alois. – Bardzo dziękuję.

– Za co? – zdziwiłam się, podnosząc głowę.

Blask zielonych oczu przesłonił na moment panującą wokół szarość. Ujrzałam całe piękno i siłę życia skoncentrowane w źrenicach... umarłego.

– Za to, że nie odeszłaś – wyjaśnił cicho, ani na milimetr się nie odsuwając. – Za to, że zostałaś z nami. Ze mną.

– Już kiedyś ci to mówiłam. Jesteś jedyną osobą, która przypomina mi o przeszłości na ziemi. Jedynym namacalnym wspomnieniem ludzkiej egzystencji. Częścią mnie. A ta część to... Alois, ta część to najsilniejszy element mojej natury.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Odrodzenie

Alois

Zerknąłem na stojącą obok Dilette. Nie wydawała się zdenerwowana, a tylko zatopiona w myślach. Ani chybi rozpamiętuje zdarzenia sprzed zaledwie paru godzin...

Powiodłem spojrzeniem po bogato zdobionym suficie Pałacu Stratega. Trudno mi nawet wyobrazić sobie, co ona teraz czuje... Odkrycie, że za ojca ma się ptaszycę, a brat kontynuuje rodzinne tradycje, bezsprzecznie do przyjemnych nie należy.

Uśmiechnąłem się, wspominając, jak rzuciła się na Uryana... Dała się ponieść przepelniającemu ją żalowi, ale też – prawie na pewno – niechęci, jaka charakteryzuje stosunek Lilim do Aniołów. Udowodniła, że mimo płynącej w żyłach anielskiej krwi jest jednym z demonów.

A to gra na naszą korzyść, zwłaszcza w tym konkretnym momencie.

O ile ja także zachowywałem spokój, współtowarzysze ucieczki do świata ludzi – wprost przeciwnie.

Elizabeth obgryzła już paznokcie i dobrała się do skóry, zawzięcie skubiąc zębami opuszki palców. Loretta, wciąż blada na skutek niedawnej utraty przytomności, szklanym wzrokiem wpatrywała się w mamroczącego pod nosem Horacia. Noah, mój ulubiony ptaszek, też nie wyglądał na szczególnie rozluźnionego. Chociaż Strateg osobiście zaprosił go do Panteonu, wręcz emanował nieufnością i sceptycyzmem.

Świat niejako utknął w martwym punkcie przez te cholerne, zamknięte drzwi, za którymi od przeszło godziny debatowali Generałowie i Zaccaria Lawrence. Loretta niemal odcisnęła ucho na drewnianej powierzchni, jednak na niewiele się to zdało; nie mieliśmy więc pojęcia, czego się spodziewać.

To, że nie dopuściłem się morderstwa ani zdrady, nie podlegało dyskusji, lecz mogliśmy zostać oskarżeni o inne przewinienia. Jeśli o mnie chodziło, ukryłem informację o anielskiej naturze Diletty i nie zaalarmowałem Mauzoleum po znalezieniu umierającego lekarza. Diletta ryzykowała z powodu wrogich genów, a do tego popełniła wykroczenie polegające na nawiązaniu kontaktu ze znanymi jej za życia osobami, łamiąc pierwszy z niepisanych zakazów Świata Zmarłych. Co więcej, wraz z Elizabeth, Loretą, Henriette i Horaciem wzięła udział w spisku... A wszyscy bez pozwolenia przenieśliśmy się na ziemię.

Westchnąłem. Analizując to na zimno... niewykluczone, że spędzimy w więzieniu długie miesiące.

– Też mi wyrosną.

– Co? – skierowałem się do Diletty.

– Skrzydła – szepnęła powoli, niby wymawiając wyjątkowo trudne słowo.

– Wyrosną mi skrzydła.

– Szukaj pozytywów: będziesz się mogła z nimi obnosić, nie czekając, aż mianują cię na Generała.

– Nie sądzę, bym dochrapała się generalskiego stanowiska. – Roześmiała się, ale szybko spoważniała. – Ciekawe, kiedy się pojawią... I jakiego koloru... Boże, ciężko w to uwierzyć.

– Nie wiem, jak ów proces przebiega u Aniołów – oznajmiłem. – A co do koloru... Chyba do ostatniej chwili pozostanie tajemnicą... – przerwałem, a następnie dodałem z rozbawieniem: – Nie przypuszczałem, że tak przejmujesz się estetyką.

– Wcale nie! – zaprotestowała. – Tylko... wołałabym, żeby nie

okazały się szare. Jak Zoryi.

– Nie okażą się szare – stwierdziłem. – Zorya wspomniał, że u hybryd barwa zależy od osobowości, a przecież zupełnie go nie przypominasz. – Popatrzyłem jej w oczy. – Czerwone. Wyrosną czerwone.

– Dlaczego akurat czerwone? – zdziwiła się.

– Czerwień kojarzy się z ludźmi. Symbolizuje uczucia, serce... To kolor wojny, lecz i życiodajnej krwi – wzruszyłem ramionami – a nie znam nikogo, kto równie mocno trzymałby się swej... przeszłości po tamtej stronie.

Diletta zarumieniała się i nerwowo zachichotała.

– Proszę, nagle wyszedł z ciebie poeta.

– Spieprzaj.

– W twoich ustach to brzmi niczym komplement – zauważyła. –

W każdym razie... lubię czerwień. – Kilka sekund milczała, a wreszcie powiedziała uroczystym głosem: – Muszę się o nich wszystkiego dowiedzieć. Pragnę zrozumieć anielski świat. Czuję się identycznie jak wtedy, gdy przybyłam do Panteonu. Zgłębiłam wówczas, co to znaczy być demonem, a teraz zgłębię tę część, która łączy mnie z Aniołami.

– Jasne – odezwałem się po chwili zaskoczony. – W bibliotece Grobu znajdziesz na ten temat mnóstwo materiałów... Jeśli chcesz, mogę ci pomóc w...

– Myślałam – wtrąciła z uśmiechem – że czasownik „pomagać” nie wchodzi w zakres słownictwa Aloisa Petersena.

Zakaszlałem, lekko się czerwieniąc.

– Uznajmy, że... udało ci się niewiarygodnie wręcz wzbogacić mój zasób leksykalny.

Wtem usłyszeliśmy skrzypienie i skierowaliśmy wzrok na drzwi. Klamka wolno opadała, jakby ktoś postanowił jeszcze zwiększyć panujące napięcie. Niektórzy wstrzymali oddech, wymieniając

lękliwe spojrzenia.

W końcu zobaczyliśmy skośne oczy Generał Mei Tsu-zu.

– Zapraszamy.

Natychmiast energicznym krokiem ruszyłem ku sali, bezskutecznie usiłując rozszyfrować wyraz twarzy Generał, odgadnąć po minie, czy zostaliśmy uniewinnieni, czy skazani.

– Może byś tak przewidziała przyszłość? – zwróciłem się żartem do Diletty, gdy tylko się ze mną zrównała. – Zdradziłabyś, jaką podjęli decyzję...

– Zmartwię cię, ale niestety, moje zdolności napotykają pewne ograniczenia – odparła. – Musisz się zadowolić informacją, że Generałowie wstaną na nasz widok z miejsc.

– To akurat żadna tajemnica – mruknąłem.

Kujnęła mnie łokciem i delikatnie popchnęła, pospieszając. Przekroczywszy próg, stanęliśmy na białej, marmurowej podłodze, a wtedy dowódcy jednocześnie podnieśli się, z uwagą się w nas wpatrując.

Diletta

Podeszliśmy na środek sali: wielkiego pomieszczenia o dosyć spartańskim wystroju. Znajdowało się tu zaledwie kilka drewnianych krzeseł i ogromne lustro zajmujące szerokość jednej ze ścian.

Ujrzałam swoje odbicie. Twarz wyglądała jak blady kleks, owal o rozmytych konturach osadzony na ciele w za dużej piżamie, dodatkowo wciąż mokrej na skutek deszczu...

Żałosne. Nigdy nie prezentowałam się gorzej niż teraz. Przeniosłam wzrok na postacie Generałów i Stratega. Nie chodziło o akt zuchwałości, zwyczajnie uznałam, że przysługuje mi prawo skrzyżowania z nimi spojrzenia. Niby dlaczego miałabym spuszczać głowę?

Loretta, trzęsąc się, chwyciła mnie za rękę. Prawie schowała się

za moimi plecami.

– Jesteśmy martwi – szepnęła. – Drugi raz.

Milczałam. Czułam okropne wyrzuty sumienia. Gdybym tuż po pojawieniu się w Panteonie nie zapukała do jej pokoju... przebywałaby teraz w Żeńskiej Rezydencji jako bierny obserwator tych wydarzeń.

– Dobrze, zaczynamy – polecił Strateg, siadając.

Generałowie również spoczęli, skrzypiąc krzesłami.

Wzdrygnęłam się i odwzajemniłam uścisk przyjaciółki. Alois, niewzruszony, dumnie uniósł brodę.

– W ostatnim czasie Panteon, a szczególnie Mauzoleum, doświadczył tragicznych chwil, stawiających pod znakiem zapytania jego przyszłość – przemówił Zaccaria Lawrence poważnym głosem.

– Bezpowrotnie straciliśmy wiele nieocenionych istnień. Dwóch Lilim, osoby wybrane, by dołączyć do społeczności demonów, dzielące z nami swe drugie życie, oszukało nas, dopuszczając się haniebnej zdrady. Niewłaściwie interpretując wypadki, niemal odegraliśmy rolę niesprawiedliwych sędziów – przerwał, znacząco spoglądając na Aloisa. – Gdyby nie szczęśliwym trafem podsłuchana rozmowa – zerknął na mnie – doprowadzilibyśmy do kolejnej niewinnej śmierci.

Wyprostowałam się z westchnieniem ulgi. „Niewinnej”. To słowo zabrzmiało niczym najpiękniejsza muzyka.

– Nie zaprzeczę: złamano obowiązujące Lilim zasady – kontynuował Strateg. – Bunt, uwolnienie oczekującego procesu więźnia, ukrywanie ważnych informacji, sojusz z upadłym Aniołem...

– przesunął wzrokiem po naszych twarzach – lecz to my daliśmy się złapać w pułapkę. I my także naruszyliśmy przepisy. Przykuliśmy uwagę żywych. Uczestniczyliśmy w grze umarłych. A jednak... uniknęliśmy kary. – Uśmiechnął się ciepło. – Nie mamy więc prawa wyciągać konsekwencji wobec postępowania, które nas wszystkich

uratowało.

Nie od razu dotarł do mnie sens ostatniego zdania. Dopiero stłumiony okrzyk radości Loretty spowodował, że zrozumiałam... Nie zostaniemy skazani. Ominą nas jakiegokolwiek sankcje.

Uratowani. Wolni. Tak po prostu. Tak... Kurde. Wspaniale. Wspaniale!

Rzuciłabym się na Stratega, żeby go objąć i wycałować, gdyby gestem ręki nie zasugerował powstrzymania emocji. Popatrzył mi w oczy i powiedział:

– Niniejszym, w imieniu własnym i Generałów, pragnę wyrazić głębokie wzruszenie. Nie byłem dotąd świadkiem czegoś równie niesamowitego, jak poświęcenie Anioła dla demona. Nieświadomie połączyłaś w sobie kontrastowo odmienne natury, a część anielska wzmocniła część diabelską. Swoim przykładem budzisz nadzieję na możliwość zawarcia pokoju między niebem a piekłem.

Nie zdołałam się odezwać. Z trudem nawet oddychałam, a napięte mięśnie aż bolały.

– Tyle z mojej strony – zakończył Zaccaria, wreszcie odrywając ode mnie wzrok. – Wycofuję zarzuty wobec Generała Oddziału Trzeciego, Aloisa Petersena, skierowując je przeciwko Ennsowi Petersenowi i Zoryi Senkiemu.

Krzeseła zaszurały. Dowódcy podnieśli się i zbliżyli, niektórzy z zadowolonymi, a inni z wyraźnie zawiedzionymi minami.

Nabrałam powietrza i uniosłam dłoń.

– Strategu! – zawołałam. Głosy natychmiast ucichły. Odchrząknęłam i ignorując zdumione, niemal karcące spojrzenie Aloisa, wyjaśniłam: – Chciałabym z panem porozmawiać... na osobności. Mam prośbę.

Zaccaria Lawrence zmarszczył czoło, a następnie przyzwalająco skinął głową.

Kiedy opuściłam Pałac Stratega, zapadł już zmrok. Zadygotałam,

przejęta chłodem. W Świecie Żywych przypuszczalnie sypie śnieg... Zimy w moim mieście należały do ostrych i wietrznych.

Na owo wspomnienie ponownie przeszedł mnie dreszcz.

Inaczej niż w poprzednich dniach, nie dostrzegłam patrolujących okolicę strażników. Nocnej ciszy nie mącił żaden hałas i dało się wyczuć wręcz nierzeczywisty spokój. Co za zmiana w stosunku do panującej tak niedawno atmosfery podejrzliwości i nerwowości...

Alois nie zaczekał, aż wyjdę. Nie mam mu tego za złe. Przed nim przecież mnóstwo pracy w Oddziale. Zaprowadzenie porządku zajmie trochę czasu. Henriette na bank oberwie się za bałagan w dokumentach i zaległości w raportach.

Ruszyłam w drogę, marząc, by jak najprędzej dotrzeć do ciepłych zabudowań Oddziału Trzeciego i dołączyć do pozostałych Lilim. Nie przemknę niezauważona, ale... po raz pierwszy od dawna zupełnie o to nie dbam.

Postanowiwszy iść na skróty, zeszałam z wąskiej kamiennej ścieżki. Po kilku krokach gwałtownie się zatrzymałam, wpatrując się w niebo. Z czarnych chmur, niby słaby, złowrogi deszcz, spadały szare pióra.

Błyskawicznie przekształciłam Minuttę w bułat.

Zobaczyłam w myślach obraz zakradającej się od tyłu osoby. Zanim zdążyłam krzyknąć, ktoś zasłonił mi usta, przez co z mojego gardła wydobył się jedynie jęk przerażenia.

Rozpoznałam te szczupłe palce i chłodną skórę.

– Dobry wieczór, Diletto – przywitał się Zorya.

Zaczęłam się rozpaczliwie szarpać, bezskutecznie próbując go ugryźć. Wreszcie wymierzyłam mu kopniaka, nic jednak nie wskórałam.

– Zapewniałem już, że nigdy bym cię nie skrzywdził – mruknął. – Nie noszę się też z zamiarem porwania. Usiłuję tylko zapobiec twoim wrzaskom. Ostatnia rzecz, jakiej sobie teraz życzę, to

pojawienie się innych Lilim.

Znieruchomiałam, gdy mocniej przycisnął dłoń, sprawiając mi ból.

– Obiecujesz nie piszczeć? Jak cię puszczę, będzie nam wygodniej.

Przymknęłam oczy, kompletnie bezradna, a po chwili potakująco kiwnęłam głową.

– Cieszę się.

Odsunął się, obrzucając mnie baczny spojrzeniem. Dłuższy moment przyglądał się potarganym włosom i brudnej piżamie.

– Nie dali ci nawet ubrania na zmianę – westchnął.

– Czego chcesz? – warknęłam. – Skoro nie masz w planach użycia przemocy, odgaduję, że przyszedłeś, by przekazać coś ważnego. Mów szybko i się zmywaj.

Lekko się uśmiechnął.

– Kiedy nie byłaś przekonana, czy się mnie boisz, czy nie, wydawałaś się sympatyczniejsza.

Cofnęłam się, na wszelki wypadek unosząc bułat, a następnie rozejrzałam się na boki i zakłętałam pod nosem, nie usłyszawszy odgłosu zbliżających się kroków. Pożałowałam, że zniesiono godzinę policyjną i odwołano strażę...

– Czego chcesz? – powtórzyłam, tracąc cierpliwość.

Zwlekał z odpowiedzią. Odniosłam wrażenie, że pragnąłby zatrzymać czas.

– Uryan podał mi wiadomość dla ciebie – oznajmił w końcu beznamiętnym tonem. – Wiedział, o co poprosisz Zaccarię Lawrence'a.

– Ciekawe. On też potrafi przewidywać przyszłość? – zadrwiłam.

– Potrafi więcej, niż sądzisz.

Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się, dlaczego jeszcze nie zaalarmowałam Mauzoleum.

– Wyduś wreszcie, o co chodzi, bo przysięgam, że sobie pójdę.

– Zgadza się – poinformował Zorya wolno i wyraźnie, dokładając chyba starań, bym w pełni pojęła znaczenie tego krótkiego zdania. – Akceptuje granice neutralnego obszaru, który wyznaczyłaś. Lecz to jedyne, co może dla ciebie uczynić. Nie oczekuj specjalnego traktowania z jego strony, ze strony innych Aniołów czy... – zawahał się – istot jak ty. Hybryd.

– Nie potrzebuję waszego wsparcia! – zawołałam.

– Diletto, Anioły nie zaprzestaną ataków na Panteon. – Skrzywił się i spuścił wzrok. – Alois nie da rady wiecznie czuwać nad twoim bezpieczeństwem.

– Gdybym powiedziała, że obronię się bez niczyjej pomocy, skłamałabym – stwierdziłam oschle. – Ale jestem świadoma konsekwencji podjętej decyzji. Godzę się na nie i sugeruję, byś zrobił to samo.

Popatrzył mi w twarz. Wytrzymałam to spojrzenie bez mrugnięcia.

– Nie chciałbym, żeby cię zabili – szepnął.

– Ja też wolałabym drugi raz nie umierać – burknęłam, zmieniając szablę w Minuttę. – Skończyłeś?

– Tak.

– Więc odejdz. Nie powinieneś tu przebywać.

Bez słowa odwrócił się na palcach i z cichym jękiem wygiął się w tył. Na jego plecach wnet pojawiły się skrzydła.

– Niedługo ci wyrosną – zakomunikował niespodziewanie, zerkając przez ramię. – Zwykle rozwijają się, kiedy osiągasz pełnoletność. Odkrywszy, że mam anielskie geny, zadawałem sobie identyczne pytanie. – Uśmiechnął się i wzbił w powietrze.

Nie pożegnał się ani już nie obejrzał; nie zdradził, skąd wie, że od kilku godzin właśnie ta kwestia zaprzęta mi głowę... Stopił się z ciemnym niebem, które jakby wciągnęło go w swą otchłań.

Kucnęłam, gdy coś nagle musnęło mi stopę. Trawę pokrywały szare pióra. Dotknęłam jednego, dziwiąc się, jak jest ciepłe i delikatne. Delikatniejsze niż jedwab. Podniosłam je i włożyłam do kieszeni piżamy. Oto jedyne namacalne wspomnienie, jakie zostanie mi po najbardziej podobnej do mnie osobie. Jedyne hołd, jaki oddaję drugiej części własnej natury.

Wyprostowałam się i skierowałam ku Oddziałowi Trzeciemu.

Alois

Wszystko przez Henriette. Nie zdążyłem nawet rzucić okiem na gabinet. W ogóle nie dotarłem do prowadzących na pierwsze piętro głównego budynku schodów. Utkwiłem w holu.

Kiedy Generał Broni otworzyła ogromne drzwi wejściowe, przywitały nas ogłuszające wrzaski i rozpostarte ramiona. Noah prawie zrobił użytek z trójzębu... Też pomyślałem, że to atak, ale okazało się, że chodzi o wiwaty i wybuch dzikiej radości.

– Rety – wymamrotała Henriette. – Nie wierzę...

– Ja też nie.

Miałem zarządzić ciszę, rozkazać, by każdy oficer zachowywał się stosownie do sprawowanej funkcji i aby zebrani rozeszli się do pokoi, jednak Henriette zareagowała szybciej. Krzyknęła, że na prawdziwej powitalnej imprezie nie może zabraknąć muzyki ani alkoholu.

I wtedy się zaczęło.

Nie przyłączyłem się do zabawy. Znalazłem w rogu nieprzewrócone jeszcze krzesło i usiadłem, nieobecny, dzierżąc w dłoni szklankę, której zawartości nie zamierzałem wypić.

Ściemniło się, a Diletta wciąż nie wracała. Nie obawiałem się o jej bezpieczeństwo: zagrożenie bez wątpienia minęło. Nurtowała mnie ta zagadkowa prośba do Stratega. O czym tak pilnie musiała z nim porozmawiać? Sprawa jest najwyraźniej niezwykle ważna, skoro uznała, że należy bezzwłocznie ją omówić...

Westchnąłem i utkwilem wzrok w przeciwległej ścianie. Nie wiedzieć czemu, budziło to mój niepokój.

Wtem drzwi uchyliły się. Wreszcie się zjawiła... Natychmiast odskoczyła, zdumiona, unikając uścisku pijanej Henriette, a tym samym poplamienia trunkiem spożywanym akurat z kieliszka przez Generał Broni. Uśmiechnęła się przeprasząco, a następnie rozejrzała po pomieszczeniu. Dostrzegłszy mnie, z wysiłkiem precyzyjnie się włączyła wśród rozweselonych uczestników i stanęła obok.

– Matko, co za chaos, chyba nigdy wcześniej nie wi... – urwała, wskazując palcem umykającego przed jakąś Lilim Noaha. Dziewczyna, nieprzejawiająca bynajmniej wrogich zamiarów, ewidentnie uparła się, żeby go dorwać. – Oj, z całą pewnością czegoś takiego dotąd nie widziałam.

– Przynoszą tylko wstyd – burknąłem, odstawiając szklankę na stół pełny identycznych, tyle że pustych naczyń.

Chwilę przypatrywała mi się w milczeniu i nagle się roześmiała.

– Przejdziemy się?

Błyskawicznie się zerwałem, chwytając wyciągniętą ku mnie dłoń. Ruszyliśmy do wyjścia, tak blisko siebie, że czułem na karku oddech Diletty. Co ciekawe, nikt nie zwrócił na nas uwagi. Po raz pierwszy obyło się bez znaczących szeptów czy spojrzeń, chociaż trzymaliśmy się za ręce.

Skręciliśmy w jeden z korytarzy i wspiając się po bocznych schodach, wydostaliśmy się na zewnątrz.

– Teraz lepiej – stwierdziła Diletta, zaczerpnąwszy rześkiego powietrza. – O mało się tam nie udusiłam.

– O co poprosiłaś Stratega?

– Oho, nie marnujesz czasu – mruknęła.

– Możemy najpierw podyskutować o pogodzie, a potem ponowię pytanie.

– Uroczy jak zawsze...

– Ten typ tak ma – oznajmiłem, wzruszając ramionami. – Po owym wstępie... odpowiesz?

– Odpowiem, skoro cię to intryguje. Poprosiłam o specjalne pozwolenie na wizyty w Świecie Żywych.

– Pozwolenie na wizyty?

– Chcę czuwać nad bliźniakami. Wolałabym, żeby nie podzieliły losu starszego rodzeństwa.

Oniemiałem, nie wierząc własnym uszom.

– Odbiło ci? Przecież mieszkają... z Tronem! To ryzykowne!

– Zawarliśmy porozumienie – odparła spokojnie. – Uznaliśmy dom za neutralny obszar. Ograniczę się do obserwowania, a Uryan nie będzie mi robić trudności. I jakkolwiek by cię to wkurzało, Strateg się zgodził.

– Nie wkurza mnie – zaoponowałem. – Po prostu się o ciebie boję. Zmrużyła oczy, przyglądając mi się w taki sposób, że straciłem pewność siebie. Kurde. Uciekłem wzrokiem, naraz dalece zainteresowany czarnym niebem.

– Pamiętasz? – szepnęła, podchodząc bliżej.

– O ile nie zdradzisz co, nie – burknąłem. – Nic nie pamiętam.

– Tę noc, kiedy zakradłeś się do mojej sypialni – wyjaśniła pośpiesznie, wyraźnie skrępowana. – Nie odważyłeś się mnie pocałować.

Popatrzyłem na nią oszołomiony. Akurat tych słów spodziewałem się najmniej.

– Nnie... nie odważyłem się – wydukałem, przetykając ślinę, żeby zwilżyć zbyt suche gardło.

– Zawsze zastanawiałam się dlaczego...

Po plecach przebiegł mi paralizujący dreszcz. Zacisnąłem spocone dłonie, czując pustkę w głowie.

– Bo zależało mi, żebyś też tego pragnęła.

Momentalnie się zaczerwieniła, tak mocno, że jej policzki zaczęły

żarzyć się w mroku niczym latarenki. Wyglądała komicznie, lecz i... niesamowicie pociągająco.

– Teraz się odważysz? – spytała ledwo słyszalnie.

Zmysły w jednej chwili jak gdyby mi się wyostrzyły. Mimo że ciemność rozpraszały wyłącznie blady blask księżyca i padające przez okna budynku światła, odniosłem wrażenie, że zrobiło się zupełnie jasno. Docierały do mnie też typowe dla nocy odgłosy, a nawet zapach wilgotnej ziemi.

Dałem krok w przód, rejestrując głośnie walenie. Nie wiedziałem, czy to bicie mojego serca, czy serca Diletty... Złapałem ją za przedramię naznaczone blizną, która zapoczątkowała więcej, niż mógłbym sobie wyobrazić. Zawieszona w czasie sekunda... przyczyna nieodwracalnej odmiany naszych losów.

Zbliżyłem usta do warg Diletty i zamknąłem oczy.

– Poczekaj! Coś mi się przypomniało! – wykrzyknęła nagle, odsuwając się. – Gdy zebraliśmy się w Pałacu Stratega, Zaccaria Lawrence wyjawiał, że chociaż wraz z Generałami uczestniczył w grze umarłych, nie został ukarany. Przez kogo?

No nie. To musi być żart. Bardzo kiepski żart.

– Diletta! – wrzasnąłem.

– Co?

– Mia... Właśnie miałem cię pocałować! – darłem się, głęboko zraniony w męskiej dumie. – Od... odwróciłaś twarz!

– Kiedy... już wcześniej chciałam o to zapytać, tyle że mi wyleciało – wyjaśniła z niewinną miną. – Zresztą... jesteśmy martwi. Przed nami pół wieczności na całowanie się.

– A... ale...

– Oj, odpowiedz! – zawołała rozpromieniona. – Kto decyduje o ukaraniu najwyższych dowódców Panteonu? Lucyfer? Szatan? –

Zamyśliła się. – Tak, to pewnie on. Anioły reprezentuje Bóg, a demony...

– Diletta!

– Co, Alois?

Wtedy nie wytrzymałem i wybuchnąłem śmiechem. Kto by przypuszczał...
Kruk zakochany w ptaszynce.

– Do cholery, kawał z ciebie pieprzonej debilki – szepnąłem, gwałtownie ją do siebie przyciągając. – I niech mnie trafi szlag, ale... taką cię uwielbiam.

EPILOG

Mówi się, że umrzeć to zapomnieć, a jednak pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślałam, kiedy otworzyłam oczy, był moment mojej śmierci.

Usiadłam na łóżku. Nie wiedziałam, gdzie się znajduję, ale z pewnością już nie w zimnej sali operacyjnej szpitala Saint Mary. Choć w dalszym ciągu mam na sobie zieloną szpitalną koszulę, kości wreszcie nie wrzynają się w twarde nosze, na których spędziłam całe godziny.

Wtem poczułam dziwne pieczenie w okolicach żołądka. Krzyknęłam, dostrzegłszy na materiale plamę krwi. Natychmiast uniosłam koszulę, szukając wzrokiem rany. Nic... Ani zadrapania, ani blizny. Ujrzałam tylko czarne, a właściwie ciemnofioletowe znaki. Pulsowały, wręcz... ruszały się, zupełnie jakby żyły własnym życiem.

Rety.

– O, w końcu się obudziłaś.

Zerknęłam w prawo. W miękkim fotelu siedziała dziewczyna w oryginalnym stroju. Z uwagą mi się przyglądała, odłożywszy na kolana czytaną książkę. Na okładce widniała pozłacana postać Anioła.

– Jak się nazywasz? – spytała, przysuwając się bliżej.

Ależ oczy... Różnobarwne. Jedno brązowe, a drugie niebieskie. Niesamowite.

– Rebecca Henderson – szepnęłam. – Becca. Znowu to silne pieczenie... Spojrzałam na brzuch. Na lewym biodrze pojawiły się wytatuowane cyfry. 4.9.2010.

I naraz zrozumiałam. Czwarty września dwa tysiące dziesiątego

roku.

Tego dnia umarłam.

Świat – niebo czy piekło – zawirował, a dziewczyna z uspokajającym uśmiechem nachyliła się i dotknęła mojej dłoni. Z jej szyi zwiślał łańcuszek z małą szpadą.

– Jestem Diletta. Witaj w Panteonie.

Zrobiło mi się słabo i podparłam się rękoma o materac. Nim straciłam przytomność, zdążyłam jeszcze zobaczyć tuż za plecami Diletty blask krwistoczerwonych...

Zdało mi się, że patrzę na demona ze skrzydłami Anioła.

Tytuł oryginału: Lilim 2.10.2003

Pierwsze wydanie: 2012, Harlequin Iberica, S.A.

Opracowanie graficzne okładki: Kuba Magierowski

Redaktor prowadzący: Jacek Fronczak

Opracowanie redakcyjne: Joanna Morawska

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

© 2012 Belén Martínez Sánchez dla Harlequin Iberica, S.A.

© for the Polish edition by Harlequin Polska sp. z o.o., Warszawa 2014

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.

V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy wydawnictwa Harlequin jest zastrzeżony.

Wyłącznym właścicielem nazwy i znaku firmowego wydawnictwa Harlequin jest Harlequin Enterprises Limited. Nazwa i znak firmowy nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Harlequin Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-0979-3

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com